

COLLEEN

THOMPSON

Zabójcza
odmowa

Rozdział 1

Rzadko zdarzają się dni, kiedy o tym nie słyszymy. W wiadomościach, w gazetach, z ust przyjaciół i rodziny. O tym, jak ktoś, zazwyczaj kobieta, zostaje zniszczona przez człowieka, którego kocha i któremu ufa. Czasami jest bita. Poniżana, gwałcona. Traci środki do życia. Pada ofiarą zdrady.

A czasem dochodzi nawet do morderstwa.

Ale kiedy zastanawiamy się nad takimi zdarzeniami, stawiamy też sobie pytanie: A może to jej wina? Przytłoczeni mnóstwem przykładów, próbujemy poczuć się bezpiecznie, zauważając znaki, które taka kobieta przeoczyła - albo których uparcie nie chciała widzieć. I wmawiamy sobie, że my wiedzielibyśmy lepiej. I że mielibyśmy dość odwagi, by spojrzeć prawdzie w oczy. W przeciwieństwie do tej biednej istoty, której smutny los stał się sensacją dnia.

A potem wracamy do własnego życia. Do tych samych złych nawyków, kiepskich decyzji i chwiejnych postanowień w naszej codziennej egzystencji. Ale to jest w porządku, myślimy z poczuciem wyższości, które daje nam przekonanie, że może mamy swoje ludzkie słabości, ale nie padliśmy ofiarą najgorszego...

Bo do tego dnia, do tej chwili, nie spotkała nas jeszcze zabójcza odmowa.

Najgorszy dzień w życiu Claire Winslow zaczął się wcześniej: od łomotania do frontowych drzwi o piątej nad ranem.

Trzynoga suczka, owczarek szetlandzki, którą Spence przyniósł do domu przed rokiem, zaczęła zajadłe ujadać. Pierwsze, co przyszło Claire

do głowy, to zagonić brązowo — białego futrzaka do salonu, zanim pobudzi wszystkich sąsiadów.

Potem spojrzała przerażona na drzwi. Poczuła falę zawrotów głowy przeszył ją dreszcz. Zadrzała jak najślabszy z pacjentów, którymi opiekowała się w ośrodku rehabilitacji.

Spence miał rano wrócić ze swojej zmiany. Tyle tylko, że nigdy nie pukał. Zamiast tego próbował zakraść się po cichu - prawdziwy wyczyn, biorąc pod uwagę radosne powitanie Pogo. A jeśli już udawało mu się prześliznąć obok śpiącego ulubieńca, zdejmował swoją odznakę, kaburę pistoletu, a potem pocałunkami budził kobietę, od pięciu lat jego żonę... Pocałunkami, a czasem czymś więcej. Przynajmniej robił tak do października, do śmierci swojego przyjaciela Dave'a Creightona.

Gdy znowu ktoś załomotał do drzwi, puściła wyrrywającego się psa i włączyła lampę, która rozjaśniła mrok przedświt. Szybko przeszła do sypialni i narzuciła szlafrok. Uchwyciła się myśli: jeśli Spence nie żyje, nie pozwolę, by powiedzieli mi o tym, kiedy stoję w jego starym T-shircie.

Jeśli Spence nie żyje... Boże, nie.

Otuliła się ciasniej szlafrokiem i powiedziała do Pogo:

- Jeśli twój tatuś zapomniał kluczy, poobgryzam mu uszy.

I dobrze mu tak, za to, że wystraszył ją na śmierć. Każdy gliniarz wie, że jego żona się martwi. Nawet jeśli wyolbrzymia zagrożenie. O tym ogromnym lęku żadne z nich nie śmiało mówić głośno.

A teraz to i tak się stało, pomyślała, gdy jej stopy same poniosły ją ku drzwiom, a zdradziecka ręka odsunęła zasuwę.

Pogo uspokoiła się, a potem przysiadła w oczekiwaniu, podpierając się przednią łapą. Aż drżała, tak chciała zacząć szczekać albo machać ogonem, bo nie wiedziała, kto stoi za wciąż zamkniętymi drzwiami.

Claire przemknęło przez głowę wspomnienie: zaledwie przed tygodniem mąż przypominał jej, że mieszka w San Antonio, a nie w jej cholernym małym miasteczku z krawężnikami pomalowanymi na biało, i że jeśli nie będzie na siebie uważać, to skończy tak samo jak Dave. Wtedy był wściekły, ale to głębokie przerażenie w jego niebieskich oczach sprawiło, że teraz się zawahała. Pochyliła się, by zerknąć przez wizjer, a jej usta poruszały się w bezgłośnej modlitwie: niech to będzie Spence...

Ale to nie był Spence. Z cichym okrzykiem niezdarne zdjęła łańcuch i odsunęła zasuwę, a potem otworzyła drzwi i spytała dwóch mężczyzn w mundurach:

- Nie żyje? Jest w szpitalu? Ktoś postrzelił mojego męża? Czemu tu jesteście?... Mówcie!

Pogo jeszcze bardziej przywarła do ziemi i zaskomlała żałością. Choć nie pasowali do siebie - inny mundur, inny wygląd - stali ramię w ramię, wyprostowani jak struny, gniotąc w rękach nakrycia głowy.

Claire wbiła wzrok w niższego mężczyznę o ciemniejszej karnacji. Sierżant, który niedawno się rozwiódł, był u niej i Spence'a w ubiegłą niedzielę na obiedzie. Claire zaprosiła go ze współczucia, wydało jej się jednak, że przyjął zaproszenie, by zobaczyć, jak Spence zachowuje się w jej obecności. Żeby upewnić się, że to, co dzieje się w pracy, nie przeniknęło do ich prywatnego życia.

Teraz Raul Contreras pokręcił głową, a potem głośno wypuścił powietrze przez nos. Spojrzał na nią twardo, a jego głęboko osadzone brązowe oczy były smutne. Przypomniawszy jej się lekarz, który przed laty poinformował ją, że jej siostra Karen ma raka z przerzutami do mózgu.

Serce Claire zaczęło walić jak oszalałe. Zaraz umrę, pomyślała. Czuliła, że za chwilę wyrwie jej się z piersi. Przez ułamek sekundy zapragnęła, by zaczęło bić jeszcze szybciej i by ją zabiło.

- Nie - odpowiedział sierżant Contreras. - Spencer żyje i nie jest ranny.

Najpierw się po prostu na niego gapiła, niezdolna się poruszyć, wydobyć z siebie głos, zaczerpnąć powietrza. Czy dobrze usłyszała? A może jej umysł podsunął słowa, których najbardziej pragnęła?

Czekając na wyjaśnienie, spojrzała na wyższego mężczyznę. Jasnobrązowy mundur kontrastował z ciemnogramatowym mundurem policji z San Antonio. Jego włosy były gęste, złocistobrązowe i wyjątkowo długie jak na policjanta. Miał wyraziste rysy twarzy, szerokie ramiona, był dobrze umięśniony, tak jakby w młodości cały czas spędzał na boisku do futbolu i na siłowni.

Ale tak nie było. Claire wiedziała o tym, ponieważ go znała. Szok. Co Joel Shepherd z jej rodzinnego miasta robił tutaj, pod jej drzwiami?

- Spence żyje? - spytała obu mężczyzn.

Potrzebowała tego potwierdzenia bardziej niż wyjaśnień - nawet bardziej niż powietrza.

- Żyje - odparł Joel głosem niższym, niż zapamiętała, a w jego oczach pojawiły się złocistozielone iskry. Jednak jego twarz pozostała tak ponura jak w dniu, w którym pochowali Karen. To z nią miał się ożenić, nie z Lori Beth Walters, jedną z koleżanek z klasy jej siostry. - Przysięgam.

Claire zamknęła oczy i wyszeptała:

- Dzięki Bogu. Dzięki Bogu...

Wszystko inne potrafi znieść. Wszystko inne potrafi przetrwać,

Ale w tym momencie jeszcze nie rozumiała, że może się wydarzyć coś gorszego, coś tak mrocznego, że aż niewyobrażalnego. Zaniepokoiły ją dopiero pytania sierżanta Contrerasa i Joela Shepherd'a.

- Czy... możemy wejść? - spytał przełożony jej męża.

- Może zadzwonię po kogoś, kto mógłby posiedzieć z tobą? - dodał Joel i dopiero teraz zauważyła, że nosi odznakę szeryfa. - Może do twojego taty? Albo do przyjaciółki?

Trochę przesadzał z tą troską starego znajomego, odgrywając rolę opiekuńczego małomiasteczkowego szeryfa. Przeszył ją lęk.

Cofnęła się, kręcąc głową, wzięła na ręce Pogo i wtuliła twarz w jej gęstą, ciepłą sierść.

Żeby tylko nie zaczęła krzyżeć, pomyślała. Mężczyźni weszli do salonu. Joel cicho zamknął drzwi, ale nie przekreślił klucza. Pewnie czuł się bezpiecznie z bronią w kaburze albo uświadomił sobie, tak jak zaczynała uświadamiać sobie Claire, że to, co najgorsze, już się wydarzyło.

- Może usiądziesz? - zapytał Contreras.

Unosząc głowę nad ciepłego psiego futra, Claire poczuła, że odzywa się jej temperament.

- A może wy przestaniecie obchodzić się ze mną jak z jajkiem i wreszcie mi powiecie, co jest grane?! Gdzie, do cholery, jest Spencer? I czemu wy dwaj przyszliście tu zamiast niego?

Sierżant znów wzięty głęboki oddech.

- Twój mąż został aresztowany ubiegłej nocy.

- Trzymają go w Little Bee Creek, w więzieniu Buck County - dodał Joel. - W moim więzieniu.

Kolana ugięły się pod nią, a miniaturowy owczarek zaskowyczał, gdy nagle go upuściła. Pogo podwinęła ogon i podskakując, uciekła do sypialni. Zanim Claire zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, mężczyźni chwycili ją za ramiona i podprowadzili do fotela.

Wyrывая się, krzyknęła:

- To kłamstwo! Czemu mówicie takie... takie... Spence nie może być w Little BC. W nocy był na patrolu niedaleko River Walk. Tutaj, w San Antonio.

Zauważyła, że mężczyźni popatrzyli na siebie i że obaj wyglądają na zakłopotanych. Milczeli, więc ich zaatakowała:

- Niech was cholera! Niech was obu szlag trafi! Mój mąż was do tego namówił? Jeśli to ma być jakiś chory dowcip, to wcale nie jest śmieszny.

Joel usiadł na brzegu sofy i wyciągnął swoje długie nogi. Zielonozłociste oczy spoglądały na nią przenikliwie; przypominały jej oczy kugarów, chodziły słuchy, że wróciły do Buck County.

- Mówię poważnie, Claire. I sprawa jest poważna. Będziesz potrzebować kogoś, kto z tobą trochę pobędzie. Powiedz, po kogo mam zadzwonić. A potem ci to wyjaśnimy.

Odgarnęła rudobrazowe włosy z kołnierza szlafroka.

- Wszystko?

Gdy z powagą kiwnęły głowami, ustąpiła.

- Proszę, zadzwonić po mojego ojca. Jego numer jest pod dwójką.

Ale tak naprawdę to chciała wybrać jedynekę. Numer Spence'a. Gdyby z nim porozmawiała, w jednej chwili wyjaśniłby całe to nieporozumienie.

Joel wstał, by zadzwonić po jej ojca. Zabrał telefon do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Próbowała coś podsłuchać, ale krew szumiąca jej w uszach zagłuszała odległy szept Joela.

- Mój tata jest adwokatem w sprawach karnych i mieszka w Little BC - powiedziała sierżantowi Contrerasowi. - Będzie wiedział, jak to załatwić. Pewnie podjedzie do więzienia i zaraz do nas oddzwoni, i powie nam, że to nie Spence tam siedzi. Sam mi mówiłeś, że Spence jest naprawdę dobrym gliną. Nie mogli go aresztować.

Sierżant usiadł na sofie, tak jak przed chwilą Joel, i spojrzał na nią spod krzaczastych brwi. W jego włosach i w sumiastych wąsach jaśniały pasemka siwizny. Poza tym nic nie wskazywało, że niedawno obchodził pięćdziesiąte urodziny.

- Wiem, że to trudne - odparł. - Dla mnie to też cholernie trudne. Najpierw stracić Dave'a, a teraz... Prawda jest taka, Claire, że ostatnio Spencer nie był sobą. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

-Widział, jak dwunastoletni dzieciak zastrzelił jego partnera. - Claire usłyszała napięcie w swoim głosie, w słowach, ale nie potrafiła ich stłumić. - Mój mąż widział, jak jego najlepszy przyjaciel ginie z powodu gry komputerowej za czterdzieści dziewięć dolarów.

Ochroniarze z centrum handlowego, którzy wezwali policję po złapaniu złodzieja, zaprowadzili go do biura. Ale nie przeszukali go, by sprawdzić, czy jest uzbrojony. A gdy weszło tam dwóch mężczyzn

w mundurach, dzieciak spanikował i wyciągnął spod rozpiętej koszuli małą trzydziestkę ósemkę. Zabił Dave'a i zranił pracownika ochrony, z nim Spence go zastrzelił.

- Jak w ogóle możecie oczekiwać od niego, żeby doszedł do siebie i udawał, że nic się nie stało? - denerwowała się Claire. - On nie tylko stracił bliskiego przyjaciela. Spence kocha dzieci, a teraz musi żyć z tym, że jedno zabił.

Tamto wydarzenie rozwścieczyło miejscowych Latynosów. Chłopek był Meksykaninem, a Dave, Spence i pracownik ochrony byli biali. Jednak nagranie ze sklepowej kamery oczyściło jej męża z wszelkich zarzutów. Mimo to pytał Claire - czasami budząc ją w środku nocy - czy mógł coś zrobić, cokolwiek, by uratować przyjaciela lub tamtego dzieciaka. Za każdym razem odpowiadała mu, że nie, i obejmowała go ramionami, a jego ciało było tak napięte, że aż wydawało się obce.

- Spencer powiedział, że już wystarczająco długo miał wolne i że ma dość psychologów - odparł Contreras. - I wierz mi, uważałem na niego.

- Wygląda na to, że niezbyt dobrze, jeśli naprawdę opuścił swój rewir w nocy i jechał ponad godzinę do Buck County. Nie kupuję tego. - Oczekiwała, że wysoka sylwetka męża zaraz pojawi się w drzwiach, a Pogo radośnie rozszczęka się na widok pana, który kiedyś zabrał ją z ruchliwej ulicy, zaniedbaną, wygłodzoną i z przednią łapą zmiażdżoną przez samochód.

- On nie pracował tej nocy, Claire. Przed swoją zmianą zadzwonił, że jest chory.

Szok. Chciała krzyknąć, że to niemożliwe. I krzyczałyby, gdyby mogła wydobyć z siebie głos. Ponieważ wczoraj wieczorem całowała Spence'a na do widzenia i widziała, jak wychodzi z domu w mundurze, z odznaką... i z bronią.

Z bronią.

- Co on zrobił, sierżancie? - zapytała łamiącym się głosem.

- Prawdopodobnie zabił człowieka w Little BC.

Zamrugała ze zdziwienia i spojrzała na Joela Shepherdę stojącego w drzwiach sypialni. Szeryfa Shepherdę. Nie zauważyła, kiedy wrócił, gdy już zatelefonował do jej ojca. Ale to jego słowa, a nie jego obecność, sprawiły, że zaszkło jej w ustach.

- Nie. - Pokręciła głową. - On na pewno tego nie zrobił. Dlaczego Spence miałby tam kogoś zabić? To znaczy, chodzi mi oto, że tam mamy nasze...

Uczepiła się tej myśli. To nie mogło mieć nic wspólnego z posiadłością w Little BC, którą właśnie kupili ze Spence'em, ani z ośrodkiem hipoterapii, który organizowała i na który zbierała pieniądze przez ostatnie dwa lata. To nie mogło mieć nic wspólnego z jej marzeniem...

Z jej marzeniem. A Spence... po śmierci Dave'a prosił ją, by na razie to marzenie porzuciła.

Odmówiła. Powiedziała, że nie może tego zrobić. Próbowwała przekonać go, że to kwestia „teraz albo nigdy”, że jeśli nie kupią gruntu, zanim pani Hajek przeprowadzi się do domu spokojnej starości, to jej spadkobierca na pewno nie dopuści do sprzedaży. Jej siostrzeniec, pośrednik w handlu nieruchomościami - który nawet nie pofatygował się przez wszystkie te lata, by odwiedzić swoją ciotkę - już oskarżył Claire, że wykorzystuje umierającą kobietę. Gdyby sama pani Hajek nie poczuła się lepiej i nie zagroziła, że wydziedziczy tego pazernego smarkacza, Claire mogłaby być pewna, że cała sprawa zakończy się w sądzie. I gdyby w końcu pojawiła się zaginiona od wielu lat córka pani Hajek, Gloria...

- Nie wiemy jeszcze, o co w tym wszystkim chodzi - powiedział Joel, przechodząc przez pokój i stając obok niej. - Ale wiemy jedno. Adam Strickland był jedyną osobą...

-Adam... Adam jak? - Nazwisko wydało jej się znajome, ale nie potrafiła go z nikim skojarzyć.

-Adam Strickland - odparł Joel. Odchrząknął i mówił dalej: - Nie był jedyną osobą, której śmierci chciał twój mąż. Był ktoś jeszcze.

- Ktoś jeszcze? - Wciąż próbowała jakoś się w tym połapać albo znaleźć coś, co uwolniłoby ją od tego okropnego koszmaru i sprawiło, że obudziłaby się w swoim łóżku. Usłyszała budzik dzwoniący w sypialni. Jego dźwięk miał rozpocząć jej ostatni dzień pracy w ośrodku rehabilitacji, gdzie była zatrudniona przez ostatnie pięć lat jako terapeutka.

To nie sen, pomyślała, gdy Joel Shepherd przy niej uklęknął. To nie sen. Myśl powróciła jak echo, gdy wzięła w rękę jej lodowatą dłoń.

- To byłaś ty - powiedział Joel. - Twój mąż, Spencer Winslow, zamierzał cię zabić.

Rozdział 2

Z tej małej celi nie było widać czerni nocnego nieba, lecz i tak myśli Spence'a Winslowa były mroczne.

To twoja trzecia noc, pomyślał. Twoja trzecia noc po niewłaściwej stronie krat. Wszystko, co musisz robić, to oddychać. Jakoś to przetrwać. Wdech. Wydech. Pamiętasz, jak to się robi.

Mimo to wciąż krążył po celi z beznadziejną determinacją tygrysa zamkniętego w ciasnej klatce. Przypomniało mu się, że kiedyś czytał, jak doprowadza to do szaleństwa te wielkie koty, jak wpisuje się głęboko w ich psychikę, do tego stopnia, że nawet kiedy zwierzęta zostaną przeniesione do otwartych rezerwatów, zawsze już odtwarzają takie zachowanie, ponieważ uwięzienie pozostawia po sobie trwałe ślad.

Choć wyczerpany, Spence nie potrafił zmusić się do tego, by się położyć. Wydawało mu się, że przemierzanie celi jest jedynym sposobem, by przewentylować płuca, jedynym pewnym sposobem, by przetrwać do chwili, gdy ten koszmar się skończy - kiedy przekona Joela Shepherd'a i sędziego, że wsadzili niewłaściwego człowieka.

No tak, jasne, wyszeptano coś w jego głowie. Coś, co znalazło się w jego wnętrzu i przeniknęło aż do szpiku kości. To coś wiło się i żarłocznie zjadało go od środka. Być może były to wątpliwości, a może ich daleki krewny, przerażenie.

Jesteś po prostu kolejnym przestępcą za kratkami, Spence. Kolejną marną wymówką we wszechświecie, w którym roi się od marnych wymówek.

W ciągu dziesięciu lat, które przepracował w wydziale policji w San Antonio, aresztował wielu podejrzanych. Wsadzał za kratki Latynosów, białych i czarnych: dobrze ubranych i nagich, wyperfumowanych i cuchnących potem i wymiocinami. Mężczyzn, kobiety i całe stado szczeniaków. Frajerów, których nie łączyło ze sobą nic poza wielkimi kłopotami... no i poza tym, że wszyscy niezmiennie zaprzeczali, że są winni.

Przemierzając w tę i z powrotem ciemną celę, Spence wciąż słyszał ich głosy. „Ja tego nie zrobiłem, ty matkojebco. To inny koleś, podobny do mnie”. „Moja ekszona namówiła córki, żeby powiedziały, że ich dotykałem. To pewnie sprawka tego gnoja, z którym się pieprzy”. „Skąd miałem niby wiedzieć, że samochód był kradziony. Jeden koleś nim podjechał i zaproponował mi superinteres. Nie, no co ty. Nie wystawił mi rachunku”.

Po tylu głównie wartych historyjkach, opowiedzianych z wielkim przekonaniem, każdy gliniarz musiał nauczyć się, jak się wyłączyć. Gdy czasami komuś udało się przebić przez jego mur, wciąż z rozczarowaniem odkrywał niezbite dowody, które działały niczym balsam na zimne, stalowe serca prokuratorów. Po jakimś czasie już tylko z rzadka brał pod uwagę, że osoba, którą aresztował, może być niewinna. A po śmierci Dave'a Spence całkowicie zamknął się na taką możliwość.

A jednak siedział tu, w pudle w Buck County, starym, rozwalającym się więzieniu o kamiennych ścianach pokrytych wilgocią, pozostałością po wyjątkowo mokrej zimie w Hill Country. Kaszlał, jakby miał gruźlicę, bo panująca tu wilgoć osadzała się jak gruba warstwa mgły w jego płucach.

Wsadzili go do osobnej celi -jednej z zaledwie sześciu - bo gliniarz nie miał szans wśród wielokrotnych recydywistów, pijaków i przestępców, i to nawet na takim zadupiu jak Little Bee Creek. A jednak byli na tyle blisko, że widział ich i czuł zapach dochodzący z sąsiednich cel i z drugiej strony wąskiego korytarza. Na tyle blisko, że mieli niezły ubaw, wykrzykując w jego stronę pogroźki.

- Posunąć cię w dupę, glino? - Zapijaczony typ spoglądał złośliwie w jego stronę, przyciskając napuchniętą twarz do krat. Wydawała się upiorna w słabym świetle żarówki pod sufitem. Zaczerwieniona gęba świadczyła o tym, że od dawna jest alkoholikiem, a po bezkształtnym nosie i napuchniętych oczach można było się domyślić, że oberwał w jakiejś awanturze. - Bo właśnie to cię czeka tam, gdzie się wybierasz. Wiesz co? Podejź tu tylko, to sam cię zerżnę.

Ośmielony przez swego towarzysza z celi, drugi więzień - dwudziestolatek z twarzą jak łasica i z tłustymi włosami, który pewnie pobił własną babcię - przysunął się do pijaka, by dorzucić swoje.

- Wbiją ci kosę we flaki i poczekają, aż się wykrwawisz. A potem upieką cię jak prosię. To właśnie zrobią chłopaki w stanowym pierdlu.

Ze swojej pryczy w celi na prawo od Spence'a drobny przestępca wydarł mordę na nich obu, żeby się wreszcie zamknęli i dali mu spać. Spence nic im nie odpowiedział, ale niemal pragnał, żeby te dwa typy jeszcze tam zostały i lżyły go. Choć ich pogroźki były obleśne, przynajmniej dzięki nim nie zaśnie.

I nie będzie znów śnił o Claire. Nie będzie musiał patrzeć na jej zalaną łzami twarz za każdym razem, gdy zamyka oczy i wyobraża sobie to piekło, przez które jego żona z pewnością teraz przechodzi. I to przez niego.

Zaczął drzeć, bo nawet kiedy jego oczy były szeroko otwarte, widział ją, jak osuwa się na kolana i szlocha w gęste futro Pogo. I ona, i pies wydawali się tak prawdziwi i realni, że nie mógł się powstrzymać, by *rié* wyciągnąć ręki w ich kierunku.

Ale jego ręka trafiała na twardy, szorstki chłód kamiennej ściany. Próbował odpędzić ten obraz. Jego oddech stał się jeszcze szybszy i urywany, a kroki bardziej nerwowe. Rozejrzał się dziko po ciasnej celi; seryf Shepherd i jego ludzie potraktowali go ostro i nie zostawili mu nic, czym mógłby rzucić, co mógłby kopnąć lub rozwalić. Albo użyć do tego, by kogoś zranić. Choćby samego siebie.

Przerywając długie milczenie, Spence zaczął przeklinać. Złorzeczenia odbijały się echem od murów więzienia, zagłuszały głosy pozostałych więźniów. Ale nawet w ten sposób nie umiał powstrzymać strumienia obrazów kłębiących się w jego głowie: jego śliczna młoda żona uśmiecha się i wskakuje na konia, jej rudobrazowe włosy powiewają na wietrze i opadają na ramiona, gdy oddala się od niego, galopując przez łąkę porośniętą niebieskim łubinem.

Spence nie załamał się, kiedy go aresztowano i postawiono w stan oskarżenia. Nie ugiął się, gdy sędzia wyznaczył kaucję na nieosiągalny milion dolarów ani kiedy adwokat poinformował go, że wydział chce podjąć działania, by zwolnić go z pracy. Nawet nie drgnął, gdy ojciec Claire rzucał mu ponure spojrzenia na sali sądowej. Jednak w głębi duszy czuł, że sobie na to zasłużył. Za grubą ścianą nierealnych obrazów, które mąciły mu wzrok, wszystko to wydawało się niemożliwe, wszystko było takie nierzeczywiste.

Wciąż przemierzał celę, nie zważając na zaczepki więźniów z drugiej strony korytarza i powtarzając sobie, że teraz nie wolno mu się załamać. Nie wolno mu, jeśli chce znów wziąć Claire w ramiona, przekonać ją, że popełnił błąd, straszliwy błąd, odwracając się od niej w swoim bólu. I że zrobił wiele rzeczy, wiele złych rzeczy, ale oprócz tego strasznego czynu w pomieszczeniach sklepowej ochrony nigdy nikogo nie zabił.

Nawet jeśli jakiś sukinsyn zadał sobie cholernie dużo trudu, by wyglądało na to, że jest mordercą.

Trzy tygodnie później

Zerkając znad osiodłanego grzbietu swojego nowego konia, Claire poczuła ukłucie strachu, które pozostawiało w jej ustach ostry, kwaśny, cierpki posmak.

Co robił tutaj jej ojciec, skoro dziś powiedział jej, że jedzie do San Antonio pokazać agentowi biura nieruchomości mieszkanie, które dzieliła ze Spence'em? Claire nie wróciła tam od tamtego poranka, kiedy Raul Contreras i Joel Shepherd przynieśli jej tę straszną wiadomość. Wciąż miałyby na sobie to samo ubranie, co tamtego ranka, gdyby nie Janinę; przyjaciółka z ośrodka rehabilitacji zlitowała się nad nią i spakowała najpotrzebniejsze rzeczy do kilku kartonów.

Claire nie była teraz w stanie rozmawiać z ojcem. Wskoczyła na grzbiet Kojota. Ponieważ nie zniosłaby kolejnych złych wieści, udała, że nie spojrzała na wzgórze i nie zauważyła nowiutkiego, długiego białego cadillaca, właśnie parkującego za jej ciemnozielonym pikapem. Pochyliła się nisko w siodle, by zdjęć pętlę zamykającą wjazd na ujeżdżalnię, a potem ścisnęła boki siwego wałacha, który żwawo pokłusował między dwoma pastwiskami, gdzie spokojnie pasło się pozostałych sześć koni.

Choć był ślepy na jedno oko i niemal całkiem posiwiął ze starości, staruszek Kojot stanął na wysokości zadania. Najpierw truchtał, po czym przeszedł płynnie w lekki galop. Gdy konie na zachodnim pastwisku biegły wzdłuż ogrodzenia, cicho rżąc, Claire pomyślała, że powinna jednak sprawdzić Kojota. Co z tego, że Ellen Martin, jej główna instruktorka jazdy, zapewniała, że ten stary koń do nauki jazdy jest na tyle spokojny i cierpliwy, że da się prowadzić klientom? Skoro zamierzają rozpocząć sesje terapeutyczne już w przyszłym miesiącu, do jej obowiązków należy...

To cholerne kłamstwo, przerwało jej sumienie, zmuszając, by stawiła czoło faktowi, że jej prawdziwy cel wcale nie jest tak szlachetny. Chciała po prostu zniknąć w pobliskim lesie, wśród poskręcanych cedrów i krzewów jałoszynu. A nawet jeśli tak było, to co z tego? W ciągu ostatnich trzech tygodni musiała przełknąć więcej złych wieści niż większość ludzi przez całe życie. A każde słowo, począwszy od usuniętych e-maili odzyskanych z twardego dysku laptopa, aż po kasetę, którą Joel Shepherd w ponurym milczeniu jej odtworzył, bolało, jakby przełykała zardzewiałe pinezki.

Jednak to nie wieści, z jakimi być może przybywa ojciec, sprawiły, że Claire skierowała konia ku wysokim drzewom, porastającym kępami urwisko. Jeszcze gorsze było to, co musiała mu powiedzieć. I właśnie

to przerażało ją i denerwowało tak bardzo, że cmoknęła na sędziwego araba, żeby przyspieszył.

Nie myśl o tym, nakazała sobie, lawirując między kępami dzikich krzewów i wawrzynu pokrytych kwietniowym kwieciem. Kilka sekund później zatrzymała konia pod sklepieniem gałęzi wiecznie zielonego dębu, by popatrzeć jak poranne promienie słońca sączą się przez jego liście i by poczuć na skórze chłodniejsze, bardziej wilgotne powietrze.

Zostań tutaj, ciesz się tą chwilą, tym, jak tu pięknie. Myśl o tym, jaki spokój tu panuje.

Od kiedy osiemdziesięciosześcioletnia sąsiadka jej ojca, pani Hajek, zaproponowała jej kupno zachodniej części swojej starej rodzinnej posiadłości, Claire wiedziała, że będzie to doskonałe miejsce do hipoterapii. Jednak ubiegłej jesieni, kiedy ona i Spence je kupowali, nie miała jeszcze pojęcia, że będzie potrzebować tych trzydziestu hektarów, by leczyć własne złamane serce.

- Wiem, że to przez sentyment twoja stara sąsiadka chce, byś właśnie ty kupiła ten teren, bo przypominasz jej dawno utraconą córkę. I wiem, że to życiowa okazja. Ale ty nie chcesz tego miejsca - przekonywał ją Spence, kiedy szli przez szeleszczące, suche trawy i pod cienistymi gałęziami dębowego zagajnika. Choć w połowie października ciemnooliwkowe liście wciąż porastały gałęzie drzew, pod ich butami chrzęściły żołądździe, tak duże i twarde, że sarny i dziki nie mogły ich pogryźć i je zostawiły. - Po pierwsze, to za daleko od miasta. Po drugie, twój ojciec na pewno będzie tu codziennie zaglądał. A może nawet częściej niż raz dziennie, teraz, kiedy zamknął swoją kancelarię w San Antonio.

- Dojazd wcale nie jest taki zły. Dojeżdżałam stąd, zanim cię spotkałam, a tata robił to przez wiele lat.

Choć jej ojciec od czasu do czasu reprezentował jakiegoś miejscowego klienta, zgłaszającego się do jego domowej kancelarii, to lubił zarządzać, że w Little BC nie było wystarczająco dużo grzechu i występku, by adwokat od prawa karnego, kaznodzieja baptysta albo pracująca na pół etatu prostytutka mogli się tu utrzymać. W San Antonio zarobił więcej, niż potrzebował, by móc odkupić i pieczołowicie odrestaurować rancho z kamienia i cyprysowego drewna, które jego ojciec był zmuszony sprzedać w latach pięćdziesiątych.

Na myśl o tym, jak uwielbiał chwalić się tą posiadłością, bo napawała go dumą i dawała radość, Claire uśmiechnęła się i dorzuciła:

- A poza tym zawsze się cieszę, kiedy go widzę.

Ale niemal w tej samej chwili, gdy to powiedziała, poczuła się winna, gdyż dobrze wiedziała, że nie o to chodziło jej mężowi.

Jej ojciec nigdy nie polubił Spence'a. Częściowo dlatego, że jako adwokat od prawa karnego z zasady nie ufał glinom, a po części dlatego, że nowy związek córki umocnił ją w pragnieniu, by wyprowadzić się do San Antonio, a to miasto kojarzyło mu się z przestępcami - albo raczej „podejrzanymi”, jakby z pewnością skorygował - których reprezentował przez kilkadziesiąt lat. Przede wszystkim jednak dlatego, uświadomiła sobie Claire, że żaden mężczyzna na świecie w oczach jej ojca nie był wystarczająco dobry dla jego jedyne go żyjącego dziecka.

Claire poprowadziła męża skrajem gąszczy ostrokrzewów uginających się pod ciężarem czerwonych, błyszczących jak klejnoty jagód. Minęli zasłone żarośli i stanęli nad wapiennym urwiskiem. Jakies dzie sięć metrów poniżej płynął potok Little Bee Creek. Dalej, w górę jego biegu, rdzawe cyprysy strzegły przeciwległego brzegu jak wartownicy, a ich proste, szare pnie były tak grube, że nawet razem ze Spence'em nie objęliby ich ramionami. W miejscu, gdzie potok zakręcał, oddalając się od nich, jego nurt podszył urwisko, tworząc nieckę idealną do kąpieli. Jej głębokie wody były tak przejrzyste, że dostrzegali ryby przemykające między skałami przy dnie - a może były to pradawne duchy Indian, których groty czasami znajdowano na skalistym brzegu.

Usłyszała, jak Spence, widząc to miejsce po raz pierwszy, głęboko wciąga powietrze.

- Cudowne, prawda? - spytała.

Nie powiedziałyby tego na głos, bo bolesne wspomnienia strzelaniny sprzed kilku tygodni były wciąż tak świeże i żywe, że coś takiego nie przeszłoby mu przez gardło. Jednak jego niebieskie oczy rozszerzyły się w zachwycie, gdy wyciągnął szyję, by spojrzeć na łagodne, zalesione stoki niskich wzgórz ciągnących się przed nimi tak daleko, że zieleń na horyzoncie przechodziła w srebro. Jak okiem sięgnąć żadnych dróg, linii wysokiego napięcia, żadnych śladów człowieka. Ciszę mącił tylko lekki wietrzyk poruszający wierzchołkami drzew i szum potoku Little Bee Creek podmywającego brzegi pełne gładkich otoczków.

Nie chcąc przerywać tej ciszy, objęła męża ramieniem i szepnęła mu do ucha:

- Kiedy byłam małą dziewczynką, państwo Hąjek pozwalali mi się tutaj bawić. Ich córka Gloria zniknęła parę lat wcześniej i było widać, jak bardzo brakowało im obecności dzieci... Biwakowałam w domku

myśliwskim, który kiedyś wynajmowali, i schodziłam po ścianie urwiska, żeby łowić w potoku okonie i pstrągi.

Jej ojciec byłby wściekły, gdyby się o tym dowiedział. Jednak w przeciwieństwie do jej siostry, Karen, Claire nic nie mogło powstrzymać, nawet dalekie wspomnienie tragicznej śmierci matki. Dla Claire, która miała zaledwie dwa latka, kiedy to się stało, cała ta historia wydawała się legendą tonącą gdzieś w mrokach przeszłości. Jakaś straszna bajka o potworach, wymyślona po to, by nie mogła się dobrze bawić.

Tego październikowego dnia, kiedy Spence był z nią nie myślała o tym, co ojciec wciąż nazywał „tamtym wypadkiem”. Pragnęła raczej snuć własną opowieść, żeby wymazać z pamięci Spence'a wspomnienia koszmarnych snów ostatniej nocy.

- Czasami, kiedy słońce za bardzo przygrzewało - wyszeptała mu do ucha - po prostu zrzucałam ubranie i kapałam się w tym miejscu.

Odrzucił głowę, żeby na nią spojrzeć, i nareszcie zobaczyła, że smutek w jego oczach ustąpił. Po jego twarzy przemknął słaby grymas, cień uśmiechu, który tak bardzo pociągał Claire, kiedy go poznała na urodzinowym barbecue u Janine, ich wspólnej znajomej. Janinę pracowała razem z Claire w ośrodku rehabilitacji i wychowała się w tych samych okolicach co Spence, w San Antonio. Ten figlarny, pełen życia uśmiech zmieniał mu rysy twarzy, sprawiając, że ciało Claire wibrowało jak uderzony lekko kamerton.

- Próbujesz mnie uwieść, żebym się na to zgodził? - zapytał, a potem wzruszył ramionami, jakby świadom własnej słabości. - Wiesz, że można mnie kupić...

Zrozumiała, że stara się być dla niej miły, więc pokryła jego szyję delikatnymi pocałunkami, a jej ręce wśliznęły się pod jego koszulę. Ponieważ Spence miał bzika na punkcie geologii, spróbowała osłodzić mu tę decyzję, szepcząc:

- To urwisko, na którym stoimy, jest z wapienia. Niżej, pod nami, pełno jaskiń. Możesz się do nich dostać, jeśli spuścisz się na linie z tej krawędzi. Właśnie dlatego nazywają ten potok Little Bee Creek, Pszczeli Potok. To urwisko przypominało ul pierwszym ludziom, którzy...

Odrzucił się, by przyciągnąć ją do siebie, i odpowiedział głębokim pomrukiem, prawie takim, jaki wydawał dawny Spence, którego głos sprawiał, że unosiły jej się drobne włoski na karku.

- Wystarczy. Wolę posłuchać czegoś więcej o tym, jak twoje nagie, śliczne ciało pluszcze się w tej niecce. Może wśród tych jaskiń jest choć

jedna na tyle duża, żeby rozłożyć tam śpiwór? A co powiesz na ten stary domek myśliwski? Chyba jest w całkiem przyzwoitym stanie.

Claire ściągnęła wodze Kojota, żeby zwolnić. Pokręciła głową, próbując odpędzić od siebie bolesne wspomnienia. Nie pomogło. Ostatnio nic nie wychodziło jej tak dobrze, jak odtwarzanie w umyśle każdego aspektu ich wspólnego życia. Wspomnienia powracały uparcie jak strzępy piosenki, która zapadła w pamięć.

Oczarowałam go, żeby mieć to miejsce, uświadomiła sobie, wciąż wracając myślą do ich wspólnego zakupu. Widziałam, jak bardzo cierpi i że ma mieszane uczucia, ale uwiodłam go tymi drzewami, tą ziemią, tym potokiem i moim ciałem.

I wiedząc, że za chwilę będą się kochać, przypieczętowała umowę obietnicą, której nie mógł się oprzeć:

- To wszystko będzie nasze. Twoje i moje. I pewnego dnia prześlemy to miejsce naszym dzieciom.

Wciąż o tym myślała, kiedy objędziała kępę opuncji, ledwie dostrzegając ich jaskrawożółte kwiaty. Skierowała Kojota w stronę domu, przełykając dławiące ją łzy. Bo nagle perspektywa rozmowy z ojcem, a nawet tego, co będzie musiała mu powiedzieć, wydawała jej się mniej bolesna niż widok Little Bee Creek. I kolejna fala wspomnień o chwilach, które spędziła tu ze swoim mężem... swoim najlepszym przyjacielem... kochankiem....

Kochankiem, który zapłacił komuś dziesięć tysięcy dolarów, żeby wpakował kulę w jej mózg.

Przejeżdżając obok stawu rybnego i kierując się pod górę, ku nowo zbudowanemu wybiegowi, Claire zauważyła połyskującego białego cadillaca, jeszcze zanim w cieniu orzechowca spostrzegła ojca. Rozmawiał właśnie, jak można było przewidzieć, z Megan Martin, córką instruktorki jazdy konnej, żywą jak iskra siedemnastolatką, która zgłosiła się na ochotnika, żeby dzisiaj posprzątać stajnię i może przy okazji odbyć małą przejażdżkę. Meg, której długie proste włosy były w tym tygodniu ufarbowane na rzucający na kolana blond, jak zwykle świergotała w szalonym tempie, gestykulując, by dodać dramatyzmu temu, co miała do powiedzenia. Ojciec Claire przykucnął, głaszcząc brzuch Pogo. Od czasu do czasu kiwał Meg głową, ale nawet z tej odległości Claire wyraźnie widziała, że tak naprawdę wcale jej nie słucha.

Ale to nie mogło powstrzymać Meg. Ta dziewczyna miała taką potrzebę mówienia, jak ludzie potrzebują tlenu; uważny słuchacz był tylko, czymś w rodzaju dodatku.

Mimo że dobiegał siedemdziesiątki i przed dwoma laty musiał się poddać zabiegowi chirurgicznemu, by usunąć zator, ojciec Claire był szczupły i przystojny w swoich świetnie leżących na nim i doskonale pasujących do drogich, ręcznie szytych kowbojskich butów dzinsach. Jego oczy wciąż miały głęboko brązowy kolor, tak jak oczy Claire, a twarz sprawiała wrażenie, jakby była bardziej zniszczona wiatrem i słońcem niż wiekiem. Jego przyjaciele, śmietanka Little BC, poczynając od właściciela On The Hoof Feed and Seed, po emerytowanego sędziego, który prowadził wiele ze spraw Willa Meadora, często żartowali sobie z jego młodzieńczego wyglądu. Jednak w ciągu tych strasznych tygodni od aresztowania Spence'a Claire dostrzegła więcej siwizny w jego gęstych ciemnych włosach, a dumnie wyprostowane zazwyczaj plecy lekko się przygarbiły - zaniepokojona prosiła go wczoraj, by umówił się na wizytę u lekarza.

Gdy na nią spojrzął, Claire przeszył lęk na widok ponurej powagi na jego twarzy. Z trudem przełykając ślinę, przerzuciła nogę przez kowbojskie siodło i zeskoczyła na ziemię jakieś trzy metry od niego.

- Chcesz, żebym zajęła się Kojotem? - spytała Meg, już wyciągając szczupłą dłoń, by wziąć wodze.

- Dzięki - wykrztusiła Claire, a potem dodała: - Mogłabyś pochodzić z nim trochę, żeby ochłonał, a potem porządnie go wyczyścić? Ale nie zamykaj go z innymi końmi. Nie chcę, żeby były razem, dopóki ktoś nie znajdzie czasu, by popatrzeć jak na siebie reagują. Na razie trzymajmy go w tej małej zagrodzie.

Nieważne, jak niewiele było koni ani jak dobrze zachowywały się pod siodłem - potrzebowały paru dni, żeby ustalić sobie hierarchię za każdym razem, kiedy stado się powiększało. Jeden z koni, ładna klacz, wracał do formy po paskudnym kopnięciu w staw skokowy, a Claire nie chciała, żeby jej program znów obciążły wysokie koszty wizyty weterynarza.

- Jasne, Claire. Potem pobieram łąno ze wschodniego pastwiska.
- Meg wciąż ociągała się z odejściem, najwyraźniej czekała na słowa, które były dla niej jedyną zapłatą.

Claire, ocierając spocone dłonie o dzinsy, wreszcie to spostrzegła. Wzięła się w garść i powiedziała:

- Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili, Meg. Jak skończysz, możesz się przejechać na Krzaczorze.

Wielkiemu gniadoszowi przydałoby się trochę ruchu. Zanim kupili Krzaczora, ich pierwszego konia do hipoterapii, Spence jeździł trochę konno, żeby zrobić jej przyjemność, choć tak naprawdę konie nigdy nie były jego pasją. A mimo to w tych ponurych dniach po strzelaninie Krzaczor ciągle się koło niego kręcił. Zawsze, kiedy Spence przychodził, żeby pomóc kopać dołki pod słupki ogrodzeniowe czy pod jakimkolwiek innym pretekstem, jaki wykorzystywała Claire, by wyciągnąć go z domu, młody wałach chodził za nim jak wielki pies, bawiąc się w podkradanie lizaków, które Spence nosił w kieszeni koszuli. I nawet kiedyś udało mu się rozśmieszyć człowieka, który zapomniał już, co to śmiech.

Od czasu aresztowania Spence'a Claire nie potrafiła się zmusić, by poświęcić Krzaczorowi więcej uwagi, a on bardzo tego potrzebował. Przełykając kwaśną ślinę w ustach, przypomniała jeszcze Meg:

- Pamiętaj, żeby włożyć na głowę kask. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

Claire odpięła swój kask i zdjęła go. Nalegała, żeby wszyscy jeżdżący konno na Monarch Ranch ich używali, nie tylko ze względu na ubezpieczenie, lecz także dlatego, że w pracy widziała już zbyt wiele dzieci i dorosłych z urazami mózgu, by mogła się godzić na takie ryzyko.

Dziewczyna rozpromieniła się, podziękowała i pociągnęła za uzdę Kojota. Gdy się oddalali, Claire słyszała, jak Meg radośnie opowiada sędziwemu koniowi:

- O mój Boże, Kojocie. Nie uwierzysz, kto do mnie wczoraj wieczorem zadzwonił, żebym mu pomogła z pracą domową z geometrii...

Uśmiechając się, Claire pokręciła głową i zwróciła się do ojca:

- Mam nadzieję, że nie popękały ci przez nią bębenki w uszach?

On również się uśmiechnął i ostatni raz poklepał Pogo.

- Daj spokój. Przecież wiesz, że lubię takie dzieciaki.

Wiedziała. Przez wiele lat opiekował się kółkiem dyskusyjnym w szkole średniej. Zdjęcia maturalne tych dzieciaków, oprawione w ramki, wciąż wisały w jego domowej kancelarii. Jednak pełne bólu spojrzenie jego ciemnych oczu znów napełniło ją lękiem. Miał już tyle zmarłych z jej powodu. Tak bardzo rozwścieczyło go, że ktoś, kogo kochała i darzyła zaufaniem, chciał zabić, jego małą dziewczynkę", że teraz nie spał ani nic nie jadł. Jak mogła jeszcze bardziej go obarczać albo narażać na szwank jego zdrowie?

- Tato? - spytała, przeklinając swój drżący głos, słaby i niepewny.

Musisz się wziąć w garść, pomyślała, chyba już po raz dziesiąty tego dnia. Musisz zrobić to, co trzeba, albo to gówno cię zabije. A teraz musisz powiedzieć o tym ojcu. Powiedz mu o wszystkim.

Ojciec powoli wstał, a stawy w kolanach strzeliły głośno, co zdarzało się ostatnio dość często. Podszedł bliżej, objął ją i przytulił, tak mocno, tak gwałtownie, że przez chwilę zastanawiała się, czy w jakiś sposób nie dowiedział się, co ma mu do powiedzenia.

- Tak mi przykro, Claire. - Ukrył twarz w jej włosach. - Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby do tego nie dopuścić, ale nie mogłem...

Cofnęła się trochę, by go widzieć.

- Co się dzieje, tato? Czy?... Czy coś mu się stało?

Nie była w stanie wypowiedzieć na głos imienia swojego męża, choć intensywnie o nim myślała. Czy udało mu się odebrać sobie życie? A może zrobili mu coś inni więźniowie? Mimo że to, co zrobił, było tak okropne, tak bolesne i niewytłumaczalne, to w jakiś sposób jego śmierć czy zranienie zadałyby jej jeszcze więcej bólu. Tłumaczyła sobie, że jest kompletną idiotką, czując coś takiego, a jednak jej okaleczone, krwawiące serce wiedziało swoje.

To serce wciąż go kochało, niezależnie od tego, co podpowiadał jej zdrowy rozsądek albo radzili przyjaciele. Co, do cholery, jest ze mną nie tak?

Brażowe oczy jej ojca pociemniały.

- Spence'owi nic nie dolega. Jak dla mnie, ma się aż za dobrze. Mają go zwolnić za kaucją.

- Co takiego? Mają go zwolnić? Jak oni mogą go wypuścić? Wiem, że nie znaleźli ciała tego biologa, to znaczy Adama Stricklanda.

Po aresztowaniu Spence'a przypomniało jej się, gdzie słyszała to nazwisko. Ten dwudziestosześcioletni, śmiesznie chudy mężczyzna o zmierzwionych rudawych włosach wszedł na teren posiadłości, żeby poprosić o pozwolenie na wstęp w okolice potoku. To było zaraz po tym, jak ustały ulewne deszcze. Prowadził testy wody w ramach badań ekologicznych do swojej pracy doktorskiej, czegoś na temat wpływu wód deszczowych na zagrożony wymarciem gatunek salamandry. Widząc jego bezgraniczny entuzjazm do tego projektu, wysokie gumki w kolorze musztardy i okulary, tak zabrudzone błotem, że zastanawiała się, jakim cudem ten człowiek cokolwiek widzi, doszła do wnio-

sku, że musi być jakimś nawiedzonym ekologiem. I myślała tak aż do chwili, gdy zaprosił ją na obiad. Śmiała się z tego potem, opowiadając Spence'owi, że jedynie te zapaćkane okulary i być może katar mogły wytłumaczyć fakt, że startował do kobiety, która właśnie spędziła poranek, sprząając stajnię. Parę dni po jego zniknięciu Joel Shepherd, zmęczony przeszukiwaniem okolic rozlanego potoku, wymyślił głupawą teorię, że jej mąż jest chorobliwie zazdrosny. Spence powiedział ponoć któremuś ze swych przyjaciół, jak to pogoni tego biologa, jeśli znów przyjdzie „węszyć w tej okolicy”. Ale Claire nie uwierzyła w to nawet na chwilę.

- Być może ten człowiek po prostu gdzieś sobie poszedł, ale Spe..., Spen..., mój mąż próbował mnie zabić. - Ponieważ to też nie mieściło jej się w głowie, nawet teraz, dodała: - Tak przynajmniej wszyscy mówią.

-I ci wszyscy mają rację - odparł ojciec. - To jednak nie znaczy, że nie może wyjść za kaucją.

- Ale jak mógłby to zrobić? Nie ma miliona dolarów. Nie ma nawet tych dziesięciu procent na poręczenie.

Każdy grosz, który udało im się wyskrobać, poszedł na zaliczkę za tę ziemię. I chociaż fundacja Monarch Ranch zbudowała biuro, stajnię, padok i ujeżdżalnię, to sama posiadłość należała do niej.

I do Spence'a.

-Nie zgodzili się, żeby użył tej ziemi jako zabezpieczenia, prawda? Nie pozwoliliby mu tego wykorzystać?

Spienieżyła swój fundusz emerytalny z ośmiu lat, żeby doprowadzić do zakupu. Oprócz skromnej sumy, którą miała nadzieję uzyskać ze sprzedaży mieszkania, ten teren był wszystkim, co posiadała. I był jej przyszłością, jej marzeniem. Przypomniało jej się, jak ojciec mówił o tym, że próbował nakłonić Spence'a, by podpisał dokumenty i przekazał jej posiadłość. Ale w ostatnich tygodniach była w tak głębokim szoku, że w końcu nie zapytała, czy Spence je podpisał.

Ojciec pokręcił głową.

- Nie, nie zrobiliby tego. Chyba że za twoją zgodą.

Prychnęła.

- Nigdy w życiu.

Być może była kompletną idiotką, lecz wciąż nie całkiem pozbawioną rozsądku.

Po twarzy jej ojca przemknął cień uśmiechu, ale zaraz znikł.

- Odbyła się rozprawa w sprawie zmniejszenia kaucji. Przyjaciel Spence'a, sierżant Contreras, przysiągł, że będzie miał na niego oko i że dopilnuje, by przestrzegał warunków...

- Jakich warunków?

- Zwolnienie za kaucją zostanie odwołane, jeśli spróbuje się w jakikolwiek sposób z tobą skontaktować. Nie wolno mu do ciebie dzwonić ani spotykać się z tobą. Nie może wejść na teren mojej posiadłości, dopóki ty jesteś w domu, a tutaj też nie ma wstępu. Nie może posiadać ani mieć dostępu do broni. I nie wolno mu korzystać z komputera.

Wstrząsnął nią zimny dreszcz na myśl o uzbrojonym Spencerze i na wspomnienie e-maila, który wysłał na, jak do tej pory, niemożliwy do wyśledzenia adres.

Ta sytuacja jest nie do zniesienia - napisał. - Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Nie chcę już przebywać w tym samym pokoju, co ona, spać w tym samym łóżku, słuchać, jak głądzi o tej swojej pieprzonej, głupiej farmie dla kalekich dzieciaków. Boże, rzygać mi się chce, kiedy słucham tych bredni. Wtedy chcę, żeby po prostu odeszła. Znikła na zawsze. Żeby ktoś ją załatwił, żeby raz na zawsze ją uciszył.

Były też inne, gorsze e-maile, ale nie pozwolili jej ich przeczytać. Joel i ojciec pozwolili jej tylko rzucić okiem na ten jeden, bo nie chciała słuchać ich wyjaśnień, aż do chwili, gdy rozpoznała, że to pisał jej mąż.

A rozpoznała, bo... Boże, dopomóż... Podczas śledztwa w sprawie strzelaniny w tamtym sklepie, bezpośrednio po śmierci Dave'a, dawała z siebie wszystko, by cierpliwie go wspierać. Mimo to parę razy pokłócili się o jej projekt, o pieniądze, które będą musieli w nim utopić, i o to, ile czasu pochłania jej nowo utworzona fundacja. W najgorszy z takich dni, najgorszy dla Spence'a, użył dokładnie tych samych słów, nazywając jej marzenie „pieprzoną, głupią farmą dla kalekich dzieciaków”.

Słyszac okropną drwinę w jego głosie, wpadła w szal. Niech ją szlag trafi, jeśli pozwoli na to, żeby jego cynizm zrujnował coś, co tak wiele dla niej znaczy. I nie tylko dla niej. Także dla wolontariuszy, którzy z oddaniem poświęcili swój czas. Dla rodziców, instruktorów i terapeutów, którzy się przyłączyli do projektu. Dla małych i dużych firm sponsorujących program. A zwłaszcza dla dzieci, bo to ich życie wszyscy oni mieli nadzieję zmienić. Wiedziała, że to było bardzo trudne dla Spence'a. Wiedziała, że oprócz niej nie miał żadnej rodziny, która mogłaby go wesprzeć. Ale tego dnia po raz pierwszy, odkąd się pobrali, wyszła z domu,

trzaskając drzwiami, i pojechała do ojca. I została tam dwie noce, zanim mąż po nią przyjechał. I powiedział jej, jak mu przykro, jak mu wstyd.

Ocierając łzy, odepchnęła od siebie wspomnienie tego słodko-gorzkiego pojednania... i tego, jak się potem kochali.

- Czy... już wyszedł? - spytała ojca.

Westchnął ciężko.

- Jeśli jeszcze nie, to już wkrótce.

Claire przygryzła dolną wargę i przełknęła ślinę; nagle poczuła ucisk w gardle.

- Myślisz... myślisz, że będę bezpieczna?

Ojciec sięgnął za siebie i wyciągnął coś małego i ciemnego. Trzymał to z przesadną ostrożnością w dłoniach, jakby to był ptak, który w każdej chwili może odlecieć.

Ale to nie był ptak. Ujrzała pistolet. Mały i lśniący. Obrzydliwy.

Uniósł go z namaszczeniem i podał jej.

Claire cofnęła się o krok, wyciągnęła rękę, jakby się broniła.

- Co? Co, według ciebie, mam, do cholery, z tym zrobić? - Jej gardło było tak ściśnięte, że ledwie to wykrztusiła.

- Masz to wziąć, Claire. - W oczach jej ojca pojawiły się łzy, które mogły zaraz popłynąć. - I będziesz to cały czas mieć przy sobie. A kiedy ten łajdak, twój kochany mąż, przyjdzie do ciebie, strzelisz mu prosto między oczy.

Rozdział 3

Sierżant Raul Contreras dał Spence'owi niezły opieprz. Jechali jego małym soczyście zielonym datsunem, który wyglądał tak, jakby miał tyle lat, że powinien już otrzymać prawo do udziału wyborach. I nie tylko... Za każdym razem, kiedy Raul wciskał pedał gazu, samochód trząsał się i wypuszczał kolejne obłoki złowróbnego, czarnego dymu.

- Jeśli chodzą ci po głowie jakieś kretyńskie pomysły, to pomyśl o tej kupie gówna, którą muszę jeździć - warknął Raul, gdy jechali jedną z najpodlejszych wiejskich dróg Buck County. Nierówna, z popękany asfaltem i kępami chwastów rosnącymi tu i ówdzie w dziurach nawierzchni, biegła przez skaliste zalesione wzgórza, bawiąc się w chowanego z przejrzystym

wezbrany po deszczu potokiem. - Takim czymś muszę jeździć, odkąd się rozwiodłem! Carla ma moją nową hondę, a ja siedzę w zasranym mieszkaniu po gorszej stronie miasta i zastanawiam się, czy nie przejść na emeryturę, żeby rozkręcić prywatny interes w ochronie. Krótko mówiąc, chodzi mi o to, że te dziesięć tysiąków, które wyskrobałem, żeby zapłacić za ciebie kaucję, to dla mnie kupa forsy.

- To dlaczego to zrobiłeś? - Spence wiedział, że powinien być wdzięczny, ale widok wzgórz i wiosennych listków na drzewach wprawił go w posępny nastrój. Jeśli sprawy potoczyłyby się tak, jak chciał tego prokurator, wciąż by siedział i zapomnieliby, jak wygląda zieleń liści i jak wiatr gna wysoko po niebie stada chmur. Zapomnieliby zapach wolności i łagodne ciepło świeżego powietrza.

Raul usiłował wrzucić czwarty bieg.

- Ile ze mną pracowałeś? Sześć lat? Ty i Dave. A po tym, co się stało ubiegłej jesieni, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że...

Spence'a przebiegł nagły dreszcz. Zamknął okno, kręcąc korbką.

- Nie zaczynaj znowu tematu ubiegłej jesieni. To nie ma z tym nic wspólnego. Ktoś mnie wrabia. A może mi nie wierzysz? Pofatygowałeś się w ogóle, żeby sprawdzić, w jaki sposób mnie aresztowali? Ktoś wysłał wiadomość, żeby wyciągnąć mnie do Buck County. A tam mnie aresztowali i ogłuszyli paralizatorem, zanim zdołałem powiedzieć choćby jedno słowo.

Skrzynia biegów zazgrzytała w proteście, a Raul zerknął na Spence'a. W chwili gdy ich spojrzenia się spotkały, Spence znał już odpowiedź. Jeszcze zanim sierżant się odezwał.

- Myślę - powiedział Raul powoli - myślę, że wszystko zaczęło się sypać po śmierci Dave'a. Pogubiłeś się w tym, Spence, i częściowo obwiniam o to siebie. Powinienem być wyczuć, co się święci.

Spence walnął w plastikową deskę rozdzielczą tak mocno, że aż zaboląła go ręka.

- Cholera, Raul! My tu mówimy o Claire, o mojej Claire. Może mi trochę odbiło, ale jednego jestem cholernie pewien. Ona jest najlepszym darem w moim życiu, jedyną rąską wyspą w całym tym szambie.

- Elegancko powiedziane, jak zwykle, Winslow. - Napięcie na twarzy Raula zadawało kłam lekkości jego tonu. - Ktoś powinien to zapisać i zrobić z tego piosenkę o miłości.

Ten żart nie rozluźnił Spence'a, choć przed śmiercią Dave'a równie chętnie robił innym kawały i śmiał się, kiedy ktoś żartował sobie jego kosztem.

- Przysięgam, że tego nie zrobiłem - powtórzył, uświadamiając sobie lepiej niż kiedykolwiek, że niezliczeni podejrzani przed nim miliony razy powtarzali te słowa. I że były już tak wyswiechtane, że nie miały znaczenia.

Zanim finanse zmusiły go, by przerwał naukę na jeden semestr przed końcem, Spence studiował geologię. Wciąż uwielbiał myszkować wśród skał, wyobrażać sobie, jak uformował je czas. I przyszło mu do głowy, że gdy każdy podejrzany wypowiadał te słowa, to było to tak, jakby rzucał garść piachu na wiatr. Przez wiele lat i dziesięcioleci, może nawet tysiącleci, stworzyły one burzę piaskową, która ścierała, kruszyła i wreszcie roztrzaskała monolit ludzkiego zaufania.

Nawet zaufanie jego przyjaciela. Długie milczenie Raula powiedziało mu, że wina czy niewinność podwładnego były tu bez znaczenia. Sierżant nadstawał karku za Spence'a z lojalności. I to by było na tyle. No cóż, w takim razie pieprzyć Contrerasa. Niech sobie siedzi na tej swojej emeryturce, niech zostanie jakimś cholernym najemnym glina, skoro nawet nie chce uwierzyć, że...

Głośny huk sprawił, że Spence instynktownie się skulił, czekając na kulę. Ale rozklekotane wstrząsy, gwałtowny skręt małego samochodu i zmagania Raula, żeby zjechać na kamieniste pobocze, wskazywały na to, że złapali gumę.

- Cholera! I co ty na to? - spytał Raul. - Te opony to była najnowsza rzecz z całego tego grata! W zeszłym miesiącu wydałem na nie sto trzydzieści dolców.

Spence zastanowił się, jakie opony można było kupić za taką cenę, choć fakt, że złapali gumę, właściwie dawał już odpowiedź. Wysiadł z samochodu i zobaczył, że prawa przednia opona rozpadła się na czarne wstęgi - leżały teraz porozrzucane na spekanej nawierzchni drogi jak martwe węże.

- Masz zapasowe? - zapytał.

Stwierdził, że jest coś winny Raulowi, a przynajmniej zmianę koła, podwinął więc rękawy koszuli.

- Pewnie. - Contreras podszedł do bagażnika, otworzył go i wściekle zaklął. - Cholera. W tym gównie nie ma powietrza. Coś mi się wydaje, że to koło też powinienem był wymienić, kiedy zmieniałem pozostałe.

Spojrzał w obie strony drogi wijącej się przez kamieniste pastwisko, po którym snuło się stadko zaniedbanych, szarych kóz.

- Może niedługo ktoś będzie przejeżdżał? Jeśli machnę odznaką, to może...

- Ile samochodów mijaliśmy? - zapytał Spence. - Nie przypominam sobie, żebyśmy widział chociaż jeden. Tak jak ci mówiłem, tą drogą jest trochę bliżej, ale większość ludzi woli jeździć stanową. Możemy tu czekać godzinami, a i tak nie ma gwarancji, że ktoś się trafi.

- Jasny gwint.

- Najlepszym wyjściem byłoby przejść na piechotę do drogi dojazdowej na ranczo, przecina się z tą jakieś dwa i pół kilometra stąd. A potem skręcić w prawo i przejść jeszcze z pięć kilometrów do skrzyżowania z drogą stanową. Jest tam taki staromodny warsztat na rogu. Wciąż są takie w Buck County.

- Czyli jakieś siedem, osiem kilometrów? - Raul spojrzął w górę na srebrne brzuchy chmur. - Nie wygląda to groźnie i jeszcze przez parę godzin będzie widno. I nawet mam w bagażniku buty do biegania.

- Kto by pomyślał, że taki z ciebie optymista - rzucił Spence, gdy Raul oparł się o zderzak i zmienił swoje kowbojki na parę białych butów, pewnie zaskakująco drogich.

Spence miał na sobie dżinsy, spłowieła flanelowa koszulę i podniszczone tenisówki; przebrał się przed wyjściem do Joego Reno w nocy przed aresztowaniem. Tej samej nocy przekazano mu wiadomość, która zwabiła go do Buck County. Padł ofiarą. Na to wspomnienie poczuł lodowaty ucisk w żołądku.

Raul ruszył drogą i obejrzał się na niego.

- Nie idziesz? Myślałem, że się ucieszysz z takiego spaceru po paru tygodniach siedzenia w pace. Zwłaszcza że lubisz wędrowki.

Spence, Claire, Dave i jego dziewczyna Marissa wędrowali razem po Wielkim Kanionie w ubiegłe wakacje. Wszystkie te wspaniałe skały, wszystkie te epoki geologiczne... Spence się uśmiechnął.

- Właśnie myślałem o Gusie Pattonie. To on prowadzi ten warsztat - wyjaśnił. - Jego rodzina mieszka w tych stronach mniej więcej od czasów ostatniej epoki lodowcowej. Tak jak rodzina Claire, Meadorowie. Jest spora szansa, że Patton nie będzie zachwycony moim widokiem.

- Naprawdę myślisz, że... - Raul pogładził wąsa i zmarszczył krzaczące brwi. - Jesteśmy tak blisko miasta, że ciągle zapominam, jakie to zadupie. Chyba powinieneś tu poczekać... Może nawet się schowaj, jeśli usłyszysz, że ktoś się zbliża. Spróbuję namówić tego gościa, żeby podwiózł mnie tutaj z oponą, a nie chciałbym, żeby się wkurzył, widząc ciebie.

Spence kiwnął głową.

- Może byłoby dobrze, gdybyś od niechcienia błysnął swoją odznaką, kiedy będziesz wyjmował portfel.

- Niby po co?

- Staruszek Patton nie przepada za Latynosami. Ma w dupie objijających się leniwych smoluchów, białą biedotę, co posuwa własne siostry, i tych pieprzonych złodziei, Meksykańców. I jakoś uchodzi mu to płazem. Pewnie nigdy nie był zwolennikiem równych praw, ale zastanowi się dwa razy, zanim oszuka gościa, który może go aresztować.

Contreras rzucił mu ponure spojrzenie.

-Wygłada na to, że to czarujący gość. Dzięki za słowa otuchy. W drodze powrotnej kupię ci colę.

Spence patrzył, jak Contreras się oddala, i czuł już smak schłodzonej, słodkiej coli. Cholera, szkoda, że się nie załapię. I szkoda, że nadużyję zaufania Raula. Ale ani myślę wciąż tu tkwić, kiedy sierżant wróci.

Do tego czasu zamierzał już być w drodze, by spotkać się z Claire po raz pierwszy od aresztowania. I bardzo prawdopodobne, że po raz ostatni w życiu.

- O mój Boże, o mój Boże, pani Winslow. - Megan Martin była tak podniecona, że jej głos stał się piskliwy. - Musi pani ze mną pójść.

- Nie teraz, Meg.

Stojąc przy jedynym biurku w małym, nieużywanym jeszcze biurze dobudowanym do stajni, Claire podniosła dwa palce w geście mówiącym „poczekaj chwilę”. Drugą ręką zgrabnie wsunęła pistolet do kieszeni kurtki, modląc się, żeby dziewczyna nie zauważyła broni.

Po dziwnej rozmowie z ojcem Claire schroniła się tutaj pod pretekstem, że chce sobie zaparzyć herbatę. Ale tak naprawdę potrzebowała trochę czasu, żeby wziąć się w garść i zdecydować, co zrobi z bronią, którą dał jej ojciec. I dowiedzieć się, co właściwie czuje na wiadomość, że jej mąż wychodzi za kaucją. Teraz żałowała, że nie zamknęła drzwi na klucz i nie wyłączyła światła. Naprawdę nie chciała, żeby Megan załała ją potokiem słów.

- Naprawdę, pani Winslow. Naprawdę... musi pani tam iść.

Tym razem Claire błyskawicznie się odwróciła, uświadamiając sobie, że dziewczyna mówi tak piskliwym głosem, bo gardło ściska jej strach. Dreszcz niepokoju przemknął jej po plecach na myśl o Spencerze i o tym, jak ojciec twierdził z przekonaniem, że niezależnie od nakazu sędziego jej mąż i tak po nią przyjdzie.

- Co się stało?

Po zaczerwienionej twarzy Meg płynęły łzy, gdy drżąc, odpowiedziała:

- Chodzi o Kojota. On tam leży... Proszę, musi się pani pospieszyć. On wygląda... wygląda bardzo kiepsko. Wywracał oczami i strasznie wierzgał. Próbował się podnieść i nie dał mi do siebie podejść. Chciałam, ale nie mogłam się zbliżyć.

Zapominając o Spencerze, Claire natychmiast chwyciła kantar i linę z siodłami. Megan krążyła wokół niej jak złotowłosa kometa wokół słońca, szybko przebijając chudymi nogami, by dotrzymać jej kroku.

- Przejeżdżałam koło zagrody Kojota i zobaczyłam, że go tam nie ma. Najpierw pomyślałam, że może źle założyłam łańcuch na bramę - wyjaśniła Meg, wychodząc razem z Claire na zewnątrz. - A potem zauważyłam, że ogrodzenie z tyłu się przewróciło.

Przy słupku do wiazania koni, gdzie Meg uwiązała rosnącego gniosza Krzacora, Claire zatrzymała się na chwilę i rzuciła dziewczynie ostre spojrzenie.

- Znowu? To już trzeci raz w tym tygodniu. I nie mów mi, że znów jakieś martwe drzewo przewróciło się na ogrodzenie.

Meg pokręciła głową.

- Ogrodzenie wygląda tak, jakby ktoś je przeciął... Usłyszałam biednego Kojota w tym małym wąwozie z tyłu, za drzewami. Domyśliłam się, że pewnie spadł, a on... Boże, on wydawał z siebie takie okropne dźwięki... Nigdy nie słyszałam, żeby koń krzyczał. Nawet nie wiedziałam, że konie potrafią krzyczeć. Tak strasznie nie chciałam go zostawiać, ale nie miałam pojęcia, co robić.

Claire położyła dłoń na ramieniu Megan.

- Dobrze zrobiłaś, że po mnie przyszłaś. Kojot mógł niechcący zrobić ci krzywdę, wierzgając. Ale teraz musisz się już uspokoić. Wezmę Krzacora i znajdę Kojota. Chciałabym, żebyś została tu w biurze. I natychmiast zadzwoń do matki.

Mimo że była wobec siebie bardzo wymagająca i twardo podchodziła do życia, instruktorka poszła wcześniej do domu, bo czuła się paskudnie, wykończona wiosenną alergią. Ale pojawi się jak błyskawica, gdy tylko dowie się o wypadku. I w przeciwieństwie do córki będzie dokładnie wiedziała, co trzeba robić.

- I skontaktuj się z doktorem Brummellem - dodała Claire. - Na pewno będziemy potrzebować weterynarza.

Meg przytaknęła, a w jej niebieskich oczach pojawiła się ulga. Dziewczyna wyraźnie nie chciała znów patrzeć na cierpienie starego araba. Komórka Claire nie zawsze miała zasięg na terenie posiadłości, więc Meg powinna zostać przy telefonie. A jeśli obrażenia Kojota były tak poważne, jak wynikało z opisu, najlepiej trzymać ją od tego z daleka.

Na samą myśl o tym Claire przeszły dreszcz. Oddałaby wszystko, naprawdę wszystko, żeby mieć kogoś, do kogo mogłaby się zwrócić, kogoś, kto mógłby to zrobić. Kogoś o mocnych nerwach, kto nie musiał sobie właśnie radzić z małżonkiem o złych zamiarach i z własną żalosną niezdolnością, by wreszcie przestać się zamartwiać tym, co się dzieje z tym sukinsynem. Ucieszyłaby się nawet na widok ojca, który nie miał pojęcia o koniach. Tyle tylko, że za jej namową pojechał do San Antonio, by spotkać się z agentem biura nieruchomości.

Claire już odwiązała gniadosza od słupka i popatrzyła w dół zbocza, ku pastwisku; zacisnęła szczęki w ponurym postanowieniu.

Nie było nikogo innego, kto mógłby to drobić. Nikogo oprócz niej. I tylko jej odwaga mogła położyć kres straszliwemu cierpieniu rannego zwierzęcia.

Krótko potem deszcz sprawił, że Claire doszła do siebie: lekki deszcz, który chłodził jej ciało, gdy siedziała między skałami, wśród suchych liści i połamanych gałęzi w głębokim wąwozie.

Jedną ręką ocierała z twarzy słone łzy, drugą odruchowo głaskała stygnącą srebrzystą szyję.

Najpierw myślała, że ostry huk wystrzału sprawił, że pękły jej bębni w uszach. Ale teraz, gdy jej dżinsy przesiąkły wilgocią, słyszała, jak dźwięki powracają do jej świata: uderzenia kropli deszczu w zielone liście wawrzynu, hałaśliwy rechot małych żabek i śpiew kardynałów wirginijskich. Życie tętniło swoim rytmem., jakby śmierć nie istniała. I zawsze, zawsze biegło naprzód, tak jakby śmiało się w twarz przyczajonej w cieniu zagładzie.

Myśląc o tym, Claire przestała gładzić szyję Kojota i położyła dłoń na swoim brzuchu. A potem spojrzała w górę, bo usłyszała głośniejszy dźwięk. Czy to gałązka trzasnęła pod czyjąś stopą?

Wciągnęła powietrze, żeby krzyknąć, ale przyszło jej do głowy, że gdyby to była Ellen Martin albo weterynarz, to szukając jej, wołaliby ją po imieniu. Albo przybiegliby tu, gdyby któś z nich znajdowało się na

tyle blisko, by usłyszeć strzał. Kogokolwiek usłyszała, ten ktoś poruszał się powoli i przede wszystkim po cichu; musiała wyężyć słuch. Może to jakieś zwierzę, pomyślała nerwowo, przypominając sobie relacje o kuguarze, którego widziano polującego w tej okolicy... Puma na tyle duża, żeby upolować jelenia, a nawet dorosłą kobietę.

Nie bądź głupia. Czy kiedykolwiek w tych stronach słyszał ktoś o kuguarze, który zaatakowałby człowieka? Claire sięgnęła po pistolet - leżał przy martwym koniu - a jej serce biło jak szalone nierównym rytmem.

W takim razie Spence? Czy przyszedł tu po nią, tak jak ostrzegał jej ojciec? Poczowała skurcz żołądka i ucisk w gardle.

Znów słysząc trzask na skraju wąwozu, jakieś cztery metry wyżej, Claire uniosła pistolet, celując w kierunku, skąd dobiegł ją dźwięk...

I prawie dostała ataku serca, gdy szeryf Joel Shepherd pojawił się na szczycie grani, mierząc z pistoletu prosto w jej głowę.

Z okrzykiem poparzonej kocicy upuściła broń i uniosła w górę rękę. W tej samej chwili Joel też krzyknął i podniósł lufę swego pistoletu, tak że wycelowwała w szare, zasnuwane chmurami niebo.

- Jezu, Claire - oddychał z trudem, a pot spływał z jego wilgotnych włosów chowanych pod szerokim rondem kapelusza. - Omal cię nie postrzeliłem...

Lekko odwróciła głowę i zobaczyła, że jego oczy rozszerzają się na okropny widok: siwy wałach leżał martwy obok niej na dnie wąwozu. Z małego otworu po kuli krew sączyła się na białą gwiazdkę na czole. Koń miał okropnie powykręcaną przednią nogę, a wokół niego leżały okruchy skał.

Dłoń Joela trzymająca broń wyraźnie zadrżała.

- Meg powiedziała mi, że tu jesteś, a wtedy usłyszałem strzał i przybiegłem. Co się u diabła stało?

- Możesz to odłożyć - powiedziała, patrząc na jego pistolet. Jej głos brzmiał cicho i głucho, jakby dobiegał z głębokiej studni. - Ten strzał, który słyszałeś... To ja strzelałam. Zrobiłam to, co konieczne.

Choć ociepliło się i było prawie dwadzieścia stopni, zęby Claire szczękały, boleśnie uderzając o siebie. Czuła się dziwnie, jakby nie była sobą; czujna i skupiona, widziała, jak źrenice złocistozielonych oczu Joela rozszerzają się, przystosowując do półmroku pod kopułą drzew.

- Nic ci nie jest? - spytał, chowając broń do kabury.

Jej głowa bezwiednie przytaknęła, zupełnie jakby była obdarzona własną wolą. Podobnie jak ręka, która głąskała szorstką grzywę, jakby nie była częścią Claire.

- Musiałam to zrobić. -I znów się rozplakała, ale teraz to nie miało znaczenia. Była silna przez te parę decydujących minut, ni cholery jej nie obchodziło, co pomyśli sobie Joel, widząc, jak płacze. - Widziałam... Do diabła, każdy by zobaczył tę złamaną kość udową.

Wciąż odwracała wzrok od Kojota. Musiała, żeby nie zwymiotować.

-I tak kopał - ciągnęła - męczył się i tylko coraz bardziej robił sobie krzywdę. I krzyczał. Dobry Boże. Słyszałam go już w pół drogi z biura. Nie mogłam pozwolić, żeby tak cierpiał. Nie mogłam czekać, aż przyjedzie weterynarz i to zakończy.

Joel zsunął się ostrożnie po stromym stoku i złapał ją za łokieć. Podniósł ją na nogi i objął swoimi silnymi ramionami.

- Postąpiłaś słusznie, Claire. - Mówiąc to, głąskał jej plecy. - Postąpiłaś słusznie. Ja zrobiłbym dokładnie to samo. Żaden koń nie przeżyłby takiego złamania.

Odsunęła się trochę dlatego, żeby zobaczyć, czy mówi to szczerze, a trochę z powodu przewrotnej myśli, która huczała jej w głowie. Chcę Spence'a, tylko Spence'a. Żeby to Spence mnie obejmował. I żeby to jego głos mówił mi, że postąpiłam słusznie.

Gdy Joel wyciągnął ku niej rękę, zobaczyła błysk złotej obrączki. Przypominała o czymś, co było sprzeczne z tym, co przemknęło po jego twarzy.

- Zabrałaś mi dziesięć lat życia - powiedział. - Wiesz o tym?

- Ja też nie czuję się najlepiej.

Spoglądając na konia, zapytał:

- Jak on się tutaj znalazł?

Claire przygryzła dolną wargę, bo właśnie pojawił się w jej umyśle możliwy scenariusz.

-W tym tygodniu trzy razy zostało zniszczone ogrodzenie. Dwa razy upadło na nie drzewo, ale tym razem wygląda na to, że ktoś przeciął druty. Wydaje mi się, że zrobił to jakiś wandal, jakiś dzieciak, a potem koń się spłoszył, albo ten ktoś go spłoszył umyślnie, i wybiegł przez dziurę w ogrodzeniu. Wbiegł na ten występ skalny w galopie i spadł, uderzając o tamtą dużą skałę. Jak tylko dorwę tego idiotę, tego łajdaka, który to zrobił, uduszę go własnymi rękami...

- Już dobrze. Weź swój pistolet i chodźmy do biura. Zmarzłaś i miałaś ciężkie przeżycia. Weterynarza coś zatrzymało, ale Meg mówiła, że twoja instruktorka i jakaś wolontariuszka już tu jadą. Niedługo tu będą, żeby pomóc ci wszystko załatwić.

Chodzi mu o grzebanie konia. Trzeba wynająć koparkę, paru ludzi z linami i... Claire nie była w stanie o tym myśleć.

Machinalnie kiwając głową, zmusiła się, żeby jeszcze raz wsunąć do kieszeni pistolet, a potem pozwoliła, by Joel pomógł jej wspiąć się po skalistym stoku na równy teren. Spostrzegła, że Krzaczora też nie ma. Prerażony krzykami Kojota, zapachem krwi i głośnym wystrzałem, prawdopodobnie się uwolnił i pomknął na bezpieczne pastwisko. Poprosi kogoś, żeby go znalazł i troskliwie się nim zajął. Nie dopuszczała do siebie myśli, że mogłaby stracić kolejnego dobrego konia.

Joel zatrzymał się i spojrzał na dziurę w ogrodzeniu, gdy przechodzili obok.

- Chyba masz rację. Ktoś je przeciął - powiedziała. - Ale dlaczego myślisz, że to był jakiś dzieciak?

Wzruszyła ramionami.

- Któż inny zrobiłby coś takiego?...

- Twój mąż. Pomyślałem, że Spence cię dopadł. Dlatego tak pędziłem. Parę godzin temu wyszedł za kaucją.

Claire szarpnęła się, jakby spadł na nią cios.

- Czemu wszyscy jesteście tacy pewni, że po mnie przyjdzie? Przecież nie jest idiotą. Dobrze wie, że znów trafi za kratki, jeśli zrobi coś tak głupiego.

- Ciągłe prosił o widzenie z tobą albo żeby pozwolili mu do ciebie zadzwonić. Błagał, a właściwie żądał. Codziennie. Cholera, dziesięć razy dziennie. Od chwili aresztowania. Wyglądał na piekielnie zdeterminowanego. - Joel pokręcił głową, jakby zdegustowany. - Niestety, sędzia Ahern się tym nie przejął. Doszedł do wniosku, że sierżant Contreras będzie umiał zapanować nad Spence'em.

- Na pewno będzie umiał - mruknęła Claire, czując się zbyt podle, żeby teraz się tym zamartwiać.

- W każdym razie cieszę się, że się zabezpieczyłaś. To bardzo rozsądne - powiedział Joel.

- Co? - Kręcąc głową, spojrzała na niego zdezorientowana. - Nie wiem, o co ci chodzi.

- O broń - odparł. - Masz pistolet.

Skinęła głową, a jej twarz wykrzywił grymas. Czuła ciężar broni w kieszeni kurtki, jakby nosiła tam kowadło.

- Mój ojciec nalegał.

Joel rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Twój tata wie, co robi. Powiniennem cię teraz zapytać, czy masz pozwolenie na noszenie przy sobie broni.

Pokręciła głową, a on uniośł rękę uspokajająco.

- Powiedziałem tylko, że powiniennem. A nie, że zapytam. To twoja posiadłość i wciąż jesteśmy w Buck County. A tu mężczyźni są mężczyznami, dzikie zwierzęta są naprawdę dzikie i nawet dobrzy ludzie chodzą uzbrojeni po zęby.

Jego wymuszony uśmiech przypomniał jej, jak próbował ją pocieszyć na pogrzebie Karen. On miał wtedy dwadzieścia lat, ona szesnaście, i wydawał jej się taki dorosły. Ale dziś, mimo tego, co przeżył w ciągu ostatnich czternastu lat, miała wrażenie, że jest dużo młodszy od niej.

Teraz jednak wszyscy wydawali jej się tacy niewinni, naiwni, nie dotknięci najgorszą z możliwych zrad. Kiedy Joel spał u boku swojej żony Lori Beth, prawdopodobnie nigdy nie śniło mu się, że być może ona chciałaby zobaczyć go martwego albo że zapłaciła grubą kasę, żeby do tego doprowadzić. Claire pomyślała, że taka wiedza jest jak jabłko w rajskim ogrodzie, którego smak po raz pierwszy uświadomił Ewie, że istnieje grzech... Na zawsze, nieodwołalnie. I że ten grzech spadnie na wszystkich jej potomków.

- Nie zamierzam strzelać do Spe... - Claire wzdrygnęła się, a potem zmusiła się, żeby to powiedzieć. To tylko imię, do cholery, a nie jakaś mantra, która sprawi, że jej mąż zmaterializuje się przed nią. - Nie będę strzelać do Spencera Winslowa. Wzięłam ten pistolet, żeby uspokoić tatę. Ostatnio strasznie się denerwuje. I jeszcze częściej niż zwykle tu zagłada. A kiedy usłyszysz o biednym Kojocie i przeciętym ogrodzeniu, to go naprawdę wytrąci z równowagi. Będę miała sporo szczęścia, jeśli uda mi się wyperswadować mu, żeby tu nie przyjeżdżał i nie stał na warcie, kiedy pracuję.

- Może to wcale nie byłby taki zły pomysł. - Głos Joela brzmiał poważnie, tak jakby dobrze wyćwiczył go w przekazywaniu złych wieści.

Taki głos pasował do stróża prawa. Tak jak głos Spence'a. Drżąc, Claire potarła ramię dłonią.

-Musisz to zrozumieć, Claire. Jesteś wszystkim, co mu zostało. Twój tata stracił żonę w tym strasznym wypadku, a potem... A potem

Karen. - Joel pokręciła głową, ale wyraz udręki pozostał na jego twarzy. - Twoja siostra była wyjątkową dziewczyną. Taka łagodna... Przez ostatnie parę tygodni, kiedy czasem na ciebie patrzę, widzę te same piękne włosy i duże brązowe oczy i przez moment wydaje mi się, że znów stoi przede mną. I moje serce zaczyna bić jak szalone...

- Nie jestem nią - wymamrotała Claire, znów powtarzając to samo, co mówiła przez te czternaście lat od śmierci Karen. Począwszy od nauczycieli w szkole średniej, aż po licznych krewnych jej matki, wszyscy, przy każdej okazji, zastanawiali się na głos, czemu nie może być tak słodka, wielkoduszna i tak dobrze wychowana jak jej zmarła siostra. Wszyscy oprócz jej ojca, który robił, co mógł, by wiedziała, że kocha ją Claire, upartą, z wiecznie podrapanymi kolanami i brudnymi paznokciami...

Joel odchrząknął i zamrugął, jakby przebudził się z transu.

- Oczywiście, że nie jesteś Karen, ale jesteś kobietą, która znalazła się w niebezpieczeństwie.

- Myślę, że to nie tak - powiedziała. - To mogło być tylko takie gadanie. Może Spence próbował się wyładować w tych e-mailach. A nawet jeśli naprawdę chciał mnie zabić, to dawno mu przeszło. Poza tym był w strasznym dołku po tamtej strzelaninie, może nawet cierpiał na kliniczną depresję, i to musiało pomieszać mu w głowie. Teraz na pewno miał czas, żeby się nad tym zastanowić...

- Czy ty w ogóle siebie słyszysz? - Przystojna twarz Joela poczerwieniała z gniewu. - „To mogło być tylko takie gadanie”, „jeśli naprawdę chciał mnie zabić”. Zupełnie jakbym słyszał te bite kobiety, które wydzwanają do więzienia i błagają mnie, żebym wypuścił ich męża do domu. A później za każdym razem przekonuję się, że przytrafia im się coś złego. Jedną znalazłem zastrzeloną na podłodze w kuchni. Jej dziecko czołgało się wokół niej i rozmazywało smugi krwi po nowym linoleum.

Claire mrugnęła, próbując odgadnąć koszmarny obraz, który pojawił się przed jej oczami. Ze złością pokręciła głową i odparła:

- Nie powiedziałam, że chcę, aby Spence wrócił. Nie mogłabym. Nigdy.

- Ale usprawiedliwiasz tego sukinsyna, a przecież złapaliśmy go, kiedy usiłował zapłacić komuś, kogo uważamy za płatnego zabójcę.

- Nie usprawiedliwiam go, Joel. Na Boga, rozmawiałam już nawet z adwokatem od prawa rodzinnego o rozwodzie. Ale wciąż próbuję to jakoś zrozumieć. Żeby nie oszaleć. A ty zrozumiałbyś mnie, gdybyś na-

prawdę znał Spence'a, gdybyś widział, jak wyglądało nasze małżeństwo. Zawsze chodziliśmy razem w różne miejsca, robiliśmy razem różne rzeczy. Organizowaliśmy biwaki i pływaliliśmy kajakami. Oczywiście jeździliśmy konno i dużo wędrowaliśmy. A na parę dni przed tamtą strzelaniną zrobił mi nawet niespodziankę: zabrał mnie na weekend do Chalestown z okazji naszej *rocznicy ślubu*.

I ciągnęła dalej:

- Moje przyjaciółki z ośrodka rehabilitacyjnego cały czas stroiły sobie ze mnie żarty. Że nasz miesiąc miodowy nigdy się nie kończy i że Spence jest strasznie uległy. Ale to nie tak. Nigdy nie był mięczakiem ani pantoflarzem. Był po prostu najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałam, a na dodatek wspaniałym kochankiem.

Tym razem to ona się zaczerwieniła. Poczowała, jak gorąca fala oblewa jej twarz, i odwróciła wzrok. Ale zależało jej na tym, by Joel zrozumiał, że Spence nie zawsze był człowiekiem, który napisał te cholerne e-maile i powiedział takie okropne rzeczy. I że nie była jakąś idiotką, dlatego że go kochała.

Joel zmarszczył brwi i się zamyślił. Wreszcie powiedział:

- Cóż, miodowy miesiąc się skończył. Miało być tak wspaniale. Ale nie wyszło. Ten człowiek chciał cię zamordować, mała. I to nie była chwila zapomnienia czy depresja. To wszystko sprowadza się do jednej z dwóch rzeczy, tak jak zawsze.

Pięli się po zboczach wzgórz w kierunku biura i Claire spostrzegła Ellen Martin z wolontariuszką, przewodniczącą zarządu fundacji Monarch Ranch. Ale stanęła jak wryta, unosząc zaciśniętą pięść do skroni.

- Jednej z dwóch rzeczy? - powtórzyła jak echo, usiłując się skupić, i przeczuwając, że cokolwiek jej zaraz powie, to boleśnie ją ugodzi.
- O czym ty mówisz, Joel?

Wzruszył ramionami.

- Przestępstwa tego rodzaju, nie żebyśmy ich mieli dużo tutaj w Little BC, zwykle sprowadzają się do jednej z dwóch rzeczy. Do forsy albo kogoś trzeciego.

- Nie obchodzą mnie „przestępstwa tego rodzaju”. Interesuje mnie tylko to jedno. Nie było żadnej innej kobiety i nigdy nie uwierzę, że Spence martwił się tym, że Adam Strickland chciał mnie poderwać. A więc dlaczego miałyby...

- Spencer miał inny problem oprócz Stricklanda. Problem trzystu dwudziestu tysięcy dolarów.

Ellen i pani Briggs-Hadley krzyczały coś do niej, ale Claire nie potrafiła zrozumieć słów. Krew pulsowała jej w uszach. Utkwiła spojrzenie w twarzy Joela.

- Trzysta dwadzieścia... - Żołądek jej się ścisnął, a kątem oka widziała Ellen biegnącą w jej stronę. Słomkowożółte włosy otaczały jej ramiona, wściekle przebierała krótkimi nóżkami. Za nią podążała nieskazitelnie ubrana, niska kobieta, cała w odcieniach fioletu, chwiejąc się na niebezpiecznie wysokich i niewątpliwie drogich obcasach.

- O czym ty mówisz?! - domagała się Claire. - Spence przecież nie...

- Stał się nałogowym hazardzistą. - Joel ściszył głos, żeby zbliżające się kobiety tego nie usłyszały. - Według mojego zastępcy Spence wpadł w głęboki dołek, który szybko się pod nim zapadał.

Claire chciała mu przerwać, ale nie mogła wydobyć głosu.

Spojrzenie Joela przeszło ją, twarde, nieustępliwe i równocześnie smutne. Przekazywał swoje wiadomości z tego samego powodu, dla którego ona strzeliła w głowę cierpiącego konia. Bo musiał. I nie było nikogo innego, kto mógłby to zrobić.

- Miał tylko jeden sposób, żeby się jakoś wywinąć - powiedział. -I tym sposobem byłaś ty.

Rozdział 4

Zimne krople spływały mu za postawiony kołnierz. Spence zastanawiał się, czy Raul dotarł do warsztatu Gusa Pattona, zanim mżawka przeszła w lekki, lecz ciągły deszcz. I czy ten stary sukinsyn podwiezie sierżanta z powrotem do datsuna?

Nie bez poczucia winy Spence miał nadzieję, że Gus tego nie zrobi i że Raul będzie musiał toczyć zapasowe koło przez całą drogę powrotną. To by mu dało więcej czasu. Więcej czasu na to, by zdołał przebyć długą drogę wzdłuż Little Bee Creek.

Na wypadek gdyby Raul go przejrzał, Spence skrupulatnie zostawił ślady prowadzące na południe, a potem zebrał się w sobie, wszedł do wody i brodząc, zaczął zmierzać w górę potoku ku Monarch Ranch.

Ślad wiodący w kierunku San Antonio nie zmyli na długo tych, którzy będą go szukać. Raul Contreras i Joel Shepherd byliby prawdziwymi kretniami, gdyby nie zgodli, dokąd tak naprawdę zmierza. Ale Spence miał gdzieś to, czy się domyśla. Teraz liczyło się tylko to, by zyskał na czasie, uciekając przed ścigającymi, i mógł powiedzieć żonie, że choć tyle rzeczy w życiu spieprzył, to nigdy, nawet przez chwilę nie pomyślał o tym, żeby ją zabić. Siebie, owszem. W te najgorsze dni, kiedy nie potrafił pogodzić się z faktem, że on żyje, a Dave nie. I ze wspomnieniem, jak klatka piersiowa tego cholernego dzieciaka eksploduje, gdy rozszarpujającego kule. W takie dni przed włożeniem lufy rewolweru do ust powstrzymywało go tylko to, że mógł pójść do Joego Reno i przez cztery czy pięć godzin grać w komputerowego pokera albo wybrać się do Retama Park, gdzie obstawiał konie w transmitowanych na żywo gonitwach. I wyścigi chartów, kiedy nie starczały mu już koniki. A jednak nigdy nie mógł wystarczająco się zagłuszyć i zawsze wracał do domu, jeszcze bardziej siebie nienawidząc.

Z trudem brnął w górę potoku. Nogi bolały go od zimna przenikającego do szpiku kości, a ciało drżało pod mokrą koszulą. Na próżno pragnął mieć teraz swojego mustanga. Adwokat poinformował go, że samochód został zatrzymany przez jedną z agencji prowadzących śledztwo w sprawie zniknięcia Adama Stricklanda. Spence prawie wyśmiał ten pomysł, lecz później uświadomił sobie, że dowody mogły równie dobrze zostać sfabrykowane do obu spraw, a nie tylko do jednej.

Skrzywił się i ruszył truchtem, rozchlapując wodę; znów skoncentrował się na celu. Utrzymując w umyśle obraz Claire, nawet nie zwinął, gdy potknął się o śliski od glonów kamień i zamoczył ubranie aż do ramion.

Znajdź ją! Uparcie powtarzał te dwa słowa jak mantrę, poruszając zmarzniętymi wargami.

Musi się z nią jeszcze raz zobaczyć, musi ją przekonać, jak bardzo podziwia jej fachową, cierpliwą pracę, to, że pomaga załamany ludziom pozbierać się i odzyskać niezależność. Musi jej powiedzieć, jak ceni to, że marzenie o ośrodku hipoterapii rozświetliło ją od środka jak jasny płomień latarni i że przekazywała tę iskrę każdemu, kogo spotykała. A przede wszystkim musi jej wyznać, że oczyszczała jego umysł po dniu spędzonym na nurzaniu się w rynsztokach miasta i że jej kochana twarz jest dla niego wszystkim, co dobre i piękne.

Musi jej to wszystko powiedzieć. I co jeszcze ważniejsze, uświadomić jej, jak mu strasznie przykro. Zanim dopadnie tego sukinsyna, który

go w to wrobił. Wtedy, i tylko wtedy, będzie mógł zrobić to, co słuszne, to, co honorowe.

Coś, co powinien był zrobić sześć miesięcy temu.

Gdy drewniane ściany biura zatrzęsy się od grzmotu, Pogo zaskomlała i drząc, skuliła się pod biurkiem.

- Kompletnie ci odbiło? - burknęła Ellen Martin, kryjąc twarz za grubą warstwą chusteczek, a potem pochyliła się do przodu w swoim składanym krześle i po raz kolejny wydmuchała nos.

Pod cytrynowym snopem ociekającej grzywki jej jasnoniebieskie tęczaówki wyglądały jak dwa guziki, rzucone na świeżo zmielonego hamburgera. Za każdym razem, kiedy Claire spoglądała na nią, jej oczy zaczynały łzawić ze współczucia.

- Nie ma mowy... żebyś znów... wyszła na ten deszcz. Nie po tym... piekle, które przeszłaś. - Instruktor, obdarzona silną wolą kobieta po pięćdziesiątce, próbowała przekrzyczeć łoskot kropli uderzających w metalowy dach, jednak jej zachrypnięty głos nie mógł się przez ten hałas przebić.

Claire wzdygnęła się na myśl o tym, że wysiłek na pewno sprawia Ellen ból, a potem narzuciła zieloną kurtkę, prezent od ojca w ubiegłe święta. O kurtce, uszytej z supernowoczesnego materiału w wojskowym kolorze, mówiono w reklamie, że woda spływa po niej jak po kaczce. Wkrótce będzie mogła się przekonać, czy to prawda.

- Staraj się nie mówić, Ellen. Obie dobrze wiemy, że znowu złapiesz zapalenie oskrzeli, jeśli teraz nie weźmiesz swoich leków na uczulenie i nie położysz się do łóżka. I nie przysyłaj tu już swojej córki. Meg jest wspaniałym dzieciakiem, ale to wciąż tylko dziecko. Już i tak dość przeszła jak na jeden dzień.

Wiadomość, że Kojota trzeba było dobić, tak wytrąciła Meg z równowagi, że omal nie dostała ataku hysterii. Jej matka namówiła Joela, żeby podwiózł dziewczynę do domu, gdzie mogli się nią zaopiekować bracia.

Ze względu na panią Briggs-Hadley, która w biurowej toalecie próbowała domyć osmalony czajnik do kawy, Claire zniżyła głos.

- A jeśli chodzi o pozostałych, to obie doskonale wiemy, że są mili, ale ani pani Briggs-Hadley, ani inni wolontariusze, do których mogłabym zadzwonić, nie powinni teraz włączyć się po posiadłości. To musi być ktoś, kto naprawdę zna to miejsce.

Ellen nachmurzyła się, lecz nie próbowała się sprzeczać.

- Krzaczor... pewnie się schronił pod jakimś drzewem... skubie... sobie trawkę... i naśmiewa się z nas. Nic mu nie będzie do rana. Nie powinnaś... tego robić. Zwłaszcza ty.

Instruktorka spuściła wzrok. Jej niepokój udzielił się Claire. Właśnie odkładała swój ciemnoniebieski kask, ale zastygła na chwilę w bezruchu.

Czyżby jej dawna instruktorka jazdy konnej, kobieta, którą znała, odkąd jako dziesięcioletnia dziewczynka chodziła do niej na lekcje jazdy, w jakiś sposób się domyśliła? Czy wyczuła to, o czym Claire nie była w stanie powiedzieć jeszcze nikomu? Ellen Martin, owdowiała matka Megan i dwóch nastoletnich synów, miała talent do odgadywania ludzkich sekretów.

- To nie jest po prostu talent - wyjaśniała kiedyś. - W moim domu to raczej kwestia przetrwania.

Claire pragnęła, żeby o swoich domysłach Ellen powiedziała na głos. Żeby sprawa wreszcie wyszła na światło dzienne i by starsza kobieta wzięła sprawy w swoje ręce. Claire tak często przeżuwała to w myślach w ciągu ostatnich kilku dni, że już zupełnie się w tym zagubiła.

Po plecach przeszedł jej lodowaty dreszcz i omal sama się nie wygadała, żeby rozładować napięcie.

- Twój ojciec... - ciągnęła Ellen, zanim jej głos znów utonął w ataku kaszlu. - Już on by mnie wzięł w obroty, jeśli pozwoliłabym ci...

- Mój ojciec? - spytała Claire. I nagle zrozumiała. Musieli rozmawiać, naradzać się, jak jej pomóc, by się nie rozsypała.

Ellen wzruszyła ramionami.

- Jest chory ze zgrzyzoty, bardzo martwi się o ciebie. Masz mu to za złe w tych okolicznościach?

Kiedy Claire nie odpowiedziała, Ellen dodała:

- Gdybyś miała własne dzieci, zrozumiałabyś to. Człowiek nigdy nie przestaje czuć się rodzicem, nieważne... jak dorosłe wydają się komuś innemu.

Claire wypuściła powietrze, które nieświadomie wstrzymywała.

- Masz rację. Nie mam dzieci. Ale opiekuję się końmi, one są ode mnie zależne, dlatego muszę się upewnić, czy nic im nie jest. Nie spieraj się o to ze mną, El. Wiesz równie dobrze jak ja, że konie biegają do stajni, kiedy świat wokół robi się straszny. A Krzaczor nie przybiegł, więc coś jest nie tak. Mógł gdzieś utknąć. Strzeż się, żeby się nie zaczepił o gałąź albo wodze uwięzły między skałami.

Nagle wyobraziła sobie Krzaczora biegnącego kłusem za Spence'em; śmiech Spence'a, gdy duża brązowa głowa sięga mu przez ramię i wyjmuje lizaka z kieszeni. „Ty zapchlony złodziejaszku! Zakułbym cię w kajdanki, gdyby tylko na ciebie pasowały”.

Claire poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- A może jest ranny? Poważnie ranny. Tak jak biedny Kojot.

Zapadło długie milczenie. Przerwała je dopiero Lenore Briggs-Hadley, która wyszła z toalety, trzymając w dłoni jak trofeum, napełniony wodą, błyszczący czystością czajnik. Uśmiechnęła się sympatycznie. Jej makijaż był bez zarzutu, a każdy krótki jasny włoszek na głowie leżał nienagannie na swoim miejscu. Liliowy lekki sweter, spodnie w odpowiednim kolorze i diamentowe kolczyki byłyby bardziej odpowiednie na lunch w herbaciarni w Alamo Heights niż na włóczenie się po błotnistym, zalanym deszczem ranczu. Ale Claire nigdy nie widziała tej wolontariuszki ubranej w coś, co nie sprawiałoby wrażenia drogiego i z klasą.

- Ta dam! - zaśpiewała, a Pogo na ten dźwięk na chwilę wysunęła łepkę spod biurka. -A już myślałam, że nie uda mi się go wyszorować.

- Poprosisz panią Briggs-Hadley, żeby została? - Zaltzawione spojrzenie Ellen nadal utkwione było w Claire.

Wciąż się uśmiechając, pani Briggs-Hadley przestała nalewać wodę do ekspresu i odwróciła się.

-Wciąż wam wszystkim powtarzam, mówcie do mnie Lenore. Proszę. Mój mąż zostanie jeszcze przez tydzień służbowo w Londynie, a w moim terminarzu nie ma nic pilnego. Mogę tu zostać i pomagać tak długo, jak długo Claire będzie mnie tu chciała.

Deszcz nagle osłabł, a jej za głośno wypowiedziane słowa zawisły w powietrzu. I nawet kiedy już przebrzmiały, pozostało coś z ich smutku.

- Dzięki, Lenore - wykrztusiła Claire, choć dziwnie się czuła, zwracając się do tej kobiety po imieniu.

Choć pani Briggs-Hadley nie miała jeszcze nawet czterdziestki, wszystko, co się z nią łączyło, poczawszy od jej wartego wiele milionów rancza z afrykańską zwierzyną łowną po odkrytego czarnego landrovera i częste wzmianki o niej w kolumnie towarzyskiej „San Antonio Express-News”, stawiało ją o niebo wyżej od innych znajomych Claire.

Jej życie wyglądałoby bajecznie, gdyby nie spadło na nią nieszczęście. Trzyletni synek Lenore omal nie utopił się w wannie z gorącą wodą; ona i jej mąż przez dwa lata przyprawdzali chłopca do ośrodka rehabi-

litacyjnego, w którym pracowała Claire, w nadziei, że różni terapeuci będą w stanie znów nauczyć małego Jamiego mówić i chodzić... Albo przynajmniej unosić głowę i samodzielnie przełykać.

Ale żaden z nich nie potrafił powstrzymać zapalenia płuc, które wyniszczało już i tak nadszarpnięte zdrowie chłopca. I wreszcie znalazł się tam, gdzie, jak modliła się Claire, znów może biegać i się bawić. Przez te osiemnaście miesięcy od śmierci jej jedyne go synka Lenore Briggs-Hadley włożyła swoje całe znękanе, okaleczone serce w zbieranie funduszy, by Monarch Ranch mogło się stać rzeczywistością... i żeby zapomnieć o tym, jak często jej mąż zostawiał ją teraz samą.

Kiedy deszcz wreszcie ucichł, Pogo wypełzła ze swojej kryjówki i otarła się o nogę Claire.

- I, cholera... zadzwoni do mnie, jeśli będziesz czegoś... - słowa Ellen utonęły w kolejnym ataku kaszlu - ..potrzebować. Dobrze?

Lenore zmobilizowała ją wreszcie, żeby włożyła swój żółty płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem, wiszący na jednym z kilku haczyków przy drzwiach.

- Jeśli będą jakieś dobre wieści, to cię powiadomimy. W przeciwnym razie skontaktujemy się z doktorem Brummellem albo jednym z wolontariuszy, który ma jakieś doświadczenie z końmi. A teraz idź już do domu, Ellen, zanim będziemy musiały wezwać do ciebie ochotnicze pogotowie ratunkowe.

Claire wiedziała, że jedyne dwie rozpadające się karetki w tym hrabstwie prowadzili zwykle nastoletni chłopcy, więc dodała:

- Przecież wiesz, jak mamy tych dzieciaków się martwić, kiedy muszą wyjeżdżać po zmroku. A teraz na domiar złego drogi są mokre.

Usta Ellen zacisnęły się na kształt pomarszczonej gwiazdy. Najwyraźniej jednak odwołanie się do jej macierzyńskich instynktów podziałało, bo szybko wśliznęła się w płaszcz, złapała torebkę z szafki, a potem znacząco spojrzała na Claire.

- Już dobrze, dobrze. Jadę do domu. Ale jeśli ktoś wyrządzi ci tam krzywdę, nie przychodź do mnie później z płaczem.

Spence już dawno temu przekonał się, że margines pozwalający przetrwać może być cieńszy niż pajęcza nić. Widział dowody na to, że kula wystrzelona z jadącego samochodu minęła o włos głowę kobiety, bo ta pochyliła się akurat, kichając. Był na miejscu wypadku na budowie, gdzie stalowy pręt przebił czaszkę robotnika, który nie stracił

przytomności, choć pewnie nie czuł się najlepiej, i żył na tyle długo, by móc to opowiedzieć. W październiku ubiegłego roku Spence przeżył, a Dave nie, tylko dlatego, że leworęczny dwunastolatek strzelił najpierw do tego, kto stał po jego lewej stronie.

A dziś być może przetrwa, albo i nie, w zależności od tego, czy uda mu się utrzymać równowagę na poszarpanych skałach.

Po kilometrach mozolnego brnięcia przez zimny potok i wciąż wzmagający się deszcz Spence był cały posiniaczony i przemoczony do suchej nitki. Krew sączyła się z licznych skaleczeń i zadrapań, bo musiał wspinać się na ogrodzenia dla bydła i pokonywać powalone drzewa. Parę razy wplątał się też w stare zwoje drutu kolczastego, które przyniosły wody wiosennej powodzi.

Jeśli się stąd wydostanie, będzie musiał zacząć martwić się o to, czy nie złapał teżca. Najpierw jednak, jeśli chce przetrwać następnych kilka godzin, powinien pomyśleć o tym, by się wysuszyć i ogrzać. Głośno szcękając zębami, wgramolił się na brzeg potoku i poszedł ku piętrzącemu się nad nim urwisku, wypatrując dziwnego szkieletu wystających skał, które Claire nazywała Schodami. W rzeczywistości daleko im było do schodów, ale jego żona potrafiła przemykać w dół i w górę po szeroko rozstawionych, niebezpiecznych punktach podparcia ze zręcznością górskiej kozicy - jak twierdziła głównie dlatego, że robiła to od dzieciństwa.

Ale teraz nie mógł znaleźć tych cholernych skał, choć był niemal pewien, że to tu. Rozejrzał się i stwierdził, że urwisko wygląda inaczej. W końcu odnalazł miejsce, gdzie potok zakręcał i stawał się głębszy. Wyżej dostrzegł jaskinie, które zaczął badać niecały tydzień przed tym, jak jego życie zamieniło się w piekło. Pomyślał o sprzęcie wspinaczkowym - przyniósł go tu tamtego ekscytującego dnia, kiedy odkrył wyżłobienia w skałach, w których indiańskie kobiety mełły niegdyś ziarno i orzechy. Ale gapienie się w górę i pobożne życzenia nie mogły mu dać liny ani uprząży ani przenieść go w magiczny sposób do jednego z tych pradawnych miejsc schronienia.

Otrząsnął się i dostrzegł skały, których szukał. Uświadomił sobie, że przedtem ich nie zauważył, bo niewielka część na prawo od nich osunęła się, tworząc stromy występ obok Schodów. A to czyniło je jeszcze bardziej niebezpiecznymi. Kiepsko, zwłaszcza w jego obecnym stanie.

Zaczął się powoli posuwać jedyną drogą w górę dziesięciometrowego urwiska. Chlupało mu w przemoczonych butach i poruszał się z prze-

sądną ostrożnością starca. Myśli poganiały go, kusząc obrazem szałasu myśliwskiego z pajęczynami i przeciekającym dachem, jakby był pałacem z najwspanialszymi wygodami. Ale Spence wiedział, że jeden fałszywy krok i złamanie nogę albo i gorzej.

Jakby czując, że teraz ma szansę go pokonać, deszcz jeszcze się nasilił, a chłodny wiatr tylko zwiększał udrękę Spence'a. To chyba piekło, pomyślał. Tylko mi się wydawało, że już w nim jestem po tej strzelaninie.

Niebem byłaby teraz Claire. Ciepła i mięciutka, gdy wtulała się w niego pod kołdrą. Na to wspomnienie wykonał ostami krok, czy raczej skoczył, i wreszcie znalazł się na wapiennym szczycie urwiska.

A tu jego szansa przetrwania znów zawisła na włosku...

Do czasu, gdy Claire wyjechała na kasztance o imieniu Cynamonka, ciężkie sine chmury pochłonęły już prawie całą resztę światła na wiosennym niebie. Deszcz znów się nasilił, a odległe grzmoty zwiastowały burzę.

Najpierw sprawdziła, czy Krzaczora nie ma na pastwisku, a potem pod osłoniętą z trzech stron wiatą, gdzie pozostałe konie spokojnie pogryzały wiechcie siana z ostatniego karmienia. Ale Krzaczor nie wrócił. Claire nie znalazła go też błąkającego się wokół ogrodzenia w nadziei, że ktoś go tu odszuka.

Zły znak. Konie bardzo nie lubiły opuszczać posiłków, a Krzaczor był największym wśród nich żarłokiem. Pamiętając o tym, Claire zabrała ze sobą wiadro z pyszną paszą, by cały czas kusząco podzwaniało.

A teraz modliła się po cichu, żeby gniadosz wciąż żył i mógł to usłyszeć. I żeby, Boże dopomóż, nie była znów zmuszona użyć pistoletu, który po kryjomu przełożyła do kieszeni przeciwdeszczowej kurtki.

- Krzaczor, Krzaczor! - wołała, podzwaniając wiadrem, a sfrustrowana Cynamonka, słysząc to, tańczyła pod nią i cicho rżała.

Claire jechała, zataczając coraz szersze kręgi, a zazwyczaj łagodna klacz stawała się coraz bardziej niespokojna, drżała, gdy wiatr targał srebrzystymi liśćmi, i parskała za każdym razem, gdy niebo przecinała błyskawica. Nad nimi przetoczył się grzmot i Cynamonka szarpnęła się, opuszczając głowę. Tylko dwadzieścia lat jeździeckiego doświadczenia ochroniło Claire przed upadkiem.

- Już dobrze malutka, już dobrze - powiedziała najbardziej uspokajającym tonem, na jaki było ją stać, myśląc równocześnie: Świetnie, za chwilę zlecę na łeb. Idealne zakończenie idealnego dnia.

Ale Cynamonka co innego miała w głowie. Gdy niebo rozpaliło się stroboskopowym światłem, szarpnęła łeb w przód, wyrwijąc wodze z dłoni Claire...

.. i posyłając je kołyszącym ruchem w ręce mężczyzny, który nagle wypadł z zarośli wawrzynu.

Kolejne sekundy rozprysły się jak odłamki rozbitego lustra. Klacz zarżała i rzuciła się do przodu; Claire krzyknęła, kopiąc ciemny kształt, a potem poleciała w powietrze i twardo wylądowała na ziemi; mężczyzna zawołał ją po imieniu głosem, który uderzył w jej serce z siłą potężnego młota.

Sięgnęła ręką do kieszeni, chwyciła pistolet...

I wystrzeliła po raz drugi tego dnia.

Rozdział 5

Ostry krzyk bólu uświadomił jej różnicę między tymi dwoma strzałami. Słyszając go, Claire poczuła, jak całe jej ciało sztywnieje, ono pierwsze zrozumiało, jeszcze zanim ona pojęła to umysłem, kim jest ten poobklejany wilgotnymi liśćmi mężczyzna niecałe dwa metry od niej.

Spence.

Tym razem nie był to strzał, który miał dobić cierpiące zwierzę. Tym razem strzeliła do mężczyzny, który stał u jej boku przed ołtarzem i z którym razem wypowiedziała przysięgę łączącą ich dwoje na zawsze. Nie, niezupełnie na zawsze, wyszeptał głos w jej głowie.

Dopóki śmierć was nie rozłączy...

Słyszała słowa pastora stapiające się z szumem deszczu w liściach i uderzeniami kropel o jej kask. A chwilę później z dźwiękiem głosu Spence'a, który wytoczył się poza zasięg wierzgających kopyt i szarpającego się łba Cynamonki. Jedną ręką wciąż zaciskając wodze, wstał, próbując uspokoić klacz.

Uwagę Claire przykuła ciemna plama na rękawie, na jego lewym ramieniu. Krew, uświadomiła sobie. Ciemna ciecz mieszała się z deszczem, spływała w stronę łokcia. Choć był ranny, zdołał zapanować nad klaczą. Gdy się uspokoiła, zacisnęła prawą dłoń na ranie, usiłując zatamować krwawienie.

- Nic ci nie jest? Nic ci się nie stało, Claire?

Nawet w słabym świetle widziała, jak ciemnoczerwona krew wypływa pomiędzy palców. Spozrzęła też, że jego ubranie jest przemoczone, a jasnoniebieska koszula podarta. Głębokie ślady zadrapań znaczyły jego bladą twarz, a z zimna szczękał zębami.

A jednak uspokoił przestraszonego konia i zapytał, czy nic jej się nie stało!

Rozprostowując palce zaciśnięte na pistolecie, Claire upuściła go i kucnęła.

- Jesteś ranny. - Jej głos brzmiał dziecinnie, pełen zdumienia, tak jakby nie miała z tym nic wspólnego.

- Tak - powiedział. - I boli jak cholera. To nieprawda, że taka rana nie boli, tak wygląda to tylko w filmie. Boże, Claire, bardzo mi przykro.

Słyszała jego słowa, ale dla niej nie miały one najmniejszego sensu. Postrzeliła swojego męża. Postrzeliła go.

- Przykro ci? Że... że cię zraniłam?

Zaśmiał się krótko, tym swoim śmiechem tak dla niego typowym, że gorące łzy spłynęły jej po policzkach, mieszając się z chłodniejszymi kroplami deszczu.

- Jasne, że mi przykro - odparł. - To będzie cholernie uciążliwe. Ale głównie chodziło mi o to, że jest mi przykro, bo cię tak przestraszyłem. Wiem lepiej niż większość ludzi, jakie to trudne poradzić sobie z tym, że wpakowało się kulę w innego człowieka.

Claire pomyślała o chwili, która na zawsze zmieniła ich życie. O strzelaninie ubiegłej jesieni. Spojrzała na pistolet - wciąż leżał na ziemi. Czy skutki tego wystrzału rozbiegną się jak fale na wodzie, co potężnią i rosną? Czy przybiorą rozmiary tsunami i spadną z hukiem na życie niczego niepodejrzewających ludzi?

Ale te pytania były tak poważne, tak przerażające, że jej myśli pomknęły ku bardziej praktycznym sprawom. Nie powinna dopuścić, żeby błoto i woda zmoczyły i zabrudziły pistolet. Nie wolno jej zostawić go tam, gdzie Spence może po niego sięgnąć. Ale jak, do cholery, ma go zabrać, jeśli od samego patrzenia na niego zbiera jej się na wymioty?

- No dalej - powiedział Spence. - Weź go. Trzymaj go w ręce, jeśli chcesz, albo schowaj do kieszeni. Zrób to, czego potrzebujesz, by się poczuć na tyle bezpiecznie, żebyś mogła mnie wysłuchać.

- Spence. - Westchnęła, gdy spienione fale emocji zmieszały się ze sobą. Przerazenie, miłość, żal...

- Zrób to, proszę. - Jego niebieskie oczy były podkrążone ze zmęczenia, ale wciąż patrzył jej prosto w twarz. - Bo proszę cię tylko o to, żebyś mnie wysłuchała.

Drżąc z odrazy, podniosła broń za wciąż ciepłą lufę i wrzuciła do kieszeni tak szybko, jakby trzymała w dłoni rozżarzony węgiel. Powoli się uspokajała. Ich spojrzenia się spotkały.

- Podaj mi jeden powód, dlaczego powinnam to zrobić.

- Dlaczego? Żebym mógł ci powiedzieć, jak bardzo cię Kocham. I że niezależnie od tego, jak wszystko się przyczyni, nigdy, przenigdy bym cię nie skrzywdził.

Nie, syknęła z wściekłością zraniona część jej duszy. Zapłaciłbyś komuś innemu, żeby to zrobił za ciebie. Ale nie umiała nie przejąć się jego słowami. Wstała więc i ostrożnie zbliżyła się na tyle, by wziąć od niego wodze Cynamonki. Potem, cofając się, powiedziała:

- Muszę znaleźć Krzacora. To po to tu przyszedłem.

- Krzacor czuje się świetnie. Jest bezpieczny. Ale co z tobą, Claire? Nie odpowiedziałas mi. Nie zraniłaś się, kiedy Cynamonka cię zrzuciła?

Zamarła na chwilę, myśląc o tym, ale żaden ból nie przebijał się przez szok, w którym się znajdowała.

- Nie, nie zraniłam się. Złapałeś Krzacora i uwiązałeś go gdzieś tutaj, prawda? - spytała. - Bo wiedziałeś, że przyjdę go szukać.

Spence pokręcił głową, strącając krople deszczu, a przemoczona brązowa grzywka spadła mu na oczy.

- Znalazłem go osiodłanego w pobliżu potoku. Najpierw pomyślałem, że uciekł i biega sobie, ale potem zobaczyłem, że się zaplątał. Gałąź weszła pod kantar. Nic mu się nie stało i nigdzie się nie wybierał.

Może to za sprawą zmięczenia, który zacierał kolory, twarz Spence'a wydawała się szara jak popiół, a jego wargi zrobiły się niebieskie. Czyżby zaczynał odczuwać skutki postrzału? Wciąż mu nie ufała, ale przerażała ją myśl, że może umrzeć.

- Chodźmy po niego, a potem zabiorę cię w jakieś ciepłe, suche miejsce. Będziesz musiał pojechać do szpitala...

- Nie. Boże, nie! Od razu wsadzą mnie do więzienia. - Jego głos zmieszał się z ponurym pomrukiem grzmotu.

- Lepšie to niż do trumny.

Spojrzał na nią błagalnie. Cały drżał.

- To nie takie pewne. Proszę, Claire. Błagam cię. Po prostu chodź ze mną do domku myśliwskiego. Przy nim uwiązałem konia pod grubym

mi konarami, żeby go schować przed deszczem. Wejdzimy do środka i wtedy ci wszystko opowiem. Wszystko. Przysięgam.

Kiedy to mówił, ona kręciła głową.

- Dlaczego niby miałabym ci wierzyć? Czemu miałabym cię słuchać?

- Możesz... możesz cały czas mierzyć we mnie z pistoletu. Wyceluj mi go w twarz. - Zęby szczękały mu tak mocno, że coraz trudniej było mu mówić. - A potem, jeśli mi nie uwierzysz, to i tak mi nie zależy, możesz mnie zastrzelić, jeżeli chcesz. Ale jeśli kiedykolwiek mnie kochałaś, choćby przez chwilę, to proszę, zrób to dla mnie, Claire. Tylko tyle.

Przełknęła z trudem, łązy stanęły jej w oczach. Przez wszystkie te lata, kiedy go znała, nigdy o nic nie błagała, może tylko, żeby Bóg mu odpowiedział, dlaczego dwunastoletni złodziej musiał wyciągnąć tę trzydziestkęósemkę.

Ostry podmuch wiatru zaszeleścił w mokrych liściach i na twarz Claire spadły wielkie krople deszczu. Ale ledwie to zauważyła, bo miłość i żal nabrzmiały w jej zranionej duszy. Wyobraziła sobie samą w przyszłości, żyjącą ze świadomością, że zabiła tego mężczyznę. Koszmarna wizja. Nieważne, co miało ją jeszcze spotkać, żal byłby tak trujący, że wiedziała, iż nigdy by go nie wymazała. Zorientowała się, że kiwa głową. Nie mogłaby Spence'a tak zostawić.

- Dobrze. Dobrze. Pójdziemy do domku myśliwskiego. Dasz radę wsiąść na Cynamonkę? Poprowadzę cię.

Szczękając zębami, pokręcił głową.

- Oboje pojedziemy.

- Nie ma mowy. Jest tak zdenerwowana, że znów spanikuje i rzuci nas oboje, jeśli ktoś jej nie przytrzyma. A tym kimś musi być to z nas dwojga, od którego nie czuć zapachu krwi. - Gdy zauważyła jego uparte spojrzenie, dodała: - Nawet nie próbuj zgrywać przede mną macho, bo przysięgam, że zostawię tu twoje dupsko i pobiegnę do domu wezwać kawalerię.

Jego zmęczony uśmiech poruszył ją do głębi.

- Moja dziewczynka - powiedział, i zabrzmiało to tak, jakby był z niej cholernie dumny.

To, że zgodził się tak łatwo, świadczyło o jego desperacji. Tak bardzo opadł z sił, że musiała mu pomóc wsiąść na klacz, i podniosła z ziemi wiadro, które upuściła, spadając z konia. Dzięki delikatnemu prowadzeniu i uspokajającym słowom Claire Cynamonka dowiozła Spence'a

w miejsce, gdzie nachodzące na siebie konary olbrzymich wiecznie zielonych dębów dawały osłonę przed deszczem i gdzie stał rozsiadłany Krzaczor. Gdy się zbliżali, spętany gniadosz przestał skubać trawę i zarżał na powitanie. Claire wypuściła powietrze, które nieświadomie wstrzymywała. Tak jak zapewniał Spence, wyglądało na to, że wałachowi zupełnie nic nie dolega.

Spence niezdarne zsiadł z konia i stanął na szeroko rozstawionych nogach, zaciskając dłoń na lewym ramieniu. Claire widziała, jak się zachwiał, gdy przywiązywała Cynamonkę i poluzowywała popręg jej siodła. Nakarmiła oba konie, dzieląc na połowę rozmięktą, słodką paszę, która została w wiadrze. Potem podeszła do Spence'a od prawej strony i otoczyła go w pasie ramieniem.

Chciała go tylko podtrzymać na krótkim odcinku dzielącym ich od domku myśliwskiego, ale gdy go dotknęła, przez jej ciało przebiegł dreszcz. Znów go obejmowała, choć przez ostatnie tygodnie słuchała dobrze jej życzących ludzi, którzy tłumaczyli jej, że ta część jej życia to już przeszłość, i choć tyle razy przekonywała samą siebie, że jedynym uczuciem, jakie jeszcze żywi do niego, jest wściekłość.

A więc czemu tak się przeraziła, czując trupi chłód ogarniający jego ciało? Czemu serce podchodziło jej do gardła za każdym razem, kiedy się potykał, gdy wychodzili z niewielkiego zagajnika?

Nieważne, jak bardzo starała się wzbudzić w sobie gniew, poczuła tylko ulgę na widok małego cyprysowego domku myśliwskiego wśród wysokich drzew. Błaznany dach był niemal całkowicie pokryty grubą warstwą opadłych liści. To miejsce, choć zniszczone deszczami i wiatrem, nadal wyglądało tak samo przytulnie jak ubiegłej jesieni, kiedy oboje wyważyli drzwi, a potem wypłoszyli wszystkie myszy, kochając się w środku. Choć przez dziesięciolecia drewno wyblakło, a okna zasnuła gruba warstwa kurzu, proste belki nadal wyglądały solidnie, konstrukcja małego budynku wcale się nie wypaczyła, tak że pewnie będzie tak stać jeszcze przez wiele, wiele lat.

Claire otworzyła drzwi i pomogła mężowi wejść do środka, a on zebrał na tyle sił, by włączyć starą lampkę na baterie. Gdy jej oczy przyzwyczały się do jasnego światła, rozejrzała się po przypominającym wielki kanton wnętrzu.

Zorientowała się, że Spence był tu już wcześniej - włamał się do zamkniętej na kłódkę spiżarni, gdzie przechowywano zapasy dla ludzi, którzy w latach siedemdziesiątych wynajmowali kiedyś domek w sezo-

nie łowieckim. Choć była za młoda, żeby to pamiętać, słyszała, że Hajeckowie przestali to robić po tamtym strasznym dniu, gdy jakiś myśliwy przez pomyłkę postrzelił matkę Claire w dole, przy potoku... Po tym wypadku, który na zawsze zmienił jej rodzinę.

Nic się tu nie zmieniło, cztery wojskowe, drewniane prycze wciąż stały na swoich miejscach, a gęste pajęczyny pokrywały niemal wszystko. Zawartość szafki - kilka spłowiałych, niebieskich koców i pęknięta, biała plastikowa apteczka - leżała porozrzucana na pryczy. Claire ruszyła w tym kierunku i kichnęła od kurzu.

- Na zdrowie - wymamrotał Spence.

Spojrzała na niego, zdziwiona tą odruchową uprzejmością.

Stał, ociekając wodą, na środku małego pomieszczenia, nadal trzymając się za zranione ramię i drżąc z chłodu. Jego niebieskie oczy niczego nie wyrażały, a podrapana twarz wydawała się coraz bledsza. Kiedy Claire rzuciła mu koc, nie złapał go, przeciwnie, pozwolił, by osunął się na podłogę po jego mierzącym ponad metr osiemdziesiąt ciele.

Wstrząs się pogłębia, uświadomiła sobie. Jeśli chce, żeby żył, musi coś zrobić.

Przechodząc przez pokój, podniosła koc, otuliła nim ramiona Spence'a i poprowadziła go jak dziecko w stronę pryczy.

Butem zrzuciła na podłogę trzycentymetrowego skorpiona i rozdeptała go. Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebował Spence, było bolesne ukąszenie.

- Połóż się tutaj - rozkazała stanowczo, ale bez złości.

Gdy poskarżył się, że mu zimno, przykryła go drugim kocem, a potem zrolowała ostatni, by podnieść mu wyżej stopy.

W jego oczach zalśniła mała iskierka.

- Claire.

Ostrożnie odsłoniła jego lewe ramię.

- Muszę to obejrzeć.

Pozwolił, by odsunęła jego poplamioną, lepka, prawą rękę. Na widok zakrwawionej rany ścisnął jej się żołądek. Zamknęła oczy, czekając, aż chmara czarnych punkcików zniknie, a potem wzięła głęboki oddech, żeby rozjaśniło jej się w głowie. Kiedy poczuła się trochę lepiej, zmusiła się, by znów spojrzeć na ranę. Znalazła miejsce, gdzie kula przebiła mięsień. Ale choć szukała, nie znalazła rany wylotowej. To znaczyło, że wbrew temu, co wcześniej powiedział Spence, kula utkwiała w kości albo odbiła się od niej i przemieściła w ciele. Mogła być gdziekolwiek.

Poczuła przypływ paniki. Z trudem zapanowała nad sobą. Nie miała tu nic oprócz starej tubki maści z antybiotykiem i rolki białego bandażu, który rozsypał się w pył pod jej palcami. A nawet, gdyby były tu konieczne środki, to od medycyny urazowej terapię zajęciową dzieliły całe światy.

- Cholera.

Zdjęła kask i ściągnęła kurtkę przeciwdeszczową. Reklama nie kłamała: materiał utrzymał jej ciało w cieple, a bawełniana koszula z długim rękawem pozostała sucha. A teraz Claire potrzebowała suchej tkaniny, nawet, jeśli nie była tak sterylna, jak by chciała.

Zdjęła swój fioletowy T-shirt i spostrzegła, jak Spence patrzy na jej ciało. Na jego policzki wróciły kolory. Bardziej niż panujący w domku myśliwskim chłód ta wyraźna tęsknota w jego oczach sprawiła, że sięgnęła po kurtkę, by znów ją włożyć.

- Nie rób tego. - Jego słowa zabrzmiały chrapliwie, prawie jak pomruk, i wciąż pozerła ją wzrokiem, tak jakby pragnął ją taką zapamiętać.

Mogła się roześmiać i przypomnieć mu o tym dniu, kiedy przysięgał, że jej ciało mogłoby podnieść go z grobu - albo przynajmniej pewną jego część. Ale tutaj, w domku myśliwskim, w tej chwili nie wiedziała, co to śmiech. Pokiwała tylko głową i naciągnęła wilgotne rękawy; zauważyła, że pistolet obciąża kieszeń kurtki.

Chwyciła obiema rękami T-shirt i zaczęła drzeć go na paski. Materiał pękał z nieprzyjemnym sykiem. Jak Spence mógł ich do tego doprowadzić? Na Boga. Co go opętało, że zniszczył to, co ich łączyło?

-Cholera, jestem na ciebie taka wściekła - powiedziała, drżąc z gniewu. - Powinnam cię tu zostawić.

Wzruszył zdrowym ramieniem.

- Tylko na to zasługuję. Byłem hazardzistą, Claire. Liczył się hazard, a nie nasza przyszłość.

- Tak, słyszałam. - Mimo chłodu w jej głosie potarła dłonie, by je ogrzać, zanim pomoże mu zdjąć rękaw koszuli. - Może mi łaskawie powiesz dlaczego?

Skrzywił się, gdy rękaw zahaczył o ranę na ramieniu, a potem zamknął oczy, kiedy ściągała przemoknięty materiał. Wytarła nim tyle krwi, ile zdołała.

Wtedy westchnął przeciągle i odparł:

- Tak naprawdę to sam nawet nie wiem. Po tym jak Dave... po tamtej strzelaninie... po prostu lubiłem siedzieć w ciemnościach i pozwalać, by

mój umysł się wyłączał. A mogłem to robić tam, u Joego Reno. To taka speluna z automatami do pokera, w południowej części miasta. Naciskałem te cholerne guziki, patrzyłem, jak na ekranie pojawiają się karty... I wówczas udawało mi się wyłączyć obrazy tego martwego dzieciaka, Dave'a i rannego ochroniarza. A potem znalazłem gonitwy w Retama Park. Mają tam taką salę z bezpośrednią transmisją z wyścigów. W niej też zawsze jest ciemno.

- Gdybyś został w domu, wyłączyłabym światło. Słukłabym każdą pierdoloną żarówkę. - Przekleństwo, tak dla niej nietypowe, odbiło się od pustych ścian, napełniając małe wnętrze jej bólem.

Żeby zająć czymś ręce, spróbowała otworzyć tubkę z maścią. Lecz zakrętka przyschła i Claire uświadomiła sobie, że maść już dawno zaschła i jest zupełnie bezużyteczna.

- Wiem, kochanie. - Jego oczy zrobiły się wilgotne. - Wiem o tym, ale nie mogłem zostać. Czułem... wiem, jak to dziwnie brzmi, ale czułem twoje rozczarowanie. I wciąż myślałem o tym, jak musisz być zawiedziona, jak musi ci być wstyd, że jesteś z takim frajerem. I że prawdopodobnie ode mnie odejdziesz.

- A więc załatwiłeś, żeby ktoś mnie sprzątnął. Widziałam ten e-mail, Spence. Nie próbuj zaprzeczać.

- Jaki e-mail? To sfabrykowane gówno, które pokazali mojemu adwokatowi?

Już na samą myśl o tym, co jej pokazali, bolało jak cholera, nie mówiąc już o powtórzeniu tych okrutnych słów. A jednak każde z nich brzmiało jej w uszach, tak jakby ta wiadomość wryła się w jej sercu.

- „Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Nie chcę już przebywać w tym samym pokoju, co ona, spać w tym samym łóżku, słuchać, jak gędzi o tej swojej pieprzonej głupiej farmie dla kalekich dzieciaków - wyrecytowała, a potem zacytowała to, co zraniło ją najdotkliwiej. - Wtedy chcę, żeby po prostu odeszła. Znikła na zawsze. Żeby ktoś ją załatwił, żeby raz na zawsze ją uciszył”.

Odwracając wzrok, przycisnął obie dłonie do skroni, jakby poczucie winy miało zaraz rozsadzić mu czaszkę. Spojrzała na niego i pomyślała, że musiał to naprawdę zrobić, choć jej serce odmawiało przyjęcia tych słów, tworząc szalone scenariusze w najciemniejszych godzinach jej bezsennych nocy. Claire owinęła paskiem bawełny wciąż krwawiące ramię, a potem mocno ściągnęła, żeby usłyszeć jego jęk. Nie chciała, żeby umarł, pragnęła jednak, żeby poczuł choć odrobinę jej bólu.

- Odchodziłem od zmysłów, kiedy to pisałem. E-mail do starego przyjaciela, w którym obwiniałem cię o wszystko, co jest we mnie popieprzone. - Spence podniósł wzrok, a jego niebieskie oczy patrzyły na nią z powagą. - Ale nigdy nie napisałem tego ostatniego, że niby chcę, żeby ktoś cię... żeby cię „załatwił”. Przysięgam na moje życie, Claire. Nigdy tego nie napisałem. Ktoś mnie musi wrabiać.

-I oczekujesz ode mnie, że uwierzę?... W co? Że przypadkiem al-Kaida dobrała się potajemnie do twojego laptopa i dopisała parę linijek do twojego e-maila?

Spojrzał w bok, a jego zaciśnięte szczęki wyrażały ból i odrazę.

- Wiem, że na to zasłużyłem, ale cholera, nie, to nie było nic tak przypadkowego.

- W takim razie kto?

Nienawidziła siebie za to, jak nadzieja rozpałała jej serce, chwytając się tych marnych wymówek. Jasne, że będzie twierdził, że tego nie zrobił. Ale jeśli słyszała w jego głosie prawdę?

- Kto mógłby chcieć ci zaszkodzić? - dodała.

- Wiszę mnóstwo, mnóstwo kasy bukmacherowi. Naprawdę dużo. - Przerwał, oddychając z trudem, jakby mówienie go męczyło. - Kiedy nie byłem w stanie zapłacić, sprzedał moje weksle komuś innemu, komuś o wiele groźniejszemu.

Utkwiła spojrzenie w jego twarzy.

- Komu?

Zazgrzytał zębami, a potem pokręcił głową. Powieki mu opadły i mrugnął, jakby próbował zachować przytomność.

- Lepiej dla ciebie, żebyś nie wiedziała, bezpieczniej.

Jej wzrok ześliznął się na jego ramię; świeża krew plamiła fioletowe bandaż. Jej żalosne próby udzielenia pierwszej pomocy nie wystarczą.

- Odprowadzę Krzacora i odeślę panią Briggs-Harley do domu. Jeśli wkrótce nie wrócę do biura, na pewno zadzwoni po pomoc. -I rzuciła: - Jak tylko to załatwię, pojedę do domu ojca. Będziesz potrzebował prawdziwych bandaży i mam trochę antyseptyków. Przywiozę też aspirynę. I kawę.

- Claire, proszę, nie odchodź.

Uścisnęła jego dłoń, żeby go uspokoić. Jego skóra była już cieplejsza, twarz lekko się zaróżowiła.

- Wrócę. Obiecuję. A wtedy opowiesz mi całą tę historię. Ze wszystkimi szczegółami. Bez żadnych bredni, żadnych tajemniczych dziur,

i bez tego wymyślonego złego gościa, którego imienia nie możesz mi niby podać. Powiesz mi, jak i dlaczego, bo jesteś mi to winien.

- Nie zadzwonisz po szeryfa?

Jeśli miałyby choć odrobinę zdrowego rozsądku, dokładnie to by zrobiła. Choć jego puls wydawał się równomierny i Spence nie wyglądał już, jakby był w szoku, wciąż czuła, że jej żołądek skręca się z nerwów. Spence był ranny. To ona pociągnęła za spust. Niezależnie od emocjonalnego spustoszenia, które wywołał w niej jego stan, była w jakimś stopniu odpowiedzialna za to, co mu się przytrafiło.

A jednak jej instykt krzyczał, że jeśli zmarnuje tę okazję, ona już nigdy nie wróci. I nigdy nie będzie miała szansy zadać Spence'owi wszystkich tych pytań, które ją zżerały. A więc wróci do niego ze sterylnymi opatrunkami i z lekami... i z pistoletem w kieszeni. I wysłucha go, ten jeden, jedyny raz, nie tyle dlatego, że ją o to prosił, ile ze względu na samą siebie.

Na samą siebie i na przyszłość, bo jej będzie musiała stawić czoło o wiele za szybko.

Rozdział 6

Mówi się, że przybór wód porywa wszystkie łodzie, ale kiedy wiosenne deszcze podnoszą poziom wody w potokach Hill Country w środkowym Teksasie, przeróżne rzeczy wypływają na powierzchnię. Niektóre płyną wiele kilometrów z prądem rzeki, aż zatrzymają je urwiste skały lub powalone drzewa...

Albo dopóki niedawno zalany płot nie zaczepi o wysokie gumki w kolorze musztardy, zatrzymując razem z nimi ich nieszczęsnego właściciela.

W tak dzikich stronach jak Buck County coś takiego może przez długi czas pozostać niezauważone, chyba że przez jakiegoś wałęsającego się kojota albo dzika. Jeśli jednak stanie się to niedaleko mostu, którym biegnie droga, pozostaje tylko kwestią czasu, kiedy jakiś kierowca czy pasażer zerknie przypadkiem we właściwym kierunku.

Tylko kwestią czasu.

Dokładnie jak przewidywała, kiedy dotarła już do biura, Lenore Briggs-Hadley zamierzała właśnie dzwonić do biura szeryfa. Chciała, by przysłali tu kogoś, kto odnalazłby Claire.

- Naprawdę mi przykro, że tyle czasu zabrało mi sprowadzenie tutaj Krzaczora - powiedziała Claire, gdy owczarek szetlandzki tańczył powitalny taniec wokół jej stóp. - Nie chciałam, żebyś się martwiła.

Lenore westchnęła.

- W porządku. Po prostu nie miałam nic do roboty oprócz gadania do Pogo i picia kawy. A im więcej wypiję kawy, tym bardziej robię się nerwowa.

Pani Briggs-Hadley uniosła dłoń, żeby Claire zobaczyła, jak drży. Mogła się z łatwością wczuć w ten stan, bo sama była kłębkim nerwów po spotkaniu ze Spence'em. Czuła w brzuchu przykry niepokój, przypominający jej, że musi do niego szybko wrócić z lekami i bandażami.

Mimo to zmusiła się do uśmiechu.

- Czyli następnym razem, kiedy pojadę do sklepu, powinnam kupić kawę bezkofeinową. Lubisz waniliowo-orzechową, prawda?

Lenore machnęła ręką na tę pojednawczą ofertę, błyskając doskonale wypielęgowanymi paznokciami, pomalowanymi w tonacji idealnie pasującej do jej liliowego stroju. Ten widok przypomniawszy Claire, że straciła trochę ciemniejszy T-shirt. Pod ociekającą od wody kurtką nie miała na sobie nic oprócz koronkowego stanika w kolorze ciała.

- Tak się cieszę, że obu koniom nic się nie stało - powiedziała Lenore. - Chcesz, żebym ci przy nich pomogła?

Niech ją Bóg błogosławi. Ta kobieta wyglądała, jakby naprawdę chciała to zrobić, choć do tej pory udawało jej się unikać prac, przy których mogła się pobrudzić. Claire bardzo ją ceniła. Wdzięczna była za darowizny, wniesione dzięki prezes zarządu Monarch Ranch, bo to ona zorganizowała elegancką imprezę charytatywną, na którą licznie przybyła śmietanka towarzyska San Antonio. Ale w tej chwili Claire musiała pozbyć się pani Briggs-Hadley, i to jak najszybciej.

- Dziękuję, ale dam sobie radę. - Pogłaskała jedwabistą łątkę przy uchu Pogo. Owczarek uśmiechnął się szeroko, wywalając język i przymykając powieki. - Oba są strasznie zabłocone, szkoda niszczyć twoją piękną kreację. A poza tym to byłoby niebezpieczne w tych obcasach.

- To może przynajmniej dam znać Ellen, że nic ci nie jest...

-A może zadzwonisz od siebie z domu? Jest paskudny wieczór - przerwała jej Claire. - Strasznie pada i potoki na pewno wyleją. Na-

prawdę doceniam to, że na mnie czekałaś, myślę jednak, że teraz powinnaś już wracać. Pamiętasz, jak ubiegłej jesieni woda zerwała ten mały mostek niedaleko twojego domu?

Choć wszystko, co mówiła, było prawdą, poczuła się winna, gdy w niebieskich oczach tej eleganckiej kobiety zamigotała niepewność.

- W takim razie zadzwonię do Ellen, kiedy dotrę do domu. Ale co będzie z tobą? - spytała Lenore.

- Jak tylko wyczyszczę konie i porządnie je nakarmię, pojedę do taty; wezmę gorący prysznic, zjem tost z serem i puszkę zupy pomidorowej.

Pani Briggs-Hadley uśmiechnęła się, pewnie dlatego, że pomysł jeżdżenia czegokolwiek, co miało kontakt z puszką, wydał jej się osobliwy.

- Jesteś pewna, Claire? Wyglądasz... Cóż... Sprawiasz wrażenie, jakbyś nie była sobą.

Serce Claire zabiło mocniej, a w myślach usilnie szukała jakiegoś wyjaśnienia, które byłoby lepsze niż: „Jestem tylko trochę wstrząśnięta, bo właśnie postrzeliłam mojego męża”.

- Ze mną wszystko w porządku - powiedziała. - To tylko... To był trudny dzień, po tym, co się stało z Kojotem.

Lenore położyła dłoń na wilgotnym ramieniu Claire.

- Dobrze zrobiłaś, że położyłaś kres cierpieniom tego biednego konia. Byłaś bardzo dzielna. Ja chyba bym nie potrafiła pociągnąć za spust. Jesteś silną kobietą, Claire. I podziwiam cię za to.

Pani Briggs-Hadley wkrótce poszła do domu, zabierając swoją parasolkę. Claire pograżyła się w myślach: dlaczego ludzie, a nawet ta kobieta, która sama przeżyła tragedię, wierzą, że przetrwanie czegoś bardzo trudnego wiąże się z niezwykłą odwagą? Bała się. Tak cholernie się bała. Każdą godzinę od tego okropnego poranka, kiedy Raul Contreras i Joel Shepherd zapukali do jej drzwi, przepełniał strach. Drżała jak listek osiki, kiedy dobijała Kojota, i odchodziła od zmysłów z przerażenia, gdy postrzeliła Spence'a.

Lęk nie opuszczał jej, gdy pospiesznie oporządzała konie, a potem kiedy z Pogo wsiadała do swojego pikapa, wybierając się na krótką przejażdżkę - niecałe pół kilometra - do sąsiedniej posiadłości ojca.

Zaparkowała przy zamkniętej bramie garażu, wpatrując się w okna domu, a potem wypuściła długo wstrzymywany oddech. W środku było ciemno. A więc ojciec nie wrócił jeszcze z San Antonio... Jeśli tam

pogoda była równie paskudna jak tutaj, nie zdziwiłaby się, gdyby zadzwonił i powiedział, że przenocuje w mieście.

Z Pogo biegnącą przy nogach Claire otworzyła boczne drzwi i weszła do przedsionka. Ojciec dobudował go do osiemdziesięcioletniego domu wzniesionego z miejscowego kamienia i cyprysowego drewna. Podczas gdy pies kręcił się wokół swojej pustej miski, Claire ściągnęła zabłocone buty. Potem nakarmiła Pogo i złapała garść dużych plastikowych worków leżących przy koszu na śmieci. Jeśli ojciec wkrótce nie wróci, będzie mogła zabrać to, czego potrzebuje, i pożyczyć terenówkę z napędem na cztery koła. Ojciec kupił ją przed rokiem, by objeżdżać swoją dwunastohektarową posiadłość. Chwalił się, że terenówka jest o wiele ekonomiczniejsza niż koń, zupełnie jakby nie mógł sobie pozwolić na całą stajnię pięknych wierzchowców. Ale Claire nie widziała, żeby jeździł swoją zabawką, odkąd zranił się w lewy bok podczas paskudnej stłuczki we wrześnie ubiegłego roku. Miała tylko nadzieję, że wóz zapali i że nie będzie musiała łąpać i siodłać kolejnego konia. Spróbowałyby pojechać tam własnym samochodem, ale pełna kolein polna droga zarosła krzakami i stała się nieprzejezdna dla jej chevroleta.

Claire złapała termos na kawę, która wciąż parzyła się u niej w biurze. Szybko podeszła do szafki z lekami w łazience; ojciec trzymał w niej środki pierwszej pomocy. Znalazła nową tubkę żelu z antybiotykiem i fiolkę z paroma tabletkami przeciwbólowymi, które zostały po wypadku samochodowym ojca. Udało jej się też znaleźć opakowanie małych samoprzylepnych opatrunków, schowanych za stertą ręczników i myjek. Ale nie było gazy.

- Same opatrunki nie wystarczą - wymamrotała; jej spojrzenie padło na schludnie poskładaną bieliznę pościelową ojca.

A może sama zrobi bandażę? Położyła dłoń na białym prześcieradle, po chwili jednak postanowiła poszukać czegoś, czego jej ojciec nie będzie potrzebować. Przeszła do dawnego pokoju Karen. Służył teraz jako dodatkowy pokój dla gości; stały w nim antyczne meble, ręcznie robiona narzuta w niebiesko-kremowy wzór zaścielała łóżko. Jednak mimo wymyślnej doskonałości tego pomieszczenia - przypomniało jej się, jak Spence wywracał oczami, kiedy tata chwalił się tym pokojem - kredens nadal pozostał miejscem na najróżniejsze nieużywane drobiazgi.

Drzwiczki otworzyły się ze skrzypnięciem i poczuła słaby zapach kulek na mole. Zaczęła szperać, aż w głębi znalazła komplet starych, lecz czystych, kremowych prześcieradeł.

- Idealnie - powiedziała, zakładając, że ojciec nie odczuje braku czegoś, co było zakopane tak głęboko.

Kiedy wkładała prześcieradła do plastikowego worka, coś spadło jej na stopę.

Spojrzała w dół na pierścień nachodzących na siebie srebrnych ogniw, nie zdając sobie sprawy, na co patrzy. Pochyliła się, by to podnieść; stwierdziła, że musiało leżeć upchnięte między starą pościelą przez Bóg jeden wie ile lat.

Bransoletka, uświadomiła sobie, słysząc metaliczny brzęk kilkunastu zmatowiałych, małych talizmanów w kształcie serca. Uśmiechnęła się. Musiała należeć do jej siostry. Nie pamiętała, by ona sama coś takiego kiedykolwiek miała, a takie bransoletki nosiły młode dziewczyny czy nastolatki.

Z jakiegoś powodu to, że ją znalazła, podniosło ją na duchu, tak jakby Karen przesłała jej z zaświatów swoje błogosławieństwo. Claire schowała bransoletkę do kieszeni kurtki, myśląc o tym, że przyjrzy jej się dokładniej, kiedy będzie miała więcej czasu.

Jej uwagę przykuło miarowe postukiwanie - to gęsty ogon Pogo uderzał o ścianę na lewo od niej.

- Jeszcze trochę, maleńka - wymamrotała, myśląc, że pies chce wyjść na dwór po zjedzonym posiłku. Jednak gdy owczarek zaskomlał, Claire obejrzała się i zobaczyła, że Pogo tańczy przy nogach jej ojca, stojącego w drzwiach. Choć zawsze miał słabość do trzynogiej suczki, teraz stał prosty jak struna, a jego spojrzenie utkwione było w twarzy Claire. W ręce ścisnął plastikową torebkę, jakby trzymał opakowanie z lunchem, i wyglądał na bardzo zdenerwowanego.

Wystraszona Claire sapnęła i uderzyła dłonią w klatkę piersiową.

- Rany, tato, ale mnie wystraszyłeś. Nie widziałam żadnego światła, więc pomyślałam, że wciąż jesteś w San Antonio.

Dopiero teraz spostrzegła, że podobnie jak ona był bez butów, a włosy miał wilgotne.

- Byłem za studzienką i sprzątałem bałagan. Jakieś cholerne zwierzę przewróciło jeden z pojemników i śmieci pływały w kałużach - powiedział. - Kiedy jechałem do miasta, agentka z biura nieruchomości zadzwoniła do mnie na komórkę. Z powodu spraw rodzinnych musiała przesunąć spotkanie.

To by mogło wyjaśniać jego poirytowanie, a jednak... Twarz mu spochmurniała, przybierając jeszcze bardziej ponury wyraz niż wtedy, gdy dawał jej trzydziestkę.

- Coś jest nie tak?... To znaczy, coś ci się stało? - spytała. Czy ktoś mu opowiedział, że musiała użyć pistoletu, by dobić Kojota?

- Może zdejmiesz tę mokrą kurtkę, Claire? Usiądźmy sobie i porozmawiamy.

Zamarła, gdy jej spojrzenie padło na torebkę na leki, którą trzymał w dłoniach. W przerażającej chwili zrozumienia uświadomiła sobie, co znalazł za pojemnikiem na śmieci.

Zaczęła rozpinąć kurtkę, ale przypomniała sobie, że nie ma koszulki. Jej ręka zatrzymała się z palcami zaciśniętymi na zamku. Patrząc w twarz ojca, powiedziała:

- Nie chciałam, żebyś dowiedział się w ten sposób. - Skrzywiła się, gdy wyjął opakowanie z torebki. Choć było zmoknięte i pogniecione, z łatwością odczytała napis: domowy zestaw do testów ciążowych.

- Po twojej minie zgaduję, że nie muszę pytać, jak ty się dowiedziałas - powiedział. - Myślałem... myślałem... że masz jakieś kobiece problemy... i że postanowiłaś poczekać z powiększeniem rodziny.

Jakieś kobiece problemy. Mówił o ciąży pozamacicznej Claire niecały rok temu. Ból był rozdzierający i wykrawałyby się na śmierć, gdyby Spence nie dowiózł jej na czas do szpitala. Został jej tylko jeden jajowód, a ryzyko było wysokie, że sytuacja może się powtórzyć, więc Claire bała się spróbować ponownie, aż do dnia, gdy złożyła Spence'owi obietnicę nad potokiem Little Bee Creek.

- Jestem w ciąży - powiedziała i wydało jej się, że słowa odbiły się echem po holu. - Wiem, że to nie najlepszy moment, ale...

- Nie najlepszy? - ojciec z niedowierzaniem pokręcił głową. - To gorzej niż najlepszy moment. O wiele gorzej. To szaleństwo.

- Nie wiedziałam o tym wtedy, lecz byłam już w ciąży, kiedy usłyszałam o moim mężu. - Krew dudniła jej w uszach, poczuła, że traci panowanie nad sobą. - Nie miałam kryształowej kuli. I nie ogłaszał się z tym, co zamierza, w jakiejś cholernej gazecie!

- Nie podnosz na mnie głosu, Claire. I lepiej uważaj, jak się wyrażasz. O nic cię nie oskarżam. - Jego twarz złagodniała, a w brązowych oczach zalśniły łzy. Otworzył ramiona, chcąc ją przytulić. - Chcę ci tylko pomóc.

Claire zwalczyła impuls, który pchał ją do niego. Przed oczami stanął jej obraz Spence'a na twardej pryczy, krwi sączącej się przez opatrunek. Ale nie mogła teraz wyjść, nie teraz, kiedy ojciec okazał jej tyle dobroci i miłości.

- Nic mi nie będzie, tato - zapewniła i dokładnie tak myślała. Bo gdyby to była kolejna ciąża jajowodowa, na pewno do tej pory już by o tym wiedziała. - Jest wiele samotnych matek. Poradzę sobie...

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Zastanów się. Jeśli urodzisz to dziecko, to zwiążesz się na zawsze z człowiekiem, który próbował cię zabić. I jak wyjaśnisz to swojemu maluchowi? Powiesz mu, dlaczego tatuś siedzi w więzieniu? Będziesz go tam zabierać w odwiedziny? A może pozwolisz, żeby krewni Spence'a...

- Nie sięgałam jeszcze myślą tak daleko w przyszłość - odparła Claire, próbując odsunąć obraz siebie podającej maleńkie niemowlę jednemu z wujków Spence'a. Pewnej nocy, gdy był u przyjaciela, jego rodzice zatruli się czadem ulatniającym się z pękniętego piecyka. I Spence wyznał jej kiedyś, że wciąż dręczą go z tego powodu koszmary. Jego wujkowie stworzyli pozory, że wspierają swojego bratanka podczas ostatniego roku szkoły średniej i w latach jego nauki na studiach. Poza tym ich kontakty ograniczały się do kartek na święta, które często zawierały zdjęcia ich harleyów lub obecnych dziewczyn, w większości ubranych w czarne skóry i wytatuowanych. Spence często żartował, że zostając gliną, utwierdził tylko swoją rodzinę w przekonaniu, że jest czarną owcą. On i Claire śmiali się z tego w tych dniach, kiedy wiedzieli jeszcze, co to śmiech. Tyle śmiechu, tyle miłości. Teraz wydawało się to wspomnieniem z bardzo dawnych lat.

- Wciąż jesteś taka młoda. Masz tylko trzydzieści lat. Na pewno pojawi się jeszcze niejedna szansa, jeśli... Claire? Czy ty mnie słuchasz? - spytał ojciec. - Chodźmy do salonu. Usiądźmy i pogadajmy.

- Daj mi się przynajmniej przebrać, jestem cała brudna. - Wskazała na swoje ubranie pochłapane błotem i ku jej przerażeniu z widocznymi plamami krwi. Czy ojciec je zauważył? Może wspomnieć o wypadku Kojota, by ukryć prawdziwe powody? Doszła jednak do wniosku, że jeśli on nic o tym nie mówi, pozwoli mu najpierw wyjść z jednego szoku, zanim dozna kolejnego.

Ojciec kiwnął głową.

- Zaczekam na ciebie.

Claire wyjęła świeże ubranie z szafy w swojej dawnej sypialni i poszła do łazienki, gdzie zabrudziła całą myjkę. Szybko umyła się i włożyła suche dżinsy; poczuła się lepiej, lecz żołądek wciąż jej się kurczył. Porozmawiają krótko, bo musi jak najprędzej wrócić do Spence'a. Ale jak się wymknie z torbą pełną środków pierwszej pomocy, tak, żeby ojciec nie domyślił się prawdy?

Nie zastała go w salonie, ale zamiast szukać w innych pokojach stałą z wahaniem przed kominkiem. Oczy miała rozbiegane, a w myślach szukała jakiejś wymówki, by jak najszybciej wyjść.

Salon był urządony w rustykalnym stylu. Stały w nim ogromne skórzane meble. Na podłodze leżały wyprawione skóry, wszystkie z czasów sprzed wypadku jej matki, kiedy ojciec jeszcze namiętnie polował, a nad gzymsem kominka wisiała staromodna długa strzelba. Wiejskie pejzaże i stół z ręcznie ciosanego drewna także świadczyły o tym, ile czasu i pieniędzy jej tata poświęcił, by urzeczywistnić marzenia z lat chłopięcych. W nierzucającym się w oczy miejscu stał bardzo nowoczesny telewizor z płaskim ekranem i niewielki, lecz doskonałej jakości zestaw głośników.

Odetchnęła głęboko i poszła za dźwiękiem butelek dobiegającym z kuchni. Zastała tam ojca, właśnie wyciągał z białej, stylizowanej na starą lodówki butelkę ulubionego korzennego piwa.

Od razu chwyciła się kłamstwa, na które się wcześniej zdecydowała.

- Nie mogę długo zostać, tato. Jeden z koni paskudnie się skaleczył, a ogrodzenie na tyłach znowu jest zniszczone. Pomyślałam, że szybko wezmę najpotrzebniejsze rzeczy i zaraz wrócę.

Zaproponował jej butelkę piwa.

- Chcesz?

Pokręciła głową i zamiast piwa nalała sobie szklanekę mleka. Podobnie jak reszta domu kuchnia była stylizowana na czasy dzieciństwa jej ojca. Ustępstwa na rzecz wygody zostały sprytnie zakamuflowane starym drewnem, a sprzęty były stare. Spence uważał, że to dziwne, żeby mężczyzna do tego stopnia dbał o takie szczegóły. Ale przecież zanim się pobrali, pojęcie Spence'a na temat dekoracji wnętrz ograniczało się do starych podkładek na piwo; poza tym interesowały go tylko skały, które znalazł, badając jaskinie z kumplami ze studiów.

Zamiast przejść do salonu, wyjął z pięknego drewnianego kredensu ciasteczka owsiane z rodzynkami i orzechami. Sama mu je poleciła, bo nie szkodziły na serce. Otworzył nową paczkę i oboje usiedli na przeciwległych ławach przy starym dębowym stole, przy którym już tyle razy rozmawiali ze sobą w przeszłości.

Zerknęła w kierunku drzwi wejściowych i zauważyła, że tym razem zamknął je na klucz. Najwyraźniej martwiło go, że Spence wyszedł za kaucją.

Gdy podsunął jej ciasteczka, Claire głośno zaburczało w żołądku. Nie zdawała sobie sprawy, że umiera z głodu, ale teraz, kiedy o tym

pomyślała, przypomniało jej się, że nie miała nic w ustach od śniadania. Czy tam, w zakurzonej domku myśliwskim, Spence też jest głodny?

Żarłocznie przełknęła trzy ciasteczka - pyszne, nietłuste - i właśnie wyciągała rękę, żeby dolać sobie mleka, kiedy ojciec wreszcie przerwał milczenie.

- Znam pewnego lekarza. Mógłby się tobą zająć. Prywatnie.

Ich spojrzenia się spotkały i poczuła, że zbiera jej się na wymioty.

- Claire? Kochanie?

Otrząsnęła się i gdy spojrzała w dół, zobaczyła, że mleko przelewa się ze szklanki. Na blacie powstała biała kałuża. Claire odstawiła karton, chwyciła gąbkę i starła rozlane mleko.

Jej ojciec sugerował...

- Uważasz, że powinnam przerwać ciążę. - To było stwierdzenie, nie pytanie; na czoło wystąpił jej zimny pot. Dłoń trzymająca gąbkę drżała.

- To po prostu niewłaściwy moment. - Jego brązowe oczy szukały zrozumienia w jej twarzy. - Nikt nie mógłby cię o to winić. Do diabła, nikt się nawet nie dowie. Nie... nie mówiłaś jeszcze nikomu, prawda?

Pokręciła głową. W tych okolicznościach bała się mówić o tym, że jest w ciąży. Bała się, że przyjaciele poradzą jej to samo, co ojciec. By ją usunęła.

- Nie pozbędę się dziecka - odparła kategorycznie.

- Jeśli chodzi o grzech - powiedział -jestem pewien, że Bóg ci wybaczy. Jezu, Claire... Spence Winslow zapłacił człowiekowi, który miał cię zamordować...

Wrzuciła gąbkę do zlewu.

- Myślisz, że o tym nie wiem? Nie musisz ciągle wbijać mi do głowy, co mi zrobił. Ale to... to dziecko... nie zrobiło nic złego. Jest niewinne.

- Nie potrafisz teraz jasno myśleć. Możemy porozmawiać o tym później.

Wiedziała, o czym myślał. Że uda mu się ją przekonać, sprawić, by zobaczyła sens w tym, co mówił. Ale nie była już małą dziewczynką i czuła się urażona, że próbuje ją „urobić” jak swoich klientów. Zupełnie jakby wiedział wszystko lepiej niż ona.

- Nie zmienisz mojej decyzji w tej sprawie - powiedziała ostrym tonem. - Myślałam o tym przez cały tydzień i już postanowiłam.

- Claire...

- Biorę parę rzeczy z apteczki i lecę. I uprzedzając twoje pytanie, nie mam ochoty na twoje towarzystwo.

Spojrzał w stronę okna wychodzącego na łąkę, którą Claire i jej siostra nazywały kiedyś Jelenią Polaną. Na dworze było ciemno.

-Ale... już późno, a on jest na wolności. Ktoś powinien być przy tobie.

- Mam pistolet, który mi dałeś. Będzie musiał wystarczyć.

Rozdział 7

Według wszelkiego prawdopodobieństwa ciało nie powinno zostać zauważone aż do rana. Jednak Lenore Briggs-Hadley słyszała już za wiele opowieści o utonięciach w tych stronach. Podczas intensywnych deszczy w zeszłym roku zginęła cała rodzina, kiedy matka, niewiele widząc przez zalane szyby, skręciła swym minivanem na mały mostek dzielący jej posesję od drogi. Musiała przejeżdżać tędy już tysiące razy i zakładała, że most nad strumykiem na pewno stoi. Jednak tamtej wietrznej nocy, najzimniejszego lutego od dziesięciu lat, mała stróżka wylała, tworząc wartki nurt, który porwał ze sobą środkową część mostka. Minęło wiele dni, zanim odnaleziono ciała dwudziestoosmioletniej kobiety i jej dwojga małych dzieci.

Tej nocy Lenore myślała o tamtej tragedii, choć wiatr był słaby, a deszcz przeszedł w mżawkę. Jednak wciąż myślała o ostrzeżeniu Claire, zatrzymała więc swojego czarnego range rovera przed mostkiem w pobliżu pustego domu. Większość ludzi nazwałaby go rezydencją, ale niektórym - również Lenore - nie przyszłoby nawet do głowy, że w czymś takim da się w ogóle mieszkać. Włączyła długie światła i zaczęła uważnie wpatrywać się w wodę...

Aż jej spojrzenie przykuł dziwny w tym miejscu musztardowy kolor.

Zanim uświadomiła sobie, na co patrzy, jej żołądek zwinął się w supeł, a szczeka opadła. I jeszcze nim to do niej dotarło, jej ręka już sięgała do torebki, a usta mamrotały modlitwę, żeby tym razem, dobry Boże, jej komórka miała zasięg i by mogła zadzwonić po pomoc.

Spence poruszył się gwałtownie i obudził ze snu. Otaczała go akksamitna ciemność tak całkowita, że przez chwilę nie wiedział, gdzie się

znajduje. Tam, w więzieniu, zawsze paliły się światła. Czyżby burza zerwała przewody energetyczne?

Gdy próbował usiąść, uderzyła go fala bólu, przeszywając rękę aż po bark. Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby i wspomnienia napłynęły jak chłód wypełniający płuca.

Zakaształ, co spotęgowało ból. Usiłując go przewyciężyć, szukał po omacku lampki, którą Claire zostawiła przy pryczy.

Przez chwilę, gdy nie mógł jej znaleźć, ogarnęła go panika. Jednak kiedy opuścił stopy na podłogę, niechcący ją przewrócił. Przeklinając, macał wokół siebie, aż wreszcie natrafił na nią ręką, postawił ją i włączył.

Krąg słabego żółtego światła objął pozostałe prycze, dwa drewniane stołki i krawędzie szafki. Jego serce zaczęło bić wolniej, gdy uświadomił sobie, że zwolnienie za kaucją to nie sen. Spojrzał na swój podniszczony elektroniczny zegarek - było parę minut po dziewiątej.

Czyżby Claire miała jakieś problemy z koźmi? A może zmieniła zdanie i nie zamierzała tu wracać? Zaraz po jej wyjściu był tak pewien tego, co mu obiecała... Czy to możliwe, żeby jej obecność po trzech tygodniach tęsknoty, modlitw i błagania, by mógł się z nią zobaczyć, obudziła bezpodstawny optymizm? A jeśli wstrząs i utrata krwi zmały mu myśli? Niechętnie zerknął na paski materiału zaciśnięte wokół rany. Choć szybko przemokły na wylot po tym, jak Claire zabandażowała mu ramię, plama niezbyt się powiększyła w ciągu ostatniej godziny. Miał też wrażenie, że krótki sen rozjaśnił mu w głowie - na tyle, by zaczął się zastanawiać, czy był głupcem, ufając kobiecie, która go postrzeliła.

Sam ją wprawdzie namawiał, żeby zatrzymała broń, ale czy Claire bała się go tak bardzo, że zadzwoniłaby po szeryfa, zamiast tu wrócić? Dobrze wiedział, że przed laty Joel Shepherd był narzeczonym jej siostry. Ze względu na jego związki z rodziną pewnie łatwiej by jej przyszło mu zaufać.

Choć w domku myśliwskim panował chłód, Spence poczuł krople gorącego potu na górnej wardze. Niby czemu Claire nie miałyby zwrócić się do szeryfa, zamiast dołączyć do mężczyzny aresztowanego za to, że zamierzał ją zabić?

- Cholera! - Choć niepokój wbijał w niego swe ostre szpony, Spence zmusił się, by powoli wstać. Zakręciło mu się w głowie, a twarz pokryła się potem. Pada czy nie, trzeba się stąd związać w diabły, zanim będzie za późno.

Usłyszał pomruk silnika - wóz szeryfa czy terenówka? - i jego serce zaczęło walić szybko w przypływie paniki. Wyjrzał nerwowo przez brudne okno. Czy da radę precyzyjnie się przez nie i wymknąć w otaczające go ciemności? Jednego był cholernie pewien: nie może pozwolić na to, by go tu złapali i znów wsadzili za kratki. Klamka szczęknęła. Już za późno, na dobre czy na złe, zaraz się przekona, czy postąpił słusznie, że jej zaufa.

- Spence?

Na dźwięk głosu Claire ogarnęła go fala ulgi, ciepłej i słodkiej jak miód.

- Claire - wymamrotał, gdy weszła w krąg światła. Jej sztywne plecy świadczyły o napięciu, ale przynajmniej tu była, ze srebrnym termosem w jednej ręce i czarną latarką w drugiej. Przez ramię przerzuconych miała kilka białych worków. Pod kurtką przeciwdeszczową dostrzegł świeże ubranie, choć w drodze tutaj już zdążyło przybrudzić się błotem. Najwyraźniej zapomniała kasku i jej zmierzwione włosy opadały kasztanową kaskadą na ramiona.

Nigdy nie wydawała mu się piękniejsza niż w tej chwili. Chciał wyciągnąć do niej rękę, przytulić ją do siebie i całować aż do utraty tchu, ale zapanował nad tym pragnieniem.

Ten okres w ich życiu już minął. Nieważne, jak często ogarniały go wspomnienia.

-Ja... przywiozłam kawę. - Jej brązowe oczy patrzyły trochę ciepło, a usta nie były już tak napięte. -I coś na złagodzenie bólu.

- Jesteś boska - powiedział chrapliwym głosem i poczuł, że wargi wykrzywają mu się w uśmiechu. Boże, jak dobrze się było uśmiechnąć.

- Powinieneś usiąść. - Kiwnęła głową w kierunku pryczy. - Nie chcę, żebyś mi tu padł, zanim porozmawiamy.

Bardziej nawet niż słowa stanowczość w jej głosie przypominała mu o tym, czego już wcześniej od niego żądała. Chciała poznać całą historię, otrzymać odpowiedzi na wszystkie pytania.

Z pewnością na to zasługiwała, po całym tym piekle, przez które musiała przejść z jego powodu. A jednak Spence'a ścisnęło coś w żołądku na myśl, że ma ujawnić nazwiska tych niebezpiecznych ludzi, którzy wkroczyli w ich życie. Nie, to nie tak, zachnął się ze złością. Tych niebezpiecznych ludzi to on zaprosił do ich życia, swojego i Claire. Być może nie uświadamiał sobie tego, ale pracował w policji na tyle długo,

by wiedzieć, w jakie gówno można wdepnąć, jeśli zaczyna się na poważnie uprawiać hazard. Rozumiał, że wymyka mu się to spod kontroli, a nawet podświadomie czuł, że kiedy to wszystko zawali mu się na głowę, nie tylko jego zniszczy.

A jednak wciąż wszystko chrzanił, w nadziei, że wreszcie ktoś wyłączy mu czerwone światło ostrzegawcze i przyjdzie spokój. Teraz, gdy uświadomił sobie, co odrzucił, był tak wściekły na siebie, że miał ochotę spluć sobie w twarz.

Ale wstręt do samego siebie, nieważne jak dobrze uzasadniony, nic tu nie zmieni.

Usiadł na pryczy pograżony w posępnych myślach, a Claire opowiedziała mu, jak zajęła się końmi, a potem pojechała po potrzebne rzeczy i wróciła terenówką ojca.

- Przynajmniej przestało padać. - Zmarszczyła brwi i popatrzyła na jego ramię. - Muszę to jeszcze raz obejrzeć.

Zauważył, że choć nie ma makijażu, jej długie rzęsy są posklejane. To od płaczu, pomyślał. Przez niego.

Zaczęła poluzowywać zakrwawiony materiał, którym wcześniej owinęła mu ramię.

- Za mocno to zacisnęłam z tej strony. Chyba będzie łatwiej, jeśli to przetnę. - I wyciągnęła z dzinsów potężny, składany nóż.

Ze względu na nią spróbował się głupawo uśmiechnąć, patrząc na czubek ostrza.

- Co ty dzisiaj masz z tą bronią?

Zdobyła się na słaby uśmiech.

- Poczekaj, aż oberwiesz z miotacza płomieni, mam go w drugiej kieszeni.

Parsknął, a ona ostrzegła:

- To pewnie trochę zaboli.

- Może najpierw napiję się łyżeczek kawy i wezmę aspirynę. Przydałoby mi się coś na wzmocnienie.

Kiwając głową, nalała parujący płyn do nakrętki termosu i z fiolki wytrząsnęła tabletkę na jego zdrową dłoń.

- To nie aspiryna, Spence. Po aspirynie tylko być mocniej krwawił. A poza tym, to jest trochę silniejsze.

- Cokolwiek to jest, na pewno będzie dobre. - Przełknął tabletkę i popił kawą. Za szybko. Gorący płyn oparzył go. Wciągnął powietrze, żeby ochłodzić język.

- Przyniosłam ci koszulę na zmianę - powiedziała, przyciągając do pryczy jeden z dwóch stołków. - Zwędziłam ją tacie. I zabrałam trochę jedzenia z kuchni. Niewiele tego, bo jutro mieliśmy robić zakupy, ale znalazłam trochę sera, krakersy i parę jabłek.

Zapieкло go w oczach - po tym wszystkim ona wciąż o niego dba. On nawet nie pomyślał o jedzeniu.

- Dziękuję.

Minutę później zaciskał zęby, starając się stłumić ból, gdy przecinała tkaninę. Zdjęła ją, a potem delikatnie otarła ranę, zużywając pół paczki wilgotnych chusteczek.

Widząc, że krew znów cieknie, skrzywiła się.

- Przepraszam, że znowu rana zaczęła krwawić, ale trzeba ją wyczyścić, zanim nałożymy antybiotyki.

-A tak na poważnie - zapytał - kupiłeś ten pistolet z mojego powodu?

Pokręciła głową, wciąż patrząc na jego ramię.

- Tata mówił, że po mnie przyjdiesz. I Joel też się martwił.

- Ojciec ci go dał? - odgwał Spence.

Skoło i szeryf, i ojciec ją ostrzegali, nic dziwnego, że tak łatwo pociągnęła za spust. Spence obwiniął się teraz o zamęczenie wszystkich, którzy gotowi byli go słuchać, by pozwolili mu zobaczyć się z żoną.

Claire przytaknęła, a jej twarz spochmurniała.

- On to wszystko naprawdę strasznie przeżywa, Spence. Gdyby się domyślił, że tu jesteś, to nie wiem... Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, co by zrobił.

Spence natomiast potrafił, i to z łatwością. Will Meador by mu nie odpuścił. Już za pierwszym razem, kiedy się spotkali w restauracji meksykańskiej pod San Antonio, adwokat prawa karnego dał to Spence'owi wyraźnie do zrozumienia, odwzajemniając uścisk dłoni z niedźwiedzią siłą i mówiąc:

- Ona jest całą rodziną, jaka mi została. Jeśli ją skrzywdzisz, sprawię, że pożałujesz, że kiedykolwiek usłyszałeś moje nazwisko.

„Tato! - wybuchła wtedy Claire, rumieniąc się aż po korzonki włosów, a Spence wyobraził sobie, ilu jej poprzednich chłopaków udało się starszemu w ten sposób przepędzić. Klepiąc ojca po ramieniu, prosiła go: - Przestań robić sobie takie żarty, jeszcze pomyśli, że mówisz poważnie”.

Meador skrzywił się w uśmiechu i poklepał Spence'a po plecach, znów uściśnił sobie rękę, ale cała trójka doskonale wiedziała, że adwo-

kat nie żartował. Od śmierci żony i starszej córki Claire była dla niego wszystkim. A Spence pomyślał sobie, że są gorsze cechy niż to, że człowiek za bardzo kocha swoje dziecko. Poza tym zdążył już tak zadurzyć się w Claire, że nie wycofałby się nawet wtedy, gdyby miała w rodzinie cały kosz takich grzechotników.

- Przykro mi, że tak to przeżył. Kiedy to się skończy, powiedz mi to ode mnie.

Własna szczerość zaskoczyła Spence'a. Jej ojciec potrafił być naprawdę męczący z tym swoim wtrącaniem się w ich życie, ale Spence wiedział też, jak on sam by zareagował, gdyby się dowiedział, że ktoś próbował zamordować Claire. A gdyby w dodatku był to ktoś, komu ufał, to pewnie chciałby zabić sukinsyna własnymi rękoma.

- Sam mu to powiedz - odparła i wycisnęła na palce trochę maści.
- To chyba też zaboli.

Odwracając wzrok od swojego ramienia, Spence zgrzytał zębami i po cichu liczył upływające sekundy, podczas gdy Claire wcierała maść. Zrobiło mu się szaro przed oczami, ale skończyła, zanim stracił przytomność.

Wyjęła kremowe prześcieradło i nożem nacięła je na brzegu. Drąc je na paski, powiedziała:

- Powinieneś pojechać do szpitala. Nie mam prawdziwych bandaży, a ty wciąż możesz złapać zakażenie.

- Na razie nic mi nie jest.

- Nie wiemy nawet, gdzie jest kula. Kule czasem przemieszczają się w ciele. - Spojrzała na niego błagalnie i dodała: - Nie chcę, żebyś umarł, Spence. Nie chcę być tą która cię zabiła.

- No to jest nas dwoje. - Zdrową ręką musnął jej nadgarstek.

Szarpnęła się, tak jakby ktoś dotknął ją rozpalonym do białości po- grzebaczem. To bolało. O Boże, jak to bolało. O wiele bardziej niż zranione ramię.

- Daj spokój, Claire - usiłował powiedzieć to lekkim tonem. - Spójrz na mnie. Nic mi nie jest. Gdyby kula przebiła tętnicę, już dawno byśmy wiedzieli. Później ktoś to obejrzy. Znam lekarkę w San Antonio, która może nie zadawać zbyt wielu pytań.

Po chwili milczenia ponownie zabandażowała mu ramię. Gdy już zabezpieczyła opatrunek plastrem, spojrzała na niego.

- Kogo jeszcze znasz? Jakich innych przestępców?

Kiedy się zawahał, wstała.

- Gdy prosiłeś mnie, żebym wróciła, podałam ci moją cenę. Chcę znać prawdę, Spence, albo zaraz stąd znikam.

Popatrzył na nią uważnie, ale nie dostrzegł nic, co by wskazywało, że blefuje. A nie chciał, żeby stąd wyszła i zostawiła go, zanim tego wszystkiego nie zrozumie.

- W porządku. W porządku. Wróćmy do tego bukmachera. Powiedział coś pewnemu facetowi, który powiedział coś innemu facetowi, o tym, że mam problemy z zapłaceniem długu. I po jakimś czasie do niewłaściwego faceta dotarła wiadomość, że glina, który patroluje jego rewir, ma problemy z kasą.

-A więc ten „niewłaściwy facet” dostrzegł w tym szansę, żeby wykorzystać sytuację.

Spence kiwnął głową a ona przysiadła obok niego na krawędzi stołka. Tak bardzo chciał jej dotknąć, zetrzeć troskę z jej twarzy, scałować smutek. Lecz jej wcześniejsza reakcja na jego dotyk przypomniała mu, że stracił już ten przywilej. Na zawsze i nieodwołalnie. Na tę myśl gardło ścisnęło mu się tak mocno, że nie mógł nawet przełknąć śliny.

- Tak - odparł. - Właśnie tak. Oczekiwał, że będę mu wyświadczał określone przysługi. Telefony z ostrzeżeniem o nalotach na jego laboratorium narkotykowe i o akcjach skierowanych przeciwko jego dealerom albo jego dziewczynkom. I że będę pewnych rzeczy nie zauważał. Nie zawsze, ale wtedy, kiedy mogłoby to kosztować jego gang zbyt dużo czasu i pieniędzy.

-A więc chodzi o jeden z gangów. Który?

Strach przeszył go niczym lodowate ostrze.

- Znajdą cię, Claire. Zabiją cię, jeśli pomyślą że wiesz. Pamiętasz tego reportera, prawda? Tego, na którego urządzili zasadzkę, bo napisał za dużo w swoim artykule? I była jeszcze ta sześcioletnia dziewczynka. .. porwali ją i zabili, bo jej wuj obraził czyjaś matkę. A strzelaniny? Cholera, oni podrzynają gardła nawet więźniom, kiedy uznają, że któryś z ich *vatos* może pójść na współpracę, by dostać krótszy wyrok. To są straszni ludzie, Claire.

Spojrzała mu prosto w twarz.

- Nie jestem idiotką. Nie zamierzam nikomu o tym mówić. Ale muszę wiedzieć, Spence. To jest moja cena.

Kiedy wymienił nazwę gangu, zamrugała i szybko otarła palcami łzy. Wiedział, że pracowała z wieloma ofiarami gangów w szpitalu. Uczyła tych ludzi, jak siadać, jak samodzielnie jeść i korzystać z toalety.

Na pewno widziała też tatuaże i dowiedziała się, które z nich „chronią” członków gangu w więzieniu, a które są „nagroda” za różne przestępstwa, z morderstwem włącznie.

- Widziałam, jakie rzeczy oni robią w imieniu swojej *familia* - powiedziała i skrzywiła się. - Potworne rzeczy. Widziałam dzieciaki, które nigdy nie będą miały szansy na inne życie, niewinnych ludzi, których jedyną winą było to, że znaleźli się na ich drodze. Przyznaj się, pomagałeś im? Robiłeś to, czego chcieli?

Pokręcił głową.

- Do diabła, nie. A jak myślisz, dlaczego mnie wrobili?

Potarła grzbiet nosa, a potem odwróciła się do Spence'a plecami. Gdy zobaczył, że drżą jej ramiona, przesunął się na skraj pryczy, na tyle blisko, by usłyszeć cichy szloch.

- Claire... kochanie. - Tak strasznie pragnął ją przytulić.

Poruszała automatycznie kolanami, jak dziecko, i zeszywniała, gdy dotknęła jego kolana. Jednak tym razem, zamiast się cofnąć, spojrzała mu prosto w twarz.

- Jak ja mam... jak ja mam przez to wszystko przejść? - spytała. - I jak ja mam się czuć?

- Tak mi przykro - wyszeptał. Osunął się na kolana, a potem idąc za głosem swojego pragnienia, objął ją ramionami w pasie. Oparł głowę na jej kolanach, zamknął oczy i powtarzał: - Tak mi przykro, Claire.

Znów zeszywniała, ale go nie odepchnęła. Uznał to za zwycięstwo.

Trwali tak przez kilka minut, wreszcie Claire głośno wciągnęła oddech.

- I tak już byłam nieźle wystraszona, kiedy wyjechałam na Cynamonce. Kojot dzisiaj umarł, Spence. Ja... ja musiałam użyć broni... tej samej, z której cię postrzeliłam, żeby go dobić, a Krzaczor się spłoszył i uciekł.

Znów jąobjął, a potem wrócił na pryczę, by poczuła się swobodniej. Jednak ich kolana wciąż się stykały.

- Opowiedz mi, co się stało.

I opowiedziała mu, a ta opowieść była poplątana, niezborna, czasem chaotyczna i pełna rwanych wątków. Trwało dobrą chwilę, nim Spence domyślił się, że wszystko zaczęło się od tego, jak Megan Martin wpadła do biura, a skończyło na tym, że Joel Shepherd omal nie postrzelił Claire nad stygnącym ciałem Kojota.

Ogarnęło go przerażenie, zrobiło mu się niedobrze.

- Mogłaś zginać. Mógł cię postrzelić.

Uśmiechnęła się słabo, a piegi stały się wyraźniejsze na jej bladej twarzy.

- Albo ja mogłam postrzelić szeryfa. Sądząc po tym, w jakim kierunku zmierzał ten dzień, to nie byłoby nawet dziwne... Kto by przypuszczał, że będę wkrótce musiała prosić tatę o dodatkowe kule.

Spence roześmiał się; ulżyło mu, że ona próbuje z tego żartować i że oboje są tu razem, i żyją. Ich spojrzenia spotkały się i tym razem nie zawahał się wziąć jej w ramiona.

Uważając na ranną rękę, głąskał jedwabiste włoski na karku Claire.

- Jednej rzeczy nie rozumiałem. Jak w ogóle Kojot mógł się wy dostać?

- To pewnie sprawka jakiegoś wandalą - odparła. - Mamy sporo problemów z ogrodzeniami. Najpierw parokrotnie zwały się na nie martwe drzewa i myślałam, że to po prostu pech, ale tym razem drut najwyraźniej został przecięty. Wciąż się zastanawiam, czy człowiek, który to zrobił, umyślnie tak wystraszył Kojota, że pogalopował na oślep przed siebie i spadł do wąwozu.

- Masz jakiś pomysł, kto mógłby?...

- Joel podejrzewa, że to mogłeś być ty.

Poczuł ukłucie irytacji, że wciąż nazywa tego człowieka po imieniu.

- No cóż, Joel się grubo myli. Ale czegoż innego miałbym się spodziewać? Przez te ostatnie trzy tygodnie szeryf Sherlock Holmes mylił się co do mnie pod każdym innym względem.

Odsunęła się trochę, by spojrzeć mu w twarz.

- Nie pod każdym względem, Spence. Powiedział mi o hazardzie.

- No to punkt dla Kapelusznika.

Zmarszczyła brwi i spojrzała na niego uważnie.

- Jesteś o niego zazdrosny? Całe twoje życie... nasze życie się wali, a ty się martwisz o taką śmieszna rzecz?

Pokręcił głową.

- Nie, nie o to chodzi. Po prostu się boję, że zaczniesz wierzyć jemu, a nie mnie.

Spojrzała na kolana, na których oparła ręce. Zapadło milczenie tak bolesne, że Spence nie mógł tego znieść.

- Wiesz, Randall mógłby zrobić coś takiego - powiedział, pragnąc zmienić temat. - To znaczy zniszczyć ogrodzenia.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej prawdopodobne się to wydawało. Przypomniawszy sobie, co Claire opowiadała mu kiedyś: że gdy Randall był nastolatkiem, zaprosił grupę kolegów na imprezę w domu ciotki, gdy ona i jej mąż wyjechali z miasta. Młodzi goście włamali się do zamkniętej szafki z alkoholem i śmiali się jak hieny, rozwalając na kawałki kolekcję kamionkowych skrzatów ogrodowych pani Hajek. I pewnie nie poprzestaliby na tym, gdyby ojciec Claire, słysząc te hałasy, nie nabrał podejrzeń i nie zadzwonił po szeryfa.

Podniosła wzrok.

- Randall Hajek? Siostrzeniec pani Hajek?

Spence wzruszył ramionami.

- Czemu nie? Nieźle się wkurzył, kiedy sprzedała nam ten teren. Biorąc pod uwagę to i jego groźby, że pozwie nas do sądu, doszedłem do wniosku, że liczył na to, że odziedziczy całą posiadłość. A na pogrzebie pani Hajek... Kiedy to było? W styczniu. Czy nie słyszeliśmy przypadkiem, że ma zamiar przenieść swoją firmę i wprowadzić się do domu ciotki?

- Tak, i chyba już tam mieszka. Parę razy widziałam, jak jego wóz terenowy wjeżdża na podjazd. Nowusieńki suburban z tym wielkim zderzakiem. Raz nawet pomachałam mu na dzień dobry, ale ten gnojek i jego złotowłosego przyjaciela, ten sam, który był z nim na pogrzebie, po prostu pojechali dalej.

Spence przypomniał sobie, kiedy widział tego człowieka, młodego Adonisa z elegancką, europejską fryzurą, opalenizną z solarium i w jedwabnej koszuli, rozpiętej pod szyją tak, by było widać nagą klatkę piersiową. Żigolak był trochę nerwowy, a jego wielkie brązowe oczy wydawały się puste. Bez wątplenia Randall nie przyjaźnił się z nim dla interesujących konwersacji.

- A więc Randall jest wciąż wkurzony - powiedział Spence, myśląc o tym, że tutaj, w Hill Country, człowiek może być alkoholikiem, bić żonę, a nawet kraść, ale zawsze odpowiada na tradycyjne powitanie, dwa palce uniesione nad kierownicą, a już zwłaszcza na wiejskich drogach. Jeśli tego nie robi, łamie dobry obyczaj Buck County. - Może jest wkurzony do tego stopnia, że poprzecinał te płoty.

- Jakoś mnie to nie przekonuje - odparła Claire. - Trudno mi sobie wyobrazić, żeby zebrał w sobie tyle odwagi, by owinać skrzynkę na listy papierem toaletowym, a co dopiero, by wkraść się na teren posiadłości z nożycami do drutu. Wydaje mi się, że pozwy sądowe byłyby bardziej

w jego stylu. Wtedy mógłby poszczuć na nas paru wstrętnych prawników, tak jak się odgrażał.

W tym, co mówiła, było sporo prawdy. Kurduplowaty pośrednik w handlu nieruchomościami z wypielegnowaną hiszpańską bródką i powiększającą się łysiną, która przy najmniejszym podenerwowaniu robiła się czerwona, nie był typem, w którym buzuje testosteron. Ale z drugiej strony, kupił sobie wóz w stylu macho i niedługo, kto wie, mógł zamienić swoje mokasyny od Gucciego na parę ręcznie szytych kowbojskich butów i przykryć błyszczącą łysinę wielkim stetsonem. Po przeprowadzce do Hill Country wielu typowych mieszczuchów - a Randall spędził ostatnich kilka lat w Houston, sprzedając tam luksusowe apartamenty - odczuwało potrzebę stylizowania się na kowbojów przy użyciu drogich akcesoriów.

Pytanie tylko, czy teksaska wendeta pasowała do tego obrazu. Czy taki mały gość jak Hajek, o którym krążyły plotki, że kolekcjonuje rekwizyty filmowe i drogie wina, mógłby zdobyć się na tyle złośliwości i miałby na tyle dobre koneksje, by załatwić gliniarza z San Antonio?

Spence nie mógł w to uwierzyć, mimo to nie mógł wykluczyć możliwości, że Randall zakradł się na posesję, by dokonać swej małostkowej zemsty.

- Nie chcę, żebyś podejmowała jakiegokolwiek ryzyko. Przez jakiś czas nie powinnaś sama chodzić po posesji.

Uniosła wyzywająco podbródek.

- Tak jak dzisiaj zrobiłam to dla ciebie?

- Nie jestem Randallem Hajekiem i nie jestem człowiekiem, za którego uważają mnie szeryf i twój ojciec. Wiesz, kim jestem, Claire. Bo w przeciwnym razie nigdy byś tu do mnie nie przyszła.

Spuściła wzrok, patrząc na swoje dłonie.

- Może po prostu jestem szalona. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem o tym przekonana. Sugerujesz, że Randall chce mnie dorwać i że jakiś gangster wymyślił całą tę skomplikowaną intrygę, żeby cię wrobić? To sporo do przełknięcia jak na jeden raz, Spence. Naprawdę sporo.

- To nie jest jakiś zwykły gangster. To najbardziej zimny mały sukсын, z jakim kiedykolwiek miała do czynienia policja z San Antonio. Wspiął się na szczyt dwa lata temu, w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat. Dzieciak dorastał na ulicach, ale na swój sposób jest cholernie błyskotliwy. Do diabła, załatwił nawet własnego brata, a potem wykorzystał ubezpieczenie, żeby skończyć szkołę biznesu. Ten dupek ma dyplom

MBA i prowadzi też legalne przedsiębiorstwa, żeby prac pieniądze, które zgarnia z lewych interesów.

- Nie powiedziałaś mi, jak się nazywa.

Spence miał nadzieję, że kiedy usłyszy nazwę gangu, zrozumie, jak niebezpieczne jest zadawanie dalszych pytań. Lecz podanie jej nazwiska nie robiło żadnej różnicy. I tak wiedziała już tyle, że mogła zginąć. Jeśli chce, żeby mu ufała, musi jej powiedzieć.

- Nazywają go Beto Chavez. I z pewnością nie jest to nazwisko, którego puszczenie w obieg mogłoby ci wyjść na dobre.

- Czemu nie siedzi w więzieniu, skoro policja z San Antonio wie o jego bracie i wszystkich tych ciemnych interesach?

Spence pokręcił głową.

- Tyle razy ci mówiłem, że jest cholerna różnica między tym, co wszyscy wiedzą, a tym, co można dowieść. Zwłaszcza że chodzi o człowieka, który opłaca całą bandę świetnych adwokatów.

- Znajdziemy te dowody. To jedyny sposób, żeby cię z tego wyciągnąć.

Znów pokręcił głową.

- Chciałem, żebyś zrozumiała, Claire. Ale w tej sprawie nie ma żadnych „nas”. Jestem tylko ja.

Zacisnęła w pięść dłoń opartą na kolanie.

- A więc oczekujesz ode mnie, że uwierzę w to wszystko, że kupię całą tę gadkę o organizacjach przestępczych, które grzebią sobie w cudzych e-mailach i fałszują nagrania? Ryzykujesz powrót do więzienia, żeby mnie przekonać, a jednocześnie mówisz mi, że z nami koniec? Że mam się usunąć na bok i cieszyć się, że jestem bezbronną ofiarą?

Jej twarz wyrażała całą mozaikę emocji. Niedowierzanie, gniew i wściekłą determinację.

- To brednie, Spence. Kompletne bzdury. Albo łziesz jak najęty, a wtedy cieszę się, że cię postrzeliłam, i spotkamy się na sprawie rozwodowej, albo będziemy walczyć razem o naszą szansę. Bo ten Beto niszczy też moje życie. To nie jest tylko twój problem.

Spence zamarł ze strachu. Tak desperacko chciał tu dotrzeć, odnaleźć ją, że nie wziął pod uwagę, jaka jest uparta. I że nie ustąpi i będzie chciała walczyć razem z nim.

- Chcę, żebyś się ze mną rozwiodła. - Każde słowo wzięło mu w gardle. - Chcę, żebyś pozbyła się tego wszystkiego, ze mną włącznie. Zrzekłem się praw do tej ziemi, więc należy do ciebie...

Pokręciła głową.

- Mam to gdzieś. Sprzedamy tę ziemię, jeśli będziemy musieli, i oddamy pieniądze Beto. Spłacimy sukinsyna, żeby zostawił nas w spokoju.

Spence westchnął, poirytowany.

- Tu nie chodzi tylko o pieniądze. Nawet jeśli zebralibyśmy taką sumę. Jeśli był na tyle Wkurzony, żeby to zrobić, to chodziło raczej o przekazanie informacji, że nikt mu nie będzie grał na nosie, nawet gliniarz.

- A co z twoimi kumplami z policji? Co z sierżantem Contrerasem? Czy oni nie mogą...

- To nie jest twoja walka. Ani ich. Policja umywa od tego ręce. Jeśli już o to chodzi, to dla niej przekroczyłem wszelkie możliwe granice po tamtej strzelaninie ubiegłej jesieni. - Założył ręce na piersiach, ostrożnie, żeby znów nie rozbolała go rana. - Nawet Raul uważa, że jestem totalnie popieprzony. I oni mają rację, Claire. Oni wszyscy mają rację. Ten hazard i te kłamstwa. Ja... nie przyszedłem tutaj po to, żeby cię w to wszystko wciągnąć. Przyszedłem... przyszedłem się pożegnać.

Położyła obie dłonie na jego przedramieniu i zbliżyła twarz do jego twarzy. Utkwiła w nim spojrzenie, nie tyle patrząc na niego, ile próbując wejrzeć w głąb jego duszy.

- Widzę, że toniesz, Spence, że idziesz na dno. I niech mnie szlag trafi, jeśli będę tak siedzieć i na to patrzeć, nie próbując ci pomóc.

Samotny człowiek oddychał głęboko, próbując przewyciężyć panikę ściskającą mu klatkę piersiową. Jak dotąd rzeczy działały się o wiele za szybko, przybierając kształt, którego nie potrafił rozpoznać ani w pełni zrozumieć.

Jak to możliwe, że sprawy tak skrupulatnie i głęboko ukryte mogą nadal wywierać tak ogromny wpływ? W jaki sposób plany, jego zamiary, mogły się tak straszliwie nie powieść?

I wtedy pojawiła się ponura odpowiedź.

Kobieta. To kobieta jest problemem, z jej niepojętymi reakcjami, jej sprzeciwem wobec żelaznej logiki. I z jej sercem wrażliwym na zmieniające się emocje, a te emocje były jak kamienie łączące dwa brzegi potoku, który on wyzwolił.

Nie pozostało mu nic innego, jak tylko jeszcze raz zburzyć wszystkie tamy, by prąd porwał te cholerne głązy albo zatopił je wodami tak głębokimi i rwącymi, że nie będzie miała wyboru, i jedynym, co jej pozostało, to popłynąć z nurtem albo utonąć.

Rozdział 8

Claire tak bardzo chciała mu wierzyć, wyobrażać sobie, że oboje mogą połączyć siły, by odwrócić bieg czasu. Ale w głowie zabrzmiały jej słowa Joela Shepherd'a, jak lodowaty nurt podmywający ten kruchy, wspólny grunt, na którym znalazła się razem ze Spence'em.

„Zupełnie jakbym słyszał te bite kobiety, które wydzwanają do więzienia i błagają mnie, żebym wypuścił ich męża do domu. A później, za każdym razem przekonuję się, że przytrafia im się coś złego”.

W jej głowie pojawił się obraz jednej z kobiet; tak to opisał: skatowane ciało leży na podłodze w kuchni, płaczące dziecko pełza w krzepnących, ciemnoczerwonych kałużach krwi.

A jednak Claire znała swojego męża, wiedziała, że nieważne, jak byłoby mu źle, nigdy by jej fizycznie nie skrzywdził. Rozumiała, że nawet teraz chciał się od niej odsunąć, by zaoszczędzić jej bólu.

„A więc jest mu przykro - zabrzmiał ostrzegawczo głos Joela. - Zawsze jest im potem przykro”.

Czy gdyby martwa żona na kuchennej podłodze nie znalazła się tam, gdzie panuje wieczne milczenie, usłyszałaby, jak jej załamany mąż błaga ją o wybaczenie? Czy słyszałaby, jak mówi, że zawsze ją kochał, choć krwawe plamy na jego ubraniu jeszcze by nawet nie zaschły? Czy powiedział jej te wszystkie rzeczy, zanim odwrócił się i wyszedł?

Obraz zamordowanej kobiety zmieniał się w wyobraźni Claire. Martwe niebieskie oczy pociemniały, włosy rozrzucone na podłodze zaczęły przybierać rudobrazowy kolor, a rysy twarzy coraz bardziej przypominały jej własne. Choć jej martwe serce nie biło, docierało do niej kwilenie dziecka, a sztywne ramiona pragnęły podnieść je z kałuży krwi, zabrać daleko od bólu i nienawiści, tam gdzie panuje miłość i pokój.

Do miejsca, do którego musiała odejść sama, zostawiając dziecko tutaj, w tym piekle...

Odsuwając od siebie koszmarną wizję, Claire wciągnęła powietrze i pomyślała o ich dziecku, dziecku jej i Spence'a - musi je chronić ponad wszystko, a o jego istnieniu nie może powiedzieć mężowi.

A jednak jej dłonie nie umiały znaleźć w sobie siły, by przestać głośkać przedramię Spence'a. I nie potrafiła się wydostać z bezdennych błękitnych studni jego oczu.

On też był częścią niej, i to przez tak długi czas. Jak mogła się odwrócić od ich wspólnej przeszłości, od tego, czego potrzebował, a co tak wyraźnie widziała na jego twarzy?

Usłyszała ostrzegający ją głos; szeptał jej do ucha: „Jeśli teraz go zostawisz, to koniec. Już nigdy nie zobaczysz tego mężczyzny żywego”.

Niezdolna znieść tej myśli, Claire pochyliła się do przodu, przymykając oczy, a ich usta spotkały się w pocałunku delikatnym i czułym, jak wtedy gdy całowali się po raz pierwszy. Czy to było pięć lat temu? Stwardniałe opuszki jego palców delikatnie gładziły linię jej podbródka, przesuając się w stronę szyi. Poczowała delikatne łaskotanie w sutkach i tęskny ból w podbrzuszu.

Ból pustki, o której myślała, że może trwać wieki.

Otworzyła usta, a on wsunął w nie język, i gdy ich pocałunek stał się bardziej namiętny, z jej gardła wyrwał się jęk, niczym duch uwolniony z otchłani. Na chwilę ogarnęła ją obawa, ale zaraz znikła, pozostał po niej tylko delikatny cień.

Gdy przyciągnął ją ku sobie na pryczę, znów jęknęła, rozpoznając siłę i ciepło jego nagiej piersi. Przebiegła palcami po jego plecach i bokach, aż po szerokie ramiona, a w gardle uwiązał jej szloch. Boże, jak za tym tęskniła. Czuła się jak uchodźca powracający do domu, na twarde równiny i muskularne wzgórza, które tak dobrze знаła. Położyła dłoń na jego sercu, czując, jak bije, a z kącików jej oczu popłynęły gorące łzy.

Spence całował jej szyję, pieścił ją ustami i kąsał; jego ciepły i wilgotny język wsunął jej się do ucha. Sięgnął ręką pod jej koszulę i jednym zręcznym ruchem odpiął stanik, a potem objął palcami pierś, drażniąc kciukiem sutek. Gdy pożądanie przetoczyło się przez nią z pomrukiem gromu, jasne elektryczne błyski zapulsowały pod jej powiekami, jak zlekceważone światła ostrzegawcze.

Jej ubranie stało się nagle nieznośnie ciasne i gdy pociągnął za rękaw jej kurtki, szybko pomogła mu ją ściągnąć. A potem koszulę i zanim się spostrzegła, całe jej ubranie pozęgłowało na zakurzoną podłogę i tylko stanik wylądował na lampce, rzucając dziwne cienie na ściany małego pomieszczenia.

Wiła się w gnieździe koców, obsypując gorącymi pocałunkami jego klatkę piersiową i targając palcami szorstkie włosy na jego piersi. Spijała zapach jego pożądania, smakowała słony pot, odpychając od siebie lęk, że każde doznanie, każdy dreszcz rozkoszy będzie ich ostatnim. I że roz-

palona do białości żądza ich ciał załamała cienki lód, pograżając ich oboje w śmiertelnych rwących nurtach pod jego powierzchnią.

Spence wiedział, że postępuje źle i że przyjmując to, co mu dawała, naraża jej zranione serce na coraz większy ból. Gdyby był dobrym człowiekiem, powstrzymałby to, co się dzieje, i odszedł od niej na zawsze.

Z każdym pocałunkiem, z każdym dotykiem rosła fala pożądania, zalewając wszystko, oprócz wspomnienia jego desperacji w więziennej celi. Pieścił piersi Claire chciwymi pocałunkami, zastanawiając się w zachwycie, o ile pełniejsze i dojrzalsze się teraz wydają. Długo, z radością smakował każdą z nich, ssał je, aż zesztyniał w odpowiedzi na jej chrapliwe postękiwanie.

Znał jej każdy czuły punkt, wiedział, co wyzwała w niej dziką żądzą, lepiej niż ona sama. A gdy wyrzuty sumienia rozmyły się i wyblakły, bezlitośnie zastosował tę wiedzę, zatapiając palce głęboko w jej wilgoci i pocierając kciukiem to cudowne miejsce, tak że jej plecy wygięły się w łuk, a wargi wymruczały jego imię. Jej mięśnie napięły się, zadrżały, ale kiedy był pewien, że za chwilę osiągnie szczyt, odtoczyła się od niego.

Magia tej chwili zamigotała mu przed oczami jak tęczyowy poblask kropli benzyny w kałuży. Nie mógł znieść tego, że straci to piękno. Nie mógł znieść myśli o spojrzeniu głębiej, na brzydotę tego, co tkwiło pod powierzchnią.

- Pomóż mi - wyszeptła Claire, zmagając się z guzikiem jego dżin-sów.

Z niewypowiedzianą ulgą Spence, drżąc, wypuścił powietrze; czuł narastające, niecierpliwe pulsowanie, gdy suwak zamka przesunął się milimetr po milimetrze. Wbijając krótkie paznokcie w jego skórę, jednym szarpnięciem zdarła wszystko, co miał na sobie, i obnażyła jego naprężony członek.

Niecierpliwym kopnięciem zrzucił nogawki spodni i osunął się na nią całując desperacko. Chciał, żeby to trwało wiecznie, chciał dawać jej rozkosz rękami i językiem, by każdym centymetrem ciała zapamiętała jego namiętność. A gdy Claire przyciągnęła jego biodra, przyjmując go w siebie, zupełnie stracił nad sobą kontrolę...

Spróbował się unieść, ale ostry ból przeszył jego lewe ramię. Ból rany, o której udało mu się zapomnieć.

Szarpnął się w tył, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby. Claire usiadła, wpatrując się w jego twarz.

- Och, Spence, jesteś ranny. Ty biedaku...

Ich spojrzenia spotkały się.

- Nie chcę twojej litości, Claire. Pragnę cię bardziej niż czegokolwiek w życiu. Potrzebuję cię.

Jeszcze raz, pomyślał, gdy pchnęła go lekko w tył i siadła na nim okrakiem. Przyciągnął jej głowę, by móc całować usta, a ona opuściła się na jego naprężony członek. Stara prycza skrzypiała, gdy się kołysali. Najpierw powoli, smakując każde doznanie, a potem szybciej, coraz szybciej, aż pod powiekami Spence'a ciemność eksplodowała oślepiającym światłem.

Po chwili jednak inne migotanie przykuło jego uwagę. Snop światła przesunął się po brudnych szybach. Snop światła latarki.

Rozdział 9

Gdy Claire przestała drżeć, zatoneła w obłoku rozkoszy, jej ciało rozluźniło się, a kąciki ust uniosły w uśmiechu. Pogrążyła się w tym przyjemnym doznaniu, uniesieniu tak wspańiałym, że narkomani zaprzędaliby swe dusze w bezowocnych próbach, by przeżyć choć jego namiastkę.

Ale po krótkiej chwili Spence nią potrząsnął.

- Ktoś tu jest - wyszeptał gorączkowo. - Ktoś jest na zewnątrz z latarką.

Rozkosz przysła, pojawił się strach. Claire zeskoczyła z pryczy, chwyciła dzinsy i wsunęła stopę w nogawkę.

- O cholera, jeśli to mój ojciec... Spence, musisz się ukryć.

Dobiegające z zewnątrz warczenie silnika sprawiło, że jej oczy rozszerzyły się z przerażenia.

- Wóz terenowy! - rozpoznała szorstki warkot. - Ktoś go właśnie zapala!

Spence stanął nagi przy oknie i spojrzał w ciemności.

- Jakiś sukinsyn go kradnie! - wykrzyknął.

Już w dzinsach, Claire wsunęła dłoń do kieszeni kurtki. To nie ta, uświadomiła sobie, sięgając do drugiej. Tej, w której był pistolet.

Spence zacisnął palce na jej nadgarstku.

- Ja to zrobię, Claire.

Nie próbowała go powstrzymywać. Przecież przez ostatnie dziesięć lat ścigał przestępców.

Z pistoletem w ręce szarpnięciem otworzył drzwi - ale zobaczył tylko czerwony błysk tylnych świateł wozu, który był już daleko.

Claire stanęła za nim.

- Nigdy go nie dogonimy na piechotę.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Twój wandal?

Kiwnęła głową.

- Tak mi się wydaje. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby jakiś przeciętny złodziej zakradał się tutaj w nocy, na takie odludzie, i to w dodatku na piechotę.

Spence podniósł spodnie i usiadł na pryczy, by się ubrać.

- Mówisz, że to on. Masz na myśli Randalla czy może kogoś innego?

Pokręciła głową.

- Nie wiem. Nie potrafię teraz się tym martwić. Za bardzo się boję. Co będzie, jeśli on zrobi coś koniom? Jeśli teraz jedzie w stronę padoku, żeby wyrządzić im krzywdę?

- Powoli, Claire. Zgoda, że nie damy rady go złapać, ale jeśli zacznieś go ścigać nieprzygotowana, może ci się coś stać.

Zapięła stanik i szybko podniosła z podłogi koszulę. Nie podobały jej się próby Spence'a, by ją uspokoić. A to, że miał rację, tylko ją jeszcze bardziej drażniło.

- Muszę zadbać o to, by były bezpieczne. - Jej słowa posypały się jak zerwane ze sznura korale. - To, co się dzisiaj stało... Ja je zawiodłam.

- Nie możesz się obwiniać o to, co zrobił jakiś świr, jakiś przestępca...

- A czy ty nie zrobiłeś dokładnie tego samego? - spytała, a w jej głosie pobrzmiwała frustracja i niepokój. - Wtedy, kiedy winiłeś się za to, co się stało z tamtym chłopcem. Czy to nie to zrujnowało nasze życie?!

Zauważyła, że drgnął. Dostrzegła ból na jego twarzy, ale nie mogła się powstrzymać.

- Czy to nie dlatego ukrywamy się tutaj, ty z krwawiącą raną postrzałową, i ja, która zastanawiam się, jak, do cholery, mam wy...

Zamarła, przerażona tym, że omal się nie zdradziła. Obiecała przecież sobie, że nie powie Spence'owi o ciąży. Nie teraz, kiedy tak wiele

zawisło na włosku. A już zwłaszcza nie w chwili, kiedy ktoś odjeżdżał wozem terenowym jej ojca i mógł Bóg wie co zrobić jej koniom.

- Jak masz co? - zapytał Spence.

Zawahała się tylko na ułamek sekundy.

- Jak mam wyprowadzić ich z błędu, żeby od nowa rozpoczęli śledztwo. Żeby oczyścić cię z zarzutów.

Siadła, włożyła skarpetki, a potem wsunęła stopy w oblepione błotem buty.

Pokręcił głową.

- Nie zgadzam się. To nie jest zadanie dla ciebie. Mówiłem ci już wcześniej. Chcę, żebyś...

Podeszła do worków, z jednego z nich wyciągnęła spłowieła roboczą koszulę ojca i rzuciła mu ją.

- To było, zanim... zanim się kochaliśmy. A może to był tylko taki stary odruch, Spence? Ostami numerki przed wyruszeniem w drogę?

Zaczął wkładać koszulę, koncentrując się na tym, by nasunąć rękaw na zranione ramię. Nie patrzył na nią... A może nie chciał na nią patrzeć?

- To nie jest twój problem. To nie może być twój problem.

Zamrugnęła, żeby powstrzymać łzy.

- Nie zostawię cię.

- Jeśli ty nie złożysz pozwu o rozwód, ja to zrobię. Nie zmienisz mojej decyzji w tej sprawie.

Zgrzytając zębami, naciągnęła kurtkę i złapała przenośną lampkę. Podeszła do drzwi, ale zatrzymała się jeszcze, by na niego spojrzeć.

- A więc teraz powinnam pewnie powiedzieć „żegnaj”. Powinnam pozwolić ci odejść i załatwić to samemu.

Albo zginać, próbując to załatwić, dodała w myślach, uświadamiając sobie, że właśnie to zamierza zrobić Spence. Dać się zabić, by uwolnić ją od kłopotów, które ściągają na nich oboje. Zapewne stając twarzą w twarz z Beto Chavezem...

Wolałaby raczej znów zobaczyć swojego męża w więzieniu, zamkniętego na zawsze, niż pozwolić mu zrobić coś takiego.

Spence odwrócił wzrok, patrząc w róg ciemnego pomieszczenia.

- Pamiętaj tylko, że cię kochałem.

- Niech cię szlag, Spencerze Winslow! Niech cię szlag!

Wciąż trzymając lampkę, jednym szarpnięciem otworzyła drzwi. Zawahała się przez chwilę, nasłuchując warkotu silnika terenówki, ale

nic nie usłyszała. Zdecydowanym krokiem weszła w otaczającą ją ciemność, tak szybko, jak tylko nogi mogły ją ponieść. Łzy spływały jej po twarzy, nie obejrzała się jednak ani razu, choć słyszała za sobą ciężki oddech Spence'a, trzask łamanych przez niego gałązek i szelest liści pod jego stopami.

Ten szaleńczy pośpiech drogo ją kosztował. Gałęzie szarpały rękawy, a pętla kolczastego pnącza otarła delikatną skórę na jej szyi. Po jakimś czasie nie słyszała już za sobą Spence'a.

Lecz dopiero gdy dotarła do pogrążonego w ciszy padoku, uświadomiła sobie, że go nie ma. Nie tylko męża, ale i pistoletu, który w swoim pośpiechu, by wrócić do koni, zostawiła Spence'owi.

Spence potknął się o wystający pień i chwycił się za kostkę. Dyssał ciężko, próbując zacerpnąć tchu, a ból eksplodował w jego lewej stopie i rannym ramieniu. Jego ubranie przemokło, a błoto chlupało mu w butach.

Ale to wszystko było niczym w porównaniu z bólem utraty Claire.

Zanim doszedł do siebie na tyle, żeby móc ją zawołać, światło lampki dawno znikło mu z oczu. Mimo to wykrzykiwał w ciemność jej imię, tak długo, aż zaschło mu w gardle. Ale nawet, jeśli go słyszała, nie dała mu żadnego znaku.

Zbyt zdyszany, by dalej krzyczeć, z trudem podźwignął się na nogi i oparł się o smukły pień drzewa. Chmury zasnuły gwiazdy i nie mógł dojrzeć niczego oprócz pulsujących rozbłysków dalekich błyskawic.

Wyteżał słuch, desperacko pragnął usłyszeć głos Claire, wołającej jego imię. Ale dotarł do niego tylko słaby pomruk grzmotu i szelest kropeł deszczu na liściach ponad nim. Wydawało mu się, że rozpoznaje odległy szum wody mknącej korytem wezbranego potoku. Nie usłyszał jednak ani głosu Claire, ani pomruku silnika. Co się, u diabła, stało z tą terenówką?

Modlił się, by człowiek, który ją ukradł, był już daleko stąd. Choćby dlatego, że nie oddał Claire pistoletu. Ale nawet gdyby miała go przy sobie, i tak wzdragał się na myśl o tym, w jakim stanie pobiegła naprzeciw niebezpieczeństwu. Claire zazwyczaj była rozsądna, zbyt rozsądna, by próbować sama zmierzyć się ze złodziejem, ale jakiś głos ostrzegwał go, że dzisiaj wszelki rozsądek mógł ją opuścić. Po horrorze, przez który przeszła z jego powodu, i skutek szoku, jaki wywołała konieczność dobiecia konia, jej nerwy były napięte do granic wytrzymałości. Z doświadczenia

wiedział, że w takim stanie nie wolno podejmować decyzji rozstrzygających o życiu i śmierci.

Coś zaszeleściło w liściach na prawo od niego i Spence rzucił się w tym kierunku, zaciskając pięści, by się bronić przed tym, co wyłoni się z ciemności. I roześmiał się, uświadamiając sobie, że musiało to być coś niewiele większego od myszkującego pancernika albo głodnego oposa.

Rozprostował palce, odwrócił się i zaczął po omacku iść w stronę domku myśliwskiego. Claire, kiedy przyjechała terenówką, miała przy sobie latarkę; poszuka jej teraz. Będzie jej potrzebował, żeby znaleźć drogę w tych czarnych jak smoła ciemnościach.

Właśnie to musi zrobić. Nie tylko po to, by obronić Claire przed bandytą, który może gdzieś się tu kręcić, lecz i po to, by ochronić ją przed podejrzeniami. Podejrzeniami, spadającymi na niego jak gromada sępów, których ciemne skrzydła napełniały jego duszę lękiem.

Rozdział 10

Martwy jak kamień. Joel Shepherd znalazł go leżącego twarzą w dół w jednym z dopływów potoku Little Bee Creek, który nie miał nawet nazwy.

Jako szeryf wiedział, że jeszcze daleka droga do oficjalnej identyfikacji zwłok, ale od chwili gdy jego zastępca Frank Ashford zadzwonił do niego do domu i podał mu opis, Joel domyślił się, że wreszcie odnaleźli Adama Stricklanda. Sprawa Spencera Winslowa i tajemnicze zniknięcie biologa pochłaniały dziesiątki godzin pracy i Joel wciąż musiał zostawać w pracy do późna tak często, że Lori Beth zaczęła już udawać, że go nie poznaje. Joel miał nadzieję, że kiedy tylko koroner spojrzy na ciało, uda mu się szybko przekonać prokuratora, że za oba przestępstwa odpowiedzialny jest ten sam człowiek. A potem wreszcie zajmie się ratowaniem swojego małżeństwa.

Młodszy z dwóch zastępców Joela, jego daleki kuzyn, dwudziesto-czteroletni Earl Branson, ściągnął buty i skarpetki i brodząc, wchodził coraz dalej w szybko rwący strumień.

- Jezu, ale zimno - stęknął i skrzywił się.

Joel nie przejął się tym zbyt, ale wciąż świecił mu latarką. Earl był takim mazgajem, że zawsze grymasił.

Chłopak zatrzymał się jakieś dwa metry od ciała i wyciągnął swoje parówkowate ramię w stronę płotu, o który zaczepiły się wysokie muszardowe gumki. Popychany rwącym nurtem, jęczał, gdy woda smagała mu uda.

- Chryste, ale zimno. Cholera. Zaraz mi ją odpadną.

- Uważaj. - Joelowi wcale nie chodziło o bezpieczeństwo Earla, które gwarantowała gruba lina, solidnie obwiązana wokół jego miękkiego brzucha. Jej drugi koniec był przywiązany do zderzaka dużego forda. W tej chwili większym zmartwieniem dla Joela była pani Briggs-Hadley - stała niecałe trzy metry dalej, otulała się ramionami i odwracała wzrok. Frank, który pierwszy odpowiedział na jej telefon, trzymał nad jej głową parasolkę, by uchronić ją przed przypadkową kroplą deszczu, i próbował ją przekonać, by pojechała do domu. Jednak wciąż się opierała, i Joel zaczął podejrzewać, że nie chce być sama w tym swoim muzeum z białymi wysokimi kolumnami i marmurową posadzką. Zaproszono go tam tylko raz i choć dom zrobił na nim duże wrażenie, był tak dziwny i niesamowity, że Joelowi skóra cierpła na plecach.

W kontakcie z taką damą, o takiej pozycji, było bardzo istotne, żeby wszyscy uważali, jak się wyrażają, i by odnosili się do niej z szacunkiem. Zwłaszcza ze względu na hojny wkład jej męża w niedawną kampanię Joela. Po osiemnastu latach pracy w policji Buck County - a pracował w niej nawet dłużej niż Joel - ziemista twarz Franka zdradzała, że dobrze rozumiał realia polityczne hrabstwa. Ale Earl, cóż, Earl potrafił zawsze wszystko schrzanić.

Jakby próbując to udowodnić, chłopak zawołał:

- Boże, ale to śmierdzi. I jakieś takie miękkie. Słuchaj, kuzynie, jak go przywiążę, żeby go stąd wyciągnąć, to może nam odpaść spory kawał.

Cholerny idiota. Gdyby nie był ulubieńcem matki Joela, wyleciałby na zbity pysk za mówienie takich rzeczy przy damie. A już zwłaszcza za to, że w robocie zwraca się do Joela per „kuzynie”.

Zniżając głos, Joel powiedział:

- Stul pysk, bałwanie. Pomogę ci stamtąd wyleźć. Zadzwoniemy lepiej po straż pożarną, niech przyślą nam wsparcie. Nie możemy sobie pozwolić na to, by stracić dowody.

Nawet z tej odległości, z jakichś sześciu metrów, widział, że Earl ma rację co do stanu zwłok. Kończyny podskakiwały w wartkim nurcie jak

gotujący się makaron, a blade napuchnięte ciało luźno zwisało, wydymając się tam, gdzie szarpał je prąd. W paru miejscach było poranione przez skały i gałęzie, gdy prąd niósł nieszczęśnika w dół strumienia. A może dobrały się do niego uczujące żółwie wodne czy inne stworzenia. Z pomocą straży pożarnej będą mogli rozwiesić sieć pod ciałem i zawinąć je w nieprzemakalny brezent, zanim spróbujecie wyciągnąć.

Earl, postępując i trzymając się liny, parł w stronę brzegu.

- Cholera, kuzynie. Wszystkie dowody, które były na tym gościu, są już ze trzydzieści kilometrów stąd. Nie trza mi koronera, żeby wiedzieć, że jest sztywny od wielu dni. A może nawet dłużej. Pewnie od czasu, kiedy Winslow go dopadł trzy tygodnie temu.

Joel przypuszczał, że Earl ogląda więcej programów kryminalnych, niż wychodzi mu to na zdrowie, lecz tym razem żółtodziób na pewno miał rację. Dokładnie tak to wyglądało. Joel zastanawiał się, jak sprzeda to prokuratorowi: powie, że mąż Claire Meador - a raczej Claire Winslow - któremu i tak pomieszało się już trochę pod sufitem po śmierci jego partnera w San Antonio, widział albo wyobrażał sobie coś, co przekonało go, że Strickland stanowi zagrożenie. Wtedy Spencer zamordował biologa i wrzucił jego ciało do strumienia niedaleko Monarch Ranch. Być może to wtedy pomyślał o zabiciu Claire, ale sam nie był w stanie tego zrobić. Albo, co bardziej prawdopodobne, jako wieloletni gliniarz dobrze wiedział, że małżonek zawsze jest dokładnie prześwietlany jako podejrzany. W przeciwieństwie do wersji, że Winslow chciał wykorzystać ubezpieczenie na życie Claire, by pokryć swoje długi z hazardu, ta teoria wyjaśniała oba zbrojstwa.

Ale Joelowi coś w tym scenariuszu nie pasowało, nieważne jak bardzo starał się go bronić, rozpracowując sprawę z prokuratorem. Może dlatego, że Claire tak bardzo nie chciała w to uwierzyć, a może miał problem, ścigając innego stróża prawa, który według powszechnej opinii był cholernie dobrym gliną.

To musi być to, Joel przekonywał samego siebie. Podejrzewał, że w zakamarkach umysłu każdego policjanta czai się ten sam lęk. Że ciemność, z którą codziennie obcuje, w końcu go pochłonie. A teraz pracował nad sprawą, w której właśnie to się zdarzyło. Sprawą, przez którą zaczął się zastanawiać, czy i on nie stanie się kiedyś zagrożeniem dla Lori Beth i ich dwojga dzieci.

Pomógł Earlowi rozwiązać linę wokół pasa, a potem odwrócił się w stronę policyjnej terenówki i powiedział:

- Teraz zadzwonię po ochotników ze straży. A ty wyrażaj się przyzwoicie, Earl.

Wiatr zmienił kierunek, napełniając ich nozdrza wilgotnym, cuchnącym odorem.

- Czujesz to gównno, kuzynie? - zapytała chodząca antyreklama nepotyzmu. - Boże, dopomóż nam, jak to coś się rozpadnie, kiedy będziemy to wyciągać na brzeg.

Joel spojrział z zażenowaniem w stronę pani Briggs-Hadley - i zobaczył, że patrzy na nich szeroko otwartymi oczami, a na jej bladej twarzy maluje się przerażenie.

- Przepraszam panią- wymamrotał, dotykając szerokiego ronda kapelusza, a potem złapał swojego dalekiego krewnego za ramię i pociągnął go w stronę forda expedition.

W tej chwili uświadomił sobie bardzo wyraźnie, że byłby w stanie zamordować członka rodziny. Lori Beth może się nie denerwować, dopóki ten kretyń Earl jest w pobliżu i kusi los za każdym razem, kiedy otwiera gębę.

Zanim Spence znalazł latarkę, zaliczył jeszcze kilka nowych siniazków. Pozbierał jedzenie i wszystko, co mogło się przydać, upchnął rzeczy do dużego plastikowego worka i szybko ruszył do drzwi.

Zatrzymał się, bo coś załśniło w świetle latarki. Jakiś metalowy przedmiot leżał na zakurzonej podłodze. Myśląc, że Claire upuściła kluczyki, schylił się, by go podnieść, i zobaczył, że to bransoletka.

Bransoletka, którą miesiąc temu znalazł nad brzegiem Little Bee Creek. Skąd, u diabła, się tu wzięła? Ostatnio widział ją, gdy...

Wepchnął bransoletkę do kieszeni. Będzie dość czasu, żeby zastanowić się nad tym później, kiedy już znajdzie Claire.

Kilka koni było pogrążonych w drzemce, stały na pastwisku ze zwieszonymi głowami. Cynamonka i Krzaczor, które odprowadziła do bokosów najbliższej biura, by doszły do siebie po tym, co przeżyły, tęsknie zarżały na jej widok, strzygąc uszami w nadziei na smaczną przekąskę w środku nocy.

Claire odetchnęła z ulgą i przestała świecić sobie lampką. Ktokolwiek zabrał terenówkę, musiał pojechać gdzieś indziej, bo w przeciwnym razie zwierzęta byłyby niespokojne. Serce wciąż waliło jej w pierśiach, a płuca paliły po szybkim marszu. Zapragnęła przytulić się do tych

ciepłych, mocnych stworzeń i poczuć spokój, który tak często ją ogarniał przy nich. Ale nawet gdyby miała na to czas, jej niepokój zdążyłby się im udzielić i wtedy ona sama jeszcze bardziej by się zdenerwowała. Wymamrotała do nich pożegnanie, wyłączyła lampkę i cofnęła się w noc.

Czuła się, jakby wpadła do kadzi z atramentem. Poruszając się w ciemnościach, uświadomiła sobie silniej niż zwykle, jak bardzo jest tutaj sama i że Spence albo tamten złodziej mogą ukrywać się w pobliżu i w każdej chwili ją tu odnaleźć.

Nie była pewna, która możliwość przeraża ją bardziej, ale w jej głowie panował taki zamęt, że postanowiła zaufać instynktowi. Usłuchała go, gdy ją ostrzegł, że lampka przyciągnie kłopoty, tak jak świeca ćmy. I posłuchała go teraz, kiedy podpowiedział jej, żeby zabrała swój tyłek do biura i szybko zamknęła drzwi na klucz.

Wsunęła dłoń do kieszeni, by wyciągnąć klucze, i zadarła sobie paznokieć. Jęknęła, jednak nie z bólu, lecz dlatego że uświadomiła sobie, że przyczepiła je do kółka z kluczykami od terenówki. Wracając do Spence'a w pośpiechu, zostawiła je w stacyjce.

Co na pewno ucieszyło kogoś, kto myszkował po jej posesji i śledził ją aż do domku myśliwskiego. Na tę myśl ogarnęły ją mdłości, a serce zaczęło bić szybciej ze strachu. Ten ktoś mógł widzieć Spence'a, mógł zaglądać przez okno, kiedy się kochali.

A kto to był? Wandal albo zastępca szeryfa, jeden ze zbirów Beto Chaveza? Gardło ścisnęło jej się ze zstrachu. Jeśli złodziej nie był zwykłym wandalem, pozostawały tylko te dwie inne możliwości - zastępca szeryfa czy zbir mógł wziąć terenówkę, żeby pojechać po posiłki.

I może wróca, żeby schwytać Spence'a albo go zabić. Krew zastęła jej w żyłach. Choć myśl, że Spence znów trafi do więzienia, była okropna, znacznie bardziej przerażało ją to, że może zostać zamordowany tej nocy.

Jeszcze raz instynkt przyszedł jej na ratunek. Zanim uświadomiła sobie, co robi, już schylała się przy kamiennym krawężniku klombu; chwyciła kamień większy niż jej obie pięści i rozbiła nim okno. Nic jej nie obchodził hałas i zapomniała o własnym bezpieczeństwie. Jedno wiedziała na pewno; musi zadzwonić po Joela Shepherdę. Musi mu powiedzieć, że Spence tu jest, że jest ranny i że muszą go szybko znaleźć.

Muszą jak najszybciej odszukać jej męża i zamknąć go gdzieś, gdzie będzie bezpieczny.

Rozdział I 1

To dźwięk tłuczonego szkła przyciągnął go w pobliże biura. Ale dopiero słowa Claire wbiły się jak nóż w jego serce.

- On tu jest - usłyszał jej głos. Prawdopodobnie mówiła do telefonu.
- Jest na ranczu i jest ranny. Proszę, Joel, przyjedź tu od razu. Sprowadź swoich zastępców i wsadź go do więzienia, tam gdzie jego miejsce.

- Jezu... - powiedział cicho, bardziej modląc się, niż przeklinając. A modlił się, żeby to, co usłyszał, nie było prawdą, żeby te słowa wytworzyła jedynie jego wyobraźnia, opanowana przez ból, głód i wyczerpanie.

Ale wystarczyło, że posłuchał jeszcze tylko przez kilka chwil, i dotarło do niego, że to prawda. Claire zdradziła go w najgorszy możliwy sposób, mimo tego, co wydarzyło się między nimi.

Zbierało mu się na wymioty, miał ochotę rzucić się na kolana i wyrzygać z siebie wszystkie, dosłownie wszystkie uczucia. Ale nie potrafił uwolnić się od bólu i wściekłości. Po chwili ogarnął go wstyd. Bo zrozumiał, że zasłużył sobie na to. I jeśli pragnie w jakimś stopniu się rozgrzeszyć, to musi znaleźć sobie kryjówkę, gdzie będzie mógł się zaszyć i trochę odpocząć.

Znał takie miejsce. Wiedział, że tam bezpiecznie przetrwa noc. Nie wiedział natomiast, czy starczy mu sił, żeby tam dotrzeć.

Czy starczy mu sił.

Czy starczy mu woli.

Czy starczy mu chęci.

Gdy Joel Shepherd wjechał na podjazd przed swoim domem parę minut po drugiej w nocy, subaru Lori Beth nie było jeszcze pod wiatą.

Ogarnięty złym przecuciem, wstrzymał oddech. Wcześniej rano ona musi być w pracy, w przedszkolu - pomyślał - więc niemożliwe, żeby do tej pory nie wróciła do domu... Chyba że Tyler znów ma anginę, albo czteroletnia Kylie. W ubiegłym roku oboje trzeba było wozić na izbę przyjęć w środku nocy.

Usiłował sobie przypomnieć, czy któreś z dzieci było niedawno chore. Ostatnio, kiedy wracał do domu, cała rodzina już spała. Zmarszczył brwi, próbując się skoncentrować. Czy Lori Beth mówiła coś o tym przez telefon?

A może tylko zwodził się tą myślą? Już od paru tygodni wszystko się sypało. Od czasu, gdy znalazła pierścionek zaręczynowy - ten sam, który dał kiedyś Karen Meador - w kieszeni jego roboczych spodni, bo wrzucił je do prania. Wciąż pamiętał szok i ból w oczach żony. Nie wiedziała, że przez te wszystkie lata wciąż trzymał w skrytce bankowej ten pierścionek z małym diamentowym oczkiem, z którego kiedyś był taki dumny. I zupełnie nie rozumiała, dlaczego w ostatnich tygodniach poczuł potrzebę, by nosić go przy sobie. Mimo usilnych próśb Lori Beth wciąż odkładał poważną rozmowę, odkładał tak długo, że teraz rozumiał, że żona go opuściła. Zabrała dzieci, pewnie razem z ich małym kociakiem, i pojechała do rodziców do Comfort.

„Nie potrafię rywalizować z nieżyjącą kobietą, Joel. A teraz nie pamiętam już nawet, dlaczego kiedykolwiek chciałam spróbować”.

Choć słowa żony wciąż jak echo brzmiały mu w głowie, wbiegł do domu z bijącym sercem i kolejno sprawdzał puste pokoje, wciąż mając nadzieję, że ją tu znajdzie.

Claire nie wyobrażała sobie, że mogłaby zasnąć. Nie wierzyła, że to możliwe nawet po telefonie do Joela ubiegłej nocy i nerwowej rozmowie z ojcem, która nastąpiła potem. Jednak, kiedy telefon zadzwonił, dźwięk przebudził ją, choć ojciec podniósł słuchawkę już po pierwszym sygnale.

Podnosząc głowę z poduszki i opierając ją na łokciu, Claire spojrzała z sofy na telefon zamontowany na ścianie przy kuchni. Ojciec stał odwrócony do niej plecami, lecz rozpoznała silne napięcie po jego sztywnym karku i nerwowych ruchach lewego nadgarstka. Przemknęło jej przez myśl, żeby jeszcze raz zapytać, czy zadzwonił już do kardiologa, by umówić się na wizytę.

- Dorwaliście go, Joel? - zapytał ojciec.

Widząc, że jej pani się obudziła, Pogo w podskokach wbiegła do salonu, oparła łapę na krawędzi skórzanej sofy w kolorze burgundzkiego wina i zaczęła lizać Claire po twarzy. Broniąc się łagodnie przed mokrymi pocałunkami, Claire usiadła. Wciąż miała na sobie ubranie, które włożyła w nocy, ale światło poranka, sączące się przez szerokie okno, oświetliło liczne plamy i podarte miejsca.

-Nie? A czemu nie, u diabła? - Słowa jej ojca były niczym flagi, łopoczące na porywistym wietrze. - W takim razie, szeryfie, powinien pan znaleźć sobie parę psów, i jak tylko zobaczycie tego sukinsyna, to najpierw strzelajcie, a potem zadawajcie pyta...

- Tato! - Claire zerwała się na równe nogi i podbiegła do niego z wyciągniętą ręką. - W tej chwili daj mi telefon!

Podekscytowana nagłym ruchem, Pogo skakała i szczekała; Will Meador spojrział na córkę, a potem odsunął słuchawkę, by nie znalazła się w zasięgu jej dłoni.

- Teraz muszę się uporać z Claire - burknął. - Proszę do mnie zadzwonić, kiedy będzie mi pan miał coś do powiedzenia. I lepiej, żeby to było szybko, do cholery.

Zanim Claire udało się wyrwać mu telefon, z gniewem zawiesił słuchawkę i wymruczał pod nosem:

- Nie znalazł mojego wozu. Nie znalazł twojego męża. Jaki, do diabła, z niego pozy...

- Cholera, tato! Nie możesz mu mówić, żeby strzelał do Spence'a. Zadzwoniłam do Joela głównie dlatego, żeby Spence'owi nic się...

- On zapłacił komuś, żeby... żeby cię zabił, Claire. - Przerwał jej głosem starego człowieka. - Apotem, kiedy tylko miał okazję, przyszedł prosto tutaj, żeby się z tobą spotkać. Nie pozwolę mu cię skrzywdzić. Nie mogę mu pozwolić, żeby znowu nas skrzywdził.

Claire otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, ale gniew już w niej ostygł, jak wrzątek polewany przez sito. Spence zranił jej ojca pod pewnymi względami nawet bardziej niż ją samą. I nieważne, jaka jest prawda - czy Spence został wrobiony, czy cała ta teoria była jakimś strasznym nieporozumieniem - jej ojciec nigdy mu nie wybaczy. Ani nie przestanie próbować jej chronić.

- Nie rozumiesz? - zniżył głos się do szeptu. - Jeśli Spence... odejdzie, odejdzie raz na zawsze, wtedy możesz mieć to dziecko. Ale moja propozycja, choć to dla ciebie trudne, wiem, że trudne, jest wciąż aktualna. Jeśli się jednak przy tym upierasz, pomogę ci wychować...

Chwyciła jedną z jego dłoni, dużą kościstą i pokrytą starczymi plamami, i objęła ją swoimi dłońmi. Spojrzała w jego ciemne oczy tak podobne do jej własnych.

- Kocham go - powiedziała cicho. - Wiem, że to nie ma sensu, wiem, że nie zrozumiesz. Ledwie sama to rozumiem, lecz tak właśnie jest, tato. Tak właśnie jest.

Jego twarz stężała, wyszarpnął rękę. Odwrócił się do niej plecami i nalał sobie kawy z ekspresu stojącego na blacie.

- Zawsze cię kochałem, Claire. I zawsze starałem się, jak mogłem, szanować twoje decyzje. Kiedy popełniałaś błędy, raczej się

nie wtrącałem i chciałem pozwolić ci się na nich uczyć. Nawet kiedy postanowiłaś posłubić zwykłego gliniarza, którego wychowała banda harleyowców.

- To prawda, że wujkowie Spence'a są trochę nieokrzesani, ale są nieszkodliwi, a tak naprawdę to na swój sposób nawet mili - sprzeciwiła się chyba po raz setny.

- Jestem adwokatem od prawa karnego. Wiem, jacy są: to potencjalni oskarżeni z rozbieganymi oczami, którzy ukradliby wszystko, co nie jest przybite gwoździami... I wiedziałem, jaki jest twój mąż, jeszcze zanim zapłacił, żeby się ciebie...

Zwinnie przeszła obok niego i podniosła słuchawkę.

- Daj spokój, tato, zanim się od tego pochorujesz. Dzwonię teraz do Joela. Zamierzam mu jeszcze raz powtórzyć, że nie ma w ogóle mowy, żeby Spence chciał mnie skrzywdzić. Powiem wszystko, co tylko dam radę wymyślić, wszystko, co trzeba, żeby przekonać jego i jego zastępców, by nie strzelali do mojego męża.

Tym razem to ona obróciła się plecami do ojca. Usłyszała, jak obcas jego butów stukają o kafelki, gdy z impetem wypadł z kuchni. Kiedy rozmawiała z Joelem, usłyszała trzaśnięcie drzwi na tyłach domu, a niecałą minutę później pomruk potężnego silnika białego cadillaca.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła ojca - odjeżdżał z zaciśniętymi szczękami i z ponurą miną. Gdy skręcił, poranne słońce odbiło się od przedniej szyby, rażąc ją w oczy tak, że musiała odwrócić wzrok.

- Słyszałaś, co powiedziałem? Mówiłem, że jestem prawie na sto procent pewien, że ciało, które twoja przyjaciółka, pani Briggs-Hadley, znalazła wczoraj w nocy w potoku, to ciało Stricklanda.

Zajęta rozmową i chcąc jak najszybciej złagodzić ostre słowa ojca, Claire nie spojrzała, w którą stronę pojechał. I nie zastanawiała się nad tym aż do chwili, gdy przeszła obok jego gabinetu, idąc do łazienki.

Nie uświadamiając sobie, co zauważyła kątem oka, zastygła w miejscu i po kilku sekundach zrozumiała, co było nie tak. Regał na broń był otwarty. Gdy zajrzała do środka, zobaczyła puste miejsce tam, gdzie zawsze leżała jego strzelba myśliwska. I w jednej straszliwej chwili pojęła, co zamierza zrobić jej ojciec.

W kuchni wisi zegar z kukułką, pamiątka po matce Claire, pięknej brunetce, która przywiozła go ze swej jedynej podróży do Europy. Claire

nie pamiętała tej kobiety i znała ją tylko z fotografii stojącej na jej nocnym stoliku. Jednak teraz ogarnęło ją pragnienie, by rozwalić tę pamiątkę na kawałki, gdy kpiła z niej, odmierzając mijające godziny.

Choć odwróciła się tyłem do zegara, liczyła groteskowe świergoty: dziewięć... dziesięć... i jeszcze jedenaste, a potem to chłolerstwo się zamknie. Spojrzenie przez ramię potwierdziło fakt, że przedpołudnie upływa bez żadnych wieści o Spencerze ani o jej ojcu.

- Nie martw się o czas - skarciła ją Ellen, odgarniając za ucho jasny kosmyk włosów. - Myśl tylko o tym, żeby przeżuć i połknąć kolejny kawałek omletu.

Ellen pojawiła się pół godziny po wyjeździe ojca. Claire nie była pewna, kto ją tu ściągnął, ale podejrzewała, że Joel, gdy tylko skończyli rozmawiać przez telefon.

Bez względu na to, kto to zrobił, Ellen od razu uderzyła w matczyne tony. Sądząc po jasnym spojrzeniu jej niebieskich oczu, nawet jej alergia nie miała szans wobec misji, której celem było zaopiekowanie się Claire. Starszej kobiecie udało się już na wpół ją namówić, a na wpół zmusić, by wzięła prysznic i włożyła świeże dżinsy i jasnozielony T-shirt. Kiedy Claire się kąpała i przebierała, Ellen zarekwirowała kuchnię i upichciła śniadanie, które bardziej odpowiadało potrzebom jej biegających za piłką synów i wiecznie głodnej Megan.

Problem polegał na tym, że Claire nie miała ochoty na to, by ktoś ją rozpieszczał. A właściwie nie miała ochoty na nic, z jednym wyjątkiem: chciała odnaleźć ojca, zanim on narobi sobie poważnych kłopotów. Albo zanim uda mu się dopaść Spence'a, nim dopadnie go Joel i jego ludzie.

Widelec brzęknął o talerz, wypadając jej z ręki. Jajko, ser, papryka i cebula zawirowały jej przed oczami i poczuła, jak jej żołądek się buntuje.

- Nie dam rady.

Chwyając się krawędzi stołu, spróbowała wstać. Tylko spróbowała, bo Ellen oparła pięść na swym szerokim biodrze, a drugą ręką wskazała na prawie pełen talerz.

- W tej chwili siadaj na tyłku, Claire!

Zbyt zaskoczona, żeby się spierać, Claire opadła na krzesło i spojrzała na nią krzywo.

- Nie jestem jednym z twoich dzieciaków.

- Szczera prawda. Cholera! One same smażą sobie teraz omlety i wylewają na nie pół butelki tabasco.

Claire spróbowała się uśmiechnąć, ale na myśl o pikantnym sosie zrobiło jej się jeszcze bardziej niedobrze. Krzywiąc się, spojrzała na nieknięty pełnoziarnisty tost.

- Może zjem to. Mój żołądek chyba sobie nie poradzi z...

- Twój żołądek się po prostu odzwyczaił. Myślisz, że nie zauważyłam, ile straciłaś na wadze i jaka jesteś wyczerpana, odkąd to wszystko się zaczęło? A teraz jedz, Claire.

I łagodniejszym tonem dodała:

- Proszę.

Claire wzięła tosta, który zdążył już wystygnać, i powoli odgryzła kawałek. W ustach miała tak sucho, że jedzenie stanęło jej w gardle jak trociny, ale przełknęła je, popijając łykiem mleka. Odczekała chwilę, by upewnić się, że nie zwróci tego, co zjadła, a potem utkwiała wzrok w talerzu.

- Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałam i nie martwiłam. Ale to nie tylko stres... Ja... jestem w ciąży.

Claire podniosła oczy, przygotowując się w myślach na kolejną dyskusję, taką jak ta z ojcem ubiegłego wieczoru. Lecz zamiast dezaprobaty, której się spodziewała, zobaczyła, że Ellen rozdziawiła usta i zamrugała oczami, gdy dotarło do niej znaczenie tych słów.

- O rany! - wykrztusiła wreszcie. - Masz o czym myśleć, dziewczyno. Chwila jest... cóż, chwila jest, jaka jest. Powiedz, jak ci mogę pomóc?

Claire odetchnęła głęboko, a bijące jak szalone serce zaczęło znów uderzać wolniej. Powaliła ją szczerść Ellen.

- Jeszcze nie wiem - odparła. - Mój ojciec dowiedział się o tym wczoraj wieczorem i był oburzony. Wciąż mi powtarza, że to absurd, żeby w całym tym bałaganie sprowadzać jeszcze na świat dziecko.

- Ale co ty o tym myślisz? - W słowach Ellen nie słyhać było nawet cienia osądu.

Wbrew wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi Claire poczuła, że kąciki jej ust unoszą się w uśmiechu.

- Myślę, że to najlepszy powód, jaki mam, by dalej żyć. Chcę urodzić to dziecko, Ellen, i nie pozwolę nikomu ani niczemu mi w tym przeszkodzić.

Na twarzy Ellen pojawił się szeroki uśmiech, wygładzając zmarszczki wokół jej ust.

- Jesteś tak uparta, że potrafisz w to uwierzyć. I naprawdę się z tego cieszę, Claire. Będziesz wspaniałą mamą.

-Ale mój ojciec...

- Twój ojciec zmieni zdanie. Sama się przekonasz. Kiedy tylko go spotkam, zacznę do niego mówić, jakby już był dziadkiem. I podejrzewam, że będziesz miała sporo roboty, żeby całkiem nie rozpieścił tego malucha.

Łzy stanęły w oczach Claire.

- Nie nabierasz mnie?

- Żartujesz sobie? - spytała Ellen. - Moi rodzice myśleli, że kompletnie mi odbiło, kiedy wyszłam za gościa dwadzieścia dwa lata starszego ode mnie i zdecydowałam się na dziecko grubo po trzydziestce. Ale gdy tylko zobaczyli te maleństwa, rany, mówię ci. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Taki nieskomplikowany rodzaj miłości, który nie ma nic wspólnego z kolką o drugiej w nocy ani z tym, by utrzymać je w ryzach. Wciąż jeszcze mają bzika na punkcie tych bachorów.

Claire położyła łokcie na stole i podparła głowę dłońmi.

- Ale mój tata jest gdzieś tam ze strzelbą. I prawdopodobnie szuka mojego męża.

-Will Meador jest bystrym człowiekiem. Adwokatem. Każdy w tych stronach ci powie, że ma na tyle rozumu w głowie, że nikogo nie postrzeli. A poza tym szeryf i jego ludzie go szukają. Pewnie twój ojciec już ich widział i zaszył się w jakiejś dziurze, żeby leczyć swoją zranioną dumę.

- Dumę? A co to ma wspólnego z dumą?

Ellen zbyła pytanie machnięciem ręki.

- U mężczyzn, a zwłaszcza u mężczyzn z Teksasu, zawsze chodzi o dumę. A twój ojciec ma jej więcej niż inni. Wszyscy w Buck County wiedzą, że harował jak wół, żeby odkupić to ranczo, kiedy ty i Karen byłyście jeszcze malutkie. I wszyscy wiedzą, że stawał na głowie, żeby przywrócić je do dawnej świetności. Nawet po śmierci twojej matki. I jest za to szanowany, niezależnie od tego, co zrobił jego ojciec.

Claire była zaskoczona, słysząc, że ktoś mówi, choć nie wprost, o tym, że jej nieżyjący już dziadek był alkoholikiem. Chociaż ojciec ostrzegał ją, że ludzie w Little BC mają dobrą pamięć, nie przypominała sobie, by kiedykolwiek ktoś choćby słowem wspomniął o tym, jak dorastał po tym, jak jego matka uciekła z miejscowym lekarzem. Ale Ellen jeszcze nie skończyła.

- Jego dumę zraniło zwłaszcza to, że Spence tak go nabrał. A dziś rano musiało go to szczególnie zboleć, kiedy pomyślał, że miałby

siedzieć z założonymi rękoma i nic nie zrobić. Jestem pewna, że czuje straszną potrzebę działania.

Claire przekrzywiła głowę.

- Chyba ostatnio sporo rozmawiałś z moim tatą?

Ellen wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Fred nie żyje już od czterech lat, a ja zawsze leciałam na przystojnych, starszych mężczyzn. A poza tym twój ojciec i ja mamy wspólny interes. Ciebie.

Claire zamrugała, gdy uświadomiła sobie znaczenie tych słów. Czy to możliwe, żeby jej tata też był zainteresowany Ellen? Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio umawiał się z kimś oprócz swoich przyjaciół. I czy jego serce było na tyle silne, żeby... Odsunęła od siebie tę myśl, nie chcąc dać się ponieść wyobraźni.

- Cóż, kiedy już się pokaże - przysięgła - pożyczę kajdanki od Joela Shepherd'a i przykuję go gdzieś, żeby znów mnie tak cholernie nie wystraszył.

- Racja, dziewczyno! - Ellen machnęła pięścią w powietrze, a w jej głosie zabrzmiał entuzjazm. - A teraz szybko jedź! Potem podwiozę cię na twoje ranczo. Kilku wolontariuszy i członków zarządu przyjechało dziś rano i mają dla ciebie niespodziankę.

- Ellen, nie mam siły stanąć dziś przed całym tłumem ludzi.

- To nie są jacyś tam ludzie, Claire. To twoi przyjaciele. To ludzie, którzy włożyli wiele wysiłku, żeby twoje marzenie się urzeczywistniło. I to właśnie oni pomogą ci na kolejnym etapie twojego życia.

Claire mechanicznie przełknęła prawie połowę ogromnego śniadania, a potem wróciła do łazienki, żeby umyć zęby i się uczesać. Jednak wciąż zamartwiała się, jak przetrwa ten etap swojego życia, w którym nie będzie już Spence'a.

Na tę myśl poczuła ciężki, nieprzyjemny chłód. Próbowwała przepędzić go, przywołując wspomnienia minionej nocy, wspomnienia dłoni męża na jej piersiach, jego języka wsuwającego się do jej ust, jej bioder przyciskających się do niego, płomienia, który ją ogarnął. I wtedy usłyszała echo jego słów: „Jeśli ty nie złożysz pozwu o rozwód, ja to zrobię. Nie zmienisz mojej decyzji w tej sprawie”.

Gdyby wierzyła choć przez chwilę, że pragnął jej śmierci, mogłaby się z tym pogodzić. Albo gdyby myślała, że przestał ją kochać lub znalazł sobie inną kobietę. Ale wiedziała, bardzo dobrze wiedziała, że chciał

ją od tego odsunąć, ponieważ wciąż ją kochał. Kochał ją teraz, a nie tylko kiedyś, w przeszłości.

Gdy zadzwonił telefon, serce skoczyło jej do gardła.

Spence!

Stopy same poniosły ją do kuchni, ale nie była wystarczająco szybka. Ellen już trzymała słuchawkę przy uchu i kiwała głową, z ustami zaciśniętymi w kreskę, z której nic nie dało się wyczytać.

- Dobrze, szeryfie. Ucieszy się, kiedy to usłyszy.

- Pozwól mi... Daj mi z nim porozmawiać. -I nie czekając na odpowiedź, Claire po prostu wyrwała telefon z ręki Ellen.

- O co chodzi, Joel? Znaleźliście Spence'a?

- Przykro mi, Claire. Nie mamy tylu ludzi. Ale wzięliśmy kilka koni i kiedy tylko zrobiło się widno, sprawdziliśmy posesję najlepiej, jak mogliśmy. Sprowadziliśmy nawet mały samolot, żeby przeszukać teren z powietrza. Teraz jednak zaczynam podejrzewać, że twojego męża już dawno tu nie ma. Wrócił po własnych śladach w górę potoku albo dotarł do miejsca, skąd mógł zabrać się stopem. Ale znaleźliśmy twojego ojca.

- Gdzie jest tata? Nic mu się nie stało? Czy on... - Nie potrafiła się zmusić, żeby zapytać, czy widział Spence'a.

- Czuję się świetnie. Jest w dobrych rękach. - Głos Joela zabrzmiał chrapliwie. Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby mówił takim głosem. Odchrząknął i ciągnął już prawie normalnie: - Pojechał spotkać się z pewnym starym sędzią i wydaje mi się, że chyba chciał wziąć sprawę w swoje ręce. Hiram dał mu się wygadać, postawił mu cały dzban krwawej mary i zabrał się do wybijania twojemu tacie z głowy szalonych pomysłów. Leo - chodziło mu zapewne o Leo Carvera, byłego właściciela „Feed and Seed” i innego kolegę ojca - też z nimi teraz jest i pomaga im się urządzić. Zostawiłem tam całą trójkę niecałe pięć minut temu.

- Dzięki Bogu. Tak się cieszę. Ale...

- Tak, kochanie?

Pomyślała, że nazywając ją tak, Joel jest po prostu uprzejmy. Jego miłe nawyki podobały się wielu jego wyborcom. Jednak ta poufałość sprawiła, że poczuła się niezręcznie.

Wyczuwając jej wahanie, zapytał:

- Claire?

- Przepraszam. Chciałam ci tylko powiedzieć, że boję się o Spencera. Boję się, że zamierza spotkać się twarzą w twarz z tym gangsterem w San...

- Już to przerabialiśmy. Wiem, co ci naopowiadał. Wiem, że wymyślił to wszystko, o tym niby-spisku przeciwko niemu. To właśnie robią ludzie, kiedy przyłapie się ich na czymś potwornym i nie mogą się z tego wywinąć. Znajdują sobie kogoś, na kogo mogą zrzucić winę. A jeśli w rzeczywistości nie ma nikogo pod ręką, potrafią nawet wymyślić sobie tajemniczego nieznanego. Oczywiście, nigdy nie trafiamy na ślad tego drugiego gościa.

-Ale ten... już ci mówiłam, nazywa się Beto Chavez i jest z San Antonio. Możesz zadzwonić do wydziału policji w San Antonio i zapytać...

- Już to zrobiłem, kotku. Zaraz po naszej rozmowie dziś rano.

-A więc sprawdzają to, prawda? Czy mogą w jakiś sposób udowodnić, że Spence nie...

- Kapitan z grupy zajmującej się gangami powiedział mi, że nigdy nie słyszeli o żadnym Beto Chavezie. Przykro mi, Claire, ale ten oficer się ze mną zgodził. Twój mąż cię okłamał. Po raz kolejny.

Rozdział 12

Ostatnią, naprawdę ostatnią rzeczą, na którą Claire miała teraz ochotę, było świętowanie. Jednak wyglądało na to, że grupka jakichś piętnastu osób zgromadzonych w cieniu olbrzymiego, wiecznie zielonego dębu właśnie to zamierzała jej zafundować. Ze wszystkimi uśmiechami, aparatami fotograficznymi i z nieuniknioną blachą ciasta oraz dzbanem ponczu owocowego na rozkładanym stoliku.

Gdy pikap Claire wjechał na zatłoczony parking, rozpromieniona Ellen pomachała do grupy złożonej z paru tatusiów, małego grona matek - kilka należało do zarządu - i czterech czy pięciu przykutych do wózków inwalidzkich dzieciaków, z którymi Claire pracowała. Była tu też Meg, córka Ellen; przyjechała tu rano corollą mamy, żeby zająć się porannym karmieniem koni, a teraz trajkotała jak najęta ze sprawiającą wrażenie roztargnionej Lenore Briggs-Hadley.

Choć Pogo radośnie podskakiwała na jej kolanach, Claire jęknęła na ten widok. Jak tu udawać, że panuje nad sobą, kiedy pragnęła tylko jednego: zakopać się pod kołdrą i płakać przez cały miesiąc? Nie załamała się kompletnie jedynie dlatego, że tylko Joel wiedział, jak bezkrytycznie kupiła historyjkę Spence'a ubiegłej nocy - i że nikomu nie wspomniała o tym, że była na tyle głupia, by kochać się ze swoim mężem.

Ostatni raz... Przeszył ją lodowaty dreszcz, choć było co najmniej dwadzieścia stopni.

Ocierając oczy chusteczką, Ellen powiedziała cicho:

- Przedstawienie musi trwać. U mnie też tak było, kiedy Fredowi wysiadła wątroba. Ja również chciałam umrzeć, ale miałam trójkę dzieciaków, które na mnie liczyły.

Wskazała Claire dłonią pacjentów. Choć dwoje z nich było przypiętych pasami do wózków, by mogli prosto siedzieć, wszystkie dzieciaki na jej widok uśmiechały się od ucha do ucha.

-A ty masz ich jeszcze więcej, nie licząc tego w tobie. A więc zabieraj swój chudy tyłek z wozu i udawaj tak długo, aż ci to wejdzie w krew.

Claire zacisnęła palce, czując ogarniające ją fale gorąca. W uszach wciąż dzwoniły jej słowa Joela, żołądek próbował się buntować, ale jakoś stłumiła mdłości.

Wyciągnęła kluczyki ze stacyjki, zawahała się jednak, otwierając drzwi.

- A co z Kojotem, Ellen? Nie możemy pozwolić, żeby dzieciaki natknęły się na tego biednego...

- Nie myśl już o tym. Dziś rano kazałam go pogrzebać. I kazałam też zabić deskami rozbite okno i zamieść potłuczone szkło.

Jednak pytanie, które naprawdę zajmowało jej myśli, nie miało nic wspólnego z martwym koniem.

- Wiedzą, prawda? - spytała. - O tym, że szeryf szuka mojego męża?

Uświadomiła sobie, że znów unika wypowiedziania jego imienia. Niezły pomysł. Pozbaw wroga imienia, a wtedy nie będzie mógł cię tak bardzo skrzywdzić. Nie potrafiła pozbyć się palącego uczucia upokorzenia. Jak mogła prezentować samą siebie jako kompetentną profesjonalistkę, jeśli cały świat czuł do niej tylko litość?

- Wiedzą - potwierdziła Ellen. - Ale chcą, żebyś zrozumiała, że nieważne, co ten palant ci zrobił, stoją za tobą murem. A poza tym

planowaliśmy tę niespodziankę od paru tygodni. A dziś mamy przepiękny dzień. Chyba nie pozwolimy, żeby on go zepsuł?

- Cholera. Nie potrafię się zmobilizować.

Za nic nie powinna była pozwolić Ellen wyciągnąć się z domu.

Nie mając się gdzie schować, Claire wypuściła machającą ogonem i skomlącą Pogo, a potem sama wkroczyła w blask słońca idealnego dnia.

Ze wszystkich sił pragnęła, żeby skończył się jak najszybciej.

Wśród pochrząkiwań i chichotów jej młodzi pacjenci zjechali na wózkach na jedną stronę, samodzielnie lub z pomocą innych, odsłaniając za sobą nowiuteńki znak. Mimo podłego samopoczucia Claire otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, kiedy zobaczyła pięknie wyrzeźbioną, ręcznie malowaną tablicę.

„Witaj na Monarch Ranch”, głosiły lśniące jak klejnoty litery napisu. „Tutaj wszyscy mogą rozwinąć skrzydła”. Po obu stronach napisu widniały złote konie zwrócone głowami do siebie, a na grzbiecie każdego z nich siedział przyjazny motyl. Spostrzegła, że motyle nie były doskonałe. Jeden miał poszarpane skrzydełko, drugi złamany czułek, a jednak były wesołe. Ktoś, kto je namalował, naprawdę rozumiał, jakie to ważne.

Przesunęła wzrok ze szczęśliwych twarzątek dzieci na twarze mężczyzn i kobiet wyrażające nadzieję, determinację i sympatię. Wiele godzin naprawiali ogrodzenia, malowali nowe barierki i budowali boksy dla koni.

Pomyślała o lekcji, którą dali jej ci rodzice: pokazali, jak ich miłość trwa mimo trudności, jak znajduje sobie drogę, omijając przeszkody, tak jak woda omija skalne wysepki w strumieniu.

Pomyślała o tym, że każdy z nich przeżył tragedię. O tych dzieciach i o zmarłym synku Lenore. O tym, jak dzień po dniu te matki i ojcowie musieli przyklejać do swych twarzy uśmiech, choć nieraz na pewno pragnęli zagrzebać się w jakiejś norze i umrzeć. Pomyślała też o tym, że jeździli na kolejne sesje terapii i świętowali każdy maleńki krok ku normalności, jakby był wspaniałym świadectwem odniesionego zwycięstwa.

Claire przewyciężyła smutek ściskając jej gardło i zamrugnęła, żeby powstrzymać napływające łzy. Nie mogła się rozpłakać na ich oczach. U diabła, tego im nie zrobi.

Odchrząknęła i powiedziała cicho:

- To wygląda... wygląda jak czysta radość. Jest cudowne. Dziękuję. Dziękuję wam, że tutaj przyjechaliście, i dziękuję za wszystko, co zrobiliście.

Przyglądając się wąskiej jaskini, w której odpoczywał, Spence uświadomił sobie, że mógł zostać zmiażdżony jak niedopałek papierosa. W świetle zachodzącego słońca zauważył, że niedawno krusząca się tylko biaława skała osunęła się, sprawiając, że całe urwisko było teraz o wiele mniej stabilne, niż mu się wcześniej wydawało.

Jednak wtedy nie był w stanie dostrzec nic oprócz bólu, głodu i fizycznego wyczerpania. A nawet one blakły w porównaniu z pochłaniającą jego wszystkie siły walką, by opuścić się nad krawędzią klifu z pomocą tylko jednej ręki i by nie spaść przy tym w odłamki skalne i korzenie drzew wystające wzdłuż brzegu sinozielonej otchłani poniżej.

Wszystkie mięśnie mu drżały, a każdy centymetr ciała ociekał potem, gdy wreszcie udało mu się wśliznąć w przestrzeń niewiele większą i znacznie mniej wygodną niż krzywo stojąca, staromodna budka telefoniczna. Jednak nie wybrał tego miejsca dla wygody. W przeciwieństwie do obszerniejszych jaskiń w ścianie przypominającego ul urwiska, ten otwór ukryty był za pnem powalonego drzewa. Rdzawe igliwie wciąż trzymało się na gałęziach cedru, a nad wejściem rysował się skalny występ. Spence doszedł do wniosku, że tu będzie miał szansę spokojnie zjeść to, co wziął ze sobą, przespać się parę godzin, i nie obudzić pod lufą broni jednego z ludzi szeryfa.

Ale wtedy nie zdawał sobie sprawy, co może mu tu grozić. Przebudziwszy się, zobaczył, że w jego włosach i ubraniu jest pełno piasku osypującego się z niskiego sklepienia. Jedna nogawka jego dżinsów była przemoczona w miejscu, gdzie woda przeciekała przez szeroką na pięść szczelinę nad jego legowiskiem z liści.

Teraz, stojąc przy pniu powalonego drzewa, Spence dziękował Bogu, że całe urwisko nie zawałiło mu się na głowę, gdy spał przez cały dzień dzięki tabletkom przeciwbólowym, jakie dała mu Claire. Przez stulecia woda i wiatr powodowały erozję skał, a po niedawnych deszczach utworzyły się głębokie pęknięcia podcinające urwisko. Skały pośrodku się osunęły i pozostały tylko ich fragmenty.

W każdej chwili i one mogły się zapaść, ale równie dobrze stać aż do następnych ulewnych deszczów, kiedy woda znów zacznie się przesączać przez najsłabsze miejsca w skale.

To zupełnie tak samo jak ze mną, pomyślał, gdy zmierzch zabarwił niebo na krwiste czerwony kolor. Osłabiony przez wiele lat działania powolnych i cierpliwych sił, a potem wyniszczony kataklizmem, który nastąpił ubiegłej jesieni, wciąż jeszcze jakoś się trzymał. A jednak każdy, nawet głupiec mógł przypuszczać, że załamie się pod kolejnym wyzwaniem.

Upadek był bliski, nieunikniony. Nic go przed nim nie uchroni. Nawet Claire to wiedziała, pomyślał z goryczą, przypominając sobie jej telefon do Joela Shepherda. Nawet Claire wiedziała, kiedy pora oszacować straty i iść dalej.

-I dobrze tak, dobrze dla niej - powiedział i zastygł, słysząc dźwięk własnego głosu, który zabrzmiał jak głos obcej osoby: słabej, złośliwej i starej. Trudno byłoby go po nim rozpoznać, zupełnie jakby zamienił się w zrzedliwego Ripa van Winkle'a, a nie przespał całego dnia w wilgotnej, przypominającej grób grocie. Ten głos odzwierciedlał ból, który z każdym ruchem szarpał jego ramię aż po bark, pasował do jego chwiejnego chodu i do oczu, które paliły jak rozżarzone węgle pod zbyt cienką osłoną powiek.

„Rana jest zakażona, Spence. Powinieneś pojechać do szpitala”. Słyszał słowa Claire; napływały do niego z szumiącym nurtem potoku tworzącego zmarszczoną falę na gładkim kamieniu i z szeptem wiatru szeleszczącego w konarach suchego cedru. Zobaczył ją, jak unosi się z wody i płynie ku niemu na ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Wydało mu się to naturalne i właściwe, tak jakby zawsze wiedział, że wyrosła z tego miejsca.

Jednak zanim do niego dotarła, miraż przysł, a on przecierał piekące oczy i bronił się przed chmurą małych owadów. I przypomniało mu się, że prawdziwa Claire zadzwoniła po szeryfa, żeby przyjechał i go dorwał i żeby znów wsadził go za kratki, tam gdzie jego miejsce.

- Co cię to, u diabła, obchodzi? - warknął na jej wspomnienie.

Jego wściekłe słowa spłoszyły drozda siedzącego na powalonym cedrze. Przyglądał się ptakowi w locie, jak z wdziękiem nurkuje w stronę wody, a potem łukiem wznosi się ku górze. Spence śledził go wzrokiem, aż szare pióra wtopiły się w ciemniejące niebo.

I nagle usłyszał chrapliwy warkot silnika, który wydał mu się znajomy. Jeśli się nie mylił, tak warczała terenówka ojca Claire, ubiegłej nocy skradziona w pobliżu domku myśliwskiego.

Warkot nasilił się i Spence słyszał go teraz blisko skraju urwiska nad swoją głową.

Zamarł bez ruchu - w którą stronę zmierza terenówka? Jednak zamiast zacząć się oddalać, hałas stał się jeszcze głośniejszy, po czym spadła kaskada kamieni...

I ledwie Spence zdążył skulić się w grocie, wóz wypadł w powietrze, niecałe cztery metry nad nim, i z piskiem runął w dół. Odbił się od pnia powalonego cedru i roztrzaskał o na wpół zatopione skały sześć metrów niżej.

Rozdział 13

Jakieś dwadzieścia minut przed zachodem słońca Claire spostrzegła, że Lenore Briggs-Haddley ociąga się z odejściem, podczas gdy vany i terenówki gości jedna po drugiej opuszczały posiadłość. Lenore długo już czekała. Po hot dogach, burgerach i cięście nie pozostał nawet ślad. Dzień był tak przyjemny, a dzieci tak podekscytowane, że prawie wszyscy chcieli spędzić na ranchu jeszcze trochę czasu, porzechadzać się lub pojeździć na wózku wokół stawu rybnego, nakarmić konie smakołykami, porzucać kijem szalonej ze szczęścia Pogo i obejrzeć wybieg, na którym zaledwie za parę tygodni miały zacząć się pierwsze sesje terapeutyczne.

Przez cały długi dzień Claire ani razu nie sprawdzała, czy jej komórka ma zasięg. Ani razu też nie schowała się w biurze, by zadzwonić do ojca albo do Joela. Zamiast tego rzuciła się w wir wydarzeń odwracających jej uwagę: mówiła o zaletach rancha, opowiadała o drugiej terapeutce, swojej przyjaciółce Janinę Jaworski, która miała do nich dołączyć w połowie czerwca, i wyprowadziła łagodnego Krzaczora, by pogłaskał go tuzin chętnych rąk. Jednak choć starała się udawać, że wszystko wróciło do normy, za każdym razem, gdy spoglądała w stronę Lenore, strach ścisnął ją za gardło.

Kobieta była zbyt cicha, zbyt często wpatrywała się w dal, obejmując się przy tym chudymi ramionami. Makijaż chyba zrobiła w pośpiechu - szybko nałożyła kosmetyki bez zwyczajnej dla niej staranności, a biała bluzka, którą włożyła do zielonych spodni, była pognieciona. I co dziwniejsze, Lenore trzymała się na dystans od Claire. Nie zbliżyła się do niej ani razu przez całe długie popołudnie.

A Claire jej do tego nie zmuszała, głównie dlatego, że całą energię pochłaniało jej tłumienie pytań, które wciąż, jak bąbelki, próbowały

wypłynąć na powierzchnię. Dokąd poszedł Spence, gdy już opuścił domek myśliwski? Czy ramię go bolało, czy był głodny, chory? Czy postąpiła właściwie, dzwoniąc do Joela? I stać ją było tylko na to, by udawać, że jest pochłonięta rozmową z rodzicami. Nie starczyło jej już sił, by podejść do kobiety, która zdecydowanie jej unikała.

A jednak czarny landrover Lenore Briggs-Hadley wciąż stał na parkingu przy szarej corolli Ellen.

Claire podejrzewała, że to dlatego, że Lenore wie coś na temat śmierci Adama Stricklanda. Być może próbuje zebrać się na odwagę, żeby mi o tym powiedzieć, pomyślała.

Dokładnie tego jej było trzeba! Jeszcze jednego zmartwienia!

Mimo to, gdy Meg i Ellen zajęły się wieczornym karmieniem koni, Claire doszła do wniosku, że już dostatecznie długo odkładała tę rozmowę. Po krótkim poszukiwaniu spostrzegła panią Briggs-Hadley - stała samotnie nad stawem rybnym, przy wschodnim pastwisku, odwrócona plecami do niej. Claire, zbliżając się, specjalnie zachowywała się głośno: nadeptywała na suche gałązki i nuciła swą ulubioną melodię Bacha. Pogo jej pomagała, obszczekując żółwia wygrzewającego się w ostatnich promieniach słońca. Gad w końcu zsunął się z brzegu i zniknął w mętnej wodzie.

Claire widziała, że Meg zerka w ich kierunku z zachodniego pastwiska. Dziewczyna próbowała do nich pomachać, ale dłonie miała zajęte wiadrami z paszą. Trzy konie, przepychając się, biegły za nią kłusem. Uśmiechnęła się do nich szeroko, nie przestając ich karmić, gadała przy tym jak najęta.

Lenore nie odwróciła się, ale nieznaczna zmiana jej postawy upewniła Claire, że usłyszała je obie.

- O co chodzi, Lenore? - spytała bez żadnych wstępów. - Czy... czy to było dla ciebie takie straszne, kiedy znalazłaś ciało tego człowieka?

Lenore wreszcie się odwróciła, ocierając oczy. Długa smuga tuszu do rzęs rozmazała się na jej policzku, a po szmince nie został już nawet ślad. Zgubiła jeden ze swych złotych kolczyków, a może w ogóle zapomniała go założyć.

Claire, zaniepokojona, spojrzała w bok. Widząc Lenore w tym stanie, poczuła się tak, jakby przyłapała Marthę Stuart na tym, że ma w domu bałagan, tyle tylko, że to było o wiele mniej satysfakcjonujące.

- Oczywiście, że to było straszne przeżycie. Biedaczysko.

- Przykro mi - powiedziała Claire, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że chodzi o coś jeszcze. Zanim jednak zdążyła zastanowić się, jak o to zapytać, Lenore znów się odezwała.

- Zarząd dostał pewną ofertę. Bardzo hojną propozycję sponsoringu od ludzi z Am-Pride-Co.

Claire zaczęła uważnie słuchać. Prasa ostatnio sporo pisała o Am-Pride-Co, firmie, która wykorzystywała wyłącznie amerykańskie materiały i zatrudniała wyłącznie amerykańskich robotników, by produkować i sprzedawać nową linię nowoczesnej odzieży sportowej. W reakcji na antyamerykańskie protesty za granicą narastała fala poparcia dla krajowych produktów, a firma czerpała zyski dzięki patriotycznie nastawionym obywatelom.

- To wspaniale, prawda? - spytała Claire, zmieszana ponurą miną Lenore. - Czy nie liczyliśmy na kolejnego dużego sponsora?

Lenore pokręciła głową.

- Oni nie chcą być po prostu kolejnym sponsorem. Oni chcą, żeby ten program był tylko ich. Na ich własnym terenie, z wykorzystaniem najnowocześniejszego sprzętu i ich ludzi. No i oczywiście pod zupełnie nową nazwą: Camp Am-Pride-Co. Odniosłam też wrażenie, że w swoich reklamach chcą pokazać nasze dzieciaki podczas sesji hipoterapii.

Claire ścisnęło się serce. Am-Pride-Co chciała odebrać jej marzenie i wykorzystać dzieci do własnych celów. Jej szlachetne wysiłki zniweczy chora fala komercjalizmu. A dla niej samej, kobiety pogrążonej we wstrętnych kryminalnych sprawach w związku z jej mężem, „niedobrym gliniarzem”, pewnie nie znajdzie się nawet miejsce w tym programie.

- Nie. Oczywiście powiemy im „nie” - odparła Claire, mimo że formalnie rzecz biorąc, była tylko pracownikiem zarządu, a jej dodatkowe uprawnienia ograniczały się do rozstrzygającego głosu podczas głosowań.

Kiedy Lenore nie odpowiedziała, dodała:

- Pozostali członkowie zarządu nie biorą tego poważnie pod uwagę, prawda?

- Nie wiem, Claire. Oczywiście wolałabym, żebyśmy nie poszli w tym kierunku. Myślisz, że powinniśmy? - Lenore wpatrywała się w nią oczami lśniącymi od łez.

- Czy... czy coś jest nie tak? - wyjąkała Claire, tak zdezorientowana, że zaczynała już tracić panowanie nad sobą. - Czy ja coś zrobiłam?

- Nie tak? Ty mi to powiedz, Claire. Moja dobra znajoma Marjorie Trent-Phillips zadzwoniła do mnie dzisiaj rano - Lenore otarła twarz

pogniecioną chusteczką - i muszę ci powiedzieć, że nigdy w życiu nie byłam tak rozczarowana, tak cholernie wściekła.

Jej spojrzenie i przekleństwo, którego jeszcze nigdy nie słyszała w jej ustach, dały Claire jasno do zrozumienia, że to jej dotyczyła cała przemowa.

- Marjorie kto? - To było jakieś podwójne nazwisko, tak jak nazwisko Lenore. - O czym ty w ogóle mówisz?

Po policzkach Lenore popłynęły łzy. Należała najwyraźniej do tych kobiet, które płaczą, kiedy są wściekłe.

- Nie pogarszaj jeszcze wszystkiego, kłamiąc. Wiem o twoich planach co do tej ziemi. A mimo to dalej to ciągnęłaś, udawałaś przed tymi biednymi ludźmi przez cały dzień. Nic nie powiedziałaś, że sprzedasz to miejsce, by powstały tu drogie działki wokół jakiegoś pola golfowego...

- Co?! - Twarz Claire poczerwieniała z gniewu. - Oskarżasz mnie o to, że...

Błękitne oczy Lenore złągodniały.

- Jeśli potrzebowałaś pieniędzy, wystarczyło mi tylko powiedzieć. Ale ci ludzie... My wszyscy tak ciężko pracowaliśmy dla ciebie i dla fundacji. Nie mogę uwierzyć, że tak łatwo sprzedałabyś tę ziemię, tak po prostu.

Kręcąc głową Claire uniosła dłonie, by powstrzymać Lenore.

- Ktokolwiek to powiedział, jest albo świrnięty, albo kłamie. Ja nie... nie mogłabym... Nigdy nie sprzedałbym tego miejsca. Przysięgam.

Podczas gdy Lenore wpatrywała się w nią z napięciem, Claire przypomniała sobie, jak zaproponowała Spence'owi, że sprzeda ziemię, by spłacić jego długi u Beto. Choć odmówił, teraz poczuła się winna. Przedłożyła własne, osobiste problemy nad realizację szlachetniejszego, ważniejszego celu.

W przeciągającej się ciszy krzyk lelka ogłosił nadejście wieczoru, a wiatr niósł zapach stawu i cedrów.

- Marjorie jest moją przyjaciółką z San Antonio - wyjaśniła Lenore. - Jest naprawdę kimś w nieruchomościach. Zajmuje się posiadłościami rekreacyjnymi za miastem, luksusowymi domami, miejscami, które wpływowi, bogaci ludzie...

- Nigdy o niej nie słyszałam - przerwała jej Claire bezbarwnym głosem, patrząc jej prosto w oczy. - I cholera, wcale mi się nie podoba, że rozpuscita ohydne plotki. Powiedziała ci, że sprzedałam tę ziemię?

- Nie wspomniała cię z nazwiska, ale powiedziała, że realizuje się tu jakiś projekt. Zastanawiała się, czy ja i mój mąż bylibyśmy zainteresowani wykupieniem części terenu jako inwestorzy. A potem, kiedy zaczęła opisywać lokalizację...

- Założyłaś, że to o mnie chodzi, tak? Doszłaś do wniosku, że co? Że muszę mieć problemy finansowe w związku z tym całym zamieszaniem z moim mężem? I że dlatego zdradziłam fundację, wszystkich tych wolontariuszy i sponsorów, w tym mojego własnego ojca? I tych pacjentów? Naprawdę uwierzyłaś, że mogłabym zrobić coś takiego tym dzieciom? Że w ogóle mogłabym coś takiego zrobić? - Claire drżała, a wyrzuty sumienia sprawiały, że to oskarżenie było jeszcze bardziej nie do zniesienia.

Lenore skrzywiła się.

- Nie chciałam. Ale Marjorie nazwała to umową z konieczności. Twierdziła, że właściciel nie ma pojęcia, jaką kopalnią złota jest to miejsce.

- Nie ma pojęcia, co? - Na jej ustach pojawił się drwiący uśmiech. - To dlatego pomyślałaś o mnie.

- Nie. Nie oto mi chodziło. To z powodu tej „konieczności”... - Lenore przerwała, a potem spojrzała na Claire i zaśmiała się nerwowo.

- To prawda, że mam kłopoty, ale wierz mi, nigdy nie sprzedam tego ranca bez zgody fundacji. - Niezależnie od tego, ile mnie to będzie kosztować, przysięgła sobie w myślach. - Może ta Margie...

- Marjorie Trent-Phillips - poprawiła Lenore.

- ...może rozmawiała z moim sąsiadem, Randallem Hajkiem? On też zajmował się obrotem luksusowymi nieruchomościami w Houston. Wygląda mi na to, że on mógłby coś takiego wymyślić.

Claire zastanowiła się. Może Randallowi chodzi o coś więcej niż tylko sprzedaż ziemi, którą odziedziczył po ciotce? Może próbuje ją jakoś stąd wykurzyć? Czy to niszczenie ogrodzeń też było częścią jego planu, tak jak sugerował Spence?

Przed oczami stanął jej obraz tego niskiego człowieczka z jego ślicznym kochankiem Giovannim Baptistem, który, ubrany w modną marynarkę, łąził za nim w chmurach śmierzącego dymu swoich zagranicznych papierosów. Randall miał skłonność do dramatyzowania i zrobił scenę na pogrzebie pani Hajek. Na pewno był wstrząśnięty, kiedy pomyślał, że jego ciotka została „oszukana” i namówiona do sprzedaży tak dużego terenu po tak niskiej cenie ludziom, których określił jako „parę

oportunistycznych sępów". Lecz czy ktoś, kto w ten sposób mówił i tak wyglądał, rzeczywiście zakradałby się na posesję, narażając się na spotkanie ze skorpionami, grzechotnikami i parszywymi kleszczami?

To prawie nie mieściło się w głowie. Ale i tak powinna pogadać z tym palantem jak najszybciej, choćby tylko po to, by wykluczyć tę możliwość. Ze względu na konie i na własne samopoczucie powinna zorientować się, jakie ten człowiek ma zamiary.

Lenore Briggs-Hadley odetchnęła głęboko, a na jej twarzy widać było wzruszenie.

- Claire, czy... czy możesz mi przebaczyć? Powinam... powinienam była od razu do ciebie przyjechać. Tylko... Cóż, kilku członków zarządu martwiło się ostatnio twoimi problemami. Mówiłam im, że twoje oddanie dla fundacji nie podlega dyskusji. Ale dzisiaj rano byłam już zdenerwowana tym, co wydarzyło się w nocy przy moście, i kiedy jeszcze dostałam ten telefon... Lecz to mnie nie usprawiedliwia. Przepraszam cię. Tak mi przykro, że zwątpiłam w ciebie choć na chwilę.

- Wcale cię o to nie winię. A co innego miałaś sobie pomyśleć, skoro wszystko wskazywało na mnie? - spytała Claire.

Pomyślała o tym, że Spence'a obciąża o wiele więcej zarzutów. A jednak nawet po tym, kiedy dowiedziała się, że okłamał ją, mówiąc o Beto Chavezie, coś w niej nadal poszukiwało jakiegoś wyjścia, sposobu, który pozwalałby jej nadal wierzyć mężowi. Dlaczego?

I pomyślała o tych rodzicach, którzy dziś odwiedzili ranczo. O tym, jak ludzie pewnie mówili im, żeby przestali sami się oszukiwać, żeby spojrzeli prawdzie w oczy i pogodzili się z tym, że ich dzieci nigdy nie będą już normalne.

I w tej chwili zaświtało jej w głowie, że nie tylko głupcy pogodzą się z pewnymi rzeczami, jak to sugerował Joel Shepherd. I że w wielu przypadkach oszukiwanie samego siebie idzie w parze z miłością.

Nie miała jednak za dużo czasu, żeby dalej się nad tym zastanawiać, bo usłyszała nagle, niemożliwe do pomylenia z niczym innym odgłosy zderzenia. Odgłosy, które, mogłaby przysiąc, dobiegły od strony potoku.

Gdy Spence na wpół zszedł, a na wpół zsunął się po piargu osypującym się do wody, nad powierzchnią wystawało już tylko jedno koło, które powoli przestawało się obracać. Mimo że się spieszył, miał wrażenie, że schodził powoli, a nogi ciążyły mu od ogarniającej go słabości.

Kiedy huk uderzającego o skały samochodu już przebrzmiał, Spence słyszał już tylko własne sapanie i chlupot zimnej wody wokół nóg.

Zanim dotarł do wraku na skraju głębokiej niecki, uświadomił sobie, że spieszył się na próżno. Nie dlatego, że kierowca wozu nie miałby już żadnych szans, lecz dlatego, że nie znalazł nikogo. Żadnego ciała na skałach ani pod powierzchnią wody.

Teraz miał już pewność. Ktoś celowo zepchnął jadący wóz ze skraju urwiska. Ktoś, kto chciał go zniszczyć.

Albo ktoś, kto chciał mnie wypłoszyć z jaskini, pomyślał Spence. Odwrócił się powoli, unosząc w górę ręce i wypatrując luf skierowanych w niego ze skraju urwiska lub z drugiego brzegu potoku.

Widok wysuniętej do przodu lufy sprawił, że walące mu w piersiach serce zabiło jeszcze szybciej. Jednak zanim zdołał zareagować, uświadomił sobie, że to, co widzi, to tylko gałąź stercząca ze starego pnia. Był sam: żadnych zastępców szeryfa, żadnych gangsterów. Nie było nawet ojca Claire. Czując się jak idiota, opuścił ręce i spojrzął na urwisko nad głową.

Gdyby nie był ranny, mógłby szybko wspiąć się na górę i zobaczyć uciekającego. Być może dorwałby człowieka odpowiedzialnego za śmierć Kojota i poprzecinane ogrodzenia.

Ale równie dobrze mógł pragnąć mieć skrzydła. I siły, by wspiąć się tak szybko. Ręce i nogi mu się trzęsły, cały był zlany potem po wysiłku, jaki kosztowało go zejście nad dół, a rana na ramieniu pulsowała w rytm jego tętna.

Jęknął, próbując znów skupić się na samochodzie. Wóz leżał na prawym boku, bardzo przechylony. Ciężkie plastikowe kawałki, począwszy od błotników aż do siedzenia, popękały, a zawieszenie tylnej osi się urwało. Na powierzchni wody rozlewała się opalizująca plama, gaźnik był rozbity i oderwany. Spence jedno wiedział na pewno. Nawet gdyby miał tu przy sobie swoich trzech wujków uwielbiających motocykle, i tak nie udałoby się tego złożyć do kupy na tyle, by móc tym jeszcze jeździć.

Nie było też żadnej możliwości, by się dowiedzieć, w jaki sposób zablokowany został pedał gazu po to, by terenówka jadąca bez kierowcy spadła w dół urwiska. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę to, jak bardzo Spence'owi kręciło się w głowie, i tak by tego nie wydedukował, nawet gdyby wóz powolutku stoczył się w dół ze wszystkimi wyjaśnieniami przyklejonymi do siedzenia.

Jedno wszakże dotarło do niego od razu. W tak spokojnej okolicy, przy tej wiejskiej drodze, dźwięk roztrzaskującego się o skały metalu i plastiku musiał nieść się daleko. I każdy, począwszy od wolontariusza z rancza po sąsiadów i szukających go ludzi szeryfa, a nawet samą Claire, może wkrótce przybiec tu pędem.

Jeśli zamierza pozostać na wolności na tyle długo, żeby zbadać sprawę w San Antonio, powinien zabierać się stąd w cholerę, i to natychmiast.

Pogo, szczekając, pognała w kierunku, z którego dobiegł dźwięk. Co parę kroków zatrzymywała się, patrząc, czy Claire idzie za nią. Była do szpiku kości psem mieszcuchem i nigdy nie zapuszczała się sama daleko w las, może dlatego, że instynkt ostrzegał ją, że trzynoga suczka ma niewielkie szanse z drapieżnikami zamieszkującymi te okolice.

- Ktoś może być ciężko ranny - powiedziała Lenore. - Chyba powinniśmy tam pójść i sprawdzić, co się stało?

Podobnie jak Pogo, wydawało się, że się waha, i miała ku temu równie dobre powody. Zanim obejdzie każdy kamień i mrowisko w tych bałkach z cienkimi podeszwami, zapadnie już kompletna ciemność.

- Lepiej wracaj do biura i zadzwoń po szeryfa - zaproponowała Claire. Choć instynkt ponaglał ją, by pobiegła w stronę strumienia, póki jeszcze jest widno, biorąc pod uwagę to, co się stało zeszłej nocy, nie mogła podjąć takiego ryzyka.

Pogo wystrzeliła naprzód jak pocisk, goniąc Meg, która zmierzała już w stronę drzew. Brązowo-biały sobowtór Lassie znalazł wreszcie kogoś, za kim można było pobiec.

- Czekaj! - krzyknęła Claire za dziewczyną, ale nawet jeśli Meg ją usłyszała, nie zatrzymała się. Przemknęła między smukłymi pniami wawrzynu rosnących na skraju lasu.

- Pójdę za nią - zdecydowała się Claire. - Nie wiemy, kto tam może być. Znajdź Ellen i powiedz jej, w którą stronę pobiegliśmy. A potem dzwoń do biura szeryfa i poproś, żeby zaraz tu kogoś przysłali.

Nie czekając na odpowiedź, Claire ruszyła truchtem za Meg. Nie biegła jednak z największą prędkością jak na swoje możliwości. Przede wszystkim nie była typem sprintera i nie łudziła się, że dogoni dziewczynę. A poza tym cienie pod wiecznie zielonymi dębami już się pogłębiły i podłoże stało się bardziej zdradliwe niż za dnia. Z doświadczenia wiedziała, że opadłe liście skrywają dziury wykopane przez pancerniki,

a pod uschłymi trawami są ostre kamienie, o które można boleśnie potłuc sobie palce u nóg albo potknąć się i skrócić kostkę. Chociaż rano włożyła lekkie buty do trekkingu i świetnie znała ten teren, nie podobała jej się myśl, że może upaść, lądując na wrażliwym w jej obecnym stanie brzuchu.

A zwłaszcza nie wiedząc, kto może wtedy na nią wyskoczyć.

Zastanowiła się: ta ostrożność jest prawdopodobnie bezpodstawna, bo ktokolwiek rozbił terenówkę, był teraz pewnie ranny, a może nawet nie żył. A jednak unikała miejsc oświetlonych ostatnimi, imbirowymi promieniami słońca. Poruszała się tak cicho, jak tylko mogła, nasłuchując najbliższych odgłosów.

Pięć minut później usłyszała Pogo. Claire zatrzymała się, wstrzymując oddech.

Szczekanie nie przypominało podekscytowanego ujadania, które oznaczałoby, że mały owczarek rozpoznał przyjaciela lub znalazł potencjalnego towarzysza do zabawy. Było ostre, agresywne, takie, jakiego Claire jeszcze nigdy u niej nie słyszała. Delikatne włoski na jej ramionach i karku zjeżyły się. Czy Pogo wpadła na dzika albo, co gorsza, na tego kuguara, o którym krążyły plotki?

-Hola! Stój! - To niewątpliwie był głos Meg i zabrzmiał gdzieś przed nią, na lewo, z tego samego kierunku, co coraz głośniejsze szczekanie Pogo.

Claire instynktownie rozejrzała się wokół i złapała za opadającą gałąź. Równocześnie oparła stopę na przewróconym drzewie i szarpnęła, ale mocne drewno nie chciało się złamać.

Było już za późno, żeby znaleźć inną broń. Ktoś przedzierał się przez zarośla i był tak blisko, że słyszała już jego chrapliwy oddech. Oddech mężczyzny? Pogo wydała z siebie urywany skowyt i na myśl, że zbliżający się człowiek mógł skrzywdzić małego owczarka, Claire poczuła, że zalewają gorąca fala wściekłości.

-Stój! Zatrzymaj się! - zawołała, próbując naśladować głos Spence'a, kiedy przybrał swój gliniarski ton, by przerwać bójkę na parkingu przy restauracji.

Odrzuciła się w kierunku, z którego spodziewała się, że zaraz ktoś wybiegnie, i krzyknęła rozkazująco:

-Nie ruszaj się!

Pomyślała, że ostro jej wyszło, ale najwyraźniej tylko ona tak sądziła... Gdy wybiegł pędem spod nisko zwieszających się gałęzi, zdołała

tylko kątem oka uchwycić obraz: szczupły, biały mężczyzna w granatowej czapce i spłowiałych dzinsach. Nie zwalniając ani na chwilę, uderzył ją kantem dłoni w prawe ramię. Siła ciosu szarpnęła nią, obróciła dookoła, i Claire straciła równowagę. Upadła ciężko, łamiąc tyłkiem tę samą upartą gałąź, z którą się wcześniej mocowała.

Ułamek sekundy później skoczyła na nią Pogo ze swoimi ubłoconymi łapami i mokrym językiem.

- Złaż... ze mnie. - Claire odepchnęła na bok drżącego futrzaka i z trudem wstała. Bolał ją prawy pośladek, ale przede wszystkim była wkurzona. Ten palant ją przewrócił! Ją, kobietę w ciąży! I nawet się nie zatrzymał. A co gorsza, to pewnie on ukradł terenówkę i spowodował też śmierć biednego Kojota.

Gdy Meg wypadła spośród gałęzi, Claire spytała:

- Nic ci nie jest?

Dziewczyna sapała ciężko, próbując wydobyć z siebie głos.

- W po... w porządku. Widziałas tego faceta?

- Tak. Przewrócił mnie.

- Gdy Pogo się zbliżyła, on... on wtedy ją kopnął. Chyba... chyba wiem...

Nie zważając na jej słowa, Claire schyliła się, by odłamać kawał gałęzi, która pękła pod ciężarem jej ciała. Wreszcie zrozumiała, co to znaczy naprawdę się wściec. Każdy dupek, który kopie małego pieska i przewraca kobietę...

- Zobaczę, gdzie się podział ten facet. Nie próbuj za mną iść.

Zapominając o ostrożności, ruszyła za intruzem.

Niech ten sukinsyn lepiej uważa, żebym go nie złapała, bo będzie zbierał zęby z tego kija.

Rozdział 14

Claire poślizgnęła się i upadła na mokre liście. Uderzyła mocno o ziemię, ale gąbczaste podłoże zamortyzowało upadek; poczuła, jak jej wściekłość się ulatnia.

Miej trochę rozsądku, pomyślała, albo przynajmniej, jak mówi Ellen, udawaj, aż ci to wejdzie w krew.

Poderwała się i ruszyła przed siebie, już w mniej niebezpiecznym dla niej tempie. Mężczyzna, którego ścigała, był szybszy, silniejszy i miał zbyt dużą przewagę. To, że zrobi sama sobie krzywdę, tego nie zmieni.

Zatrzymała się na skraju lasu, przeszukując wzrokiem otwartą przestrzeń. Noc zapadała szybko, a na wschodzie pojawiły się już pierwsze gwiazdy. Wokół Claire szybowała chmara świetlików, rozpraszając mrok swoimi światełkami. Nie było widać księżyca, pozostał jedynie słaby, rudawy poblask po prawej stronie nieba i Claire rozpoznała tylko kilka ciemnych kształtów w miejscach porośniętych kępami drzew.

Ale tam, przed nią, coś uniosło się i poruszyło. Ktoś biegł w stronę wschodniego ogrodzenia, granicy posiadłości Hajeków.

Jeśli to był Randall Hajek, to Claire miała nadzieję, że rozerwie sobie krocze, próbując przejść przez stare, zardzewiałe druty kolczaste.

Ta myśl wcale jej jednak nie ucieszyła. Na wprost idąc, na wprost truch-tając za uciekającym, zastanawiała się dlaczego.

Ten mężczyzna pojawił się i zniknął tak szybko, że pozostał jej tylko przelotny obraz. Czapka, dzinsy, zamazany ruch, a potem bum, twarde uderzenie w ramię.

Bolało ją, kiedy poruszała prawą ręką, ale zlekceważyła ból. Poradzi z nim sobie, kiedy będzie na to czas.

Wzrost mężczyzny, który ją zaatakował. To właśnie tu nie pasowało. Pamiętała, że Randall jest niski, może tylko jakieś trzy centymetry wyższy od niej, czyli musi mieć około metra siedemdziesięciu. Intruz był wyższy. Ale może tylko się taki wydawał?

Zatrzymała się, by zaczerpnąć tchu, i uświadomiła sobie, że na próżno go ściga. Nie złapie i prawdopodobnie nawet nie chciałaby złapać tego faceta. A poza tym już dawno straciła go z oczu i w panujących ciemnościach, nawet gdyby go zobaczyła, nie mogłaby go rozpoznać. Lepiej wrócić do biura. Przy odrobinie szczęścia Meg i Pogo już tam będą.

Skręciła na południe, idąc w kierunku łuny elektrycznego oświetlenia. Lenore Briggs-Hadley albo, co bardziej prawdopodobne, Ellen, pomyślała o tym, by włączyć niedawno zainstalowane światła w ujeżdżalni. Claire szła teraz powoli, nogi bolały ją ze zmęczenia, a ubranie przywarło do jej wilgotnej skóry.

- Ellen! - zawołała. - Pani Briggs... uf... Lenore!

W oddali usłyszała głosy, ale nie dochodziły one z biura na szczycie wzgórza, tak jak się spodziewała. Odwróciła się, spojrzała przez lewe ramię i dostrzegła nad stawem sylwetki dwóch kobiet oraz Meg i Pogo.

Postanowiła wziąć latarkę ze swojego samochodu, zanim do nich dołączy. Na chwilę zajrzała do biura, by wziąć butelkę wody z małej lodówki, a potem pobiegła truchtem w stronę swojego pikapa. I zamarła w bezruchu, słysząc dziwny dźwięk.

Randall Hajek stał przed jej nowym szyldem, a rzadkie pasemka mysich włosów sterczały mu na głowie jak rogi. Był owinięty w granatowy szlafrok, spod którego wystawały nagie nogi, białe i nieowłosione niczym zbielałe kości. Na stopach miał wyglądające na drogie pantofle.

A jednak to nie jego strój przykuł uwagę Claire, lecz odgłos wstrząsanej puszkii ze sprayem, którą trzymał w ręce.

- Co ty tu, u diabła, robisz?! - Podbiegła do niego, chwytając mocno butelkę z wodą. - W tej chwili to odłóż!

Twarz Hajeka poczerwieniała, a jego rzadkie brwi ściągnęły się, tworząc głęboką literę „v”. Ze swoją hiszpańską bródką i posklejanymi włosami przypominającymi rogi wyglądał jak diabeł, którego ktoś właśnie wyciągnął z łóżka.

Ale diabeł czy nie, to nie był ten sam mężczyzna, który uderzył ją w lesie. Opuścił rękę, próbując wepchnąć puszkę ze sprayem do kieszeni szlafroka. Spoglądając mu przez ramię, spostrzegła, co zdażył już zrobić. Wielką ociekającą farbą czarną literę G spływającą na motyla po lewej stronie znaku.

-Cholerni Meadorowie. Myślicie, że możecie kupić tę ziemię za swoje grzechy?

Claire chciała mu przypomnieć, że już za nią zapłaciła, ale widziała, że Randall stracił zdrowy rozsądek.

- Cholerni Meadorowie nie mają tu czego szukać - wymamrotał. - Nigdy nie przynieśliście mojej rodzinie nic innego oprócz kłopotów.

Choć Claire wydawało się dziwne, że wciąż powtarza jej panieńskie nazwisko, nie próbowała się z nim sprzeczać. Randall wyglądał bardzo dziwnie, jego szare oczy były szkliste, a twarz zapuchnięta. I czy wyczuwała w jego oddechu alkohol? Pewnie dlatego nie panował nad tym, co robił.

-Twoja ciotka Norma rzyślała inaczej. I tak samo pomyśli szeryf Shepherd, kiedy tylko usłyszy, jak poniszczyłeś moje ogrodzenia. A teraz zjeżdżaj z mojej...

- Naprawdę chcesz mieszać w to gliny? Naprawdę chcesz, żeby tu weszły?

Musiała zejść mu z drogi, bo inaczej by ją staranował. Co się, u diabła, dzisiaj dzieje? Narodowy dzień powalania na ziemię czy święto terapeutki zajęciowej?

Ruszył majestatycznym krokiem w stronę swojego domu, a granatowy szlafrok powiewał za nim na wietrze.

Claire krzyknęła:

- Jeszcze mi zapłacisz za śmierć mojego konia! Wiesz, że przez ciebie złamał nogę? Czy w ogóle obchodzi cię to, jak się męczył?

Randall jakby się zawahał, ale tylko na chwilę. Rozwścieczona, partryła za nim, aż zniknął jej z oczu za oleandrami przy frontowym ogrodzeniu jego posiadłości.

Wzięła głęboki oddech, a potem ze złością otworzyła butelkę z wodą i podeszła do pikapa od strony pasażera, gdzie pod przednim siedzeniem trzymała latarkę. Uchylając niezamknięte drzwi, nie spostrzegła od razu, że lampka sufitowa nie działa.

Czyjaś dłoń mocno chwyciła ją za nadgarstek, a szorstki głos ostrzegł:

- Nie ruszaj się.

Rozdział 15

Rozszerzonymi oczami patrzyła w jego twarz, a jej usta otwierały się już, by krzyknąć.

Pistolet wycelowany w jej pierś zadrżał.

- Cicho, Claire. Bądź cicho. I wsiadaj do wozu. Musisz mnie podwieźć.

Szybko zamrugała, wreszcie uświadamiając sobie, że to nie za nim biegła. I że to jej mąż ukrywał się w pikapie, czekając na nią. A teraz mierzył do niej z jej własnego pistoletu, tak jakby naprawdę chciał jej coś zrobić. Z tego samego pistoletu, za którego sprawą wczoraj połała się pierwsza krew.

Serce waliło jej tak, jakby chciało rozsądzić piersi; wydusiła z siebie tylko:

- Spence?

Jego niebieskie oczy były gorączkowo rozpalone, a koszula i włosy pociemniały od potu. Nawet w tym słabym świetle widziała, że jest taki

blady, że wygląda jak upiór. Jednak pistolet był rzeczywisty. Podobnie jak zimna wściekłość w jego głosie.

- Obejdz samochód i wsiadaj, Claire. Tym razem nie wydasz mnie Shepherdowi.

- Nie, Spence, ja bym nigdy... - Słowa zamarły jej w ustach, bo uświadomiła sobie, że musiał ją słyszeć ubiegłej nocy. Pewnie przyciągnął go hałas, kiedy rozbiła okno w biurze.

- Ruszaj się.

Usłuchała jego gliniarskiego tonu tak przerażona, że uniosła ręce, obchodząc maskę samochodu. Pochylił się i otworzył jej drzwi od strony kierowcy.

Zakreśliło jej się w głowie na myśl, że oto widzi Spence'a, jakiego jeszcze nie знаła. Takiego Spence'a, w którego istnienie nie wierzyła, bez względu na to, co wszyscy jej mówili. Wsiadając, zawałała się. Czy naprawdę byłby gotów do niej strzelić, gdyby zaczęła uciekać?

„On już zapłacił człowiekowi, który miał cię zastrzelić - powiedział głos Joela w jej głowie. - Co ty, u diabła, sobie myślisz?”

- Pospiesz się! - rozkazał.

Wsiadła i zamknęła drzwi; zaczęła grzebać w prawej kieszeni, szukając kluczyków. Ból szarpnął jej ramię i głośno wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Moje ramię - sapnęła, ale zdołała wydobyć kluczyki z kieszeni i wsunąć właściwy do stacyjki.

- Spadajmy stąd - powiedział, gdy silnik zaskoczył. - Jedź w kierunku Wise School Road. Dalej!

Automatycznie włączyła światła, myśląc o tym, że Wise School, opuszczony budynek z jednym zaledwie pomieszczeniem, już dawno do szczytu spłonął. Nic tam nie było, i to od wielu lat. Nic, oprócz wielu kilometrów ciemnej, pustej drogi.

Światne miejsce, żeby zostawić ciało.

Claire zerknęła w tylne lusterko, na wpeł obawiając się, a na wpeł mając nadzieję, że zobaczy zbliżający się samochód szeryfa. Z nadzieją, bo chciała uciec jak najdalej od Spence'a, i z obawą, bo w obecnym stanie jej męża wydawało jej się całkiem prawdopodobne, że może do niej strzelić.

Ale nie zobaczyła żadnych świateł. Coś musiało zatrzymać szeryfa i jego ludzi - nic dziwnego, biorąc pod uwagę, jak mały był jego posterunek.

Skręcając w przeciwną stronę niż do posiadłości jej ojca, minęła rancho Hajeków. Nikt nie stał na podwórzu przed domem, lecz to nie miało znaczenia. Spence mierzył do niej z broni, więc i tak nie mogła krzyczeć o pomoc. A nawet gdyby to zrobiła, Randall i tak miałby to gdzieś.

- Ty... wyglądasz, jakbyś był chory. - Chwyła się cienia szansy, modląc się, by w jakiś sposób znów się porozumieli, tak jak ubiegłej nocy. - Może się gdzieś zatrzymamy, weźmiemy jakieś leki...

-A co cię to, u diabła, obchodzi! Masz nadzieję, że padnę trupem?

- Wiesz, że tego nie chcę, Spence. Ty... przecież widziałeś, jak się zdenerwowałam, kiedy cię postrzeliłam.

Przez chwilę milczał; jęknął, chwytając się za lewe ramię, gdy samochód podskoczył na dziurze w nawierzchni.

- Niech to szlag.

Głos mu drżał i był o wiele słabszy niż zwykle. Sięgnęła po butelkę wody, która leżała na siedzeniu.

- Masz, napij się.

Gdy wzięła ją od niej, ich dłonie zetknęły się na chwilę. Szybko cofnęła rękę, ale zdążyła poczuć, jak bardzo jest rozpalony. Ma infekcję, pomyślała. Gorączkuje, bo organizm próbuje ją zwalczyć, ale zakażenie może go wcześniej zabić.

Wypił duszkiem pół butelki, a potem powiedział:

- Teraz, zaraz skręcisz w prawo. I wyłącz światła. Nie chcę, żeby ktoś za nami jechał.

- Na drodze jest za ciemno. Rozbijemy się.

- Po prostu rób, co ci mówię. Wciąż jeszcze coś widać. To musi wystarczyć.

Posłuchała, czując przeszywającą ją panikę. Kim był ten zdesperowany obcy człowiek? Skąd się wziął?

Gdy skręciła, wóz zjechał z asfaltu na żwir. Zwolniła, by dostosować prędkość do nawierzchni. Mimo to Spence uderzył o drzwi od strony pasażera.

Przerażona zdjęła nogę z gazu.

- Umrzesz, jeśli szybko nie znajdziemy pomocy. Sam o tym wiesz. Pozwól mi się zawieźć do szpitala rejonowego. Proszę!

Wyprostował się i kątem oka zobaczyła, że kręci głową.

- Jedź, Claire. To nie ty podejmujesz decyzje. Już ci raz zaufałem ubiegłej nocy. A ty mnie wydałaś.

Gniew, który ją ogarnął, był silniejszy niż ostrożność.

- Masz cholerny tupet, Spence, że oskarżasz mnie o zdradę. Wczoraj w nocy robiłam wszystko, żeby spróbować cię powstrzymać przed tym, byś się nie zabił!

Przestraszona własnym wybuchem, wstrzymała oddech, czekając na jego reakcję. Ale słyszała tylko szum opon na wiejskiej drodze. Postanowiła mówić dalej.

- Pocałuj mnie gdzieś. Nalegałeś, żebym się z tobą rozwiodła. A potem powiedziałeś, że chcesz się z nim spotkać, z tym gangsterem, i okłamałeś mnie, podając jego imię.

- Sprawdziałaś to? - W jego głosie zabrzmiał niepokój. - Claire, ostrzegałem cię, żebyś nie...

- Żeby co? Żeby nie przyłapała cię na kolejnym kłamstwie? Ufałam ci, Spence, mimo wszystkich tych rzeczy, które mi pokazywali, wbrew temu, co napisałeś i powiedziałeś, ufałam ci na tyle, żeby się z tobą... z tobą. .. - Nie mogła znieść myśli, że kochała się z nim ubiegłej nocy.

Ocierając gorące łzy, znów włączyła światła.

- Co ty?...

- Nic nie widzę. Nie widzę drogi.

Słowa w małej przestrzeni wozu odbijały się rykoszetem jak odgłosy wystrzału. Czuła się chora z przerażenia, chora ze smutku, a przede wszystkim robiło jej się niedobrze na myśl, że uwierzyła w tę bajkę. Jedno z nich powinno położyć temu kres i jeśli jej mąż nie miał zamiaru tego zrobić, tym kimś będzie ona.

-Zastrzel mnie, jeśli musisz - powiedziała. - Wolę dostać kulkę, niż słuchać kolejnych kłamstw. Ale o jednym powinieneś wiedzieć. Jeśli mnie zamordujesz, zabijesz też swoje dziecko. Jestem w ciąży, Spence. Jestem w ciąży. Dowiedziałam się w ubiegłym tygodniu.

Przy każdym podskoku samochodu i na każdym zakręcie fale bólu mąciły Spence'owi wzrok. A jednak słowa Claire go uderzyły.

Jakaś część niego pragnęła temu zaprzeczyć, wierzyć, że tak przerażona powiedziała by wszystko, byle wyjść z tego cało. A jednak gniewny ton jej głosu przekonał go, że przyparł ją do muru i to, co powiedziała, musi być prawdą.

Poczuł zawroty głowy. Nie potrafił poradzić sobie z chaosem emocji, więc rzucał jej tylko suchym tonem dalsze instrukcje.

- Tutaj, przy tym starym słupku od płotu. Tu musisz skrócić w lewo.

Zrobiła to, a potem zahamowała tak gwałtownie, że zacisnęły się na nim pasy. Z gardła wyrwał mu się bolesny okrzyk, a przed oczami pojawiły czarne plamy.

Kiedy po paru sekundach ciemność ustąpiła, zobaczył parę płonących zielonych oczu patrzących w jego stronę. Rosły kuguar przywarł do ziemi na polnej drodze, z zębami wbitymi w szyję dużej szarej kozy.

Puma warknęła, mocniej chwyciła wciąż wyrrywającą się skórę i pociągnęła ją w stronę krzaków.

- O Boże. - Mimo lęku w głosie Claire zabrzmiał podziw. - Nigdy takiego nie widziałam. Tylko w zoo. Jest piękny. I straszny.

- Pamiętaj - odparł Spence. - Ranczerzy będą chcieli go zabić. To właśnie robią tutaj z czymś, co jest niewygodne.

Albo z kimś, dodał w myślach.

Zaparkowała wóz i odwróciła się do niego, patrząc mu w twarz.

-Przepraszam, że musiałam dać po hamulcach... Przykro mi, że sprawiłam ci ból.

Zrozumiał, że chodzi jej w równym stopniu o gwałtowne szarpnięcie, jak i o telefon ubiegłej nocy. Nie wiedział jednak, co jej odpowiedzieć.

- Lepiej już ruszaj - zaczął, a potem spostrzegł, że Claire pociera prawe ramię. Przez spękana skorupę gniewu przebiła się troska i zanim zdążył się powstrzymać, zapytał:

- Co się stało? Jesteś ranna?

Ruszyła.

- To nic takiego. Niedawno usłyszałam coś nad potokiem. Brzmiało jak silnik terenówki mojego ojca. A potem usłyszałam huk.

Kiwnął głową.

- Widziałem, jak spadała. Ktoś zablokował pedał gazu, żeby stoczyła się z urwiska. Ale to już historia. Nie widziałem, kto to zrobił.

- Ja widziałam. Wpadłam na niego, kiedy stamtąd uciekał. Ten pant uderzył mnie w ramię kantem dłoni i nawet się nie zatrzymał.

- Kto to był? - niecierpliwie zapytał Spence. - Kto cię uderzył?

- Nie mam pojęcia. To się stało tak szybko. Nagle wypadł zza drzew, po chwili już siedziałam na tyłku, a jego nie było.

- Musiałaś coś widzieć. Jesteś pewna, że to był mężczyzna?

- O tak. Biały facet, dość wysoki. Dżinsy, ciemna czapka - zawahała się. - Chyba niebieska koszula. Z długim rękawem. Najpierw pomyślałam, że to może być Randall. Ten gość pobiegł w kierunku jego posiadłości.

-Ale nie jesteś o tym przekonana.

Pokręciła głową.

- To na pewno nie był on. Chwilę przed tym, jak podeszłam do pika-pa, przyłapałam go. Zaczął mazać sprayem po naszej nowej tablicy. Był w kapciach i w szlafroku. Myśle, że miał nieźle w czubie.

- To na niego tak się wydierałaś? Okna były zamknięte, nie mogłam zrozumieć słów.

- Bredził coś na temat mojej rodziny, o tym, jak to nam się wydaje, że za nasze grzechy kupimy sobie jego rodzinną posiadłość. Nie wiem, o co mu mogło chodzić. Myślisz, że mógł mówić o wypadku mojej matki? To się stało gdzieś na terenie posiadłości, niedaleko potoku. A może wciąż jest wściekły na mojego ojca z powodu tamtej imprezy w domu jego ciotki i wuja. Może miał wtedy więcej kłopotów, niż myślałam.

Spence mniej przejmował się zadawnioną urazą młodego Randalla niż mężczyzną, który uderzył Claire w lesie. Claire mogła zostać ciężko ranna, a nawet zginąć. Poczul, że przeszywa go zimny dreszcz.

- A co ty w ogóle tam robiłaś? - Nie chciał, żeby jego głos zabrzmiał tak ostro. - Po tym wszystkim, co się stało, kiedy usłyszałaś silnik, powinnaś była zadzwonić po pomoc.

- Zdecyduj się, Spence. Jesteś bardziej zły, kiedy dzwonię czy kiedy nie dzwonię?

Gdy nie odpowiedział, wyjaśniła:

- Najpierw chciałam zadzwonić po szeryfa, ale kiedy zobaczyłam, że Meg tam biegnie, nie mogłam puścić jej samej. To jeszcze dziecko. Nie mogłam pozwolić, żeby coś jej się stało.

A co z naszym dzieckiem, pomyślał, ale słowa nie wydostały się przez jego zaciśnięte zęby.

Z naszym dzieckiem...

Gdy ta szokująca informacja powoli zapadała w jego świadomość, osunął się na bok, nieuważnie opuszczając broń między siedzenie a drzwi pasażera. Jednak tym razem czuł coś więcej niż tylko ból.

Claire delikatnie wcisnęła hamulec i zjechała na skraj drogi. Odpięła pasy i zdrową ręką namacała lampkę sufitową, którą wyłączył.

Lampka oświetliła wnętrze i Spence zobaczył smutek i współczucie na twarzy żony.

- Spence... - Przechyliła się nad nim i delikatnie dotknęła dłonią jego czoła.

Jej pieśczoła bardzo go poruszyła. Odwrócił głowę, patrząc w boczne okno.

- Po prostu jedź. - Jego słowa drżały od wstrzymywanych łez.

- Wiem, że mnie nie skrzywdzisz - wyszeptała głosem miękkim jak świeże listki. - Wiem, że nigdy byś mnie nie skrzywdził.

Cienka skorupa jego gniewu rozpadła się na kawałki. Claire pobiła go swą szlachetną wyrozumiałością. Spence osunął się w jej ramiona, jego palce głąskały jej włosy, wargi błędziły po jej szyi, uchu, twarzy.

- Jesteś jak dar, dar, na który nie zasługuję. Tak mi przykro... Tak mi przykro, że cię przestraszyłem.

Spróbowała wyswobodzić się z jego objęć.

- Jesteś rozpalony, Spence. Musimy znaleźć jakąś pomoc.

- A dziecko, Claire? Tak mi przykro, że nie będę mógł być dla niego ojcem. Tak mi przykro...

Jego usta odnalazły jej wargi i przelał wszystko, czego nie umiał powiedzieć, w ten jeden pocałunek. Całą swoją tęsknotę. Całą miłość. I namiętność, namiętność, która tłumiła jego ból.

A tłumiła go aż do chwili, gdy Claire go odepchnęła, dotykając niechcący nabrzmiałej skóry wokół jego rany.

Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby, a przed oczami znów pojawiły się ciemne plamy.

Poprzez ogłuszający szum w głowie dotarły do niego jej słowa.

- Muszę... cię zabrać... na izbę przyjęć.

Chmura, która na chwilę przesłoniła mu wzrok, rozplynęła się. Był znów na tyle świadomy, że powiedział:

- Nie. Claire, nie! Jedziemy na Ranch Road 452, znam to miejsce pod San Antonio. Tam będzie lekarz. Pomoże mi, nie będzie zadawać pytań i nie zgłosi tego na policję. To dlatego byłaś mi potrzebna, żeby mnie tam podwieźć.

- Jaki lekarz nie zgłosiłby... Może stracić za to prawo wykonywania zawodu.

Usłyszała zduszony śmiech wydobywający się z jego gardła.

- Za późno, Claire. Myślę, że już je dawno stracił.

- Czyli chcesz zaufać jakiemuś szarlatanowi, którego już wykopali z roboty?

Przez jego głowę przemknął obraz. Koszmarna, ruda kobieta o skórze bladej jak śmierć.

- O nie, do diabła, nie ufam jej. Ale liczę na to, że mnie jakoś postawi na nogi. Nieźle jej idzie wydłubywanie kul z gangsterów. Taką ma przynajmniej opinię. Poskłada mnie do kupy, jestem tego pewien.

- Masz coś na nią? - zgodła Claire.

Nieznacznie wzruszył ramionami.

- Mam na nią tyle, że wystarczyłoby, żeby ją wyłączyć z interesu. Już bym to zrobił, gdyby mnie ktoś nie wystawił.

Ich oczy na chwilę się spotkały, tylko na chwilę, bo Claire odwróciła wzrok. Bolała go świadomość, że ona nie wierzy już we wszystko, co mówił. I już nigdy w życiu mu nie uwierzy.

Claire wyłączyła lampkę sufitową znów zapięła pasy i ruszyła. Skręcili w tę samą drogę, którą dzień wcześniej Spence jechał razem z Contrerasem. Usiłował sobie przypomnieć, jak tam stał, nim zdecydował, że pójdzie spotkać się z Claire, żeby wyjaśnić jej, jak do tego wszystkiego doszło. Uświadomił sobie, że postąpił bardzo samolubnie - jedynie zwiększył jej cierpienie, zamiast jej w nim ulżyć. Powinien był jęzostawić, żeby jej rany się zagoiły, i sam zając się tym, czym musiał.

Przypomniało mu się, jak obiecał sobie, że pójdzie się z nią spotkać ten jeden, ostatni raz i że to będzie musiało mu wystarczyć. A tego wieczoru, po tym jak rozbiła się terenówka, złożył kolejną przysięgę. Że jeszcze raz się z nią spotka, ale tylko po to, żeby go podwiozła i żeby powiedzieć jej, jak bardzo go zraniło to, że zadzwoniła po Shepherdę. Zastanawiał się, jakie kłamstwo wymyśli następnym razem, aby oszukać samego siebie. Bo miłość do Claire była nałogiem znacznie potężniejszym niż hazard na zapleczu u Joego Reno.

- Nie mogę wrócić do więzienia. - Sięgnął po pistolet leżący na podłodze i położył go na siedzeniu między nimi. Wykluczone, żeby go trzymał, żeby dalej w nią celował. - Nie mogę tam trafić, jeśli mam wszystko załatwić. Dla ciebie i dla dziecka.

- Załatwić z kim, Spence? Przecież nie z Beto Chavezem, bo on nie istnieje.

- Jest dostatecznie prawdziwy. Nie mogłem ci podać nazwiska, jakiego używa na ulicy.

- Więc wymyśliłeś fałszywe. Nawet po tym, jak uprzedziłam cię, że wysłucham cię tylko pod warunkiem, że powiesz mi prawdę.

Zastanowił się i kiwnął głową.

- Tak, tak właśnie zrobiłem. I postąpiłem słusznie. Dzwoniłaś i pytałaś o niego. Mogło cię to kosztować życie, gdyby usłyszała to niewłaściwa osoba.

- Jak? Niby w jaki sposób? - Jej pytanie aż ociekało sceptycyzmem.

- Na Boga, wspomniałam o tym tylko Joelowi.

-A potem on zadzwonił do kogoś jeszcze, prawda? Kogoś z policji w San Antonio. Myślisz, że jestem jedynym gliniarzem, na którego ten facet coś ma? Gdyby niewłaściwy człowiek usłyszał prawdziwe nazwisko, byłabyś już martwa, Claire. Oboje bylibyście martwi. Ty i dziecko.

Dalej jechali już w milczeniu, ale nie byli sami. Niedowierzenie Claire wśliznęło się między nich jak nieproszony pasażer, wypełniając powietrze zapachem zadawnionego żalu.

Rozdział 16

Bez niej dom wydawał się martwy i pusty. Tak martwy, jak mucha na parapecie, rozpadająca się w proch.

Siedzący samotnie człowiek czuł się równie wypalony jak tamtego okropnego dnia, kiedy po raz pierwszy kogoś stracił.

W jego mrocznych myślach wzbierała potrzeba, którą odpychał przez długi, pełen goryczy czas. Zmęczony walką z nią, jeszcze raz sprawdził zamki. Kilka chwil później zasłony zaszeleściły cicho, gdy zasunął je, odcinając się od światła gwiazd i od wścibskich oczu, które mogły patrzeć.

Nadszedł czas, by stawić czoło wspomnieniom.

Czas, by wszystko podsumować.

I czas, by zmierzyć się z tym, co zrobił i co jeszcze musi zrobić, by jego sekret nie wyszedł na jaw.

Niedaleko obrzeży miasta opony wozu rytmicznie podskakiwały na splekanym asfalcie. Poza tym w samochodzie panowała cisza. Spence nie odzywał się już od pół godziny.

Claire spojrzała na niego i zobaczyła, że głowa mu się przechyliła, a zdrowym ramieniem opierał się o zamknięte drzwi. Prawą dłońią osłaniał ranę na lewej ręce i raz czy dwa razy drgnął, pogrążony w niespokojnym śnie.

Jej wzrok padł na siedzenie między nimi i przemknęło jej przez myśl, żeby chwycić pistolet, który tam położył, i wyrzucić go przez okno. Ta cholerna broń nie przyniosła im dwojgu nic oprócz jeszcze większego

bólu. I gdyby wreszcie jej nie było, mogłaby zawieźć go na izbę przyjęć, zanim się obudzi...

I od razu zarządziliby jego nadzór. Kiedy do zarzutów dołączyliby porwanie z bronią w rękę, mógłby zapomnieć o kolejnej szansie wyjścia za kaucją i o pragnieniu oczyszczenia się z zarzutów.

Jednak zamiast ulgi poczuła mdłości, napłynęły wraz z myślą o tych okropnych rzeczach, które, jak słyszała, dzieją się w stanowych więzieniach. A o ile gorsze mogą spotkać człowieka, o którym wiadomo, że jest gliną?

Jej mąż miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, był twardy, silny i umiał przeżyć na ulicy. Ale żadne modlitwy nie uchronią go przed gangami, które tak naprawdę rządzą więzieniami. Nie miał szans, by odsiedzieć wyrok i wyjść z tego bez szwanku.

„Wyjął broń i zmusił cię, żebyś go podwiozła. Skłamał ci o tym człowieku, który go niby zrobił. Zniszczył twoją przyszłość przez hazard, bo był zbyt dumny albo za głupi, żeby chodzić do psychologa”.

Ale nieważne, co sobie mówiła, nie mogła uciec przed obrazami, które przemykały jej przez głowę jak makabryczny pokaz slajdów: Spence bity, załamany... gwałcony. Martwy i pochowany w jakiejś taniej trumnie na więziennym cmentarzu.

Zjechała na ciemne pobocze, wyskoczyła z wozu, zdołała zrobić trzy chwytne kroki i wyrzuciła z siebie zawartość żołądka na żwir pod stopami. Nadal jednak miała mdłości. I nagle poczuła ciepłą dłoń Spence'a na swoich plecach.

- Napij się. Poczujesz się lepiej. - Wcisnął jej do ręki butelkę z wodą, do połowy pełną.

Wypłukała usta, splunęła i lzy pociekły jej po policzkach. Nos jej się zatykał i wiedziała z doświadczenia, że na jej twarzy pojawiają się plamy. Nigdy nie była jedną z tych małych, ślicznie płaczących kobietek, stworzonych do telewizji.

Ale wyglądało na to, że Spence'owi to nie przeszkadza. Odciągnął ją kawałek dalej od kałuży wymiocin, objął ramieniem i wsunął dłoń pod miękką zasłonę jej włosów, by pogłaskać ją po karku. Gdy ich ciała przywarły do siebie, poczuła gorąco promieniujące przez jego ubranie. Drżał, choć noc była ciepła. Mimo że był chory, wyszeptał do niej:

- Już dobrze, kochanie. Przysięgam ci, że to wszystko wyprostuję.

Ze wszystkich kłamstw, które mi powiedział, to jest najgorsze, pomyślała Claire. Ale jakoś nie potrafiła go za to nienawdzić.

Może dlatego że rozumiała, jak bardzo oboje potrzebują tej oazy na ich własnej pustyni. Tych kilku chwil gry pozorów.

Dwadzieścia minut później w zalanym atramentową ciemnością zakamarku opuszczonego terenu handlowego Spence wygramolił się z zielonego pikapa i podszedł do metalowej bramy. Przez minutę stał, nasłuchując, ale nie usłyszał żadnego dźwięku oprócz dalekiego warkotu półciężarówki na drodze I-35 i dobiegającego z jeszcze większej odległości sygnału syreny.

Tu panowała cisza.

Kiedy stwierdził, że nikt nie czai się za wysokim na dwa i pół metra płotem, rozplatał rdzewiejący łańcuch w bramie. Zaszczekał i zadzwonił, gdy upadł obok od dawna zepsutej kłódki, którą najwyraźniej ktoś wcześniej przestrzelił.

Spence oparł się o bramę i przyszło mu do głowy, że być może „klinikę” doktor Rachel Little jest już opuszczona i że ona sama mogła zniknąć w tym czasie, kiedy go tu nie było. Jednak instynkt podpowiadał mu, że zabrnęła już zbyt daleko, żeby się wycofać, i że wciąż tkwi wśród tych rzędów spalonych i poskręcanych wraków, które kiedyś były domami na kółkach, samochodami kempingowymi i przyczepami. Dopóki jest dla nich przydatna, gangsterzy będą przynosić jej jedzenie i narkotyki, by utrzymać ją przy życiu.

Spence tak mocno pchnął ciężką bramę, że przez jego mięśnie przeszedł spazmatyczny skurcz, a obraz gwiazd nad głową zamazał się na chwilę. Jednak pchał dalej i po chwili zardzewiałe zawiasy zaskrzypiały w proteście; ten dźwięk ostrzegłby każdego, kto znajdowałby się po drugiej stronie. Spence potknął się, w pośpiechu wracając do wozu.

- Nie podoba mi się to - powiedziała Claire.

- Możemy odjechać. Zostawię cię w jakimś bezpiecznym miejscu - zaproponował. - Jest taka całonocowa knajpka niedaleko...

Pokręciła głową.

- Nie zgadzam się. Nie jesteś w stanie prowadzić.

Już przedtem się o to kłócili, niedługo po tym, jak zwymiotowała na poboczu. Upierała się, że to ona go postrzeliła i że musi mujdomać.

- Lepiej wyłącz te światła - ostrzegł, gdy przejechali obok przekrzywionego znaku z napisem „Zakaz wstępu”. Ręcznie namalowana, prostokątna tablica była podziurawiona kulami. - Lubią tu, jak jest ciemno.

Jakieś pół tuzina rozbitych latarni, które już minęły, potwierdzało jego słowa.

Claire wyłączyła światła i Spence usłyszał jej pełne napięcia westchnienie.

- Nic nam się nie stanie - powiedział, próbując dodać jej otuchy.
- Księżyc świeci dostatecznie jasno.

Księżyc prawie w pełni zalewał teren mlecznym światłem, a drut kolczasty na szczycie ogrodzenia połyskiwał groźnie w jego poświacie.

- Nie to mnie martwi. - Claire rozejrzała się. - To nie jest miejsce dla nas. To nie jest miejsce, w którym ktoś może ci pomóc.

Kazał jej skrócić w lewo, a potem zaraz w prawo. Mijali kolejne metalowe wraki spoczywające w równych rzędach, jak na cmentarzu.

- Wiesz, nigdy się nawet nie zastanawiałam, gdzie to żelastwo w końcu trafia. Jest tego tyle. A tak w ogóle, co to za miejsce? - spytała Claire.

- Jakiejś firmie wydawało się, że może zrobić interes na recyklingu części pochodzących z takich domów na kółkach. I chyba źle się wydawało, bo splajtowała parę lat temu - wyjaśnił.

Chwilę później wskazał na wgnieciony wrak, który wyglądał jak przyczepa kempingowa z czasów *I Love Lucy*.

- Zaparkuj tutaj, ale nie za blisko.
- Nie będę czekać w wozie - oświadczyła.

Kiwnął głową.

- Nie zostawiłbym cię tu.

A może jacyś potępiency czają się w tych zakamarkach? Najlepszym sposobem, by zapewnić Claire bezpieczeństwo, było cały czas mieć ją na oku.

Ale bezpieczeństwo to rzecz względna, pomyślał, gdy deptali po śmieciach leżących przed drzwiami przyczepy doktor Little. Potłuczone butelki po alkoholu, powgniatane puszkki, poplamione tłuszczem torby po fast foodzie i papierki po cukierkach walały się wszędzie. W świetle latarki Claire zabłysło kilka par paciorkowatych oczu.

Jęknęła, gdy jeden szary kształt oddzielił się od reszty. Zwierzę przemknęło zygzakiem i zniknęło wśród chwastów rosnących wzdłuż zniszczonej siatki ogrodzenia.

- Uff... nienawidzę ich.

Jej głos drżał z obrzydzenia i przez chwilę Spence myślał, że zawróci i pobiegnie do wozu. Claire całkiem dobrze tolerowała, a nawet

na swój sposób lubiła dziki, kojoty i wszelkiego rodzaju węże, lecz nie znosiła szczurów wielkich jak wiewiórki.

A jednak wciąż trwała przy nim, a on zastanawiał się, czy nie przerazi jej widok ludzkiego robactwa zamieszkującego to szambo.

Światło latarki odbiło się od zmatowiałego od deszczu i wiatru aluminium. Przy każdym nicie wykwiłała czerwona rdza niczym plamy krwi.

Gdy doszli do drzwi, Spence odwrócił się i powiedział:

- Ja z nią porozmawiam.

- Myślałeś, że zamierzam zaprosić tę kobietę do mojego kółka cytelniczego?

Uśmiechnął się do siebie, przypominając sobie, dlaczego się w niej tak zakochał. Potem zacisnął dłoń w pięść i załomotał do drzwi.

- Otwieraj, Rachel! Przywiozłem ci trochę kasy.

Żadnej odpowiedzi, więc walił dalej.

- No już, doktorco. Nigdzie się stąd nie ruszę, póki się z tobą nie zobaczę.

Trwało to przez kilka minut, na tyle długo, że zaczął się zastanawiać, czy amfą - albo klienci Rachel - już jej nie wykończyli.

- Nie ma jej? - wyszeptwała Claire.

Spence uniósł dłoń trzymającą pistolet.

- Cicho!

Usłyszał ruch wewnątrz przyczepy. Najpierw rumor, potem szuranie - ktoś odsuwał przedmiot spod drzwi. A wreszcie pobrzękiwanie łańcucha i szcęk zamka. W końcu drzwi otworzyły się, skrzypiąc.

- Ciii... Bądź cicho - wyszeptwała zniecierpliwionym głosem kobieta; zobaczył jej głowę w świetle gazowej lampy wiszącej na haku. - Pobudzisz ich. I wtedy wszyscy będziemy mieć kłopoty.

- Kogo pobudzę? Kto tu jest? - Kiedy nie odpowiedziała, Spence się domyślił.

Narkomani, często naćpani przez wiele dni, byli znani ze swoich paranooidalnych halucynacji.

Wpuściła Spence'a i Claire do środka, a jej ręce wykonywały góraczkowe, nieskoordynowane ruchy.

Rachel Little mieszkająca w zaśmieconej przyczepie w niczym nie przypominała ładnej młodej internistki, którą Spence aresztował przed dwoma laty. Wtedy ruda kobieta z Iowa, o świeżej cerze, bardziej przypominała kandydatkę na Wolontariuszkę Roku niż narkomankę. Ale nią

właśnie była, choć zarząd szpitala, w którym pracowała, stanął na głowie, by zatuszować jakoś fakt, że kradła amfetaminę i opiaty.

Pewnie nie chcieli wierzyć, że ktoś tak ładnie się prezentujący i inteligentny może być ćpunem. Spence rozumiał ich niedowierzanie, bo sam wciąż nie potrafił sobie wyobrazić, jak do tego doszło.

Jednak teraz prawdy nie można już było ukryć. Kiedy Rachel mówiła, widział ciemne plamy w miejscu kiedyś prostych, białych zębów. Jej niegdyś lśniące włosy zwisały w cienkich pasmach, a poplamione ubranie cuchnęło kwaśną pleśnią, którą śmierdziała cała przyczepa. Ale najbardziej zdradzały ją ruchy. Jej palce, którymi najpierw podrapała się po twarzy, a potem po strupach na bladych i chudych ramionach, poruszały się jak nóżki żuka. Oczy, jak dwie czarne studnie, spoglądały gorączkowo to na latarkę Claire, to na pistolet w ręce Spence'a.

Najpierw pomyślał, że się boi, że ją skrzywdzą. Ale zrozumiał ją lepiej, kiedy z niepokojem zapytała:

- Nie przynieśliśta mi towaru? Nie mata żadnych prochów?

Przypomniał sobie, co o niej słyszał. Że kiedyś była jedną z najlepszych studentek na swoim roku i że specjalizowała się w biologii molekularnej. A jednak teraz nie potrafiła nawet poprawnie się wysławiać.

- Nie mam żadnych drogów, Rachel. Ode mnie ich nie dostaniesz. Ale przyniosłem trochę pieniędzy. Będziesz sobie mogła kupić dobre jedzenie.

Patrzyła na niego pustym wzrokiem, jakby nie rozumiała, po co jej coś takiego. A potem te czarne studnie nagle mrugnęły i skoczyła za przymocowany na stałe stół, na którym piętrzyły się śmieci.

- Ja... Pamiętam cię. To ty jesteś tym gliną. Wynoś się stąd! Nie chcę żadnych kłopotów. Nie chcę, żeby ten hałas ich pobudził.

- Już dobrze, Rachel - powiedział uspokajająco. - Już dobrze. Nie jestem tu po to, by ci przekopać tę budę. Po prostu potrzebuję pomocy... I mogę ci zapłacić.

- Pomocy?

Spojrzała na niego i zobaczył, że jej rysy wyostrajają się, że jest teraz bardziej skoncentrowana. To dawało mu nadzieję, że może jednak go wyleczy, zamiast zabić.

- Mam kulę. Tu, w ramieniu. Dostałem od tego gorączki. Możesz ją wyjąć?

- Przecież jesteś gliną. Dlaczego nie...

- Widziałem, jak zacerowałaś Light Yeara. - Dostał cynk i przyjechał tutaj razem ze wsparciem, by aresztować dwukrotnie skazanego La-

monta „Light Yeara” Carlsona, który został postrzelony, kiedy próbował obrobić mały sklepik. - To był kawał dobrej roboty, doktor Little. Prawdopodobnie uratowałaś mu życie.

Ale co to za życie za murami więzienia? Bo dwudziestoletni sprzedawca, którego Light Year postrzelił, nie miał już tyle szczęścia.

Doktor Rachel wysunęła się zza stołu, kręcąc głową.

- Jak się zacznę zadawać z gliniarzami, to mnie zabiją. Oni nie lubią gliniarzy.

Doszedł do wniosku, że „oni” to przestępcy, utrzymujący ją w tym „pałacu”.

- A kto im powie? - zapytał. - Na pewno nie ja. A może ty?

Rzucił to pytanie w kierunku Claire. Lawirowała między stosami pudeł - zauważył, że z kilku wystawało coś, co wyglądało jak brudne szmaty - żeby otworzyć jedno z okien. Najwyraźniej nie mogła znieść tego smrodu. Nawet w nikłym świetle lampy gazowej wydawała się tak blada jak Rachel i zastanawiał się, czy jej żołądek to wytrzyma.

A mimo to dzielnie pokręciła głową w stronę „pani doktor”.

- Żadnych glin. Nie, nie powinnam... - powiedziała Rachel, jednak jego rana przyciągnęła jej uwagę, tak jak ziemia przyciąga meteory z nocnego nieba. Wbiła wzrok w jego lewe ramię, gdzie krew zaschła na rękawie zakrywającym bandaż, i przysunęła się bliżej. Na tyle blisko, żeby go dotknąć.

Niecierpliwie machnęła ręką.

- Zdejmuj to... tę koszulę. Spojrzę na to. Tylko spojrzę.

Odpiął guziki i zdjął koszulę, sądząc, że już ją przekonał.

Ale w tym momencie Claire, odwracając się od okna, krzyknęła:

- Nie możesz jej na to pozwolić! To absurd. Temu miejscu daleko do sterylności. A ona to kompletny wrak.

Rachel popatrzyła na nią.

- Trzymam narzędzia w alkoholu. Moje bandaże są w sterylnych opakowaniach. Mam prawdziwe lekarstwa... moi przyjaciele dostają je z apteki w... Nieważne. I zapamiętaj sobie, że wciąż jestem cholernie dobrym lekarzem. Zobaczysz.

W jej głosie brzmiało oburzenie i wściekłość, jakby w głowie jej się nie mieściło, że ktoś mógłby kwestionować jej kwalifikacje. Gdy Claire zmierzyła ją spojrzeniem, nerwowo podrapała się po czole.

W powietrzu zawisło napięcie, zrobiło się jakby ciemniej. Spence zamrugał, bo uświadomił sobie, że wzrok mu się mąci.

- Już dobrze - powiedział szybko. - Ufam ci, doktor Rachel.
- No to zostań. Mogę cię załatać. Ale suka ma czekać za drzwiami.

Rozdział 17

Claire nerwowo chodziła dookoła wozu, a ręka bolała ją od kurczowego zaciskania zniechęconego pistoletu. W drugiej dłoni trzymała metalową latarkę; Spence kiedyś mówił, że w razie potrzeby można by nią nieźle komuś przywalić. Nie włączyła jej jednak, żeby oszczędzać baterie i nie przyciągać uwagi.

Najpierw kłóciła się, że nie chce wychodzić, a potem błagała, by pozwolili jej zostać w przyczepie. Ale Rachel i Spence pozostali nieugięci.

- Nie musisz na to patrzeć - przekonywał ją. - Wszystko będzie dobrze. Po prostu nie odchodź daleko od drzwi, żebym w razie czego mógł cię usłyszeć. I zawołaj, jeśli będziesz mnie potrzebować albo jeśli kogoś zobaczysz. Natychmiast do ciebie przybiegnę.

To było dwadzieścia dwie minuty temu, według zegara na desce rozdzielczej. Przez ten czas chodziła nerwowo od przyczepy do terenówki, podskakując ze strachu na każdy dźwięk i zamartwiając się o Ellen i ojca. Kiedy jej nie znajdą, na pewno skontaktują się z biurem szeryfa. Pomyślała, że do nich zadzwoni i ich uspokoi, ale nie mogła znaleźć komórki w obszernej kabinie pikapa.

Nie mogła też znaleźć swojego portfela. Przypomniała sobie, że zostawiła go dziś rano w domu i włożyła do kieszeni tylko prawo jazdy, czterdzieści dolarów i pomadkę do ust. W wozie nie było również nic, co by jej się przydało.

W ręce wpadła jej puszka letniej coli, która wtoczyła się pod siedzenie, i zamknięte opakowanie słonych krakersów, które nie wyglądały na stare. Wypiła trochę coli i pogryzała krakersy, mając nadzieję, że uda jej się uspokoić buntujący się żołądek.

Myślała z obawą o tym, co powie ojcu i Ellen o swojej nocnej wyprawie? A Joelowi, jeśli, albo raczej kiedy, będzie zadawał jej pytania? I co będzie ze Spence'em? Czy powinna go zostawić w jakimś bezpiecznym miejscu? I gdzie w ogóle mógłby być bezpieczny?

Jedno wiedziała na pewno. Nie zostanie z nim. Choć wciąż go kochała, to jednak nie była aż taką skończoną idiotką.

Nie da się cofnąć czasu ani znów odbudować zaufania, którym kiedyś się darzyli. Jeśli chce zapewnić godne życie sobie i dziecku, to jej największą szansą, a być może nawet jedyną, jest odcięcie się od problemów Spence'a.

W świetle księżycy znów podeszła do przyczepy, nasłuchując jego głosu, a być może okrzyku bólu. Słyszała jednak tylko radosne cykanie świerszczy w zaroślach i szelesty w stercie śmieci. Szczury?

Wstrząsnął nią dreszcz. Gdy tylko wróci do domu, długo nie będzie wychodzić spod gorącego prysznica. I zrobi dobry użytek z każdego kawałka mydła i każdej kropli szamponu, jakie tylko znajdzie.

Pomyślała o Spencerze, który wciąż był w przyczepie pełnej zarazków. Nawet jeśli po tej nocy już nigdy go nie zobaczy, nie może pozwolić, by pochorował się jeszcze bardziej przez tę kobietę. Nie może pozwolić, żeby jej mąż umarł w tej dziurze.

Nie zwracając sobie głowy pukaniem, szarpnęła drzwi i weszła do środka.

- Wszystko w porządku! - zawołał do niej Spence.

Siedział na uprzątniętym stole, przykrytym czystym niebieskim prześcieradłem, na którym zauważyła jedynie kilka świeżych plam krwi. Choć jego ciemne włosy były mokre od potu, a niebieskie oczy podkrążone z bólu, twarz lekko poróżowiała. I wydawał się przytomny.

Doktor Rachel przyciskała do jego ramienia coś, co przypominało podpaskę, i zawijała dookoła bandaż.

Spence spojrzał na opatrunek i krzywo się uśmiechnął.

- Może nie są szczytem mody, ale przynajmniej są sterylne. Wiedziałaś o tym, że mnóstwo ludzi trzyma je w apteczkach?

Nie udało jej się odwzajemnić uśmiechu, bo jej spojrzenie padło na popielniczkę, w której leżała zakrwawiona kula. Poczuła, że żołądek znów zaczyna się buntować, więc odwróciła wzrok.

- Szybko poszło - powiedziała do lekarki.

Pod zasłoną tłustych rudych włosów Rachel wzruszyła chudymi ramionami.

- Mówiłam ci, wciąż jestem dobra. Wydłubałam to z kości szczypcami. Mogłabym pracować wszędzie, w każdym szpitalu.

Claire rozejrzała się, zatykając nos, by nie czuć smrodu ludzkich odchodów.

- Cóż wyraźnie widać, dlaczego wybrałaś akurat ten.

I żeby załagodzić złośliwość, szybko dodała:

- Przepraszam. Nie powinnam tego mówić. Doceniam to, że mi pomogłaś.

Ostrożnie wsunęła mały pistolet za pasek od spodni. Dziwnie się czuła, dziękując komuś i jednocześnie trzymając broń w ręce.

Rachel skinęła głową.

- Dałam mu też zastrzyk. Coś mocnego na infekcję. Ale twardej z niego. Nie chciał nic, wziął tylko trochę tylenolu na ból. A ja mam tu naprawdę niezłe gówna. Sama je biorę, jak muszę dojść do siebie.

Sądząc po tym, jak niewyraźnie mówiła, to właśnie zrobiła przed operacją.

- Muszę być przytomny, żeby przeżyć - powiedział Spence.

Doktor Rachel znów wzruszyła ramionami, tak jakby już to słyszała wcześniej. Ale jej wzrok znów stawał się tępy, co świadczyło o tym, że próbowała swoich towarów. Co za okropne marnotrawienie potencjału, pomyślała Claire.

Kiedy Spence sięgnął po swoją koszulę, odłożyła latarkę, żeby pomóc mu się ubrać, a potem powiedziała do doktor Rachel:

- Są specjalne programy... mogłyby ci pomóc. Dam ci później numery telefonów, skontaktuję cię z ludźmi, którzy mogą cię zabrać z tego miejsca.

- Po co? - spytała kobieta. - Znów bym wszystko zepsuła i pewnie wylądowałabym w jakimś jeszcze gorszym miejscu.

Zanim Claire zdążyła odpowiedzieć, Rachel dodała:

-Areszt jest gorszy. I więzienie stanowe. Nie będę żyć w klatce.

Spence stał obok, szperając w prawej kieszeni dżinsów.

- Zapłacę ci. Mam trochę pieniędzy.

Powieki Rachel przymknęły się i zrobiła niedbały gest, coś jakby machnięcie ręką, a potem zamaszystym ruchem wskazała na całą przyczepę:

-A na cholerę mi pieniądze? Mam tu wszystko, o czym dziewczyna może w życiu marzyć.

Kiedy wyszli z przyczepy, Spence zauważył, że Claire ogląda się za siebie.

- Nie wiem, jak ci się udało tak długo to wytrzymać - powiedziała cicho. - Codziennie patrzeć, jak ludzie samych siebie niszczą. Stykam

się czasem z rezultatami, ale zazwyczaj, kiedy do mnie przychodzą, próbują się już pozbierać.

Pomyślał o tym wszystkim, czego się napatrzył i co wtedy czuł, i jego twarz wykrzywił grymas.

- Nie ma takiego prawa, które by ci zabroniało spierdolić sobie życie. Musisz nauczyć się sobie z tym radzić. Inaczej nikomu nie pomożesz.

Położył lewą dłoń na jej ramieniu, by poprowadzić ją do wozu. Ale zanim zdążyli zrobić dwa kroki, usłyszeli jakiś dźwięk - dobiegał z rozbitego tylnego okna przyczepy. Ten dźwięk sprawił, że zamarli.

To był cienki płacz, kruchy i niepewny. Kwilenie niemowlęcia w pierwszych dniach życia.

Rozdział 18

Nie powinniśmy byli go tam tak zostawić - Claire nerwowo uderzała kciukami o kierownicę i myślała o tym, żeby zawrócić i zabrać dziecko.

Co będzie, jeśli doktor Rachel przedawkuje leki przeciwbólowe? Albo jeśli szczury jakoś zdołają wśliznąć się do przyczepy i znajdą dziecko?

Spence pokręcił głową.

-Znajdziemy telefon i zadzwonimy anonimowo pod 911. Poprosimy kogoś z policji, żeby tam pojechał i sprawdził. Zaufaj mi, powiadomią opiekę społeczną i zaraz ktoś się tym zajmie. To dziecko nie spędzi już tam dzisiejszej nocy.

- Na pewno?

Poważnie skinął głową.

- Obiecuję. A poza tym nie możemy dodawać porwania do mojej listy zarzutów.

Claire zastanawiała się, czy to oznacza, że uznał, iż ona nie złoży skargi. Prawdopodobnie tego nie zrobi, ale zirytowała ją myśl, że był tego taki pewien.

-A co z doktor Rachel? - zapytała. - Ją też zabiorą w jakieś bezpieczne miejsce?

- W więzieniu będzie bezpieczniejsza niż tam, gdzie jest teraz. Jeśli zostanie w tej dziurze, pewnego dnia jakiś bandzior ją zabije.

- Ale ona jest dla nich cenna. Dlaczego mieliby...

Pokręcił głową.

- Zakładasz, że ci ludzie myślą tak jak my. Że to, co robią, ma jakiś sens.

Przed oczami stanął jej obraz Spence'a celującego do niej z pistoletu, gdy otwierała drzwi pikapa.

- Powiedziałeś „my”. „Tak jak my”. Zapominasz, że ciebie też nie rozumiem. A przynajmniej w ostatnim czasie.

Nic nie odpowiedział. Zielony wóz przemknął koło kilku warsztatów samochodowych, kwiaciarni z tanimi kwiatami i antykwariatów. Na parkingach przed nimi było pusto i w większości okien nie paliły się światła. Tam, gdzie paliła się latarnia, przy księgarni Blue Moon, widniał wytarty znak, w którym brakowało wielu liter. Spróbowała go rozszyfrować, ale nie zdażyła, bo szybko przejechali obok.

Po jakimś czasie przerwała milczenie:

- Bardzo cię boli ramię?

- Pamiętasz, jak byłem na patrolu i te dzieciaki z gangu poszczuły na mnie swojego pitbulla?

Kiwnęła głową. Na lewej łydce wciąż miał blizny po czterdziestu szwach.

- Rwie podobnie jak wtedy, ale będzie w porządku.

Pomyślała, że jego głos brzmi teraz mocniej, lecz nadal wciąż było za wcześnie, żeby móc z całą pewnością stwierdzić, czy doktor Rachel mu pomogła.

Przed nimi, za skrzyżowaniem, Claire zobaczyła wesoły, pomarańczowo-biały neon całodobowego baru. W tej samej chwili Spence zapytał:

- Może byśmy się tu zatrzymali? Jest tam telefon. Widzisz? I powinniśmy kupić coś do jedzenia na drogę.

Odczekała, aż zmienia się światła, a potem zaparkowała po drugiej stronie na parkingu, gdzie stało już kilka samochodów. Jakies dwa metry od maski swojego pikapa dostrzegła automat telefoniczny na ścianie budynku.

- Nie możesz wejść do środka - powiedziała. - Na pewno ktoś zobaczy, że masz krew na rękawie, i zacznie coś podejrzewać. Ja kupię coś do jedzenia, a ty zadzwonisz. No i muszę zajrzeć do toalety.

Zawahał się.

- Kiedy już to zrobimy, chciałbym, żebyś mnie podrzuciła w pewne miejsce. Wtedy się trochę prześpię i ruszę dalej.

- Dokąd? Co zamierzasz?

- Spróbuję wyprostować to tak, żeby było dobrze dla wszystkich.

W Claire coś zadrżało, jakaś samotna i naga cząstka; tak właśnie wyobrażała sobie tamto dziecko w przyczepie, samotne i nagie. Ale pomyślała też o innym dziecku, o własnym, a potem o dzieciach z Monarch Ranch. A może raczej z Camp Am-Pride-Co, jeśli nie weźmie się w garść.

Kiwnęła głową i powiedziała:

- Wrócę za parę minut.

Gdy otwierała drzwi wozu, złapał ją za nadgarstek. Ból przeszył jej słuczone ramię, kiedy odruchowo szarpnęła ręką.

- Wiesz, że bym cię nie skrzywdził? Prawda?

Potała ramię i spojrzała na niego. Czyżby zapomniał, że krzywdził ją już od wielu tygodni?

- Nikomu nie powiem, jeśli o to ci chodzi. Później wytłumaczę tacie i Ellen, że musiałam pojechać po parę rzeczy do naszego dawnego mieszkania.

Jego twarz wyrażała ból, smutek i coś jeszcze. Pomyślała, że to może być miłość w swojej najbardziej pierwotnej postaci.

Pogłaskała ją po rękę i wyszeptał:

- Ufam ci, Claire. Całym sercem.

Zmusiła się, by powstrzymać łzy, by nie wziąć go w ramiona i nie powiedzieć mu, że nigdy nie przestanie w niego wierzyć. Bo wtedy, gdy już go zostawi, wszystko będzie jeszcze trudniejsze.

Gdy już go zostawi...

Na tę myśl przeszło ją przerażenie, a niewypowiedziane słowa napłynęły jak gorąca żółć do gardła. I zanim wydobyły się z jej ust, Spence odwrócił się, a jego twarz wyrażała rozczarowanie.

- Poczekaj, Spence!

Spojrzał na nią przez ramię. Przełknęła, choć gardło miała suche jak popiół.

- Czegokolwiek byś ode mnie potrzebował, dostaniesz to. Wszystko!

Nie czekając na jego odpowiedź, wepchnęła pistolet pod siedzenie kierowcy, żeby nikt go nie zobaczył, wyskoczyła z wozu i ruszyła w stronę baru.

Gdy wróciła z napojami i torbą pachnącą tłustymi smakołykami w rękach, Spence wciąż rozmawiał przez telefon, oparty o ścianę. Już kiedy składała zamówienie, poczuła się głodna jak wilk. Teraz zjadła kilka frytek i właśnie miała rozpakować grillowaną kanapkę z kurczakiem, kiedy Spence wszedł do samochodu.

- Możemy zaparkować gdzieś indziej, żeby spokojnie zjeść? - zapytał.

Nie powiedział dlaczego, ale podejrzewała, że policja może już szukać ich pikapa. Skrzywiła się na myśl, że każdy policjant, który zna Spence'a, na pewno pamięta, że on uwielbia jedzenie z sieci Whataburger.

Pojechali parę przecznic dalej i Claire zatrzymała wóz na tyłach szeregu sklepów.

- Czy tu jest dobrze?

Uśmiechnął się ponuro.

- Byłby z ciebie nie najgorszy uciekinier.

- To ty jesteś ekspertem. - Podała mu torbę. - Co powiedzieli, kiedy zadzwoniłeś? Policja pojedzie po to dziecko?

- Tak. Na pewno.

Spence rozpakował cheeseburgera i zajrzał do środka.

- Pamiętałaś o *jalapenos*...

Wydawał się zadowolony z tego powodu, tak jakby nie miał innych zmartwień na głowie i myślał tylko o ulubionym fast foodzie. Te słowa były jak maleńki okruch normalności, drzazga, która wbiła jej się głęboko w serce.

Zdołała przełknąć parę kęsów, ale choć żuła i żuła, gardło jej się ścisnęło: może to ich ostatni wspólny posiłek? Wreszcie zawinęła nadzowaną kanapkę i wsunęła ją z powrotem do torby.

Spence spojrział na nią znad swojego burgera.

- Znów ci dokuczają żołądek?

Pokiwała głową i szepnęła:

- Wiesz, ta lekarka może im powiedzieć o tym, że ci pomogła. Policja może w każdej chwili dodać dwa do dwóch i wyciągnąć z tego wnioski.

- Jeśli tak się stanie, to trudno. Kiedy porozmawiam z... jak ja go nazwałem?... z Beto... to już nie będzie miało znaczenia.

Serce załomotało jej w piersiach i zanim zdołała się powstrzymać, palnęła:

-Uciekajmy stąd, Spence! Moglibyśmy pojechać do Meksyku i zacząć od nowa. Moglibyśmy uciec od tego wszystkiego i...

- Ciii. - Zgniótł swoje opakowanie po kanapce i sięgnął po serwetkę. - Dobrze wiesz, że to by nie zadziało. Wiesz, że...

- Wiem tylko, że nie chcę, żebyś zginął. A dokładnie do tego zmierzasz. To dlatego wczoraj w nocy zadzwoniłam do Joela. I to dlatego nie mogę cię po prostu gdzieś wysadzić i pozwolić ci spotkać się z tym Beto, czy kim on tam, u diabła, jest.

Przysunął się bliżej, pochylił ku niej i ujął jej twarz w dłonie. Był tak blisko, że widziała, jak fala bólu napływa do jego oczu.

I wtedy ją pocałował. To był niewinny pocałunek, nabrzmiały ich historią i marzeniami o przyszłości, której już dla nich nie ma.

Spence szybko otworzył drzwi i wyskoczył z samochodu.

- To już i tak trwało za długo, Claire. Pomagając mi, za bardzo ryzykujesz. Muszę iść. Dzięki, że zabrałaś mnie aż tu.

Zanim zdołała zareagować, już się od niej odwrócił i ruszył dziwnym, utykającym truchtem ulicą pogrążoną w atramentowej ciemności.

- Wracaj! - A kiedy nie odpowiedział, krzyknęła: - Mówię poważnie, Spence!

Ale nim pomyślała o tym, by włączyć światła, zniknął z jej oczu. Mogłaby nawet wmówić sobie, że cały ten epizod był tylko snem, gdyby nie torba śmieci na siedzeniu samochodu i głęboka pamięć tych wszystkich miejsc na jej ciele, których dotykał.

Rozdział 19

Spence nie przebiegł w ciemności nawet trzech kroków, kiedy dopadły go ból i osłabienie, uderzając w niego z siłą tornado pustoszącego las. Ledwie zdołał dojść chwiejnym krokiem za śmietnik i zwałił się z nóg. Leżał na boku, osłaniając ranne ramię, zwinięty w kłębek. Szum w głowie narastał i Spence ledwie zauważył błysk przednich świateł na ulicy i usłyszał głęboki znajomy pomruk ośmiocyndrowego silnika pikapa.

Odjeżdża... Choć tego nie widział, jego umysł wytworzył serię obrazów: zielony pikap jedzie z powrotem do Little BC albo może do

ich mieszkania w San Antonio; potem Claire dzwoni do ojca, mówi mu, żeby się nie martwił, że wróci rano. Ujrzał swoją żonę w czystym łóżku, z wilgotnymi, słodko pachnącymi włosami po kąpieli pod prysznicem; jej twarz jest pogodna, pierś delikatnie unosi się i opada. Ta wizja była tak piękna, a wszystkie szczegóły tak żywe, że dał się im ponieść. W wyobraźni zobaczył też siebie, zdrowego i wolnego od winy, jak wślizguje się za nią do łóżka i wtula w jej ciało. Jego dłoń sięga ku jej piersiom, a usta szukają tego czułego miejsca za jej uchem. Ona odwraca się do niego, z zaspanym, seksownym uśmiechem...

Ktoś potrząsnął go za ramię, przywracając do świata bólu.

- Spence! Spence! Musisz mi pomóc.

To był głos Claire, głośny i wyraźny. Ale Spence nie chciał otwierać oczu, nie chciał zobaczyć pustej ulicy i przekonać się, że jej tam nie ma. Pragnął tylko znów wśliznąć się w świat iluzji, przytulić do żony w jedy-ny sposób, w jaki to było możliwe.

Drugie, bardziej uporczywe szarpnięcie nie pozwoliło mu na to.

- Zabiorę cię z powrotem do wozu, ale musisz mi w tym pomóc. Nie dam rady cię podnieść. To mogłoby mi zaszkodzić albo zaszkodzić dziecku.

Kiedy otworzył oczy, widział ją jak przez mgłę. Ale bez wątplenia była tu i była prawdziwa. Zalała go fala wdzięczności, choć wiedział, że powinien jej powiedzieć, by znikła do cholery z jego życia. I że jeśli umrze tu, na tej ulicy, jej kłopoty wreszcie się skończą.

Jednak moc marzenia sprawiła, że jej usłyszał. Poruszając się z trudem, najpierw usiadł, a potem udało mu się wstać. Objęła go ramieniem w pasie i powoli poprowadziła do pikapa.

Ostatkiem sił osunął się do wozu. Bezwładnie opadł bokiem na siedzenie, zostawiając Claire tylko tyle miejsca, że ledwie zmieściła się za kierownicą.

Zamknęła drzwi i powiedziała stanowczo:

- Jedziemy do naszego mieszkania. Wykapiemy cię i wsadzimy do łóżka.

Pragnął jej i domu bardziej niż cegokolwiek w życiu. Ale rozsądek ostrzegł go, że musi ją chronić.

- Nie! Tylko nie do mieszkania! Tam będą sprawdzać w pierwszej kolejności. Znam inne miejsce. Motel przy Old Highway 90.

Ruszyła.

- Nie mam żadnych kart kredytowych...

-I tak nie możemy ich używać, bo nas namierzą. Zresztą tam się płaci gotówką. Starają się nie rzucać w oczy. Policja z San Antonio wie, że robią tam lewe interesy, ale to poza granicami miasta i Bexar County.

- Ile masz przy sobie? Po tym jedzeniu zostało mi tylko jakieś trzydzieści trzy dolary, a niedługo będziemy musieli zatankować.

- Mam tyle, że wystarczy na noc czy dwie. Ten motel... to nie Hilton. Sporo mu do niego brakuje.

- Jeśli mają tam czystą pościel i prysznic, to wystarczy.

- Zobaczmy, czy wciąż będziesz tak myśleć, kiedy tam dotrzemy.

Gdy tylko Claire zobaczyła przysadzisty, parterowy budynek, wiedziała, że motel Szczęście Tirowca pasuje do opisu Spence'a. Zbudowany przy odcinku drogi, którą zastąpiła biegnąca inną trasą autostrada międzystanowa Interstate 10, motel znajdował się zbyt daleko od uczęszczanych szlaków, by przyciągać kierowców ciężarówek, i był zbyt zaniedbany, by sam w sobie stanowić cel podróży. A jednak właśnie dzięki swojemu położeniu w ustronnym miejscu wciąż trwał, bo przyjeżdżali tu grzeszyć cudzołóżnicy obu płci. I miał jeszcze jedną zaletę: ukryty za budynkiem parking.

Claire weszła sama do środka, żeby ich zameldować. Po porozumiewawczym uśmieszku potężnego, tłustego mężczyzny, stojącego za kontuarem, poznała, że bierze jej nerwowość za wyrzuty sumienia niewiernej żony.

- Życzy sobie pani na godziny czy na całą noc „pani Williams”?
- Sposób, w jaki wypowiedział nazwisko, które podała, nie pozostawiał wątpliwości, że nie kupił tego nawet przez chwilę. Ale nie poprosił też o żadne dokumenty. Jego małe, ciemne oczka, ukryte w fałdach tłuszczu, wędrowały z jej piersi na usta i z powrotem.

Zażenowana tym, Claire spuściła wzrok i musiała spojrzeć w bok, by nie patrzeć z kolei na ohydne czasopismo rozłożone na kontuarze. Uważała, że pewne części kobiecej anatomii nie są przeznaczone dla flesza.

- Na całą noc - wymamrotała, obserwując karalucha, przechadzającego się leniwie po kruszącej się winylowej podłodze. - Ile płacę?

- To zależy... -jego głos był równie obrzydliwy jak jego tłusty szary kucyk - ..od tego, co mi pokażesz.

Gdy zaczął obchodzić kontuar, uniosła podbródek i zmierzyła go dumnym spojrzeniem. Zawsze nienawidziła nachalnych gości, a dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek odrzucało ją od tego rodzaju świństw.

- Nie spodoba ci się, jeśli będę musiała przyprowadzić mojego przyjaciela. Jego kartoteka jest dłuższa niż lista uchybień BHP w tej waszej zapchlonej norze.

Recepcjonista uniósł mięsiste łapska i wycofał się w bezpieczne miejsce za kontuarem.

- W porządku. Nie znasz się na żartach... Zrozumiałem. Masz trzydzieści pięć dolców czy nie?

Wyszperała z kieszeni pieniądze, które dał jej Spence, i podeszła do kontuaru, by je na nim położyć. Wielka łapa tłuściocha opadła na jej dłoń, a gruby paluch powędrował w górę po wewnętrznej stronie jej nadgarstka.

Claire bezskutecznie próbowała wyszarpnąć ramię, a w myślach przemknął jej obraz z *Gwiezdnych wojen*: Jabba Hutt obmacujący księżniczkę Leię.

- Pusz... czaj... mnie! - zażądała.

Utkwił w niej wzrok, pochylając się do przodu tak blisko, że poczuła jego cuchnący oddech.

- Idź się zabawić, suko. Ale uważaj, komu grozisz. Słyszałaś? Słyszałaś, dziewczynko?!

Ogarnięta paniką, cofnęła się natychmiast, gdy ją puścił. Wyjął coś zza szuflady i rzucił tym w nią. Dopiero, kiedy usłyszała metaliczny dźwięk przedmiotu uderzającego w podłogę, uświadomiła sobie, że to klucz.

- Pokój 14 - powiedział, a jego uśmiezek stał się jeszcze bardziej wstrętny.

Kucnęła, żeby podnieść klucz, nie chciała, by obmacywał wzrokiem jej pośladki, kiedy się pochyli. Pospiesznie wróciła do wozu i aż zadrzała z ulgi, gdy zobaczyła, że Spence siedzi, zmęczonym gestem głaszcząc krótki zarost na podbródku, i ziewa.

- Dobrze poszło? - zapytał.

- Ten facet to obleśny zboczeniec.

- Zrobił coś? - Z gardła Spence'a wydobył się groźny pomruk. - Mam iść i się tym zająć?

Pokręciła głową i wrzuciła bieg. Jej mężowi niepotrzebne były kolejne kłopoty.

- To nic. Tylko... On miał takie czasopismo. Obrzydlistwo.

Wjechała za motel i zaparkowała w pobliżu pokoju 14. Gdy weszli do ciasnego, obskurnego pomieszczenia, Claire zrozumiała, dlaczego Jab-

ba wyglądał na takiego zadowolonego z siebie. Miłosne gniazdko numer 14 było żałosne, stały w nim dwa rozwalające się łóżka zamiast jednego podwójnego. Śmiejąc się, Claire ruszyła w stronę łazienki. W tej chwili miała to gdzieś. Zależało jej tylko na jednym. Żeby wyszorować dłoń ze wszystkich zarazków Jabby Hutta.

Gdy Spence przekręcił się na bok, obudziło go bolące ramię. Wściekle czerwone cyfry powiedziały mu, że jest trzecia czterdzieści pięć nad ranem. Po ciepłe przytulającym się do jego pleców zorientował się, że Claire wśliznęła się do jego łóżka. Może leżała już w nim całą noc, bo padł ze zmęczenia zaraz po tym, jak pomogła mu się umyć.

Przez kilka minut nie ruszał się, delektując się bliskością jej ciała przy nim i tym, jak jej ramię opiekuńczo owinęło się wokół jego pasa. Było to dokładnym przeciwieństwem pozycji, w jakiej oboje sypiali od czasu, gdy spędzili razem pierwszą noc. Po tej nocy nastąpiła seria dziesięciu randek, która błyskawicznie przekonała go, że Claire jest najwspanialszą, najbardziej fascynującą i najbardziej godną podziwu kobietą na świecie. I jedną z najbardziej seksownych. Z cichą pasją pograżyła się w miłości do niego, z takim samym zaangażowaniem, jakie wkładała we wszystko, czego się dotknęła. Choć od czasu śmierci rodziców był zamknięty w sobie jak zaciśnięta pięść, otworzył się na jej ciepło niczym liść otwierający się ku słońcu.

Pobrali się trzy miesiące później. Na skromną ceremonię ślubną przyszło tylko kilku najbliższych przyjaciół i ojciec Claire, który wiercił się niecierpliwie przez całą uroczystość i za mocno ścisnął dłoń Spence'a, składając gratulacje. A jednak mimo wątpliwości Willa Meadora Spence i Claire byli dobrą parą, więcej niż dobrą... Przez te pięć lat, aż do tamtego straszliwego dnia ubiegłej jesieni.

Spence westchnął, zebrał się w sobie, a potem uniósł otulające go ramię Claire i delikatnie położył je na kołdrze. Wstał z łóżka. Ubierając się w ciemności, próbował nie myśleć o tym, że chciałby mieć świeże ubranie. Usiłował nie tęsknić za straconymi możliwościami. Pragnienia niczego nie zmieniały. Nie mogły wskrzesić umarłych ani wymazać jego problemów, nie mogły też uchronić Claire ani ich dziecka przed skutkami strasznych decyzji, które podjął. Szukał po omacku, aż na oparciu jedynego krzesła w pokoju znalazł jej dzinsy. Wsunął rękę do kieszeni i wyjął z niej kluczyki. Ścisnął je ostrożnie w dłoni, żeby nie zadzwoniły, stał i patrzył na śpiącą żonę. Każda cząstka jego ciała pragnęła przyciągnąć

ją i pożegnać tak, jak na to zasługiwała. Jednak sumienie ostrzegło go, żeby jej nie budził. Popatrzył więc tylko na nią i słuchał jej oddechu.

Wdychaj i wydychaj spokojnie, powiedział do niej w myślach, a dożyjesz dnia, kiedy znów będziesz mogła się uśmiechnąć. I pamiętaj, że mieliśmy o wiele, wiele więcej niż tylko te złe chwile... Proszę Claire, pamiętaj mnie takim, jaki kiedyś byłem.

Rozdział 20

Choć samotny człowiek szukał i szukał, nigdzie nie mógł znaleźć pamiętki - nie był nawet pewien, gdzie ją widział po raz ostatni. W jego sercu łopotały ciemne skrzydła paniki, uderzając w piersi i dudniąc w skroniach. Czuł dotkliwą stratę, wpadał w rozległą, czarną otchłań rozpacz. Podszedł do kuchennego kredensu, wyciągnął butelkę szkockiej i nalał bursztynowy płyn do wysokiej szklanki z lodem.

Nie miał pojęcia, jak długo tak siedział, słuchając kostek lodu po-brzękujących w ciemności; wspominał teraz co innego. Kiedy zadzwonił telefon, musiał po omacku włączyć światło, żeby go znaleźć. Jego serce przyspieszyło w nadziei, że to może być ona.

Gdy tylko odebrał, uświadomił sobie, że to ktoś inny, bo głos, który krzyczał do niego, był głębszy i o wiele bardziej szorstki. Rozczarowany, już chciał odłożyć słuchawkę, lecz ponure warknięcia ułożyły się w słowa.

- Lepiej mi powiedz, co mam robić, koleś, bo on wrócił. Węszy tu i zadaje swoje cholerne pytania. Wciąż go potrzebujesz żywego? Dalej tego chcesz? Bo jeśli tak, to lepiej od razu powiedz, zanim *los vatos* wypuj ą flaki temu *płaca*...

Przerwał połączenie, naciskając klawisz palcem, a potem delikatnie odłożył słuchawkę, ale nie na widełki.

Nie musiał słuchać, co stanie się później.

I nie chciał telefonu z wiadomością, że Spence Winslow nie żyje.

Zimne ostrze przyciskało się do gardła Spence'a, zimniejsze niż perłowe światło sączące się przez matowe okno wysoko nad ich głowami i twardsze niż cztery ręce, które trzymały go od tyłu.

Stojąc po raz pierwszy twarzą w twarz z El Tiburónem, Spence wiedział, że już jest martwy. Jednak ta świadomość i szamotanina w nocnym klubie na dole, zamiast go przerazić, sprawiły, że poczuł przyływ adrenaliny. Przygotowując się na uderzenie, szeroko rozstawił stopy i spojrział prosto w twarz jednemu z najgorszych przestępców w tym rejonie.

Choć zazwyczaj i przyjaciele, i wrogowie nazywali go Rekinem, policja z San Antonio znała go jako Javię Garcję Alvaręza. To był najbystrzejszy przywódca w pokoleniu, które wyrosło z ulicznych gangów San Antonio, jeden z najbardziej bezwzględnych kryminalistów, gdy chodziło o ochronę własnych interesów. Niski, szczupły Latynos, z nachodzącymi na siebie krzywymi zębami, siedział za biurkiem, które równie dobrze mogłoby stać w muzeum. Połyskujący mahoniowy blat, każdy narożnik zdobiony ręcznie rzeźbionymi głowami lwów.

Prosty złoty zegar na tym biurku wskazywał piątą czterdzieści pięć *nad ranem*. *Za nim punktowa lampka rzucała światło na dyplom w ramce* i książki w skórzanych oprawach, stłoczone na pasującym do stylu wystroju regale. Ale to mężczyzna przyciągał uwagę Spence'a.

Mimo jego gładkiej, pozbawionej zmarszczek twarzy trudno było uwierzyć, że ma tylko dwadzieścia pięć lat. Alvarez uczesał się jak menedżer. Ubrany był w czarny garnitur i białą koszulę. Krawat w niebiesko-żółty wzór lekko poluzował przy szyi - jedyne ustępstwo na rzecz późnej, a raczej wczesnej już pory. Ajednak to nie ubranie, lecz przepastne, ciemne oczy tak bardzo go postarzały. Patrzyły bez mrugnięcia, z tak beznamytnym, stoickim spokojem, że Spence odgadł, iż to właśnie one, a nie jego zachodzące na siebie zęby, zadecydowały o przezwisku, jakie nadała mu ulica.

Socjopata, stwierdził Spence. Aresztował już wielu ludzi, którzy nie troszcząc się o innych, nie mając wyrzutów sumienia, kiedy sprawiali ból, często ściągali na siebie kłopoty. Ale większość z nich była nieudacznikami, pasożytami dryfującymi przez życie tak długo, aż zaszkodziłi jakiejś niewłaściwej osobie albo trafili za kratki. Tym, co czyniło Alvaręza tak potężnym i tak wyjątkowym, była jego zdolność do znajdowania i wykorzystywania wszystkiego, co dawało mu przewagę.

Ale co mu przyjdzie z wrobienia gliny, który był mu winien mnóstwo kasy?

- Przyniosłeś moje pieniądze? - spytał Alvarez spokojnym, pozbawionym akcentu głosem. - Bo widzisz, zazwyczaj nie zajmują się osobiciście takimi drobiazgami.

- Jak już mówiłem twoim kolegom, przyszedłem się z tobą spotkać, Javier. - Spence ucieszył się, widząc jak twarz gangstera ciemnieje na dźwięk jego imienia. - Chcę się dowiedzieć, ty sukinsynu, co miałeś nadzieję osiągnąć przez to, że mnie wrobisz.

- *No chingues con El Tiburón!* - ostrzegł jeden ze zbirów, a cios w ramię zamroczył Spence'a i sprawił, że ugięły się pod nim kolana.

Dwóch mężczyzn podtrzymało go, żeby nie upadł. Kiedy zalały go fale bólu, Spence poczuł gorąco tam, gdzie czubek ostrza skaleczył mu szyję. Krew, ciepła i lepka, spływała mu za kołnierz.

- Dość! - powiedział ostro El Tiburón. - Wydaje wam się, że marzę o tym, żeby ten *cabrón* zakrwawił mi dywan. To jest antyczny perski dywan, *idiotas!* A teraz posadźcie go na krzesło i pogadamy sobie.

Gdy Spence'owi przejaśniło się trochę przed oczami, poczuł, że ktoś przycisnął mu do szyi chustkę. Podprowadzono go, a potem pchnięto na skórzaną, wygodny fotel, naprzeciwko kryminalisty w czarnym garniturze. El Tiburón pochylił się naprzód, z kamienną, nieodgadnioną twarzą.

- Gdybym chciał cię zabić, już byłbyś martwy.

- To właśnie próbowałem panu powiedzieć, yefe - wtrącił się jeden ze zbirów. - Zadzwońłem, tak jak pan kazał. Już nie musimy się pieprzyć z tym kolesiem.

Rekin rzucił krótkie spojrzenie w stronę klubowego wykidajły, potężnej ściany mięśni z łysą pałą i czarną łezką wytatuowaną poniżej kącika głęboko osadzonego oka. Ten ludzki pitbull, mówiący ulicznym hiszpańskim i znany pod dziwną ksywą Cal Smith, był posłańcem, który miał przekazać Spence'owi, że jego dług został wykupiony i że El Tiburón oczekuje określonych zysków ze swojej inwestycji. Jak zwykle miał na sobie porządną marynarkę, a pod nią granatowy T-shirt i aż ociekał od złotej i diamentowej biżuterii, świadczącej o tym, że El Tiburón szczerze nagradzał tych, którzy cieszyli się jego łaskami.

Jego milczący partner, młodszy, równie napakowany biały mężczyzna, bawił się nożem. Nie z nerwów, jak wyczuł Spence, lecz ze szczerej chęci, by zrobić z niego użytek. Było coś znajomego w ruchach tego człowieka; coś, co sprawiło, że Spence pomyślał o mężczyźnie, którego spotkał przed trzema tygodniami na ciemnej drodze, gdy zawiózł pieniądze, i którego zobaczył na chwilę przed tym, nim zastępcy szeryfa wypadli z kryjówki, by go aresztować. Jednak nocne niebo zasnuwały wówczas chmury i w ciemnościach nie można było rozpoznać twarzy, a on desperacko szarpał się, aż jeden ze stróżów prawa - wciąż nie wie-

dział kto - powalił go paralizatorem. Spence nadal niewiele pamiętał z tamtego wieczoru, tak mało, że zastanawiał się, czy nie został czymś odurzony. Może, gdyby bandzior się odezwał, rozpoznałby jego głos, choć w jego obecnej sytuacji i tak nie na wiele by mu się to zdało.

Spence przycisnął opuszki palców do boku fotela, próbując zostawić na nim odciski palców. Być może ułatwi to sprawę jednostce zbierającej dowody, jeśli jakimś nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności dochodzenie w sprawie jego śmierci zabrnę aż tak daleko.

- Zabierzemy go stąd, szefie - powiedział wykidajło. - Wywieziemy go nad ten wyschnięty potok, gdzie zazwyczaj...

El Tiburón wstał, opierając się rękoma o biurko. Choć był niski i drobnej budowy, wypełniał sobą cały pokój.

- Ile razy mam wam to powtarzać? Nie muszę słuchać tego gówna. Nie chcę tego wiedzieć. Jeśli nie potraficie zrozumieć, jakie obowiązują zasady, to będę zmuszony poszukać kogoś bystrzejszego, żeby...

Cal Smith szarpnął Spence'a, stawiając go na nogi.

- To nie będzie konieczne, proszę pana. Ja i Hammill, obaj znamy się na naszej robocie.

- Dobra. W takim razie zajmijcie się swoją robotą i zostawcie mnie samego.

Wyższy mężczyzna pociągnął Spence'a w stronę drzwi. Jednak za nim tam doszli, El Tiburón dodał:

- Chodziło mi o to, że macie zostawić mnie samego z nim. Widzicie, *compadres*, ja też się znam na mojej robocie. I wciąż pamiętam o każdym aspekcie...

Spence niemal poczuł, jak oniemiały te dwa mięśniaki, które wlokły go między sobą. Bandyty puścili go gwałtownie, a on upadł na kolana.

Wyszli, zamykając za sobą drzwi z niemal nabożną czcią.

Rekin wyszedł zza biurka i Spence zobaczył półautomatycznego glocka w jego ręce. Opierając się o fotel, z trudem się podniósł.

Jeśli już ma tu umrzeć, to przynajmniej nie na kolanach. I u diabła, chociaż spróbuje uzyskać odpowiedzi na swoje pytania, bo żeby je zadać, ryzykował życie.

Claire obudziła się z głębokiego snu, a serce zabiło jej mocniej, kiedy usłyszała dziwny, metaliczny szcęk. Przez ułamek sekundy nie miała pojęcia, gdzie jest. Jednak jedno spojrzenie na przybrudzoną pościel na obu łóżkach i łuszczącą się farbę na szafce wystarczyło, by zalała ją fala

wspomnień. Światło dnia sączyło się do środka przez szczeliny między ciężkimi zasłonami, a gdy drzwi otworzyły się z impetem, zalało całe pomieszczenie. Claire zobaczyła potężną sylwetkę zmierzającą w jej stronę. Krzyknęła i wyskoczyła z łóżka, ściskając dłońmi narzutę, by okryć swoje na wpół nagie ciało. Jeśli Jabba Recepcjonista wpadł na pomysł, że może wpaść na mały peep show...

Tylko że to nie był Jabba, lecz wysoka, biała kobieta o szerokich biodrach, która zaraz cofnęła się ku drzwiom. Choć miała na sobie czarny T-shirt z wyścigów NASCAR, wepchnięty w elastyczne dzinsy, pościelana pościel i rolka papieru toaletowego, które trzymała w dłoniach, wskazywały na to, że jest pokojówką.

- Przepraszam, proszę pani. Pomyślałam, że pani się już wymeldowała, bo nie ma pani samochodu.

Jej szeroka, łagodna twarz wydawała się rumiana w porannym świetle. Kobiety chyba nie przeraziła reakcja Claire.

- Wróć za godzinę. Albo może pani wywiesić tabliczkę: „Nie przeszkadzać”, i dam pani pospać aż do południa.

- Nie ma mojego samochodu? - Claire obrzuciła spojrzeniem puste łóżko i zajrzała do łazienki. Czy Spence pojechał po śniadanie, czy może odjechał na dobre? Żołądek jej się skurczył, jakby wcześniej niż ona uświadomił sobie prawdę.

Duża brunetka przekrzywiła głowę, a kosmyk lśniących włosów wysunął jej się ze spinki.

- Jakiś problem, proszę pani? Mamy zadzwonić na policję i zgłosić kradzież?

Choć byli daleko od rewiru Joela, Claire natychmiast o nim pomyślała. Jak, na Boga, wytłumaczy mu swój brak rozsądku?

Szybko kręcąc głową, odparła:

- Nieważne. Jestem pewna, że on zaraz wróci.

Pokojówka popatrzyła na nią ze współczuciem, świadczącym o tym, że dobrze wiedziała, jak nieuczciwie postępują mężczyźni.

- Na pewno ma pani rację - pocieszyła Claire, a potem zostawiła świeżą pościel i wyszła.

Jednak Claire jeszcze nigdy w życiu nie była czegoś tak mało pewna. Czy tym razem Spencer Winslow naprawdę od niej odszedł?

I co teraz? To pytanie zajmowało jej myśli, gdy się ubierała i myślała. Nie czuła się na siłach, by spotkać się z Ellen albo z ojcem, a tym bardziej z Joelem. Ale nie mogła też zostać tutaj, w tej szuczurzej norze.

W końcu postanowiła zadzwonić do swojej przyjaciółki Janine, która wciąż pracowała w ośrodku rehabilitacji. Był dopiero kwadrans po dziewiątej, ale powinna ją tam zastać.

- O! Cześć, Claire. Janine nie ma. Odwołała wszystkie dzisiejsze wizyty - powiedziała recepcjonistka. - Wydaje mi się, że to sprawa osobista.

Claire miała nadzieję, że nie oznacza to, iż Janine zabujała się w jakimś nowym chłopaku. Dwukrotnie rozwiedziona, dwudziestodziewięcioletnia Janine była tak ślepa, jeśli chodzi o mężczyzn, że nie zauważyłaby draństwa, nawet gdyby przybrało rozmiary Teksasu. Tego lata Claire tak desperacko naciskała na swoją przyjaciółkę, by sprowadziła się na Monarch Ranch, bo chciała, by Janine przestała chodzić do swoich ulubionych tanich klubów, przyciągających jak magnes różnych nieudaczników.

Dzwoniąc na komórkę, Claire stwierdziła, że przegrana ze Spence'em dyskwalifikuje ją całkowicie jako doradcę do spraw sercowych.

- Claire! - wybuchła Janine, słysząc głos przyjaciółki. - Wszędzie cię szukałam, kochanie! Twój tata prosił mnie, żebym sprawdziła u ciebie w mieszkaniu, a potem dzwonił jakiś gliniarz... nie, nie, poczekaj, to był szeryf, pytał, czy domyślam się, gdzie mogłaś pójść. Gdzie jesteś?

- Ja... Eee... Za dużo było tego wszystkiego. Ja... musiałam się od tego jakoś oderwać. - Claire okręcała na palcu kosmyk włosów. Głupota i kłamstwo, nienawidziła czegoś takiego, ale nie mogła się powstrzymać. - Potrzebuję twojej pomocy, Jan, i proszę, o nic nie pytaj.

- Czy ty... jesteś z jakimś facetem, Claire? - Głos Janine zdradzał, że jest zszokowana: ktoś tak nudnie zasadniczy mógłby zrobić coś tak ludzkiego?

- Tak, Jan. Tak. A teraz mogłabyś mnie kryć? Możesz wszystkim powiedzieć, że nic mi nie jest, tylko potrzebuję trochę czasu?

- Masz to jak w banku. Jeśli ktoś zasługuje na trochę rozrywki, to właśnie ty.

Claire wyczuła w tych wspaniałomyślnych słowach ulgę. Czy Janine była zadowolona, że tym razem to ona jest tą ustatkowaną i odpowiedzialną? Albo po prostu cieszyła się, że może odwdziaczyć się przyjaciółce, która nieraz ją kryła, gdy spóźniała się do pracy.

- Potrzebuję czegoś jeszcze... - Claire zastanawiała się, jak, u diabła, jej wyjaśnić, że chce, by ktoś ją podwiózł do domu. Ale zanim zdążyła to powiedzieć, dźwięk silnika przy samych drzwiach poderwał ją na nogi.

-Nieważne. Zadzwoń do ciebie później. I dzięki, Janine. Masz u mnie wielkiego superdrinka w barze Margarita.

Nie czekając na odpowiedzieć, Claire przerwała połączenie. Pobiegła w stronę drzwi, by przekonać się, kto jest na zewnątrz. Jednak uprzedził ją zgrzyt staromodnego klucza. Ten ktoś był szybszy.

Rozdział 2 I

Claire rzuciła się w objęcia Spence'a; ścisnęła go tak mocno, że nie mógł złapać tchu. Choć od szarpnięcia jego ramię przeszył ostry ból, coś w nim pękło w chwili, gdy przywitała go w taki sposób. Był przerażony na śmierć tym, że zanim wróci, już jej tu nie będzie.

Całowała jego twarz.

- Myślałam, że mnie zostawiłeś.

Uniósł w górę trzy pakunki. Z dużej papierowej torby unosił się ciepły, drożdżowy zapach.

- Pojechałem tylko kupić parę rzeczy. Przywiozłem ci śniadanie. - Zmagał się z sobą, by jego słowa brzmiały lekko, choć nawet teraz, niecałe trzy godziny po spotkaniu z El Tiburónem i jego ludźmi, Spence'owi wciąż kręciło się w głowie na myśl, że to przeżył.

Zmierzyła go spojrzeniem; zauważyła plaster na jego szyi i nowy T-shirt, który kupił w supermarkecie przy autostradzie. Poprzedni, poplamiony krwią, za bardzo rzucał się w oczy. Płacąc, musiał wymyślić jakąś historyjkę o wypadku przy koszeniu trawnika, żeby uspokoić przerażoną, młodą kasjerkę w prawie pustym Wal-Marcie.

Wszedł do środka, zatrzasnąwszy nogą drzwi.

- Co ci się stało? - spytała Claire. - Jak skaleczyłeś się w szyję?

Pokręcił głową.

-Trzymaj - powiedział, podając jej torby. - Najpierw usiądźmy i zjedźmy. Przejeżdżałem koło małej piekarni i kupiłem ci kilka bułeczek. I pamiętałem nawet, z jakimi mają być owocami.

Claire oparła dłoń na biodrze.

- Nie próbuj zamknąć mi ust bułeczkami.

Usiadł na łóżku i wyciągnął małą kiełbaskę w złocistobrazowym cieście.

-A kto ci niby próbuje zamknąć usta? Umieram z głodu!

I była to prawda, chociaż dopóki nie zobaczył Claire, w ogóle nie miał apetytu.

Znów zmierzyła go spojrzeniem, a jej brązowe oczy dokonały szybkiej oceny.

- Poza tym nowym opatrunkiem, wyglądasz o niebo lepiej niż wczoraj w nocy. No, nie mówię o tych zadrapaniach i śmiesznej szczecinie udającej brodę.

Wgryzł się w swoją bułeczkę z kiełbaską. Pycha. Wolną ręką wysypał zawartość plastikowej reklamówki z Wal-Martu. Na łóżko wypadła mała tubka pasty do zębów i dwie szczoteczki, pudełko supersilnych leków przeciwbólowych i potrójne opakowanie jednorazowych maszynek do golenia.

Gdyby wziął ze sobą więcej pieniędzy, kupiłby też jakieś ubranie, ale ha razie musieli poradzić sobie z tym, co mieli.

Przełknął i wskazał na maszynyki do golenia.

- Teraz nie będziemy się już musieli martwić, że wyrosną ci krzaczory pod pachami.

Klepnęła go w rękę i roześmiała się. Jej śmiech zabrzmiał prawie tak, jak śmiech dawnej, wolnej od trosk Claire. Sięgnęła po bułeczkę z jabłkiem.

- Przywiozłeś coś do picia?

Wskazał na drugą torbę. Zniósł wprawdzie spotkanie z socjopata, ale i tak nie odważyłby się przynieść Claire drożdżówek bez mleka.

Gdy i ona zaczęła jeść, Spence niemal słyszał pytania, zbierające się jak ciemne burzowe chmury za barierą jej milczenia. W myślach szukał gorączkowo jakiegoś sposobu, by wytłumaczyć jej, że zagrożenie, które uważał za prawdziwe, nie było niczym więcej niż zasłoną dymną i że oprócz niespłaconego długu czyhał na niego znacznie większy problem. Niewyobrażalny problem.

Zanim zjadł trzecią bułkę, zdążył ułożyć sobie w głowie wszystko, co powinien jej powiedzieć. Claire już skończyła posiłek i wróciła z łażenki po umyciu zębów.

Usiadła obok niego na łóżku i strzepnęła kilka okruchów.

- Wciąż czekam, byś mi wreszcie powiedział, gdzie jeszcze byłeś dziś rano. Co ci się stało w szyję, Spence? I proszę, nie próbuj mnie obrazić kolejnymi kłamstwami.

Odłożył niedojedzoną bułeczkę.

- Wstałem w nocy, gdy jeszcze mocno spałaś. Wyszliśmy się stąd i zabrałem samochód, bo chciałem znaleźć człowieka, który kupił moje długi.

- Niby Beto?! - Wstała, uderzając pięścią w otwartą dłoń, by podkreślić, że to fałszywe nazwisko. - Wyszedłeś szukać kłopotów, nie mówiąc mi ani słowa?! Niedobrze mi się już od tego robi, Spence. Próbujesz się zabić? Naprawdę myślisz, że to najlepsze rozwiązanie?

Skrzywił się.

- To nie tak...

- Bzdury! - Zaczęła krążyć po małym pokoju. - Od dnia, kiedy zginął Dave i ten dzieciak, próbujesz popełnić samobójstwo. Tyle tylko, że robisz to trochę wolniej niż większość ludzi.

Instynkt podpowiadał mu, że powinien zaprzeczyć, ale nie potrafił, bo jej słowa zapadały w niego zbyt głęboko.

- Oboje straciliśmy tych, których kochaliśmy. - Claire zatrzymała się, by na niego spojrzeć. Jej głos stał się teraz miękki jak puch. - Być może nie pamiętam mojej matki, ale miałam szesnaście lat, kiedy straciłam siostrę. Tyle samo, ile ty miałeś, gdy ten popsuty piecyk zabił twoich rodziców. Oboje wiemy, jakie to trudne i jakie czyni spustoszenia. Ale chociaż to straszne, wiem, że moja siostra walczyła z rakiem, a ty też wiesz, że twoja mama i ojciec z własnej woli nigdy cię nie opuścili.

Nie lubił mówić o swoich rodzicach, nie chciał myśleć o snach, które tak często go nawiedzały przez te szesnaście lat, jakie minęły od tego czasu. Snach o tym, że tamtego wieczoru wraca na czas do domu, otwiera okna i wyciąga ich na zewnątrz, ratując im życie. A kiedy byliby już bezpieczni, on byłby bohaterem. Tata swoją spracowaną ręką poklepałby syna po ramieniu, a mama wprawiała go w zakłopotanie, dzwoniąc po redakcjach i zapraszając dziennikarzy, by przyjechali zrobić mu zdjęcia. A potem cała trójka by świętowała: urządziliby piknik w Brackenridge Park i rozmawiali o wspaniałych planach związanych z jego przyszłością. ..

Spence zawsze budził się z posmakiem popiołu w ustach.

- Nie chodzi o to, czego by nie zrobili, Claire. - Jego słowa, przesycone goryczą wspomnień, zabrzmiały bardziej szorstko, niż zamierzał. - Nigdy o to nie chodziło.

- To prawda, do diabła! - Jej twarz zapłonęła gniewem. - Nigdy przedtem nie byłeś hazardzistą, Spence. Najwyżej czasem kupowałeś los na loterii i chyba raz oglądałeś wyścigi chartów w Corpus Christi.

- Nie chcesz usłyszeć, co się stało? - przerwał jej. - To nie był Beto, Claire. Beto twierdzi, że to nie on mnie wrobił.

-I ty mu wierzysz?

Spence kiwnął głową.

- Tak. Sam jestem tym zaskoczony, ale mu wierzę. Powiedział mi, że ma trzy twarde zasady, kiedy robi interes: Nagradzać lojalność. Sprawiać piekło konkurencji. I nigdy nie sprowadzać sobie gówna na głowę.

Zmarszczyła brwi.

- Donald Trump powinien sobie to zanotować. Ale wcześniej mówiłeś, że chciał, żebyś wyświadczał mu pewne przysługi, a ty tego nie zrobiłeś. Nie zamierzał cię za to ukarać?

- Musisz to zrozumieć. Ponad wszystko Beto lubi szczyścić się tym, że jest inteligentnym, wykształconym człowiekiem interesów. Według niego istnieją o wiele łatwiejsze i mniej niebezpieczne sposoby, by skłonić gliniarza do współpracy niż knucie jakiś spisków, żeby go wrobić. Jeśli Beto będzie podejrzany o to, że mnie wrobił, albo, skoro już o tym mowa, o to, że mnie zabił, dopadną go wszystkie możliwe służby, od lokalnych aż po federalne. A one nigdy sobie nie odpuszczają.

Pomyślał o tym dziwnym, chłodnym spojrzeniu El Tiburóna, kiedy rzucał terminami takimi jak „negatywny współczynnik ryzyka w stosunku do możliwych zysków” i „niewłaściwa atmosfera biznesowa”. Spence stłumił dreszcz, bo wiedział, że jeśli ten bilans wypadłby inaczej, jeśli byłyby jakieś zyski z zabijania gliniarzy, to jego ciało leżałoby już w jakimś suchym korycie potoku jako przekąska dla myszołowów i kojotów.

-Ale co z tymi wszystkimi pieniędzmi, które jesteś mu winien?

- On twierdzi, że dla niego to nic takiego, co więcej, że to nie za swoje pieniądze kupił moje długi. Mówi, że ktoś mu te pieniądze dał.

- Co?! Kto zrobiłby coś takiego? I dlaczego?

- Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć. Ale uwierz mi, pora nie była odpowiednia, by go o to zapytać.

Spence poczuł, że robi mu się niedobrze na wspomnienie lufy pistoletu przyciśniętej do jego skroni i tej surrealistycznej chwili, kiedy El Tiburón opuścił broń i wyszeptał: „Idź, i nie grzesz więcej, przyjacielu. Koniec z hazardem i koniec ze szwendaniem się po moim rewirze, *comprendeT'*

Wciąż nie mógł uwierzyć, że przeżył to spotkanie. Choć teraz dręczyło go jeszcze więcej pytań.

-Ale skoro tak naprawdę nie on spłacił twoje długi, to czemu na ciebie naciskał, żebyś mu dostarczał informacje?

Spence wzruszył ramionami.

-I mój bukmacher, i ja myśleliśmy, że to on wyłożył pieniądze, i domyślam się, że uznał, że może to wykorzystać. Prosty sposób, żeby wycisnąć trochę więcej zysków z tego interesu.

- To skąd wiesz, że nie wróci i nie będzie się starał wycisnąć z ciebie czegoś jeszcze? Że nie będzie znowu próbował cię szantażować, byś przekazywał mu policyjne informacje?

- Nic z tego - odparł Spence. - Nie pracuję już w policji.

Spojrzenie Claire powiedziało mu, że jest zaskoczona tym, że go zwolnili.

- Tak - dodał. - Pod koniec zeszłego tygodnia zrobili to oficjalnie.

- Mogli przynajmniej poczekać do procesu. Czy policjanci nie mają takich samych praw jak wszyscy inni? Nie jest tak, że jesteś niewinny, dopóki nie udowodnią ci winy?

Spence wzruszył ramionami.

- Policja miała ostatnio gorący okres, więc starają się szybko pozdrapywać psie gówno, które poprzyklejało im się do butów.

Claire zrobiła zdegustowaną minę.

- Piękne porównanie. Dzięki, że poczekałeś, aż skończymy jeść.

Uśmiechnął się.

- Jak tam twój żołądek?

- W porządku. Jak do tej pory nie męczą mnie poranne nudności. A może nie zauważyłam tego, bo tak podle się czułam.

Przełknął kwaśny posmak poczucia winy.

-A jak twoje ramię? Tamten facet przecież cię uderzył.

-Nic mi nie jest i, proszę, nie zmieniaj tematu. Wciąż próbuję zrozumieć tę sprawę z Beto. Jeżeli on cię nie zrobił, to kto? Ten tajemniczy gość, który dał pieniądze na kupno twoich długów?

- Tak sądzę. Ale kto to, do cholery, może być? - zastanawiał się Spence. - Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś miałby zadać sobie tyle trudu ani co chciałby w ten sposób osiągnąć. Grzebanie w e-mailach, fałszowanie nagrań, wysłanie mi tej wiadomości, żebyś przyniósł forszę. Wszystko to wygląda na dobrze przemyślane działanie.

- A tak w ogóle, jak to się stało? Joel powiedział mi, że złapali cię, kiedy przekazywałeś komuś pieniądze w Buck County. Jakiemuś mężczyźnie, który twierdził, że za dziesięć tysięcy mnie zastrzeli.

Mięśnie ramion Spence'a napięły się, jego lewe ramię przeniknął ból.

- Jestem już zmęczony słuchaniem, co twój dobry przyjaciel Joel ci powiedział. Joel Shepherd albo tkwi w tym wszystkim po szyję, albo wykiwano go tak samo jak mnie.

- Może i jesteś zmęczony słuchaniem tego, ale znam tylko jego wersję. A jaka jest twoja?

- Dostałem wiadomość, że jeśli nie zapłacę części pieniędzy w tym miejscu, w lesie przy Ranch Road 70, to nie będą sobie zawracać głowy przestrzeliwaniem mi kolan, tylko pojedą do nas do domu i wezmą sobie te pieniądze z twojej dupy.

Usta Claire rozchyliły się. Patrzyła na niego, a gdy dotarł do niej sens tych słów, pobladła.

- Nie mogłem im pozwolić cię skrzywdzić. To ja byłem tym, który...

- O mój Boże! A ja przez cały czas myślałam... - Pokręciła głową, a potem ciągnęła dalej. - To było w Buck County? To miejsce, gdzie kazali ci przynieść pieniądze?

- Wtedy o tym nie myślałem. Ale tak, miałem je zostawić zaraz za granicą hrabstwa.

Widział na jej twarzy, jak zмага się z emocjami. Wątpliwości ścierały się z poczuciem lojalności, miłość próbowała przewyciężyć ból jego zdrady. Ale przede wszystkim czuł jej przerażenie. Lęk tak wielki, że zdawał się promieniować z całego jej ciała.

Skrzyżowała ramiona na piersiach i znów zaczęła krążyć po pokoju-

- Te dziesięć tysięcy dolarów, które miało mnie uratować... Skąd je wzięłeś?

Patrzył w podłogę.

- Mój bukmacher mi je pożyczył. Powiedział, że mu przykro, że w ogóle sprzedał moje długi. Zrobił to tylko dlatego, że bał się Beto. Ale nie chciał, żeby coś złego przytrafiło się tobie.

- Czy to on przekazał ci wiadomość?

Spence kiwnął głową.

-I zanim o to zapytasz, powiem ci, że próbowałem go odnaleźć i to sprawdzić. I po niecałej pół godzinie wiedziałem już, że wypytywanie Lou Freemonta donikąd mnie nie zaprowadzi. Lou nie żyje od dwóch tygodni. Mówią, że umarł na serce.

- Wierzysz w to?

- Nie jestem pewien. Lou był potężnym facetem, uwielbiał jeść i pić. Słyszałem, że parę lat temu wszczepiono mu potrójny bypass. Ale nigdy za bardzo nie wierzyłem w takie zbiegi okoliczności, więc zastanawia mnie to, że umarł akurat teraz. Był jedynym ogniwem, moją jedyną szansą, by dowiedzieć się, kto tak naprawdę...

- Muszą być jakieś ślady - przerwała mu Claire. - Cokolwiek. Coś dziwnego, co działo się w twoim życiu, albo w naszym życiu, zanim cię aresztowali.

Przypomniał sobie wszystko, nad czym się zastanawiał przez ostatnich kilka godzin.

- Pewnie tak... Może było coś jeszcze oprócz hazardu. Wciąż myślę o tym, jak Randall Hajek zachował się na pogrzebie ciotki, i o tym wszystkim, co się dzieje w posiadłości. Tu nie chodzi tylko o parę porzecinanych ogrodzeń. To...

- Nie. Nie tylko o to. Przez to niszczenie ogrodzeń zginął cholernie dobry koń.

Spence kiwnął głową.

- Masz rację, ale mimo wszystko musisz przyznać, że kręcenie się po posiadłości i przecięcie paru drutów to pestka w porównaniu z kradzieżą terenówki i zepchnięciem jej z urwiska.

- Przynajmniej mogę powiedzieć szeryfowi, że widziałam Randalla, jak stał z tą puszką sprayu przed naszą tablicą...

Zapadła cisza. Claire przygryzła dolną wargę.

- Co się dzieje, Claire? O czym myślisz?

- Randall namalował tylko jedną literę. Wielkie duże G.

- Początek od „gówno”? - domyślił się Spence. Widział już w życiu sporo graffiti. Jednak zazwyczaj był to stylizowany, skrótowy styl gangów ulicznych z San Antonio.

Claire zmarszczyła brwi i wzruszyła ramionami.

- Prawdopodobnie, ale myślałam o czymś jeszcze. Córka państwa Hajek, Gloria... Wydaje mi się, że zniknęła mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ten myśliwy zastrzelił moją mamę. Gloria miała wtedy piętnaście lat i wszyscy myśleli, że uciekła do Houston, Los Angeles albo do jakiegoś innego dużego miasta. I wszelki słuch o niej zaginął. Ale zapomnij o tym. To było wiele lat temu. A poza tym, dlaczego Randall miałby chcieć zwrócić czyjąś uwagę na to zaginięcie? Przecież skończyło się na tym, że został jedynym spadkobiercą swojej ciotki...

Kolejny zbieg okoliczności, pomyślał Spence.

- Claire, czy twoja rodzina jest pewna, kto zabił twoją matkę?

- Z tego, co słyszałam, na sto procent. Tata opowiadał mi, że ten myśliwy, który to zrobił, płakał jak dziecko, kiedy to się stało. Większość życia spędził w mieście, a wtedy po raz pierwszy wynajął sobie domek myśliwski, żeby zapolować na jelenie. Siedział w ukryciu i popijał sobie kawę, kiedy zauważył jakiś ruch. Domyślałam się, że się za bardzo podkscytował i wystrzelił, zanim upewnił się, co widzi.

- A więc było śledztwo?

Zmarszczyła brwi.

- Miałam wtedy tylko dwa lata, Spence. A to było dwadzieścia osiem lat temu. Próbowałam sobie coś przypomnieć, ale naprawdę nic nie pamiętam. No może tylko pokój, który pachniał kwiatami, i zapłakanego tatę.

Spence wyobraził sobie własny smutek, gdyby stracił Claire wskutek takiego wypadku. Nic dziwnego, że od tamtego czasu Will Meador unikał kobiet i wolał poświęcać czas i pieniądze na odnawianie rancza, które jego pradziadek wybudował wiele lat wcześniej. Ale przynajmniej był dobrym ojcem dla swoich córek, nadopiekuńczym, lecz można to było zrozumieć.

A jednak Spence wciąż miał wątpliwości.

- A ten myśliwy? Przyjechał sam i był z San Antonio?

- Tak mi się wydaje. Ale mógł też pochodzić z Dallas albo z Houston. Nie rozumiem jednak, co to wszystko mogłoby mieć wspólnego z Randallem albo z Gloria? I jeśli już o tym mówimy, to tym kimś, kto mnie przewrócił, uciekając znad strumienia, na pewno nie był Randall. O tym jestem przekonana. Ale zdarzyło się coś jeszcze.

Znów usiadła obok niego i opowiedziała mu o dziwnej rozmowie, jaką odbyła ubiegłego popołudnia z panią Briggs-Hadley, wolontariuszką, którą Spence spotkał już kilka razy. Zastanawiał się. Czy Randall naprawdę powiedział deweloperom, że jest właścicielem całej tej ziemi? I czy próbował, powodując serię małych katastrof, zmusić Claire, żeby tanio sprzedała swoją posiadłość? Ale tutaj też coś nie pasowało. Być może akty wandalizmu się powtarzały, lecz spisek mający na celu aresztowanie Spence'a był czymś o wiele bardziej złożonym.

- Chodzi o to - dodała Claire, wyglądając wyblakłą narzutę - że Randall nigdy nie proponował, że odkupi ode mnie ziemię. I nie wydaje mi się, żeby to zrobił. Jeśli istniałby choć cień szansy, że jego adwokatom

uda się unieważnić sprzedaż, to potrafię sobie wyobrazić, że tego by spróbował. Ale ta druga możliwość... To się nie trzyma kupy.

- Jest jeszcze jedna osoba, o której nie rozmawialiśmy. Ten zaginiony biolog. Jak on się nazywał?

- Strickland. Adam Strickland. Słyszałam, że...

Spence pstryknął palcami.

- Właśnie! Powinienem był pamiętać. Tyle razy mnie o niego wy-
pytywali.

- Znaleźli jakieś ciało. Albo raczej powinnam powiedzieć, że to Lenore Briggs-Hadley je znalazła. W tej małej odnodze potoku, niedaleko jej posiadłości. Woda znów wezbrała i policja uważa, że ciało płynęło z nurtem...

- To on?

- Tak sączą, ale jeszcze go nie zidentyfikowali.

- Potrafią stwierdzić, jak umarł?

- Joel mówi, że zwłoki są w kiepskim stanie. Ktoś przeprowadza dla nich autopsję. Jakiś lekarz sądowy.

Spence zastanawiał się nad tym, próbując uwzględnić różne możliwości. Jednak ciemność, z którą żył od ubiegłej jesieni, opadła go znów jak stado czarnych much, których wściekłe bzyczenie zmieniło się w pytania: Co za różnica, kto to zrobił? I tak masz przechłapane. Po co w ogóle do niej wracałeś? Czemu nie możesz choć raz zrobić czegoś przyzwoitego i pozwolić jej żyć dalej własnym życiem? Chcesz, żeby i twoje dziecko miało przechłapane? Nie stać cię nawet na to, żeby...

- A co, jeśli... - zagadnęła Claire. - Co, jeśli Adam Strickland natknął się na tego wandalę na naszej posesji? Myślisz, że ten ktoś mógłby go zabić? Spence?

Jej głos promieniował ciepłem, jak bursztynowe światło wlewał się w najciemniejsze zakamarki jego duszy. Jednak natrętne bzyczenie nie ustawało, sprawiając, że spojrzął w bok.

- Powinienem odejść - wymamrotał. - Wątpię, żebyśmy kiedykolwiek się tego dowiedzieli. A nawet jeśli się dowiemy, szeryf ma swoje dowody. Prokurator okręgowy postawił mi już zarzuty. Nie będą chcieli ponownie otwierać...

- Jestem z tobą. - Chwyciła jego zdrowe ramię, a jej krótkie paznokcie wbiły mu się w skórę, pozostawiając na niej płytkie półksiężycy. Ale to miłość w jej głosie sprawiła, że odwrócił się znów do niej. - Słyszysz mnie? Jesteś wart tego, żeby o ciebie walczyć, Spence. My jesteśmy tego

warci. I zamierzam uprzątnąć ten bałagan, nawet jeśli wyjdiesz przez te drzwi i znikniesz na zawsze. Dowiem się, kto nam to zrobił. Dopilnuję, żeby za to zapłacił. I mam gdzieś, czy jest to przywódca gangu z San Antonio, czy choćby nawet sam gubernator stanu Teksas!

Popatrzył na jej pełną emocji twarz, w jej ciemne oczy, płonące gniewnym ogniem. I to jedno spojrzenie sprawiło, że mur jego oporu zaczął się kruszyć.

-A więc powiedz mi od razu. Czy będę musiała zrobić to wszystko sama?

Otworzyła usta, jakby chciała dodać coś jeszcze, a potem po prostu zacisnęła wargi i zamilkła. Zupełnie jakby postanowiła czekać do końca świata na jego decyzję. Tak jakby nie włożyła właśnie w to jedno pytanie całego swego serca, całej dumy i nie położyła na szali swojej przyszłości.

To jest ta chwila, pomyślał. Jednym słowem mógłby nieodwołalnie przeciąć ich związek i uchronić kobietę, którą kochał, przed konsekwencjami swoich czynów.

Jego umysł przywołał przelotny obraz ze snu. Tyle tylko, że tym razem, zamiast wyciągnąć rodziców przez otwarte okno, wyprowadzał swoją żonę i nienarodzone dziecko w bezpieczne miejsce, w wietrzną, rozgwieżdżoną noc.

Rozdział 22

Kiedy nie odpowiedział, Claire zmagala się z sobą, by przełknąć łzy rozczarowania. To było tak, jakby oboje tonęli. Troje, jeśli liczyć nowe życie, które właśnie w niej kiełkowało. Nie mogła mieć nadziei, że uda się jej samej utrzymać ich wszystkich na powierzchni. Chyba że Spence będzie chciał walczyć równie zaciekle jak ona.

Pokonana, spuściła wzrok i powiedziała:

- Idę wziąć prysznic. Jeśli wciąż tu będziesz, kiedy wrócę, porozmawiamy jeszcze. Jeśli nie...

Słowa jak ostre kamyczki utknęły jej w gardle. Wstała z łóżka i poszła do łazienki. Zdejmując ubranie, miała nadzieję, że szum płynącej wody i mały hałaśliwy wentylator stłumią odgłos jego kroków, gdy będzie wychodził. I jej własny szloch.

Weszła pod strumień wody lecącej z dużym ciśnieniem i pozwoliła, by spływała po jej twarzy. A kiedy kilka minut później otworzyła oczy, wokół niej było ciemno. Najpierw pomyślała, że nie ma prądu, ale wentylator nadal pracował.

Ktoś wyłączył światło, uświadomiła sobie i w następnej chwili usłyszała, że zasłona prysznicza rozsuwa się.

Krew głośno szumiała jej w uszach, gdy poczuła, że ktoś za nią wchodzi pod prysznic. Krzyknęła, gdy dotknęły ją ciepłe ręce, nie ze strachu, lecz z radości i ulgi, bo nie musiała go widzieć, by wiedzieć, że to on.

Spence objął dłońmi jej piersi i wymruczał jej do ucha:

- O mój Boże, nie mogę tego zrobić. Nie mogę zostawić najlepszego daru od życia, jedynej osoby na świecie, którą tak bardzo kocham. I która kocha mnie.

Wygięta szyję w łuk, przymykając oczy, gdy jego kciuki dotknęły i pogładziły jej sztywniejące sutki.

- Dzięki Bogu.

Jego dłoń zsunęła się po jej boku, obejmując i ściskając pośladek.

Przywarła do jego ciała i uśmiechnęła się, gdy z gardła Spence'a wydobył się głęboki jęk. W atramentowych ciemnościach tej ciasnej przestrzeni jej zmysły wybuchły ze zdwojoną siłą w symfonii jego chrapliwego oddechu i szumiących strumieni wody. Nagrzane ciało za jej plecami i twarde uderzenie nabrzmiałego członka sprawiły, że jęknęła.

Odrzucił ją do siebie i odnalazł jej usta w głębokim pocałunku; dreszcz przeszył ją aż po czubki palców u nóg i poczuła gorącą falę rozkoszy między udami. Niezdolna już okiełznać namiętności, przesunęła śliską od mydła dłońią po jego członku.

Stęknął, i zanim uświadomiła sobie, co się dzieje, jego usta przesunęły się z jej szyi na piersi, a potem w dół, na wewnętrzną stronę ud.

- Spence... przemoczysz sobie bandażę - sapnęła, ale go to nie powstrzymało. I w tej ciemności, która jeszcze przed chwilą wydawała się piekłem, Claire oparła się plecami o chłodne kafelki, pozwalając, by jego język i palce uniosły ją do nieba.

Światło eksplodowało jej pod powiekami, potem, gdy okrywał ją pocałunkami, wybuchały kolejne fajerwerki. Staneła na czubkach palców, przyjęła go w siebie i teraz, będąc jednością, oboje wkroczyli w nową fazę ich małżeństwa...

Fazę, która rzucała wyzwanie siłom próbującym ich zniszczyć.

Joel skrzywił się, gdy zadzwonił telefon, i natychmiast przycisnął dłoń do skroni. Zbyt krótki sen i kac sprawiły, że pękała mu głowa, a szum rozsadał czaszkę.

Usiadł na sofie - nie potrafił spać w łóżku, kiedy nie było w nim żony - i sięgnął po przenośny telefon, który zostawił na stoliku.

- Cholera! - warknął, przewracając dłonią do połowy pełną szklankę. Woda z roztopionych kostek lodu chlapnęła na ciemne drewno i spłynęła na dywan, tuż obok ulubionego kocyka Kylie; przyniósł go tu wczoraj, żeby... Nie miał pojęcia, co, do cholery, chciał zrobić. Pewnie go powąchać, by poczuć choćby ślad słodkiego zapachu swojej małej córeczki.

Boże, ale był załosny. Potem pewnie zacznie bawić się żołnierzykami Tylera i nosić majtki Lori Beth w kieszeni.

- Wszystko w porządku, szeryfie?

Dotarło do niego tylko to, że głos był kobiecy.

- Lori Beth, to ty? - zapytał, modląc się w duchu, żeby odsłuchiwała pełnych uczucia wyznań, co najmniej sześciu, które poprzedniego dnia zostawił na automatycznej sekretarce jej rodziców.

- Mówi Monica Drake. Z biura lekarza sądowego Travis County. Obudziłam pana?

Zalała go fala upokorzenia. Z trudem usiadł na sofie. Buck County, zbyt małe, by mieć własnego lekarza sądowego, zlecało tego rodzaju prace większym okręgom. A tam często traktowali go jak jakiegoś prostaka z zadupia.

-Nie, skądże. Chodzi tylko o to, że... spodziewałem się innego telefonu.

Zerknął na zegar wiszący nad blatem w kuchni. Już po dziewiątej. Nadal nie odnaleziono Spencera i Claire Winslow. Lepiej, żeby już był w biurze.

- Przesłałam faksem wstępne wyniki do pańskiego biura, ale pański zastępca Ashford zasugerował, żeby zadzwoniła i powiadomiła o nich pana. Zidentyfikowałam Adama Stricklanda na podstawie jego karty dentystrycznej i uznałam, że zginął wskutek nieszczęśliwego wypadku.

Joel podziękował swojej szczęśliwej gwiazdce, że to niezastąpiony Ashford odebrał telefon, a nie ten kretyn, jego kuzyn Earl, bo wtedy nie dowiedziałby się o tym, dopóki nie znalazłby faksu zakopanego gdzieś pod stertą papierów na swoim biurku. A to mogłoby potrwać wiele dni, biorąc pod uwagę bałagan w biurze.

- Wypadku? - Joel próbował zmusić pękającą z bólu głowę do myślenia. - To znaczy, że się utopił?

- Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością. - Kobieta mówiła z wyraźnym bostońskim akcentem. - Być może przyczyną był upadek. Ale z powodu rozkładu ciała nie mogę być tego pewna.

- Mówi pani, że on spadł? - W którym miejscu? Przeszukał przecież cały teren z zastępcami i ochotnikami. -I nie było żadnej kuli?

- Nie znalazłam żadnych śladów urazu drażącego. Ale mówiąc po ludzku, było wiele zranień wskazujących na to, że spadł z dużej wysokości. Złamanie C2, czyli złamany kark, to najbardziej prawdopodobna przyczyna śmierci. Nawet gdyby natychmiast otrzymał pomoc medyczną i tak by zmarł, bo wygląda na to, że uszkodzone zostały drogi oddechow. A w wodzie śmierć mogła nastąpić szybciej.

Joel ujrzał w myślach urwisko na tyłach posiadłości Winslowów, które w ostatnich latach groźnie podmyła powódź. Przypomniał sobie odłamki skał, leżące na brzegach głębokiej niecki. Czy to możliwe, żeby Strickland po prostu zrobił jeden niewłaściwy krok w niewłaściwym czasie i że Spence Winslow wiedział tak niewiele o jego zniknięciu, jak twierdził?

- Ale ktoś mógł go popchnąć, prawda? - spytał. - Rany wyglądałyby wtedy tak samo?

Nie umknęło mu krótkie, zniecierpliwione sapnięcie, podszyte klasyczną jankeską pobłażliwością.

- Na wsi czy w mieście, wy, policjanci, jesteście tacy sami. Zawsze próbujecie nagiąć fakty, żeby pasowały do waszych teorii - odparła doktor Drake. - Nie znalazłam żadnych śladów tego, że się bronił. Ale biorąc pod uwagę stan zwłok, nie mogę stwierdzić z całą pewnością, że ofiara nie została zepchnięta. Mogę tylko powiedzieć, że kiepsko wylądował. Jeśli jeszcze ma pan pytania...

Podawała jakiś numer, ale nie pofatygował się nawet, żeby go zapisać. I tak go znajdzie w raporcie u siebie w biurze.

Nie zdążył dojść do szafki kuchennej, by poszukać aspiryny, kiedy telefon znów zadzwonił.

Tym razem nie pomylił już tej kobiety ze swoją żoną.

W przeciwieństwie do Lori Beth Janinę Jaworski dzwoniła z dobrymi wieściami.

- Nie musi się pan martwić o Claire Winslow - powiedziała. - Telefonowała do mnie dziś rano. Potrzebowała po prostu trochę czasu. Ostat-

nio tyle się w jej życiu wydarzyło... Jestem pewna, że pan to zrozumie. Tak jak wszyscy.

-A gdzie jest? - zapytał, znajdując skrawek papieru wśród sterty śmieci na szafce.

Czy Lori Beth zabrała z domu każdy pieprzony ołówek? W końcu znalazł gruby pisak Tylera - krwistoczerwony, w ulubionym kolorze jego siedmioletniego synka.

- Nie wiem. Nie chciała mi powiedzieć - odparła Janinr. - Zadzwo- niła do mnie na komórkę i prosiła, żebym powiadomiła wszystkich, że nic jej nie jest. Już rozmawiałam z jej ojcem, powiedział, że powinnam zadzwonić również do pana. Ee... Tak naprawdę to powiedział, że do- brze by było, żeby pan ruszył tyłek i przyprowadził Claire do domu.

Joel założyłby się o swoją pensję, że Will Meador wyraził się dosad- niej. Do tej pory już na pewno doprowadził się do odpowiedniego stanu. Kiedy dzwonił po raz pierwszy, koło północy, jego głos brzmiał nie- mal płaczkliwie; Joel zadał mu kilka pytań i ustalił, że po kłótni z Claire tamtego ranka jej ojciec przypuszczał, że zatrzymała się u przyjaciółki. Chociaż Joel tak bardzo niepokoił się z powodu Spence'a, że odnale- zienie Claire uczynił priorytetowym zadaniem dla swoich dwóch za- stępców, którzy pełnili służbę ubiegłej nocy, to coś mu mówiło, że do rana sama się pojawi. Jednak sprawa przybrała taki obrót, że w myślach wymierzył sobie kopniaka za to, że poddał się wyczerpaniu, zamiast wracać do pracy.

- Czy ona była sama, pani Jaworski? - zapytał. - Słyszała pani ja- kieś inne głosy?

Nastąpiła chwila ciszy - kobieta zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Nie. Nie pamiętam żadnych odgłosów w tle. Ale powiedziała mi coś... Naprawdę nie powinnam tego mówić.

Joel natychmiast zmienił przyjacielski ton na ton surowego stróża prawa, jakiego używał, gdy chciał doprowadzić do porządku świadków albo podejrzanych:

- Jeśli porwał ją jej mąż, to Claire Winslow może być w poważnych kłopotach, pani Jaworski. I jeżeli będę miał powody przypuszczać, że coś pani przede mną zataja, to dopilnuję, żeby postawiono pani zarzut utrudniania pracy wymiarowi sprawiedliwości. A może nawet zarzut współudziału w porwaniu!

- Jej... jej mąż? - Głos Janine drżał, a jej powściągliwość pękła ni- czym bańka mydlana. - Dała mi do zrozumienia, że wyskoczyła z domu

z jakimś facetem. Ale czy naprawdę pan myśli, że to mógł być Spence? O mój Boże, on jej może zrobić krzywdę! Może ją nawet zabić! I tak już mam wyrzuty sumienia. To ja ich ze sobą poznałam... Podam panu numer telefonu, spod którego dzwoniła - ciągnęła dalej. - Mam go tu, na komórce. Może pan go namierzyć, prawda? Kiedyś widziałam coś takiego w telewizji.

- Namierzmy ją, gwarantuję to pani. Mam tylko nadzieję, że znajdziemy ją, zanim stanie się coś gorszego.

Claire pierwsza wyszła spod prysznicza i szukała po omacku szorstkiego ręcznika, którego używała poprzedniego wieczoru.

- Uważaj na oczy. - Jej głos wciąż drżał namiętnością, ale rozsądek kazał jej włączyć światło. Musieli już ruszać, jeśli nie chcieli, by zaskoczyła ich pokojówka.

- Chcesz maszynkę do golema? - zapytała.

- Jasne - wydusił Spence. - Dzięki.

Słyszac, jak bardzo jest zmęczony, uśmiechnęła się, a potem podeszła do łóżka, żeby wziąć jedną z tanich jednorazówek, które tam zostawił.

Wciąż była tylko do połowy ubrana, a Spence jeszcze brał prysznic, gdy usłyszała ciche pukanie do drzwi. Naciągnęła koszulę i wyjrzała przez wąską szczelinę między zasłoną a ramą okienną.

Zobaczyła młodą kobietę o szerokich biodrach, która rankiem przyniosła świeżą pościel. Jednak tym razem oglądała się ukradkiem przez ramię, a jej twarz była jeszcze bardziej zaróżowiona niż wtedy.

Claire zrozumiała, że pokojówka nie przyszła posprzątać.

Jej puls przyspieszył, gdy otworzyła tani zamek i uchyliła drzwi.

-Tak?

Kobieta skrzyżowała ramiona na swoim T-shircie z NASCAR.

-Todd, mój stary, mówi, że nie powinnam w to wściubiać nosa. Powiedział, że wczoraj wieczorem byłaś wredną suką. Ale wiem, jak on potrafi się zachowywać, więc... Chwilę temu zadzwonili do niego i pytali, czy wciąż tu jesteś. W każdym razie, czy jest tu jakaś kobieta, która wygląda jak ty. Ten gość wypytywał też o mężczyznę, może o tego, który jest z tobą. Todd powiedział, co wie i że jesteś z facetem, opisał cię i podał też opis twojego wozu.

Claire przeszył zimny dreszcz. Nie tylko dlatego, że właśnie uświadomiła sobie, że ta biedna dziewczyna jest żoną Jabby the Hutta.

- Kto to był? Kto dzwonił?

- Szeryfjakiś tam. Żaden z miejscowych. Ale o ile się nie mylę, chce tu wysłać chłopaków z naszego hrabstwa, żeby was zgarnęli. I to zaraz.

Claire wzdrgnęła się, zanim zdążyła zapanować nad tym odruchem.

- Jak dawno temu dzwonił?

Kobieta zacisnęła nieumalowane usta.

- Może jakieś dziesięć minut temu. Coś koło tego. Musiałam odczekać, aż Todd pójdzie do kibla, a potem zaraz tu przybiegłam. Ty i twój facet chyba powinniście się pospieszyć.

Claire kiwnęła głową.

- Strasznie ci dziękuję. Ale... dlaczego przysłaś?

- Nie wiem... Po prostu dzisiaj rano w twoich oczach było coś takiego, że przypomniałam sobie, jak sama się kiedyś czułam. - Zniżyła głos do szeptu, a jej szeroka twarz jeszcze bardziej się zaczerwieniła. - I jak kiedyś miałam nadzieję, że wszystko... Och, mniejsza o to. Po prostu spadajcie stąd!

Claire wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia.

- Niech ci Bóg to wynagrodzi.

Kobieta znów nerwowo obejrzała się za siebie. Kuliła się w sposób, który sugerował, że przekazując to ostrzeżenie, ryzykuje, że zostanie spoliczkowana albo i spotka ją coś gorszego. Mimo to podniosła wzrok i uśmiechnęła się, a w jej niebieskich oczach zatliło się coś, co mogło wyrażać bunt.

- Powodzenia - powiedziała do Claire i pospiesznie, bardzo szybko jak na tak potężną kobietę krokiem poszła w stronę recepcji.

Claire zamknęła drzwi na klucz, a potem złapała ubranie Spence'a i popędziła do łazienki; nie dochodziły już z niej odgłosy płynącej wody. Gdy otworzyła drzwi, rzeczy, które Spence miał w kieszeniach, wypadły i z brzękiem uderzyły o próg.

Spence, ze szczoteczką do zębów w ustach i z ręcznikiem na ramieniu, spozjrzał na nią zdziwiony.

- Szybko, ubieraj się! - krzyknęła, pochylając się, by podnieść kluczyki i drobne z podłogi. - Musimy stąd spadać, i to zaraz. Policja już jest w drodze.

Chwycił od niej ubranie i zaczął je błyskawicznie wkładać.

- Co się dzieje?

Pokręciła głową.

- Nie wiem, ale pokojówka mnie ostrzegła. Wydaje mi się, że Joel nas namierzył.

Czując pod palcami dziwny kształt, spojrzała na to, co trzymała w dłoni, i zobaczyła bransoletkę, którą znalazła dwa dni temu. Bardzo się zdziwiła. Ale uznała, że później będzie martwić się o to, w jaki sposób trafiła ona do Spence'a.

Spence skrzywił się, zginając ramię, a potem ostrożnie przełożył głowę przez T-shirt.

- Może to przez nasz wóz. Ktoś go musiał widzieć.

- Jeśli podali nasze numery rejestracyjne i opis pikapa przez radio, to szybko nas znajdą- stwierdziła Claire.

- Musimy być ostrożni, o ile uda nam się wydostać stąd na czas.

Ale kiedy dwie minuty później wsiadali do wozu, zobaczyli błysk czerwonych świateł - ostrzegł ich, że jest już za późno.

Rozdział 23

Przez gałęzie przydrożnej kępy jałowców Spence dostrzegł zbliżające się czerwono-białe światła. Kierowca nie mógł jeszcze zobaczyć pikapa, lecz oni wiedzieli, że stanie się to za kilka sekund.

- Szybciej - ponaglała go Claire, bo tym razem to on wskoczył za kierownicę.

Jednym szybkim ruchem zapięła pasy.

Skręcił w prawo, w przeciwnym kierunku niż wóz policyjny. Przewadził jednak ostrożnie, z umiarkowaną prędkością, by nie zapiszczały opony. Miał nadzieję, że zastępca szeryfa najpierw podjedzie pod recepcję motelu.

Poza tym Spence zbyt wiele razy widział efekty szybkich pościgów, pokiereszowane ofiary. Choć bardzo nie chciał trafić znów do więzienia i pragnął dorwać tego sukinsyna, który go wrobił, nie zamierzał ryzykować życia swojej żony i nienarodzonego dziecka.

- Nie możesz jechać szybciej? - ponaglała go Claire.

- Odpręż się - powiedział. - Gdybym odjechał stąd z piskiem opon, ten gość natychmiast wezwałby pomoc przez radio. A do cholery, tego byśmy nie chcieli, prawda?

Jeszcze raz skręcił w prawo, na drogę prowadzącą wzdłuż małych drewnianych domków; przejechał przez „centrum”, czyli obok stacji benzynowej, grilla i sklepu spożywczego, na którego obdrapanym szyldzie widniał napis „Auntie Q's Objets D'Junque”, oraz starego spichlerza przytulonego do bocznic kolejowej. Ku jego ogromnej uldze błyskające światła koguta - a spodziewał się je zobaczyć, nie pojawiły się za nimi. Miał nadzieję, że zastępca szeryfa ich nie zauważył, gdy znikali z pola widzenia.

- Dokąd jedziesz? - spytała Claire.

- Wydaje mi się, że gdzieś tu powinna być inna... - Po chwili dodał:
- No i jest.

Skręcił w lewo, w nieoznakowaną drogę. Wkrótce otoczył ich wiejski krajobraz. Młode rośliny rosły w prostych rzędach na rozległych hektarach zaoranej ziemi, a po prawej stronie, przy młynie, pasło się bydło.

- Jeśli ludzie szeryfa będą nas szukać, pomyślą, że pojechaliśmy prosto na autostradę, zamiast kręcić się po tych bocznych drogach. Wciąż masz mapę Teksasu w schowku?

Poszukała jej w skrytce, a Spence zjechał na chwilę na pobocze.

- Mam. Ale chyba nie zrozumiałeś mojego pytania. Dokąd jedziemy? Jak możemy czegokolwiek się dowiedzieć, skoro wciąż uciekamy?

Złożyła mapę tak, by było widać drogi na wschód od San Antonio i podała mu ją.

Cicho westchnął. Nie spodoba jej się to, o czym myślał.

- Najpierw musimy pozbyć się tego wozu. Inaczej mamy przechłapanie.

Mrugnęła, zaciskając usta. Przed dwoma laty kupili nowiutkiego, zielonego chevroleta, bo wiedzieli, że wkrótce Claire będzie potrzebować większego wozu, którym da się ciągnąć przyczepę z końmi. Po latach jeżdżenia małymi samochodami uwielbiała wysokie siedzenie i potężny silnik tego palącego jak smok wozu z napędem na cztery koła.

- Pozbyć się mojego wozu?! - powtórzyła. - To czym będziemy jeździć?

Domyślił się, że to, co powie, spodoba jej się jeszcze mniej, ale nie było na to rady.

- Znam gościa, który się tym zajmie.

Jej oczy zwięziły się.

- Przystępcę?

Wzruszył ramionami, nie mając ochoty tego roztrząsać.

- A więc ufasz tej osobie? - spytała.

Przypomniał sobie, jak kiedyś spojrział trochę przez palce na sytuację, która dla złodzieja samochodów mogła oznaczać trzecie już aresztowanie. Facet dostarczał towar szefowi bandy, która trudniła się rozbieraniem na części skradzionych samochodów i przetrucaniem ich za granicę. Spence pomyślał o obietnicy złodzieja, że „na życie *mi mądre*, na krew *Christo*” odwdzięczy mu się za jego wspa-
niałomyślność.

Pokręcił głową.

- Oczywiście, że nie. Nie na tyle, żeby pozwolić, byś zbliżyła się do niego choćby na kilometr.

- Nie zamierzam wracać do domu, dopóki się czegoś nie dowiemy.

- Głos Claire był jak zwój drutu kolczastego, zaskakująco ostry i równie kłujący.

- Masz rację. Nie wrócisz. Potrzebuję cię, żebyś pomogła mi to wszystko rozgryźć. I będę cię też potrzebował, byś nie pozwoliła mi, żebym... żebym znów zaczął kombinować w niewłaściwy sposób. - I żebyś mi przypominała, że mam po co żyć, dodał w myślach. - Ale nie wezmę cię do tego faceta od samochodów. Przede wszystkim to zbyt niebezpieczne. A ty nie możesz znaleźć się w sytuacji, która może zostać wykorzystana do oskarżenia cię o współudział w... Mniejsza z tym. Musisz mi po prostu zaufać, Claire. Zostawię cię w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie jest dużo ludzi. Ale wrócę po ciebie. Obiecuję.

Spojrział na mapę, szukając jakiejś innej drogi prowadzącej z powrotem do miasta, a jednocześnie przygotowując się na to, że Claire zapyta, jak w ogóle śmie mówić jej o zaufaniu.

- Nie chcę, żebyś gdzieś mnie zostawiał. - Nie dawała za wygraną.

- Tego już chyba nie zniosę.

Spence znów poczuł ostrze podcinające mu gardło i lufę pistoletu przy skroni.

- Będziesz musiała i nie zamierzam w ogóle o tym dyskutować. Ludzie, którzy za tym stoją, już raz cię wykorzystali, żeby mnie dorwać. Jeśli zobaczyliby mnie z tobą, jeśli zorientowaliby się, jak wiele dla mnie znaczysz...

Dał jej chwilę czasu, żeby przypominała sobie pogrożki wobec niej, kiedy zwabili go, by dostarczył pieniądze. Skrzyżowała ręce na piersiach i patrzyła na teksaskie długorogie krowy - podnosiły głowy, gdy przejeżdżali obok.

Przez kolejne dziesięć minut jechali w milczeniu, a niepokój, który ich ogarniał, był gęsty jak wata. W końcu zapytała:

- Weźmiesz ze sobą pistolet mojego ojca, dobrze? Do ochrony.

Pokręcił głową.

- Nie mam go już. Przykro mi. Dziś rano zaatakowało mnie paru osiłków.

Westchnęła i odparła:

- Mam nadzieję, że będą mieli z nim więcej szczęścia niż ja.

- A ja mam nadzieję, że nie. W końcu ty trafiałaś w to, w co celowałaś, prawda?

Uśmiechnęli się przez chwilę tak krótką, że Spence nie zdążył odpowiedzieć sobie na pytanie, kto uśmiechnął się pierwszy.

Claire wygięła plecy w łuk i wsunęła dłoń do przedniej kieszeni swoich dżinsów. Gdy znów na nią spojrzął, dotykała palcami zmatowiałych, srebrnych serduszek bransoletki.

- Gdzie to znalazłaś?

- W domku myśliwskim. Ty ją tam przyniosłaś?

Kątem oka zauważył, że kiwa głową.

- Tak. Wpadła mi w ręce w domu. Była upchnięta w pościeli w szafce. Chciałam zapytać o to tatę, ale był za bardzo zajęty namawianiem mnie, żebym przerwała ciążę.

Spence poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

- Co takiego?! Ty byś przecież nie...

- Oczywiście, że nie, Spence. Przysięgam ci, nigdy bym tego nie zrobiła. Nawet o tym nie myśl.

- Ale jak on mógł sugerować?...

- Bo kocha mnie bardziej niż własne życie - odparła natychmiast.

- Bo nie chce, żeby w przyszłości raniły mnie jakieś bolesne wspomnienia albo żebym była w jakikolwiek sposób związana z... On chce mnie po prostu chronić, to wszystko. Ale nie rozumie, nie wyobraża sobie, że nawet gdybym zrobiła to... to, co sugerował, nigdy nie mogłabym o tobie zapomnieć. Nigdy.

Spence nie powinien czuć się zaskoczony reakcją ojca Claire. A jednak bolała go myśl, że chciał wyrzucić z niej to nowe życie, unicestwić je, tak żeby oboje mogli udawać, że nigdy nie spotkali mężczyzny o imieniu i nazwisku Spencer Winslow. Jeśli kiedyś on zostanie ojcem, być może pewnego dnia zrozumie pragnienie Willa Meadora, by chronić Claire. Ale w tej chwili Spence stłumił emocje, które skurczyły się jak zmięty

kawałek papieru. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, że mógłby kiedykolwiek przebaczyć temu człowiekowi.

Przypomniała mu się rozmowa, ostatnia prawdziwa rozmowa z teściem.

-Wiesz - powiedział - to ja znalazłem tę bransoletkę. Tam, przy urwisku, kiedy w zeszłym miesiącu łąziłem po jaskiniach.

- Dlaczego włożyłeś ją do kredensu w pokoju dla gości? - spytała Claire.

- Twój ojciec musiał to zrobić. Wyrwał mi ją z ręki, kiedy tylko mu ją pokazałem. Pomyślał pewnie, że należała do twojej matki, i stwierdziłem, że to kolejna z tych pamiątek, których widoku nie potrafi znieść.

Tak jak mojego dziecka. Choć próbował stłumić w sobie gorycz, zupełnie mu to nie wychodziło.

Ale Claire pokręciła głową.

-Nie sędzę, żeby należała do mojej mamy. Może mamy nie pamiętam, ale mam zdjęcia, a po śmierci Karen tata dał mi jej biżuterię. Powiedział, że zamierzała ją podzielić między nas obie, ale że za długo z tym zwlekał. To zawsze było dla niego takie trudne...

Claire mówiła dalej, przesuwając między palcami serduszka bransoletki:

- Chodzi o to, jakie rzeczy nosiła moja matka. Widziałeś je czasami. Zakładałam je, kiedy chciałam zrobić się na damę. Nie miała dużo biżuterii, ale to, co miała, było proste, klasyczne. Na przykład złoty naszyjnik z trzema perłami i piękne diamentowe kolczyki. Nie wyobrażam sobie, żeby nosiła takie pobrękujące srebrne serduszka. Pomyślałam więc, że może ta bransoletka należała do Karen, nie przypominam sobie jednak, żeby miała taką...

Usłyszał, jak ze świstem wciąga powietrze.

- Co się dzieje, Claire?

- Wydaje mi się... Zatrzymaj się na chwilę, Spence! Muszę wysiąść i przyjrzeć się temu w lepszym świetle.

Spence zerknął w lusterka i nie widząc żadnych innych samochodów, zrobił to, o co prosiła.

Ledwie zdążył się zatrzymać, Claire wyskoczyła z wozu. Poszedł za nią i zobaczył, że przechyliła jedno z serduszek tak, by padało na nie słońce sączące się przez cienką warstwę chmur.

- Popatrz! - zawołała. - Wydawało mi się, że to właśnie widziałam.

Spence zerknął na miejsce, które pokazywała. Jak ona to wcześniej zauważyła? Lecz kiedy teraz na to spojrzął, on też to widział. Stylizowane duże G, które ledwie można było rozpoznać na zabrudzonym, podniszczonym metalu.

- Tutaj też jest coś wygrawerowane - powiedziała. - To... Czy to jest L?

- Tak mi się wydaje. - Po czym wskazał na kolejny zawijas. - A tu jest H. Claire, to nie była bransoletka Karen ani twojej matki! Ta bransoletka należała do Glorii Hajek.

Uniosła wzrok i spojrzała na niego.

- W takim razie tata musiał się pomylić. Pewnie nie przyjrzał jej się na tyle dokładnie, by zauważyć te litery. Wiesz, że rzadko nosi okulary.

- A może jednak je zauważył - mruknął Spence, przypominając sobie, jak szybko ojciec Claire wyrwał mu bransoletkę. Ledwie na nią spojrzął i natychmiast wepchnął ją do kieszeni.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Widział, że przybrała defensywny ton. Zawsze go wtedy raniła - gdy tylko rozmawiali o jej ojcu, zaczynała zachowywać się w ten sposób. Pewnego razu, kiedy wracali do domu po dniu spędzonym u jej ojca, Spence narzekał, że wykluczają go z każdej rozmowy, mówią tylko o ludziach i sprawach, których nie znał. Claire palnęła wtedy bezmyślnie, że ktoś, kto nie ma rodziców, nie potrafi czegoś takiego zrozumieć, i ta uwaga bolała Spence'a zawsze, kiedy sobie o tym przypominał.

Lecz taka właśnie jest natura związków: powolne jak erozja nawarstwianie się niewielkich przykrości, od czasu do czasu jakaś raniąca uwaga, równoważone dobrocią i chwilami doskonałego zrozumienia.

W jego życiu z Claire zdecydowanie było więcej plusów - aż do chwili, kiedy kompletnie się załamał, a poczynania jakiegoś chorego sukina, który chciał go zrobić, zupełnie wszystko spięprzyły.

A jednak była tu przy nim, jak nieoczekiwany dar. I jeśli chciał ją przy sobie zatrzymać, musiał postępować ostrożnie.

- Nie jestem tego do końca pewien. Pamiętam tylko, co mi się wtedy wydawało: że bardzo chciał, by ta bransoletka szybko zniknęła mi z oczu.

- Pewnie doszedł do niewłaściwego wniosku, to wszystko - odparła Claire. - Jeśli chodzi o Karen i moją matkę, zawsze taki był. Czasem doprowadza mnie do szału, kiedy urywa rozmowę, gdy tylko wspomnę jakąś historię o Karen i o mnie, z czasów, gdy byliśmy

małe. Albo gdy zapytam go o coś prostego, na przykład o to, jak poznał mamę.

- Wiem - powiedział Spence, gdy bez słów jednocześnie postanowili wrócić do wozu.

Przy paru okazjach widział, jak jej ojciec nagle staje się małomówny, gdy zaczynała wspominać żonę i córkę, które stracił. Gdy Will Meador nie mógł zmienić tematu, po prostu oświadczał, że ma coś do zrobienia, i wychodził, a jego brązowe oczy zasnuwały się takim bólem, że Spence raz czy dwa razy nalegał nawet, żeby Claire zostawiła tego biedaka w spokoju.

Zapalił silnik i znów ruszyli. W dali zobaczył kilka stojących blisko siebie, zniszczonych budynków; przycupnęły przy skrzyżowaniu dróg prowadzących znikąd donikąd. To już bardziej przypomina miasto niż to „centrum” ze spichlerzem, pomyślał, choć również ono wydawało się mniejsze niż Little BC z jego tysiącem i stu mieszkańcami.

- Czy zdajesz sobie sprawę - spytała Claire - że niemal wszystko, co wiem o mojej matce, usłyszałam od Karen? Biedactwo. Miała około sześciu lat, kiedy zdarzył się tamten wypadek. To było dla niej straszne, ale pozostały jej przynajmniej jakieś wspomnienia. Miałaś szczęście, Spence, że byłeś w takim wieku, że mogłeś naprawdę zapamiętać oboje rodziców.

Spence nie był taki pewien, czy to rzeczywiście szczęście. Claire nie nawiedzały koszmary o śmierci jej matki, nie śniła o tym, by własnym ciałem zasłonić ją przed kulą, która ją zabiła. A jednak, kiedy się nad tym zastanowił, uświadomił sobie, że nie oddałby nikomu tych trudnych nocy. Nie, jeśli wówczas musiałby zapomnieć swojego tatę, hydraulika, który uwielbiał lody i wywracając oczami, opowiadał kiepskie dowcipy, i mamę, pulchną roześmianą blondynkę o wielkim sercu.

- Chyba masz rację - odparł, zaskoczony napięciem pobrzmiwającym w jego głosie.

Minęli miasteczko. Drzewa rosnące po obu stronach drogi z braku wody przypominały raczej krzaki. Były o wiele niższe niż te na ich posiadłości w Hill Country. Na tym płaskim terenie wydawało się, że niebo ciągnie się w nieskończoność, a ułożone w dziwne rzędy chmury przypominały falujące młode zboże, które widzieli wcześniej.

Gdy tak jechał, jego myśli błądziły i zastanawiał się, czy wciąż śpi, śniąc w swojej celi w więzieniu w Buck County. Jak sprawić, żeby ta

jazda trwała tak długo, jak nieskończone jest niebo, i żeby już nigdy nie musiał się rozstawać z kobietą, którą tak bardzo kocha?

W ułamku sekundy spokój przyszył wraz z krzykiem Claire i błyskiem biało-niebieskiego światła; zbliżało się do nich z kryjówki tuż przy drodze, za rzadką zasłoną jądłoszynów. Wóz patrolowy miał włączone światła i krótkim wyciem syreny dał im znak, by zjechali na pobocze.

Jednak nie wjechał jeszcze na asfalt. Jedna z tylnych opon buksowała, co kosztowało zastępcę szeryfa kilka cennych sekund.

- Jedź, jedź! - ponagliła Claire, ale Spence i tak zdążył wcisnąć już gaz do dechy.

Pikap, już wcześniej jadący z dużą szybkością, jeszcze bardziej przyspieszył. Potężny silnik zawył, a prędkościomierz przeskoczył na sto dziesięć, sto dwadzieścia, a wreszcie na sto trzydzieści kilometrów na godzinę.

- Żółtodziób - mruknął Spence, widząc, jak zarzuciło samochód zastępcy szeryfa, gdy dwie lewe opony chwyciły asfalt. Gdyby to Spence był za kółkiem, wjechałby powoli na twardą nawierzchnię, zanim spłoszyłby podejrzanego światłami i syreną.

Ale cieszył się, mogąc wykorzystać jego błąd, który dał mu cenne sekundy na podjęcie decyzji, co robić. Ku jego zaskoczeniu Claire już wiedziała: przesunęła palec po mapie.

- Zaraz powinna być polna droga, parę kilometrów stąd, na prawo! - zawołała, przekrzykując szum opon i słaby odgłos syreny, która teraz była kilkaset metrów za nimi. - Jeśli uda nam się tam dojechać, to może nie da rady nas dalej ścigać.

Ten pomysł miał swoje zalety, bo ich świetny wóz, z napędem na cztery koła, z łatwością mógł poradzić sobie na pełnych wybojów ścieżkach, po których pędzono bydło. Na mapach często oznaczano je jako polne drogi. A gdyby w pobliżu znajdował się więcej niż jeden wóz, innym zastępcom szeryfa trudniej byłoby zająć im drogę albo rozłożyć kolczatki, żeby przebić opony.

Z drugiej strony, na takim odciętym od świata pustkowiu będzie łatwiej namierzyć ich z powietrza. Ponieważ jednak Spence tak wybierał trasę, że dotarli do w przeważającej części wiejskiego i słynącego z niedofinansowania hrabstwa Sissel, wsparcie powietrzne było mało prawdopodobne, a współpraca między posterunkami należała do rzadkości, zwłaszcza w tak krótkim czasie od zgłoszenia. Skoro Claire tego chciała, był skłonny podjąć ryzyko.

- Jesteś pewna, że chcesz się w to wplątać? - zapytał.

W tylnym lusterku zobaczył, że ścigający ich wóz jest coraz dalej, ale nie na tyle, by mogli poczuć się już bezpiecznie. Czy zastępca szeryfa zdąży wezwać na czas wsparcie, by odciąć im drogę?

- Nawet nie myśl o tym, żeby zostawić mnie tutaj, jak jakieś niechciane szczenię! O! Tu jest ten zakręt! Uważaj, jest ostrzejszy, niż wyglądało na ma...

Jej głos przeszedł w krzyk, gdy Spence z ogromną prędkością skręcił w pełną drogę, łączącą się pod ostrym kątem z tą, którą jechali. Walczył, by Chevrolet wziął zakręt, a jego ramię niemal sztywniało mu z bólu. On jednak w skupieniu wykorzystywał umiejętności nabyte podczas szkolenia.

Tył pikapa zaczął się ześlizgiwać do rowu po lewej stronie, ale w ułamku sekundy wielkie opony chwyciły nawierzchnię; do tyłu trysnęły fontanny kurzu.

Wozem trochę zarzuciło, po czym wystrzelił naprzód. Spence'a zalewał pot, spływał mu po plecach i piekł go w oczy.

- Nic ci nie jest? - zapytał Claire.

Kiwając głową, odwróciła się, by spojrzeć w tył:

- Próbuje za nami jechać. Spence! Nie uda mu się!

Miała rację. Gdy zerknął w lusterko, lewe koła ścigającego ich wozu wpadły do rowu i samochód dachował raz, potem drugi. Trwało to chyba całą wieczność.

Rozdział 24

Nim wóz patrolowy z Sissel County wreszcie się zatrzymał, świat Claire zamazał się we łzach napływających jej do oczu. Samochód leżał na częściowo wgniecionym dachu, a jego koła powoli przestawały się obracać. Krzyknęła na widok dymu, ale zaraz uświadomiła sobie, że ta unosząca się chmura to tylko kurz, który wzbił się podczas dachowania.

Choć sedan nie płonął, i tak wyglądało to kiepsko.

Spence wrzucił wsteczny bieg i powoli podjechał do patrolówki, mówiąc:

- Nie powinienem był uciekać. Nie powinienem był ryzykować czyjeś życie. Jezus!

Policjantka, bo okazało się, że ścigała ich kobieta, wyczołgiwała się właśnie przez okno, mówiąc coś przez radio, które trzymała w ręce. Jej płowe włosy opadały w nieładzie i nie miała już na głowie kapelusza z szerokim rondem, ale poza tym wyglądało na to, że wyszła z tego cało.

Na ich widok, kiedy już udało jej się wydostać z samochodu, jej oczy rozszerzyły się z przerażenia i zaczęła sięgać po broń w kaburze.

Gdy uniosła rękę, by w nich wycelować, Spence znów nacisnął pedał gazu.

Claire szybko odwróciła głowę i zobaczyła błysk wystrzału za nimi. W tej samej chwili rozległ się rozdzierający huk i Spence krzyknął:

- Na dół, na dół! - I popchnął ją ręką, by się schyliła.

Wóz podskoczył na kolejnym wyboju. Claire, pochylając się, uderzyła czołem o deskę rozdzielczą. Parę chwil później Spence powiedział:

- W porządku, możesz już usiąść normalnie.

- Co to by... - Claire przerwała, widząc otwór w podsufitce między ich głowami, tuż nad przednią szybą. Odwróciła się i w samym środku tylnej szyby zobaczyła coś, co mogło być tylko otworem po kuli, otoczonym pajęczyną pęknięć.

- Próbowaliśmy nas zabić! Czemu miałyby...

- Była śmiertelnie przerażona. Nie widziałas jej twarzy? Na pewno bała się, że wracamy po to, by wyrządzić jej krzywdę.

- Ale my przecież chcieliśmy jej pomóc.

- Nie widziałas, jaka była młoda? Pewnie nie miała nawet na tyle doświadczenia, żeby... O cholera. Mam nadzieję, że tej biednej dziewczynie nic się nie stało...

Claire nie mogła oderwać wzroku od otworu w podsufitce. Ile centymetrów brakowało, żeby kula trafiła w jej głowę albo w głowę Spence'a? Przełknęła z trudem, a potem wykrztusiła przez zaciśnięte gardło:

- Wyglądała na cholernie zdrową, kiedy celowała do nas z tego swojego pistoletu. Nic jej nie będzie. I tak zaraz po nią przyjadą. Ale co z nami? Czy wciąż będą nas ścigać?

Wóz mknął naprzód, od czasu do czasu podskakując na wybojach.

- To ja zdecydowałem, że będę uciekać. Ostrzegałaś mnie, żebym tego nie robił. Mówiłaś, że komuś może się coś stać, a ja nie chciałem tego słuchać.

- O czym ty mówisz?! - zdziwiła się Claire. - To ja ci cały czas mówiłam, żebyś przyspieszył!

Pokręcił głową.

-I tak już tonę w tym gównie po uszy. Nie możemy pozwolić, żeby ciebie też zaczęli o coś obwiniać. Jedno z nas musi pozostać na wolności, żeby wychować to dziecko.

Choć rozumiała, co próbuje jej powiedzieć, nie chciała tego zaakceptować.

- Wyprostujemy to wszystko. Będziesz mnie trzymał za rękę i znosił moje krzyki, kiedy będę rodzić. I będziesz przy mnie, by nie ominęło cię zmienianie pieluch. Wszystkie z kupami zostawię tobie.

Uśmiechnął się i udał, że wstrząsa nim dreszcz.

- Może jednak więzienie nie byłoby takie straszne.

Roześmiała się w odpowiedzi, choć jakaś część jej zastanawiała się, co, u diabła, było z nimi nie tak, że potrafili jeszcze znaleźć w tej sytuacji coś zabawnego. Może spowodowała to fala ulgi, która zalała jej ciało. Ulgi, gdy przekonała się, że nie wmawiała sobie tylko tego, co ich łączy, i że nie jest idiotką, kochając tego mężczyznę. A może to była wielka radość, że udało im się uniknąć aresztowania. I kuli. Teraz nie było jej już tak trudno uwierzyć, że mają przed sobą przyszłość.

A przynajmniej było tak do chwili, gdy Spence powiedział:

- Miejmy nadzieję, że komunikacja między posterunkami w tym hrabstwie jest tak beznadziejna, jak słyszałem. Bo w przeciwnym razie możemy się w każdej chwili spodziewać towarzystwa.

Mimo jego obaw w ciągu godziny dojechali na przedmieścia San Antonio. Ku nieopisanej uldze Claire nie natknęli się nawet na jeden wóz policyjny aż do chwili, gdy włączyli się do ruchu na jednej z podrzędnych dróg.

Spence mijał kolejne przecznice w rejonie zabudowanym nowymi, pięknie zaprojektowanymi, jednopiętrowymi domami. Mieściły się w nich eleganckie mieszkania i apartamenty oraz najróżniejsze firmy zaspokajające wszelkie potrzeby mieszkańców. Po przeciwnych stronach ulicy konkurowały ze sobą dwie apteki z różnych sieci. Na parkingu przed centrum handlowym ludzie pchali wózki pełne zakupów, a tablice na stacji benzynowej z wyraźną dumą reklamowały ceny, od których Claire zakręciło się w głowie. Uznała, że mimo tego, co ostatnio przeżyli, miło jest widzieć, że w tym zakątku miasta życie toczy się jak zwykle.

Jednak uczucie ulgi znikło bez śladu, gdy Spence zjechał na parking obok sklepu spożywczego, zaraz za przystankiem autobusowym.

- Co robisz? - spytała, choć jej sztywniejące ze strachu ciało już zdążyło to odgadnąć.

Zaparkował w trzecim rzędzie.

- Pojedziesz stąd autobusem do biblioteki głównej na Soledad - odparł. - Wiesz, to ten duży, czerwony budynek. Pamiętasz? Byliśmy tam już, kiedy szukałaś jakichś materiałów na swój kurs doskonalenia zawodowego.

Doskonale wiedziała, gdzie jest biblioteka główna.

- Myślałam, że już to wcześniej ustaliliśmy. Jestem z tobą, Spence. Na dobre i na złe. Proszę, nie staraj się znowu mnie od tego odsunąć.

Pokręcił głową, marszcząc brwi.

- Czym innym jest wyłączanie ciebie z tego, a czym innym ryzykowanie twojego życia. Już ci mówiłem. Nie wezmę cię tam, dokąd teraz muszę pojechać. I nie zmienię zdania.

-Ale Spence...

Dotknął otworu po kuli między ich głowami.

- Wydaje ci się, że to jakaś gra, Claire? Wydaje ci się, że ta policjantka udawała? Albo że inni będą udawać, kiedy mnie wreszcie dorwą?

- Nie powinna była strzelać. Nie było powodu...

- Kiedy robi się gorąco, rzeczy wymykają się spod kontroli.

- Bronisz jej? Mogła nas zabić!

- Nikogo nie bronię. Próbuję ci tylko wytłumaczyć, że kiedy uciekasz, komuś może stać się krzywda. A nie mógłbym dalej żyć, nie mógłbym znieść siebie samego, gdyby tobie... - Opuścił głowę, jakby opuściły go wszystkie siły. -I tak już podejmuję wielkie ryzyko, że w ogóle z tobą jestem. To gorszy hazard niż gry u Joego Reno czy obstawianie najbardziej kulawego konia na torze w Retama. Ale wrócę, Claire. Przyjdę po ciebie przed zamknięciem biblioteki.

Żołądek Claire się skurczył. Próbowwała powstrzymać łzy.

- Nie wiesz, co to znaczy czekać. Zastanawiać się nad tym, co mi powiedziałaś. I słuchać głosów, tych wszystkich głosów w głowie, które mówią mi, że nie wrócisz. I że będę sama musiała jakoś dalej żyć bez ciebie.

Ujął jej dłoń i ją pogłaskał. Ich spojrzenia spotkały się.

- Czyich głosów, Claire? Joela Shepherd'a? Twojego ojca? Czy pomyślałaś o tym, że oni mogą mieć własne plany?

Wyrwała mu dłoń.

- Wszyscy mi mówią, że wciąż jestem taka młoda, że mogę zacząć od nowa i że powinnam cały czas starać się czymś zająć, żeby zapomnieć.

Ale miałam na myśli moje głosy wewnętrzne. To od nich nie mogę się uwolnić.

Przesunął palcami po jej podbródku.

-A czy przedtem się nie myliły? Czy nie wróciłem do ciebie już dwa razy? I dopóki będę oddychać, obiecuję, że zawsze będę do ciebie wracać.

Pochyliła się do przodu, tak jakby chciała go pocałować, ale tego nie zrobiła.

-Ufam ci - wyszeptała, powtarzając jak echo te same słowa, które on wypowiedział poprzedniej nocy. - Całym sercem.

Ich pocałunek również był jak szept, duch ich dawnych pocałunków i obietnica tych, które połączą ich w przyszłości.

Zaraz jednak otworzyła oczy i spytała:

- Ile ci to zajmie?

- Trudno mi powiedzieć. Może trochę potrwać, zanim znajdę tego... tego mojego przyjaciela. On tak jakby... nie ma stałego adresu.

-A co, jeśli nie wrócisz przed zamknięciem biblioteki?

- Jeśli nie będzie mnie do zmroku, chcę, żebyś zadzwoniła do kogoś, kto cię odwiezie do ojca. Zgłoś kradzież wozu, a ja spotkam się z tobą na ranczu, jak tylko będę mógł. Pewnie w nocy.

- Wrócisz do domku myśliwskiego?

- O ile to będzie bezpieczne. W przeciwnym razie poszukaj jakiejś wiadomości w grocie za powalonym cedrem. Ale bardzo uważaj na tym urwisku, dobrze?

-A co mam robić w bibliotece?

Spence zdobył się na uśmiech.

- Zawsze narzekasz, że nie masz czasu czytać tych wszystkich nowych bestsellerów.

Kiedy spojrzała na niego urażona, szybko spoważniała.

- Czemu nie skorzystać z jej komputerów z dostępem do Internetu? Zobacz, co ci się uda wygrzebać na Randalla Hajeka. Może znajdziesz coś, co nam się przyda.

-I sprawdzę też tę agentkę handlu nieruchomościami, o której mówiła Lenore. Jak ona się nazywała? Marjorie-coś tam-Phillips, tak mi się wydaje. Założę się, że znajdę jej numer w Internecie, a potem zadzwonię do niej z automatu w bibliotece. Może ona wie coś, co będziemy mogli wykorzystać.

Wsunęła dłoń do schowka i wyciągnęła drobne. Kładąc na dłoni ćwierćdolarówki, powiedziała:

- Mam nadzieję, że to nie były pieniądze na twój lunch.

Uśmiechnął się.

- Obejdę się. Starczy ci, żebyś mogła kupić sobie coś do jedzenia?

Kiwnęła głową.

- Dam sobie radę.

- Gdzie mam cię szukać? - spytał.

Rozumiała, o co mu chodzi. Biblioteka główna w San Antonio była ogromna. Budynek miał co najmniej pięć pięter, może więcej.

- Cholera, nie wiem. Jeśli mnie nie będzie przy komputerach albo przy telefonach, sprawdź w dziale genealogii, chyba na ostatnim piętrze. I zwykle jest tam dość spokojnie.

Zmarszczył czoło, wahając się przez chwilę, zanim zapytał:

- Czy to nie tam trzymają mikrofilmy ze starymi gazetami? Czy może mikrofiszę? Nigdy nie pamiętam, jak to się nazywa.

Pokiwała głową.

- Nie wiem, Spence. A czemu pytasz?

- Bo pomyślałem, że skoro już tam będziesz, mogłabyś też sprawdzić wiadomości w gazetach o...

- Chodzi ci o artykuły o Randallu? Albo o tym planowanym polu golfowym?

- Niezły pomysł, ale chodziło mi o coś innego.

- No to o co? - spytała.

Jego błękitne oczy patrzyły teraz ponuro, jakby uczestniczył w pogrzebie.

- Myślałem o znacznie starszych historiach, takich, w których mogłaby być wzmianka o zniknięciu Glorii Hajek... i o śmierci twojej matki.

Rozdział 25

Spence prowadził samochód, ale był tak rozkojarzony, że niemal wpakował się na wóz patrolowy policji z San Antonio. Tylko szczęściu zawdzięczał, że radiowóz stał zaparkowany, a policjant gdzieś poszedł. Pewnie do pobliskiej meksykańskiej restauracji na lunch, albo kręcił się tu w związku z jakimś wezwaniem.

Spence pomyślał, że potraktuje to jako ostrzeżenie. Musi się skupić na znalezieniu Francuza. Nie może pozwolić, żeby przed oczami stała mu twarz Claire, stężała, gdy wspomniał o jej matce.

- Czemu mielibyśmy się tym martwić? Co to w ogóle może mieć z tym wszystkim wspólnego? To było prawie dwadzieścia osiem lat temu.

Pomyślał o rzekach przepływających przez Hill Country, o rzece Colorado, wijącej się jak wąż przez Wielki Kanion. O wszystkich tych miejscach, które badał i o których czytał na studiach. W każdym z nich obecne koryto rzeki ukształtowały pradawne siły. I z własnego doświadczenia wiedział, że ludzie nie są pod tym względem inni. Każda strzelanina, do której był wzywany podczas służby, każde wezwanie do jakiegoś domu czy do sąsiedzkiej kłótni było osadzone w jakimś szerszym kontekście. I jeśli nie wyeliminowało się przyczyny, samego sedna - w przypadku pracy w policji to rzadki luksus - to problem nigdy tak naprawdę się nie kończył.

Ale zamiast powiedzieć o tym Claire, zapytał:

- Jeśli to nie jest ważne, to czemu to dla ciebie taki wielki problem... przeczytać te artykuły? Boisz się, że znajdziesz coś, co ci się nie spodoba?

Zamiast odpowiedzieć, wyrzała przez okno i oświadczyła, że jedzie jej autobus i że na nią czas. Pocałowała go w policzek, zdawkowo, jakby już nieobecna, a potem odeszła bez słowa.

Długo za nią patrzył, nawet kiedy autobus odjechał, zabierając ją ze sobą. Ale nie obejrzała się ani razu.

Claire zajęło sporo czasu, nim zabrała się do pracy przy komputerze. Była roztargniona, nie umiała się skoncentrować. Za każdym razem, kiedy kładła dłonie na klawiaturze, jej głowę wypełniały obrazy, jak przemykające w ciemnych zakamarkach myszy.

Widziała doktor Rachel w jej przyczepie, drapiącą się po strupach na ramionach. Słyszała kwilenie noworodka wśród brudu i nałogów. Widziała, jak wóz patrolowy zbliża się do chevroleta, z wyjąca wściekle syreną, i przerażona patrzyła, jak przetacza się na dach, wzbijając tuman kurzu.

Claire wyobraziła sobie samą siebie, jak wsuwa palce w otwory po kulach. Najpierw w ten na czole Kojota, potem w dziurę w ramieniu Spence'a, a wreszcie w tę bezkrwawą, po kuli, która przebiła szybę pika-pa i podsufitkę między nimi.

Urywane westchnienie przywróciło jej poczucie rzeczywistości. To ona westchnęła, bała się, że zaraz się rozpłaczę.

Zagryzła wargę tak mocno, że poczuła smak krwi; pozwoliła, by ból przyćmił emocje. Później będzie na nie czas. Czas na to, żeby poradzić sobie ze wszystkim, przez co przeszła, i by zastanowić się nad tym, dlaczego sugestia Spence'a tak wytrąciła ją z równowagi. Ale teraz powinna zająć się czymś, co może sprawić, że jej rodzina znów będzie razem.

Jej palce poruszyły się, wpisując do wyszukiwarki nazwisko Randall Hajeka. Natychmiast trafiła na link, który przeniósł ją na stronę biura nieruchomości w Houston, gdzie Randall wciąż figurował jako agent. Na napuszonej osobistej stronie internetowej szczylił się dziesięcioletnim doświadczeniem w świadczeniu usług dla „najznamienitszych rodzin z Houston” i takimi zaszczytnymi tytułami, jak: „Najlepsze Biuro Dzielnic Memorial”, „superagent” - nazywany tak przez „Texas Monthly” - i wieloma innymi wyróżnieniami, co do których Claire podejrzewała, że można je łatwo kupić. Ale najbardziej zaskakująca była jego fotografia: uśmiechnięty, w garniturze - takiego nie potrafiła sobie przypomnieć - i co najmniej dwadzieścia kilo cięższy niż wtedy, gdy pojawił się w Little BC na pogrzebie ciotki. Randall wydawał się znacznie chudszy, gdy ostatnio przyłapała go z tą puszką sprayu. Czy to się zdarzyło zaledwie ubiegłej nocy? Pomyślała o jego chudych białych nogach, opuchniętej twarzy i rozkojarzonym spojrzeniu, które tak bardzo nie pasowało do jego gniewnych słów.

Wtedy podejrzewała, że był pijany, ale teraz zastanawiała się, czy nie jest przypadkiem chory.

Chwyliła skrawek papieru i krótki ołówek, które znalazła przy komputerze, i zanotowała numer telefonu biura nieruchomości. Potem wcisnęła przycisk „wróć” w wyszukiwarce, by przejść do listy stron zawierających nazwisko Randall Hajek.

Znalazła tego trochę. Kilka wzmianek dotyczyło innego Randalla Hajeka, dealera Forda mieszkającego w Kalifornii, pozostałe przeniosły ją do różnych internetowych wykazów agentów nieruchomości z Houston.

Claire zmarszczyła brwi. Miała nadzieję, że znajdzie coś bardziej interesującego. Może artykuł łączący Randalla z wykroczeniami albo jeszcze lepiej notatkę stwierdzającą, że odebrano mu licencję agenta nieruchomości.

Następnie wpisała „Marjorie Trent-Phillips”. Przy tym nazwisku było o wiele więcej trafień niż przy Randallu. Oprócz strony internetowej, trąbiącej wręcz o jej niezliczonych nagrodach, usługach dostosowanych do osobistych potrzeb klienta i „niezrównanej wiedzy o luksusowym rynku nieruchomości w San Antonio”, znalazła liczne artykuły wspominające o zaangażowaniu Trent-Phillips w akcje charytatywne organizowane przez bogaczy. Jej nazwisko pojawiło się na grafikach darczyńców i organizatorów różnych imprez, Claire zobaczyła je też w rankingu najlepiej ubranych kobiet w mieście.

Na to akurat zasłużyła, pomyślała Claire, oglądając jej zdjęcie. Wymuskana blondynka była kwintesencją wyrafinowanej elegancji. Choć wyglądała na jakieś trzydzieści lat, Claire podejrzewała, że jest o wiele, wiele starsza. Zdradzał to zbyt szeroki, trochę koński uśmiech. Jej twarz miała w sobie dopracowaną perfekcję kobiety, która wydała fortunę i zniosła niewyobrażalne tortury, by cofnąć czas.

Im więcej Claire czytała o Trent-Phillips, tym bardziej uświadamiała sobie, że zwykłe przeszukiwanie stron w Internecie nie ujawni żadnych brudnych historyjek o „agentce nieruchomości sięgającej gwiazd”, jak ona sama siebie nazywała. Jeśli Trent-Phillips maczała w czymś palce, to miała na tyle zdrowego rozsądku i wpływów, by zakopać to tak głęboko, że potrzeba by całego szwadronu reporterów kamikadze, żeby taką historię wygrzebać.

Claire zaczęła się zastanawiać, czy Lenore coś się po prostu nie pomyliło z lokalizacją tej nowej planowanej inwestycji. Przepisała numer agencji nieruchomości Trent-Phillips, bo doszła do wniosku, że odpowiedź może poznać jedynie z jej końskich ust.

Spence spodziewał się, że będzie miał problemy z namierzeniem Francuza. Ksywa była skrótem od „klucza francuskiego” i podkreślała jego niesamowite umiejętności odpalania samochodów bez kluczyków w stacyjce. Podobnie jak jego potajemni pracodawcy, on sam też był ciągle w ruchu i zawsze oglądał się z niepokojem przez ramię. W przeszłości Spence mógł go namierzyć przez jego kobietę: Betty Blue pracowała na pół etatu jako striptizerka i na pełny etat jako prostytutka.

Jednak w szparze zamkniętych na łańcuchach drzwi jej mieszkania pojawiała się drobna, pomarszczona staruszka. Ścisnąc przy szyi poplamiony i równie pomarszczony jak ona szlafrok, spozjrzała na Spence’a i skrzekliwym głosem powiedziała:

- Ta kurwa, moja córka, siedzi w więzieniu, więc nie myśl sobie, kochasiu, że ja cię, kurwa, obsłużę. Już tylu facetów ślińło moje cycki, że starczyłoby mi na sto żywotów.

Wskazała ręką na swoje obwisłe piersi. Gdy drzwi zatrzasnęły się z hukiem, Spence'a przeszedł dreszcz.

- Odwagi, chłopcze - wymamrotał do siebie i zapukał ponownie.

Nie wyszło mu to na dobre. Zza zamkniętych drzwi starsza pani obrzuciła go przekleństwami. Niestety była zbyt głucha, by usłyszeć to, co usiłował jej wyjaśnić.

Spence spróbował odnaleźć dwóch innych współników Francuza, których znał. A potem czarny dzieciak z bliznami po oparzeniach, znany na ulicy pod ksywą Maska, podał mu adres matki Francuza.

- Mieszka tam, kiedy jego stara siedzi w pierdlu. Przynajmniej dopóki sobie nie znajdzie jakiejś nowej kurwy.

Taki był właśnie romantyzm ulicy.

Minęło następne pół godziny, zanim Spence namierzył to miejsce: obłażący z farby żółty domek w zatłoczonej okolicy South Side. Nie zaparkował od razu, lecz objechał sąsiednie ulice. Przyglądał się zacienionym gankom, licznym zaparkowanym samochodom, w większości wrakom, i gromadce dzieciaków, białych, Mulatów i czarnych, które bawiły się w najlepsze, choć w poniedziałkowy ranek w połowie kwietnia spodziewałby się raczej, że będą w szkole.

Dziś musi być zebranie nauczycieli albo jedno z tych mniej ważnych świąt, o których zawsze zapominał. W każdym razie nie dostrzegł żadnych twarzy, które dawałyby mu powody do obaw. Ale nie minęło jeszcze nawet południe. Ciemne typki z tej okolicy, w tym i Francuz, prawdopodobnie jeszcze spały.

Spence wjechał na podjazd i zaparkował za vanem z plamami rdzy wielkimi jak talerze. Stał w pojedynczym garażu bez bramy, tak zawalonym śmieciami, że można by pod nimi ukryć drugi samochód. Skierował się do tylnych drzwi domku w nadziei, że matka Francuza uzna go za przyjaciela, a nie za gliniarza.

Nie przeszedł jednak nawet trzech kroków, gdy zza krzaków wychyłała znajoma twarz i wysunęła się dłoń trzymająca smitha & wessona wycelowanego w środek jego klatki piersiowej.

Kiedy Claire zadzwoniła po raz pierwszy do biura, usłyszała od asystentki, że Marjorie Trent-Phillips jest właśnie zajęta przeprowadzaniem

analizy rynku. Zamiast zostawić wiadomość, Claire postanowiła telefonować najpierw do biura nieruchomości, w którym kiedyś pracował Randall.

Przedtem jednak pospacerowała przez chwilę w Niebieskiej Sali przy wejściu do biblioteki. Chłodne piękno i artystyczne neony uspokoiły jej pomieszane myśli i wreszcie udało jej się sklecić historyjkę, dzięki której być może uda jej się zdobyć potrzebne informacje.

Kilka minut później znów była przy telefonie.

- Biuro nieruchomości Marlton-Davis. Tutaj proponujemy najlepszym ludziom najlepsze nieruchomości. Przy telefonie Amber Rowling. W czym mogę pomóc?

Recepcjonistka opanowała do perfekcji gładki, rutynowy styl hostesy z Południa, ale Claire wyczuła w jej głosie nutkę znudzenia, którą miała nadzieję wykorzystać.

- Cześć, Amber - powiedziała radośnie. - Chciałabym pogadać z Randym Hajekiem. Możesz mu przekazać, że dzwoni Mary Higgenbottom z komitetu organizującego zjazd absolwentów?

Claire miała ochotę zachichotać, kiedy nazwała go Randym, ale doszła do wniosku, że to może zabrzmieć przekonująco.

- Naprawdę bardzo mi przykro - odparła recepcjonistka - ale pan Hajek już nie pracuje w Marlton-Davis.

- O kurczę. Napraaaawdę muszę od niego dostać te zaproszenia. Obiecał już trzy tygodnie temu, że będzie je dla mnie miał. Ja, Rhonda i Wanda zajmujemy się rozsyłaniem i musimy je wysłać przed...

Rhonda i Wanda? Co jej chodziło po głowie, kiedy podawała te rymujące się imiona? A Higgenbottom? Claire skrzywiła się na myśl o tym, jak kulawo zabrzmiała jej historyjka.

Wyglądało jednak na to, że Amber się nie połapała.

- Naprawdę mi przykro, panno Higgenbottom. Chciałabym podać pani jego numer domowy, ale tego absolutnie nie wolno nam robić. - Jej głos zniżył się do szeptu. - Ale może pani poszukać w książce telefonicznej Buck County.

- Och! - Claire udała zdziwienie. - Nie powiedział nam, że tam wraca. Nie mam pojęcia dlaczego.

- Wie pani o jego chorobie, prawda? - wciąż szeptem zapytała Amber.

Aha, pomyślała Claire.

- O jego... chorobie? O rany - zaczęła, a potem też zniżyła głos do tonu ukochanego przez plotkarzy i spiskowców. - Cóż... Wiem, że ma „przyjaciela”, lecz nie mnie to osądzać. Ale to nie AIDS, prawda?

- My wszyscy tutaj też tak na początku myśleliśmy, kiedy zaczął tak strasznie tracić na wadze. Okazało się jednak, że to rak. Biedaczysko. Wydaje mi się, że zaczęło się od jelita grubego, ale potem nastąpiły przerzuty, nawet na kości.

- O nie! - Claire kłamała co do reszty, ale teraz ten okrzyk wyrażający szok był jak najbardziej prawdziwy. Nie życzyłaby czegoś takiego nikomu. Nieważne, czy był dupkiem, czy nie. - A więc Randy... umiera?

- Obawiam się, że tak.

Zrozumiała, dlaczego Randall tak źle wygląda. Opuchnięta twarz, rozkojarzenie, a nawet jego dziwaczne zachowanie - jeśli brał silne leki przeciwbólowe, to nic dziwnego, że zachowywał się, jakby był pijany.

- Czułabym się okropnie, zwracając mu głowę jakimiś zaproszeniami, skoro jest tak ciężko chory.

- To może w takim razie spróbuje pani zadzwonić do Giovanniego? - spytała Amber. - Stał się jego prawdziwym aniołem stróżem. I zajmuje się wszystkimi sprawami Randalla. Wydaje mi się, że ma nawet pełnomocnictwo.

- Giovanni... - Claire za nic nie mogła sobie przypomnieć nazwiska tego mężczyzny, lecz jego obraz stanął jej wyraźnie przed oczami. Wysoki, muskularny blondyn, tak zapamiętała mężczyznę, który popchnął ją w lesie nad potokiem.

- Giovanni Baptiste - przysłała jej z pomocą Amber. - I podam pani ten numer telefonu, bo wszyscy wyszli na lunch.

- Byłoby cudownie. Dzięki, Amber.

- Nie ma sprawy. W zeszłym roku też byłam w Komitecie organizującym zjazd absolwentów mojej szkoły średniej. To był nasz piętnasty zjazd. Wiem, jak czasami trudno to wszystko zrobić.

Claire drżała z podniecenia, odkładając słuchawkę. Nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła powiedzieć Spence'owi o Giovannim i jego pełnomocnictwie, dokumencie, który pozwalał mu również podejmować decyzje dotyczące nieruchomości.

Lecz mimo podniecenia poczuła ukłucie niepokoju. Czy Spence nie powinien już tu być?

Zerknęła na zegarek, ale świadomość, że nie ma go dopiero półtorej godziny i tak jej nie pomogła. Powiedział, że może minąć trochę czasu,

zanim znajdzie tę osobę, która - jak miał nadzieję - mu pomoże. Ile to potrwa, tego nie wiedział, lecz przecież przysięgał, że po nią wróci. W takim razie dlaczego lęk tak ścisnął jej gardło, że aż trudno jej było oddychać? Dlaczego nie mogła się pozbyć tego okropnego przeczucia, że właśnie teraz Spence jej potrzebuje?

Rozdział 26

Spence z trudem wciągnął powietrze, kiedy zobaczył twarde spojrzenie człowieka, sierżanta, którego kiedyś nazywał swoim przyjacielem.

- Jeśli to dla ciebie cokolwiek warte, to przepraszam - powiedział.
- Wiem, że postawiłem cię w niezręcznej sytuacji. Pewnie też narobiłem ci kupę problemów w robocie, co?

Choć Raul Contreras mierzył do Spence'a ze swojej służbowej broni, ubrany był w dżinsy i starą koszulkę z logo Spursów. To, że nie miał na sobie munduru, mogło oznaczać, że nie przyjechał tu, by go aresztować, i że w ogóle nie był tu oficjalnie. Ale trudno to było uznać za powód do radości. Raul wyglądał na dostatecznie wkurzonego, by walnąć go kolbą pistoletu na tyle mocno, żeby Spence wylądował na oddziale intensywnej terapii. A nawet by podziurawić go ze swojego smitha & wessona. Na myśl, że mogłaby go trafić kolejna kula, Spence poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

- Wsiadaj, do cholery, do wozu. - Sierżant wskazał lufą pistoletu niebieskiego taurusa z powgniataną karoserią, zaparkowanego przed domkiem.

- Ale przecież nie mogę zostawić tu mojego samochodu... - zaczął Spence, choć przyjechał tu właśnie po to, by się go pozbyć.

- Po prostu zamknij się i wsiadaj.

Raul ukrył broń za plecami, gdy dwie małe latynoskie dziewczynki przejechały obok nich na jednym rowerze z różowymi wstążkami powiewającymi przy kierownicy. Jeszcze przez chwilę słychać było ich wesołe, dźwięczne chichoty.

Spence zastanawiał się, czy nie wykorzystać tej chwili, by rzucić się do ucieczki. Ale pomyślał, że nie może podejmować takiego ryzyka, nie

wśród tych wszystkich dzieci bawiących się na ulicy. Podszedł więc do starego forda od strony pasażera i wsiadł, zanim Raul zdążył założyć mu kajdanki, które już wyjmował zza pasa.

Dostrzegając wahanie starego przyjaciela, Spence oparł się o welurowy zagłówek i zamknął oczy, pozwalając, by ogarnęła go fala znużenia. Raul najwyraźniej uznał to za milczącą zgodę, bo usiadł na siedzeniu kierowcy i odpalił silnik.

- Co się stało z datsunem? - zapytał Spence.

-A co cię to, u diabła, obchodzi?! - Raul wrzucił bieg i wyjechał na ulicę.

Spence otworzył oczy i odważył się na drugie pytanie:

- Jak mnie znalazłeś?

- Wsiadło sprzęgło i prądnica po tym, jak ten twój koleś z warsztatu zdarł ze mnie za koło. Tak czy inaczej, tamta kupa gówna to już historia - powiedział Raul o swoim poprzednim samochodzie.

Żelazny uścisk rąk na kierownicy i pot połyskujący na skroni sierżanta ostrzegły Spence'a, że lepiej zrobi, trzymając język za zębami. Jakkolwiek były zamiary Contrerasa, czuł, że wszelkie próby perswazji skazane są na niepowodzenie.

Gdy tak lawirowali przez stare osiedle domków, sierżant przerwał wreszcie milczenie, odpowiadając Spence'owi na drugie pytanie:

- Śledziłem cię od domu Betty Blue. Domyśliłem się, że przyjedziesz szukać Francuza. I to było ostatnie pytanie, na jakie ci odpowiedziałem, przynajmniej dopóki mi nie powiesz, co, u diabła, zrobiłeś z Claire.

Słyszając ostry ton w głosie Raula, Spence spojrział na niego.

- Mówiłem ci już przecież, że za nic bym jej nie skrzywdził. Jest teraz w bibliotece głównej na Soledad. Może chcesz tam ze mną pojechać i sam się przekonać? Nic jej nie jest, Raul. Przysięgam. Możemy obaj z nią porozmawiać.

Czy Raul mu uwierzy?

Zapadła cisza i Spence poczuł, że cała jego przyszłość zawisła na włosku.

- Tak? - Ton głosu sierżanta i wyraźne westchnienie ulgi świadczyły o tym, że w murze jego wściekłości pojawiły się pierwsze rysy.

Chociaż tyle. To już pozwala mieć jakąś nadzieję, pomyślał Spence.

- Właśnie się dowiedziała, że jest w ciąży. I co ty na to? Będę tata.

Próbował się nie uśmiechnąć, ale nie mógł się powstrzymać. Za każdym razem, kiedy o tym myślał, ogarniała go na chwilę fala optymizmu,

zupełnie bezpodstawnego w tych okolicznościach. Uczucie to pojawiało się jak meteor na ciemnym niebie.

Krzaczaste, szpakowate brwi uniosły się w górę.

- Jaja sobie robisz?

Tym razem Spence nie miał wątpliwości, że w głosie Raula zabrzmiała przyjazna nutka. Nie był pewien, jakie wrażenie zrobiły na sierżancie jego słowa, ale biorąc pod uwagę swego pecha, nie miał zamiaru zaglądać darowanemu koniowi w zęby.

- Nie, mówię poważnie.

- No to chyba dobre wieści, co? - zapytał Raul, a na jego ustach pojawił się krzywy uśmiech. - Wyglądasz jak jakiś cholerny kot, który właśnie połknął kanarka.

Spence pokiwał głową.

- Głupio, co? Ale i tak się z tego cieszę. A będę jeszcze szczęśliwszy, jeśli się dowiem, kto mnie wrobił.

Wstrzymał oddech, przygotowując się na to, że za chwilę Contreras go wyśmieje. Ale kiedy to nie nastąpiło, pomyślał: Do diabła z tym, i dał sobie spokój z pozą cierpiącego w milczeniu macho, która tak wiele go kosztowała.

- Może już na to za późno, ale wciąż chcę, by moje życie wróciło do normy. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek dotąd. Mielicie rację. I ty, i Claire, i nawet ten cholerny policyjny psycholog. Po śmierci Dave'a i... tamtego dzieciaka trochę mi odbiło. Robiłem wszystko, żeby ukarać się za to, że przeżyłem. I nie tylko za to. Śmierć Dave'a obudziła też we mnie inne wspomnienia. O tym, że moja mama i ojciec umarli, a ja nie. To było dla mnie już za wiele, przeżyć dwa razy dzięki głupiemu szczęściu. Po prostu nie mogłem zrozumieć, dlaczego ja zasługuję na to, żeby żyć, a... oni umarli.

Raul milczał tak długo, że Spence poczuł, jak na twarz wypływa mu rumieniec upokorzenia. Czy sierżant uznał go za kolejnego nieudacznika, bo tak płaczkliwie się usprawiedliwiał?

Lecz kiedy Contreras wreszcie się odezwał, miał poważny głos.

-Ja... eee... Nie wiem, co sądzisz o Bogu, wszechświecie i tym wszystkim, ale czy kiedyś przyszło ci do głowy, że być może zostałeś oszczędzony z jakiegoś powodu? Że może jest coś, co powinienesz zrobić, tu na ziemi?

- Na przykład przepieprzyć każdy grosz, który zdołałem pożyczyć, i spierdolić Claire życie? Zrujnować sobie karierę i tak wkurzyć jakiegoś

świra, żeby chciał mnie zniszczyć? - Mimo że się starał, nie potrafił stłumić goryczy w głosie. - Uważasz, że o to właśnie chodziło Wszechmogącemu?

- Jeśli masz zamiar tak myśleć, to równie dobrze mogę od razu zawieźć twoją dupę do więzienia. Poważnie, Winslow. A co, jeśli jesteś tutaj po to, żeby zaopiekować się tym dzieciakiem i być dobrym mężem dla swojej żony?

- Claire zasługuje na coś lepszego, ale jeśli istnieje jakiś sposób, żeby z tego wybrnąć, jakaś możliwość, żeby jej to wynagrodzić, to gotów jestem poświęcić na to całe życie. Albo nawet dwa, jeśli będzie trzeba.

Ugryzł się w język. Ledwie mógł uwierzyć, że rozmawia w ten sposób z Contrerasem. Jego przyjaciel, jak zresztą większość gliniarzy, których Spence znał, miał taki kontakt ze swoimi uczuciami jak kaktus.

Gdy wyjeżdżali z tej dzielnicy, sierżant musiał zatrzymać samochód, by odczekać, aż przejedzie pociąg towarowy. Podczas gdy kolejne wagony z hałasem przemykały przed nimi, Contreras wskazał na gruby bandaż na ramieniu Spence'a.

- Co ci się stało?

- Dostałem kulę.

Raul zmarszczył czoło.

- Kto to zrobił?! Kto cię, u diabła, postrzelił?!

Spence nie był zbyt zaskoczony gniewem w jego głosie. Contreras zawsze był bardzo opiekuńczy w stosunku do ludzi ze swojej zmiany.

- Nieważne - odparł. - To był wypadek i nic mi nie będzie.

Ta cholerna rana wciąż go bolała, ale czuł się już o niebo lepiej niż wczoraj.

Krzaczaste brwi znów się uniosły i Raul spytał:

- Claire? Claire cię postrzeliła?

- Gdybym miał to zeznać, powiedziałbym, że postrzelił mnie ktoś z jadącego samochodu.

- Cholera, Winslow. Musiałeś się już do tej pory domyślić, że to nie ma nic wspólnego z robotą. Ja... ech... Wczoraj wypełniłem papierki, odchodzę z policji.

- Przeze mnie? - Czy zniszczył kolejną karierę? - Porucznik pomyślał, że pozwoliłeś mi...

Kręcąc głową, Raul odparł:

- Pieprzyć tego dupka. I pieprzyć wydział wewnętrzny. Gdyby cię sprawiedliwie potraktowali, gdyby prowadzili to śledztwo tak, jak

powinni... Ale niniejsza z tym. - Wzruszył ramionami i ciągnął dalej:
- To się święciło już od dawna. Mam kumpla, Marka Lyonsa. Mówił mi o swojej ochroniarskiej firmie konsultingowej, właśnie ją zakłada. To nie ma być nic w stylu najemnych gliniarzy. Chce zatrudnić doświadczonych gości, żeby robili analizy bezpieczeństwa dla firm. Pomaga tym firmom redukować ryzyko i zapewniać lepsze bezpieczeństwo pracownikom, dzierżawcom czy klientom. Szuka kilku partnerów, którzy by z nim to wszystko rozkręcili. Jest w tym pewne ryzyko, bo będę musiał spieniężyć część mojego funduszu emerytalnego, ale przyjrzałem się cyferkom i wygląda to bardzo solidnie.

- Ciepła posadka, co, sierzancie? - powiedział Spence, choć nadal podejrzewał, że to jego problemy przyspieszyły odejście Contrerasa.

Był temu człowiekowi coś winien, a przynajmniej zasługiwał on na to, by wyjawić mu prawdę.

- To Claire mnie postrzeliła. To naprawdę był wypadek. Zaskoczyłem ją na ranczu, wyszedłem zza drzew i na śmierć ją wystraszyłem.

Raul mrugnął ciemnymi oczami.

- Chrzanisz? Nigdy bym nie przypuszczał, że ma w sobie to coś. A te podrapania to też jej sprawka?

Gdy Spence zaprzeczył ruchem głowy, Raul dodał:

- A nawet gdyby tak było, to na nic innego sobie nie zasłużyłeś po tym, co przez ciebie przeszła.

Spence nie mógł się z tym nie zgodzić.

- Ktoś już zajął się tą kulą, więc naprawdę nic mi nie będzie.

Kiwając głową, Raul unioś w górę dłoń.

- Nawet nie chcę wiedzieć, jak to zrobiłeś, że lekarz tego nie zgłosił.

- W porządku. Więc ci nie powiem. - Spence rozumiał, że oficjalnie Raul nie może tego wiedzieć. - Ale tak się zastanawiam, czy przypadkiem nie słyszałeś czegoś o wezwaniu opieki społecznej do dziecka na starym złomowisku przy czep kempingowych przy I-35?

- Noworodek zabrany przez służby ochrony praw dziecka? - spytał ostrożnie Raul. - Tak, słyszałem coś o tym. Dzieciak był w niezłej formie, biorąc pod uwagę okoliczności. Teraz, jak już go namierzyli, na pewno dobrze się nim zaopiekują.

Spence zastanawiał się, czy doktor Rachel chociaż spróbuje odzyskać swoje dziecko. A może dopisze je do rosnących kosztów swojego nałogu.

Ostatnie wagony pociągu przemknęły obok nich i szlaban się podniósł.

Ruszyli.

- Czyli pogodziłeś się z Claire, przynajmniej sądząc po tym, co przed chwilą powiedziałeś? - spytał Raul.

- Nie jestem tego taki pewien. Myślałem tak po naszej rozmowie. Mnóstwo razy dawałem jej ku temu możliwość, ale nie chciała odejść. Przysięgała, że chce się dowiedzieć, kto sfałszował przeciwko mnie wody.

- To co ona robi teraz w bibliotece?

Spence uśmiechnął się.

- Przede wszystkim trzyma się z dala od porządnych obywateli, takich jak Francuz i Betty Blue. Ale poza tym, coś tam sprawdza. Mamy na ranchu takiego sąsiada, który nam groził...

- Randall Hajek, tak?

Minęła chwila, zanim Spence uświadomił sobie, co oznacza to pytanie.

- Przeprowadzałeś prywatne śledztwo, prawda? Powiedz, czego się dowiedziałeś?

Przekroczyli niedostrzegalną granicę, wjeżdżając w dzielnicę zamieszkaną wyłącznie przez Latynosów. Tablice informacyjne były po hiszpańsku, nawet szyldy reklamujące sklep zielarski, *panaderia* - czyli meksykańską piekarnię - i targ z warzywami, tego dnia zamknięty.

- Hajek ma kochankę z. niezłą przeszłością. Tego Vincenti „Vinni” Scarlatti vel Giorgio Delmonico, vel Theodore DiSantos, vel Giovanni Baptiste. Trudno w to uwierzyć z tą jego twarzą, ale temu piękniśowi już dwa razy powinęła się noga. Siedział za oszustwo, wymuszenie i defraudację i nabierał starszych, zamożnych facetów, z którymi miał romans.

- Oni dymali jego, a on wydymał ich - zamyślił się Spence, przypominając sobie nerwowego Adonisa o blond włosach, egzaltowanym akcencie i z goździkowymi papierosami.

- Coś w tym stylu.

Spence spojrział na sierżanta i pokręcił głową.

- Jestem zaskoczony, że to sprawdzałeś. Myślałem... Byłem pewien, że spisałeś mnie na straty.

Raul kiwnął głową.

- Przepraszam, chłopie. Miałeś rację. Na początku myślałem, że ty naprawdę chciałeś... Mniejsza z tym. Ale kiedy mówiłeś mi o Claire,

wyczułem coś w twoim głosie. I im więcej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej byłem przekonany, że to coś było prawdziwe... Cholera. Może Carla jednak nie wyszała ze mnie ostatniej kropli romantyzmu.

Plotka głosiła, że pewnego dnia po lunchu Raul przyłapał swoją żonę w łóżku z jakimś strażakiem, kiedy akurat bawiła się jego sikawką. Sierżant wrócił wcześniej do domu, bo czymś się zatruł. Strzępy tej historii krążyły po posterunku, ale nikt, nawet Spence, nie odważył się zapytać, co się naprawdę zdarzyło.

- Chcę, żebyś wiedział - ciągnął Raul - że kiedy mi zwiąłeś, musiałem to zgłosić. Nie mogłem... nie mogłem mieć stuprocentowej pewności, że nie polecisz do Claire i nie zrobisz czegoś głupiego. No wiesz, robiłeś ostatnio różne pojebane rzeczy i...

- Dotarło - przerwał mu Spence. - Rozumiem to i jestem ci wdzięczny, że tu teraz jesteś.

A po chwili spytał:

- No więc o co dokładnie chodziło z tym Baptistem? A może raczej ze Scarlattim? Uważasz, że pomaga Hajekowi nas stąd wygonić?

- Wygląda na to, że Hajek jest czysty, więc domyślam się, że ten żigolak może prowadzić jakieś interesy za jego plecami. To by świetnie pasowało do jego stylu.

Spence zastanowił się nad tym, ale wciąż mu coś nie pasowało. Będąc obcym w Buck County, Baptiste nie zaszedłby tak daleko, licząc tylko na siebie.

- Na ranchu doszło ostatnio do aktów wandalizmu. Poprzecinane ogrodzenia, rozbita terenówka, tego typu sprawy. A przyjaciółka Claire powiedziała jej coś, co mogłoby wskazywać na to, że na terenie rancha zaplanowano pole golfowe dla ludzi przy forsie. Ale potrafię sobie wyobrazić - ciągnął Spence - że ten Giovanni próbował wywrzeć jakiś nacisk na Claire, żeby tanio sprzedała ziemię. Tyle tylko, że to wciąż nie wyjaśnia, jak on się, u diabła, dorwał do mojego laptopa. Być może... Być może ktoś dostał się do domu ojca Claire, kiedy pracowaliśmy przy ogrodzeniach. On nigdy nie zamyka domu na klucz. Wciąż jednak zostaje nam to nagranie. Zgadza się, że to był mój głos, ale jak mówiłem adwokatowi, wszystkie słowa były wyjęte z kontekstu, tak jakby ktoś posklejał wycinki z różnych rozmów.

- Pewnie ktoś założył ci pluskwy. - Raul zmarszczył czoło. - A jednak biuro prokuratora okręgowego w Buck County twierdzi, że ta taśma została nagrana przez kogoś z biura szeryfa.

Minęli zniszczoną szkołę podstawową.

- Dzwoniłeś do biura prokuratora okręgowego?

Po zakłopotanej twarzy Raula przemknął uśmiech.

- Ja tak jakby... No, spotykam się z pewną dziewczyną. Jej siostra jest tam sekretarką.

- Niezły zbieg okoliczności.

Raul roześmiał się.

- Niezupełnie, to świetna laska. Uczy mnie tańca do muzyki country, możesz w to uwierzyć?

- Chciałbym to zobaczyć.

- Słuchaj, Spence. Wracając do tych e-maili i nagrań. Wiesz równie dobrze jak ja, że kiedy duża kasa przechodzi z rąk do rąk, wszystko jest możliwe. Nawet majstrowanie przy dowodach i angażowanie w to patrolu z zadupia. - Raul, jak każdy gliniarz z miasta, pogardzał policjantami z Buck County. - To mi wręcz śmierdzi przestępczością zorganizowaną.

- Przestępczość zorganizowana? W Little BC? - Mimo że wcześniej podejrzewał El Tiburóna, Spence'owi jakoś nie mieściło się to w głowie. Czy to możliwe, żeby w miasteczku zdominowanym przez producentów wełny, hodowców kóz i może kilku właścicieli pensjonacików naprawdę doszło do spisku rodem z *Ojca chrzestnego*? - Jak przekonamy policję stanową, teksaskich rangersów czy jakąkolwiek agencję zewnętrzną, że to w ogóle możliwe?

- Odchodzę wprawdzie na emeryturę, ale wciąż mam dostęp do policyjnych komputerów - powiedział Raul. - Może się zdarzyć, że znajdę coś, co zainteresuje mnóstwo różnych agencji.

- Na przykład co? - zapytał Spence. - Na co liczysz?

Odrywając wzrok od drogi, Raul wzruszył ramionami, a kącki jego ust uniosły się w uśmiechu.

- Myślę, że to całkiem prawdopodobne, że pod przykrywką tego eleganckiego włoskiego nazwiska kryje się wstrętna sycylijska rodzina Vinniego Scarlattiego.

Rozdział 27

Niewielu ludzi świadomie pragnie zrobić coś złego. Przynajmniej na początku. Wystarczy popytać w więzieniach, by usłyszeć o szlachetnych, czasem wręcz altruistycznych pobudkach. Pieniądze na jedzenie. Porządny samochód, żeby dojeżdżać do pracy. Nowy start w innym mieście, w innej dzielnicy, gdzie dzieci mogą się bezpiecznie bawić na trawniku przed domem w cieniu olbrzymich starych dębów.

I tak też było w przypadku mężczyzny, który zapłacił znajomemu, żeby dyskretnie załatwił mu materiały wybuchowe. Wydawało mu się, że tak naprawdę robi coś dobrego. Jasne, rozwiązywał przy okazji własne problemy, ale czy wysadzając niestabilne urwisko nad brzegiem Little Bee Creek, nie likwidował tym samym poważnego zagrożenia? Wystarczy choćby pomyśleć o tym, co przytrafiło się temu biednemu biologowi - zginął pewnie dlatego, że fragment zwietrzałej skały osunął mu się pod nogami.

Ten człowiek z dynamitem - który kupił od kogoś, kto miał znajomego, kto z kolei miał innego znajomego, a ten znał niezadowolonego pracownika kamieniołomu położonego prawie pięćdziesiąt kilometrów od Little Bee Creek - nie chciał, żeby coś takiego przytrafiło się ludziom, którzy wkrótce będą tłumnie odwiedzać Monarch Ranch. Pomyślał o tych rodzinach, a zwłaszcza o dzieciach: niedługo będą spacerować, biegać i jeździć na wózkach po całej posesji. Wszędobylskie jak to dzieci. I wsadzać nos w nie swoje sprawy.

Poznawać sekrety, które mogą ranić, okaleczać, a nawet zabić. Te sekrety muszą na zawsze pozostać sekretami, nie tylko dla dobra wszystkich zainteresowanych, lecz i po to, by ci, którzy są niewinni, mogli być bezpieczni.

No właśnie. Ponownie sprawdził zapalniki i kable, tak jak mu pokazano, a potem do taniego budzika włożył świeże baterie i nastawił go dokładnie na dwunastą w nocy. Gdy z namaszczeniem umieścił go obok małej paczki zawiniętej w zakurzony niebieski brezent, pomyślał, że nie wysadza urwiska wraz z grotami skrywającymi jego tajemnice wyłącznie z egoistycznych powodów.

Robił to dla dzieci, dla wszystkich dzieci, które w przeciwnym razie by cierpiały.

Gdy Claire dodzwoniła się wreszcie do „agentki nieruchomości sięgającej gwiazd”, Marjorie Trent-Phillips była nadzwyczaj łaskawa. Przy najmniej przez pierwsze dwie minuty. Jednak gdy tylko zorientowała się, że jej rozmówczyni nie jest zainteresowana ani kupnem, ani udziałami w luksusowych nieruchomościach, odrzuciła dobre maniery, podobnie jak grzechotnik zrzuca skórę. A kiedy Claire zapytała o pole golfowe w Little BC, kobieta pokazała pazury.

- Nie wiem, za kogo się uważasz - syknęła Trent-Phillips - nie mam jednak zwyczaju ujawniać informacji o moich klientach ani o bieżących interesach. A już zwłaszcza jakiejś przypadkowej pannie nikt, która dzwoni z automatu.

- Nie jestem żadnym nikim - oburzyła się Claire. - Jestem kimś, kto ma...

- Proszę cię! Odebrałam ten telefon tylko dlatego, żebyś przestała wreszcie zamęczać moją asystentkę wydzwanianiem tu przez całe popołudnie.

- Ale ja jestem właścicielką Monarch Ranch.

- Wielka mi sprawa. A ja mam mieszkanie na Hawajach, wielki dom na Cape Cod i więcej nieruchomości w San Antonio, niż sobie możesz wyobrazić. Nie zwracaj mi głowy.

Claire skrzywiła się i potarła ucho, bo kobieta z impetem cisnęła słuchawką. Czy Trent-Phillips naprawdę była zła tylko dlatego, że Claire tyle razy do niej dzwoniła, czy też Monarch Ranch jednak coś dla niej znaczyło i nie miała ochoty o tym dyskutować?

Jedno wiedziała na pewno: sama nie dokopie się już do niczego, co mogłoby łączyć Randalla Hajeka, Giovanniego Baptistego i Marjorie Trent-Phillips. Potrzebowała Spence'a, by powiedział jej, co robić dalej.

Zerknęła na zegarek. Minęły już dwie godziny i czterdzieści minut, odkąd ją tu zostawił. Wiedziała, że powinna coś przegryźć, ale była zbyt niespokojna. Potrzebowała czegoś, co by ją zajęło, czegoś, co odwróciłoby jej uwagę od tej obsesyjnej myśli, kiedy, a może raczej czy w ogóle, po nią wróci.

Zastanowiła się nad sugestią Spence'a, żeby sprawdzić stare artykuły z gazet w dziale mikrofilmów. „Myślałem o znacznie starszych historiach, takich, w których mogłaby być jakaś wzmianka o zniknięciu Glorii Hajek... i o śmierci twojej matki”.

Wówczas, gdy to mówił, była przekonana, że takie poszukiwania to strata czasu, i nie zamierzała sobie zwracać tym głowy. Może jednak

było coś jeszcze, coś, co sprawiło, że warknęła na Spence'a, kiedy o tym wspomniał.

Ogarnęło ją złe przeczucie, nerwowość, którą zawsze czuła, gdy ojciec krytykował jej męża albo gdy Spence coś zarzucał jej tacie. Miała wrażenie, że pochłaniają ją niewidoczne ruchome piaski, oddzielające dwóch mężczyzn, których kochała najbardziej na świecie.

Jeszcze bardziej od pytań Spence'a dotyczących Glorii Hajek dręczyły ją jego wątpliwości związane ze śmiercią jej matki. Odległe wspomnienia przewinęły się jej przed oczami niczym kronika filmowa z dawnych lat: ona, jako małe dziecko, chowa się pod poduszkami na tapczanie, bo nie chce słyszeć przerażającego szlochu ojca.

Zakryła dłonią usta, by ukryć urywane, pełne lęku westchnienie, ale i tak jakiś starszy pan, który właśnie zbliżał się do automatów, spojrzał na nią ze zdziwieniem. Zatrzymał się, najwyraźniej niepewny, czy podejść bliżej, więc odwróciła się szybko i odeszła w kierunku wind.

Choć wyraźnie widziała tę scenę we wspomnieniu, nie była pewna, czy w rzeczywistości kiedykolwiek to się zdarzyło. Ale nawet gdyby to się nigdy nie zdarzyło, ten obraz sprawił, że zrozumiała. Bała się zdenewrować ojca przywoływaniem wspomnienia wypadku, w którym stracił ukochaną kobietę. Ta tragedia cisnęła go zdruzgotanego na nieznaną wodę samotnego ojcostwa. W jakiś sposób Claire wciąż była tą przerażoną małą dziewczynką, nie mogła znieść cierpienia jedyne go rodzica, jaki jej pozostał.

Jednak im więcej myślała o tej czarnej dziurze w swojej pamięci, tym bardziej rosła w niej ciekawość. Czemu nie miałyby przeczytać artykułów opisujących dramat, który wpłynął na całe jej życie? Ale jeśli nie zrobi tego w obecności ojca, to jakie w ogóle może mieć znaczenie fakt, że przyjrzy się tej części rodzinnej historii? Mimo wszystko da jej to jakieś zajęcie do powrotu Spence'a.

A jednak zawahała się, zanim zdecydowała się pojechać na piąte piętro. Wzdrygała się przed wyzwaniem, które wciąż stały przed nią i przed Spence'em. Zastanowiła się jeszcze przez chwilę, a potem odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła z powrotem do automatów. Powinna porozmawiać z Janine.

Kiedy już się do niej dodzwoniła, poprosiła ją o jeszcze jedną przysługę, taką, która mogła zagwarantować Spence'owi wolność na dostatecznie długi czas, by oboje zdążyli udowodnić, że to „anioł stróż” Hajeka, Giovanni Baptiste, jest przyczyną wszystkich ich problemów.

Dopiero gdy się rozłączyła, uświadomiła sobie, że teraz ma kolejne zmartwienie: Janine może zobaczyć tu Spence'a, kiedy przywiezie jej pieniądze.

Gdy Raul Contreras zjechał na parking obok sklepu z częściami zamiennymi do samochodów, by odebrać rozmowę na komórkę, Spence się nie niepokoił. Jak wielu gliniarzy sierżant często psioczył, że kierowcy z telefonami komórkowymi przyklejonymi do uszu są równie niebezpieczni, jak ci, którzy po drodze sączą sobie piwko.

Przez pierwszą minutę Raul głównie słuchał, tylko raz się wtrącił:

- Jasne, mogę to zrobić.

Jednak Spence zrozumiał, że mają prawdziwe kłopoty, dopiero wtedy, kiedy Contreras zapytał swego rozmówcę:

- Czy coś wskazuje na to, że Winslow jest z nią w bibliotece? Albo że może mieć przy sobie broń?

Kiedy Raul rozmawiał, Spence czuł się tak, jakby biegało po nim stado czerwonych mrówek, kąsając, gdzie popadnie. Choć nie wyglądało na to, że Raul ma zamiar go wydać, Spence ledwie się powstrzymał, by nie wyskoczyć z samochodu i nie popędzić do biblioteki, żeby zabrać stamtąd Claire, zanim będzie za późno.

Nie mógł jednak posłuchać tego impulsu. Przede wszystkim znajdowali się wiele kilometrów od biblioteki, a poza tym domyślił się, przysłuchując się rozmowie Raula, że jest już za późno.

Niech Bóg mu dopomoże. Złamie obietnicę, że po nią wróci.

Raul rzucił w słuchawkę:

- Będę tam tak szybko, jak się da. Zajmie mi to góra dwadzieścia minut. Ale proszę mi powiedzieć, do kogo jeszcze pan dzwonił?

Po chwili dodał:

- Szkoda, że pan to zrobił, szeryfie. Gdybym miał możliwość porozmawiać z nimi sam, po cywilnemu, wszystko poszłoby chyba łatwiej. Ale teraz to już bez znaczenia. Zaraz tam będę.

Gdy tylko Raul się rozłączył, spojrzał poważnie na Spence'a ciemnymi oczami spod krzaczastych, szpakowatych brwi.

- Wygląda na to, że Claire zadzwoniła do przyjaciółki i powiedziała jej, że musiała zostawić samochód w warsztacie i że czeka w bibliotece. Powiedziała też, że zostawiła portfel w Little BC, i poprosiła tę przyjaciółkę, by podrzuciła jej trochę pieniędzy na mechanika.

Spence był pod wrażeniem. To całkiem niezła historia jak na kogoś, kto nie nawykł do wymyślania kłamstw.

- I co się stało?

- Szeryf Shepherd już przycisnął do muru tę przyjaciółkę, nastraszył ją i zażądał, żeby zadzwoniła do niego, jeśli Claire się z nią skontaktuje. Nie jest pewien, ale sądzi, że jesteś z żoną i że być może nawet ją porwał. No i obawia się, że zrobisz jej coś złego.

Spence zaklął, sfrustrowany.

- Więc zadzwonił na policję w San Antonio i poprosił ich, żeby pojechali prosto do biblioteki, prawda? I pewnie jeszcze ich uprzedził, że mogą przetrzymywać Claire jako zakładnika...

Zwłaszcza jeśli biuro szeryfa z Sissel County działało skuteczniej, niż słyszał, a policja z San Antonio myślała, że ściga zbiega, który spowodował już jeden wypadek podczas ucieczki...

- Jeśli wpadną tam jak jacyś komandosi, to wystraszą Claire na śmierć - dodał.

- Na pewno spróbują to zrobić dyskretniej - zapewnił go Raul. - To publiczny budynek i jest tam mnóstwo ludzi. Nie wywołają wśród nich paniki, jeśli będą mogli tego uniknąć.

Spence wiedział, że Raul ma rację, lecz i tak się martwił. Nie o to, że Claire zostanie skrzywdzona przez policjantów albo oskarżona o przestępstwo, ale że pomyśli sobie, że z premedytacją ją opuścił.

- I co teraz? - zapytał sierżanta. - Słyszałem, jak mówiłeś, że tam jedziesz.

Raul kiwnął głową i zapalił silnik swojego taurusa.

- Tak. I zobaczę, czy uda mi się wymyślić jakiś sposób, żeby pogadać z Claire na osobności.

- A co ze mną? Masz jakiś pomysł?

- Zostawię cię w moim mieszkaniu. Siedź tam cicho, dopóki nie dowiem się, co się dzieje z twoją żoną. To i tak po drodze.

Spence poczuł narastające napięcie na samą myśl, że miałby się gdzieś ukryć, podczas gdy policja urządza na Claire zasadzkę, a potem będzie ją przesłuchiwać. Czy jego żona okłamie policjantów, Joela Shepherdę i swojego ojca?

I czy w ogóle on ma prawo oczekiwać od niej, że ich oszuka? A może, licząc na to, jest jak tonący, który chwyta się niewielkiej i zapewne daremnej nadziei?

Claire objęła się ramionami, próbując ukryć drzenie. Wpatrywała się w obrazy na negatywie z białym tekstem na czarnym tle.

- Czy to o nią chodziło? - zapytała bibliotekarka.

Szczupła i modnie ubrana młoda kobieta, w różowym komplecie z krótką spódniczką, z oryginalną, masywną biżuterią i pierzastą blond fryzurą, przeczyła stereotypom typowej bibliotekarki. Nie sprawiała wrażenia nudnej czy niepozornej starej panny. Ale modnie ubrana czy nie, z pewnością dużo wiedziała i była bardzo pomocna, asystując przy wyszukiwaniu zarchiwizowanych numerów „Express-Sentinel” z roku, w którym zginęła matka Claire. Ponieważ nikt inny nie potrzebował jej pomocy, bibliotekarka pokazała Claire, jak obsługuje się to urządzenie i razem z nią włożyła kruche rolki czarnego filmu do czytnika. Claire mogła teraz przeglądać wiadomości z wielu miesięcy życia małego miasteczka.

Ponieważ nie pamiętała dokładnej daty śmierci matki, zaczęła od września. Sezon łowiecki zaczyna się przecież jesienią.

Podobnie jak w swym współczesnym wcieleniu stary „Express-Sentinel” lubił podkreślać pozytywne strony życia w Little Bee Creek, May’s Crossing, a nawet w mniejszej i według Claire bardzo dziwnie nazwanej wiosce Bliss Falls. Na pierwszych stronach rozpisywał się o uczennicy, która zwyciężyła w stanowym konkursie, o członkach szkolnych kółek rolniczych, pozujących z młodymi zwierzętami, które hodowali na przyszłoroczną wystawę w hrabstwie, o absolwencie szkoły średniej przyjętym do wojskowej akademii lotniczej...

Jednak równie często ten idylliczny obraz małego hrabstwa mąciła jakaś tragedia. Młode małżeństwo zginęło w wypadku na Wise School Road. Spłonął dom, wraz z mieszkającym w nim staruszkiem, nim ochotnicza straż pożarna tam dotarła.

W końcu na drugim mikrofilmie Claire ujrzała dziwnie wyglądającą na negatywie twarz matki, patrzącej na nią z przeszłości.

- To ona - wyszeptwała ze wzruszeniem.

Być może bibliotekarka też je poczuła, bo łagodnie dotknęła ramienia Claire, a potem odeszła, by pozwolić jej czytać.

„Myśliwy polujący na jelenie postrzelił kobietę z Little BC”, krzyczał nagłówek, a pod nim podtytuł głosił: „Żona, matka dwojga dzieci, ginie w wypadku. Przesłuchanie myśliwego z San Antonio”.

Claire spojrzała w bok - próbowała powstrzymać łzy i wyperswadować sobie, że przecież stało się to tak dawno temu.

Zmusiła się, by dalej czytać, bo uznała, że historia z czasów jej dzieciństwa jest równie prawdziwa i namacalna jak epitafium wyrzeźbione w kamieniu.

*Wśród znaleziono ciało Lin- Felix Navarro, dwadzieścia
dy Barstow Meador, trzydzieści pięć lat, który wynajmował domek
szesć lat, z Little Bee Creek. Biuro myśliwski na terenie posiadłości
szeryfa poinformowało, że padła Hajeków, pierwszy raz w życiu
ofiara „tragicznego wypadku pod- zapolował i był przekonany o tym,
czas polowania”. że strzela do jelenia na urwisku*

*Według jej męża, adwokata nad zachodnią odnogą Little Bee
William Meadora, czterdzieści je- Creek. Gdy podszedł bliżej, zna-
den lat, żona udała się na popołu- laż Lindę Meador: już nie oddy-
dniowy spacer, jak to miała w zwy- chała i krwawiła z rany w głowie,
czaju, i weszła na teren posiadłości
Alberta i Normy Hajeków, również
z Little Bee Creek.*

Claire zamknęła oczy i szepnęła:

- Przynajmniej nie cierpiała.

Miała nadzieję, że matka nawet nie zauważyła myśliwego. Że jej życie po prostu zgasło bez lęku i bez ostrzeżenia, jak zdmuchnięty płomień zapałki. Pozostała część artykułu nie zawierała zbyt wielu szczegółów. W sprawie wypadku nadal toczyło się śledztwo i w zależności od jego wyników rozważano postawienie zarzutów „wyraźnie zdruzgotanemu” Navarro. Były też informacje o jej matce: przybyła tu z Austin i pracowała jako licencjonowana pielęgniarka w klinice w Little BC, zanim poślubiła Willa Meadora. Ostatni akapit opisywał szczegóły ceremonii pogrzebowej i wymieniał Claire i jej siostrę jako najbliższą rodzinę.

Claire odetchnęła głęboko i pomyślała: Cóż, to naprawdę przygnębiająca historia. Na co liczył Spence, prosząc ją, by przyjrzała się tym artykułom? Jedno wydało jej się niejasne: według relacji, Navarro, dwudziestopięcioletni mężczyzna, pierwszy raz w życiu był na polowaniu i polował sam. Wiedziała, że dla wielu Teksaszczyków jest to towarzyska rozrywka, a domki myśliwskie wynajmuje się zwykle z przyjaciółmi lub z rodziną. Czy ktoś zachorował i pełen zapału żółtodziób pojechał sam? A może jego towarzysz lub towarzysze poszli tylko do wozu albo do domku myśliwskiego po zapasy? Nie miała pojęcia, kogo o to zapytać, ani dlaczego to w ogóle jest ważne. Bez względu na to, dlaczego Navarro został na polowaniu sam, jej matka i tak nie żyła.

Ponieważ Janinę miała się z nią spotkać w holu biblioteki dopiero za pół godziny, Claire przejrzała kilka kolejnych numerów tygodnika. Nie znalazła jednak żadnej innej wzmianki o wypadku matki, nawet o tym, czy postawiono jakieś zarzuty temu Navarro. Natknęła się natomiast na krótki artykuł na trzeciej stronie - rodzice Glorii Hajek apelowali w nim do wszystkich, którzy wiedzieli coś o miejscu pobytu ich piętnastoletniej córki Glorii, by jak najszybciej skontaktowali się z biurem szeryfa Buck County.

Najwyraźniej w ciągu ubiegłego roku szkolnego dziewczyna już dwa razy uciekała do Houston i lokalne władze współpracowały ze służbami z tamtego obszaru, usiłując ją odnaleźć.

Claire nie znalazła już w dalszych numerach tygodnika żadnej kolejnej wzmianki o tym zniknięciu - przynajmniej aż do chwili, gdy zaczęła przeglądać nową rolę mikrofilmu.

W numerze ze stycznia zamieszczono zajmujące pół strony ogłoszenie w ramce.

„Widziałeś mnie?” - pytał nagłówek. Poniżej była kolejna fotografia w negatywie dziewczyny o długich włosach, z przedziałkiem pośrodku, pewnie blondynki, biorąc pod uwagę, jak ciemne były te włosy na negatywie. Claire nie dostrzegła innych szczegółów, ponieważ obrazy na filmie były zamazane. Wyteńczyła wzrok, by przeczytać o wciąż nieodnalezionej Glorii Lee Hajek, która znikła dnia...

Claire wyprostowała się na swoim krześle. Piętnastoletnia Gloria znikła tego samego dnia, kiedy zabito jej matkę.

Ale co to mogło oznaczać?

Tak bardzo skupiła uwagę na czytniku, że aż podskoczyła, słysząc chrząknięcie tuż za jej plecami. Odwróciła się, i zobaczyła trójkę policjantów z San Antonio.

Rozdział 28

Kiedy telefon w mieszkaniu Raula zadzwonił, Spence podskoczył jak koparzony. Przez ostatnie czterdzieści pięć minut albo krążył nerwowo po jednopokojowym mieszkaniu, albo siedział na sofie, przerzucając bezmyślnie kanały telewizyjne.

Zrywając się, potracił nogą stół i cola się wylała. Zaklął, podniósł puszkę i, mijając migoczący ekran telewizora, przy trzecim sygnale dobiegł do telefonu w kuchni.

Nie wyświetlała się informacja, kto dzwoni, wymruczał więc niecierpliwie:

- No dalej!

Odczekał, aż włączy się automatyczna sekretarka. Nim sierżant skończył pierwsze słowo, Spence złapał słuchawkę i zapytał:

- Co się dzieje? Gdzie Claire?

- Zanim tam dojechałem, już ją zabrali na komendę, żeby zadać jej kilka pytań - powiedział Raul. - Zadzwoiłem w parę miejsc i dowiedziałem się, że szeryf Shepherd już tu jedzie, by zabrać ją do domu.

I pewnie będzie ją o wszystko wypytywał, dodał w myślach Spence. Po raz kolejny nie mógł oprzeć się wrażeniu, że osobiste związki Joela Shepherd'a z rodziną Meadorów wpływają na każdy aspekt prowadzonego przez niego śledztwa. Ale czy chodzi o coś gorszego niż zwykłe uprzedzenia? Czy to możliwe, by szeryf Buck County był tym człowiekiem, który sfałszował dowody?

Spence zastanawiał się też, czy Claire będzie musiała odpowiadać na pytania Shepherd'a lub policji z San Antonio dotyczące wypadku w Sissel County tego ranka. Najwyraźniej Raul nic o tym nie słyszał, bo inaczej żądałby wyjaśnień, co sobie Spence, u diabła, myślał, próbując uciekać przed stróżami prawa. Zamiast poruszyć tę kwestię i zaryzykować, że sierżant nie zechce już mu pomagać, Spence postanowił skupić się na pilniejszych sprawach.

- Dasz radę przekazać jej ode mnie wiadomość? - zapytał.

Raul westchnął.

- Nie widzę sposobu, chłopie. Nie bez wzbudzania podejrzeń. Chyba najlepiej to przeczekać.

- No to zadzwonię do niej dziś wieczorem, jak tylko...

- Lepiej to dobrze przemyśl - poradził Raul. - Po tym, jak znikła wczoraj w nocy, ojciec będzie prawdopodobnie kontrolował jej rozmowy.

Spence skrzywił się i warknął:

- Ale pozwoliby jej podejść do telefonu, gdybyś ty dzwonił, prawda? Pewnie miałby nadzieję, że dzwonisz po to, by jej powiedzieć, że znów jestem za kratkami.

- Albo jeszcze lepiej, że cię zastrzelili - dodał radośnie Raul.

Spence spróbował się roześmiać, ale ponury rehot, który się z niego wydobył, zabrzmiał chrapliwie. Co powiedzieć Claire? I jak do niej dotrzeć?

Raul, jakby czytając w jego myślach, powiedział:

- Wiesz, możliwe, że szeryf nabrał na tyle podejrzeń, że będzie obserwował, co się dzieje wokół posiadłości twojego teścia. Może nawet będzie podsłuchiwał rozmowy telefoniczne.

- Ale przecież nie wolno mu założyć podsłuchu. Nie bez zgody sędziego...

-A kto powiedział, że nie dostanie takiej zgody? A jeśli szeryf i twój teść dogadali się, że nieoficjalnie założą pluskwę, aby chronić Claire? Już dziwniejsze rzeczy się zdarzały, zwłaszcza kiedy posterunek jest mały, a szeryf angażuje się osobiście.

Raul miał rację. W tym przypadku niekoniecznie musiały obowiązywać zwykłe zasady działania wymiaru sprawiedliwości.

Pytanie brzmi, myślał Spence, jak, u diabła, mam ominąć możliwą inwigilację i wysledzić potencjalnych graczy, biorących udział w tym spisku. I co ważniejsze, jak przekazać Claire, że po prostu nie uciekłem?

Sierżant chyba znów odgadł, w jakim kierunku biegną jego myśli. Spence usłyszał, jak Raul odpala samochód, a zaraz potem ponurą groźbę:

- Lepiej żebyś tam jeszcze siedział i czekał, kiedy za dziesięć minut dojadę do domu, Winslow. Bo inaczej przysięgam, będę ścigał to twoje białe dupsko i osobiście cię im wydam.

- Możesz już sobie podarować tę stertę bzdur, kochana - powiedział Joel Shepherd, wjeżdżając służbową terenówką na drogę prowadzącą do Little BC. - Może i wyprowadziły w pole chłopaków z San Antonio, ale ja tego nie kupuję.

Prawa przednia opona podskoczyła na rozjechanym pancerniku.

-A może to raczej ty podarujesz sobie tę „kochaną” - odgryzła się Claire - i najpierw odpowiesz mi na parę pytań.

Joel rzucił jej szybkie spojrzenie, a jego piękna, męska twarz wyrażała zaskoczenie. Może oczekiwał, że znów się rozpłacze, tak jak na komendzie policji w San Antonio. Ale wtedy nie udawała. Gdy w bibliotece pojawili się policjanci, spanikowała, głównie dlatego, że bała się, iż wychodząc z budynku, wpadną na Spence'a. Martwiła się też, że jeśli wróci po nią później, to może pomyśleć, że dała sobie z nim spokój.

Dwóch policjantów w średnim wieku, którzy z nią rozmawiali, troskliwie się nią zajęło. Podawali jej chusteczki, proponowali napoje, a nawet lunch i wysłuchali ze współczuciem jej wyjaśnień o tym, jak to potrzebowała czasu, by pobyć sama, żeby się jakoś pozbierać.

Żadnych oskarżeń, żadnej wzmianki o pościgu samochodowym tego ranka i o policjantce z Sissel County. Wręcz przeciwnie. Odniosła wrażenie, że obaj mężczyźni nie tylko czują się niezręcznie, ale są wręcz zażenowani sytuacją; nie naciskali na nią, by złożyła bardziej szczegółowe wyjaśnienia. Być może zastanawiali się, jak ich własne żony zareagowałyby na coś tak niesamowitego. A może myśleli o tym, że to praca w policji sprawiła, że Spence zszedł na złą drogę.

Jednak najwyraźniej Joel znał jąza dobrze, żeby uwierzyć w łzy, kulawą historyjkę, którą wymyśliła, i w wyjaśnienia, że pikap został skradziony w okolicach biblioteki, gdzie go zaparkowała.

Joel wyglądał kiepsko - podkrążone oczy, twarz bardzo blada, tak jakby był wyczerpany. Mówiono o nim, że jest strasznym pracoholikiem. Odkąd odebrał ją z komendy, zachowywał się bardzo opryskliwie. Pewnie świadczyło to o tym, że jego wytrzymałość i opanowanie też mają swoje granice.

- To nie ty zadajesz pytania - powiedział Joel. - A przynajmniej dopki mi nie powiesz, dokąd Spence pojechał twoim wozem.

Pokręciła głową.

- Mówiłam ci już, że nie widziałam go. Dziś wcześniej rano zaparkowałam pikapa i poszłam do biblioteki. Kiedy wyszłam, już go nie było.

- No to pokaż mi swoje kluczyki.

Cholera, o tym nie pomyślała. Wsunęła dłoń do kieszeni i powiedziała:

- Ja... nie mogę ich znaleźć. O kurczę. Musiałam je zostawić w wozie. Nic dziwnego, że ktoś go ukradł.

Nawet w jej uszach zabrzmiało to żałośnie.

Joel pokręcił głową i spojrzał na nią, zniesmaczony.

- Jasne, Claire... Dobra. Chwilowo to zostawmy. A może w takim razie powiesz mi, gdzie naprawdę byłaś. I dlaczego, u diabła, odjechałaś, nikomu nic nie mówiąc i nie biorąc nawet portfela?

Claire wyjaśniła mu to na tyle, na ile mogła.

- Byłam tak zdenerwowana, że po prostu musiałam się stamtąd wyrwać. Ostatnio na Monarch Ranch zdarzyło się parę paskudnych rzeczy, i to jedno po drugim. Pobiegłam w stronę potoku, bo usłysza-

łam stamtąd coś, co brzmiało jak stłuczka. I wtedy wpadł na mnie ten facet...

- To była terenówka twojego ojca - przerwał jej Joel. - Ktokolwiek ją ukradł, zepchnął ją z urwiska i rozwalił. Przyjechałem na wezwanie i pogadałem z twoją instruktorką i jej córką. Ta dziewczyna, Megan Martin, o ile dobrze pamiętam, powiedziała, że przewrócił cię jakiś gość. Zrobił ci coś?

Claire pokiwała głową.

- Nic, o czym warto by wspominać.

- Rozumiem, że go nie rozpoznałaś?

- Wtedy nie, ale im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że to mógł być ten wysoki blondyn, który mieszka z Randallem Hajkiem. Giovanni Baptiste...

- Ten pedziowaty makaroniarz do wynajęcia...

- Joel!

Rzucił jej szybkie, pełne zakłopotania spojrzenie.

- Przepraszam. Nigdy nie rozumiałem za dobrze tego typu... Nawet gdyby był panienką leącą na szmal, to i tak... Ale masz rację. Będę uważał na to, jak się wyrażam.

Niemal usłyszała, jak dodaje w myślach: „Przynajmniej przy damach”.

- Dlaczego sądzisz, że leci na szmal? - zapytała, choć już wcześniej znała odpowiedź.

Wzruszył ramionami.

- To wydaje się sensowne, no nie? Hajek jest chory i...

- A więc wiesz o tym?

Kiwnął głową.

- Wiedziałem, że kiedy starsza pani sprzedała ci część posiadłości, popsuło to stosunki między wami, więc poszedłem do niego pogadać o twoich ostatnich problemach na ranczu. Bardzo schudł, a cała kuchnia zawalona była lekami, od podłogi do sufitu. Pomyślałem, że koleś z takimi skłonnościami pewnie złapał AIDS. Dziwne. Jest parę lat starszy ode mnie, ale znałem go trochę ze szkoły. Nigdy bym nie pomyślał, że jest pe... no, homoseksualistą.

To słowo z trudem przeszło mu przez gardło. Ten człowiek naprawdę powinien wyrwać się na jakiś czas z Buck County i poodychać trochę powietrzem XXI wieku, pomyślała Claire.

- Randall ma raka - poinformowała go. - Geje też na to chorują.

- Tak ci powiedział? - W głosie Joela brzmiało niedowierzenie; po chwili wzruszył ramionami. - Możliwe. Ale jestem zaskoczony, że w ogóle z tobą rozmawia.

Ponieważ Claire zdobyła tę informację, podszywając się pod kogoś innego, nie wyprowadzała Joela z błędu; niech myśli, że Randall sam powiedział jej o swojej chorobie.

- Mało tego. Przyłapałam go, kiedy bazgrał sprayem po szyldzie mojego rancza. Po tym pięknym nowiutkim szyldzie, niespodzianie od wolontariuszy.

- Randall to zrobił? - Joel wyraźnie poweselał. - No cóż, teraz będę mu mógł chociaż postawić jakieś zarzuty, powiedzmy wtargnięcia i naruszenia mienia. Pewnie uda się też załatwić, by dostał zakaz wstępu na twoją posesję. Wydaje mi się, że kiedy człowiek umiera, jeszcze mocniej trzyma się swoich starych żalów.

- To może być coś więcej.

I opowiedziała mu o tym, czego dowiedziała się o nowym polu golfowym i o przypuszczeniach Lenore, że powstanie ono przynajmniej w części na terenie Monarch Ranch.

Joel cicho gwizdnął.

- Wygląda na to, że mamy tu niezły motyw. O ile uda mi się udowodnić, że to nie tylko plotki. Być może nasz Randall ma nadzieję, że zmusi cię do sprzedaży ziemi, by luksusowo ustawić swojego kochasia.

- Wciąż zastanawiam się... - zaczęła Claire.

- Nad czym?

- Co, jeśli Randall albo Giovanni, albo nawet obaj, ma coś wspólnego z tymi zarzutami przeciwko Spence'owi?

- Proszę, Claire. - Joel był wyraźnie poirytowany. - Nie wracajmy już do tego.

- Czemu nawet nie bierzesz pod uwagę, że Spence mógł ci mówić prawdę? Co by ci szkodziło, żeby...

- Wiem, że z nim gadałaś, i pozwoliłaś, żeby znów nafaszerowała cię tymi swoimi bzdurami...

Pokiwała głową, kłamiąc tak odruchowo, jak mruga oko, widząc zbliżający się palec.

- Nie, Joel.

- W takim razie powiedz mi, gdzie naprawdę pojechałaś wczoraj w nocy? I nie opowiadaj mi jakichś historyjek o tym, że byłaś u Janinę Jaworski. Już z nią rozmawiałem, martwiła się o ciebie tak samo jak my wszyscy.

Claire zakłęta w myślach, uświadamiając sobie własną głupotę.

- Dzwoniła do ciebie, prawda? A myślałam, że jest moją przyjaciółką.

- Bo jest. Właśnie dlatego mi o tym powiedziała, kiedy jej przypomniałem, że byłaś niedoszłą ofiarą morderstwa na zlecenie i że człowiek, któremu postawiono ten zarzut, jest na wolności. Opowiedziała mi też tę twoją historyjkę, że potrzebujesz pieniędzy, by zapłacić jakiemuś mechanikowi, który naprawia twój wóz.

Claire gorączkowo szukała jakiegoś wytłumaczenia, lecz doszła do wniosku, że nie będzie się wysilać, bo Joel i tak tego nie kupi. I choć kiepsko się czuła z tym, że przyłapała ją na kłamstwie, rozumiała, czemu przyjaciółka zdradziła jej zaufanie. Janinę martwiła się o nią tak samo jak Joel. Ale żadne z nich nie tkwiło w tym wszystkim tak jak ona. I żadne nie wiedziało, jakim naprawdę człowiekiem jest Spence.

Sfrustrowana tym, że Joel nie chce jej słuchać, odwróciła się i wyjrzała przez okno. Miasto zaczynało już wkraczać na te tereny, wyciągając swoje macki przedmieść tam, gdzie kiedyś były tylko farmy i pasma drzew rosnących wzdłuż potoków. Patrzyła teraz na pierwsze forpoczty San Antonio: szyldy reklamujące „Luksusowe posiadłości wiejskie: siedliska 2-4 ha”. Obszary dla yuppies, za którymi wkrótce pojawią się sklepy z różnymi towarami, Wal-Marty, sieć Starbucks i światła uliczne; zniknie leniwe brzęczenie owadów i pomruk benzynowych kosiarek do trawników. Tych „pionierów” wkrótce dogoni cywilizacja, przed którą tak pragnęli uciec.

Jak długo potrwa, zanim ta inwazja obejmie samo serce Buck County? Za ile lat naturalne piękno Little Bee Creek zniszczą drogi i chodniki? Już wkrótce, jeśli to, co powiedziała Lenore o polu golfowym, okaże się prawdą.

- Czekam. - W głosie Joela słyszała zniecierpliwienie.

- Mam inne przyjaciółki oprócz Janinę. Powiedzmy po prostu, że byłam u jednej z nich. I zostawmy już ten temat.

Claire postanowiła, że będzie mówić niejasno, bo stwierdziła, że Joel szybko udowodni jej fałsz jakiegokolwiek szczegółowej historyjki.

Zamiast naciskać dalej, wrócił do swojego pierwszego pytania.

- Gdzie jest Spence?

Poczuła ulgę, lekką jak nitki babiego lata. Tym razem przynajmniej mogła powiedzieć mu prawdę.

- Nie mam pojęcia.

- Naprawdę myślisz, że w to uwierzę?
- Naprawdę myślisz, że obchodzi mnie, w co wierzysz? - odcięła się, zapominając, że jej na tym zależy, i to nawet bardzo.

Milczał przez długą chwilę, a potem odezwał się cicho:

- Kiedyś oboje przeżyliśmy razem piekło. Chyba byłem cholernym głupcem, sądząc, że to coś znaczy.

Utkwił spojrzenie w drodze, która już od jakiegoś czasu zwięzła się do dwóch pasm biegnących przez świeże zielone łąki. Jednak nie musiała patrzeć na jego twarz, by czuć ból, zadawniony smutek, wciąż jeszcze w nim żywy, który swoimi szponami próbował utorować sobie drogę na powierzchnię.

Claire oparła dłoń o deskę rozdzielczą, tak jakby nie chciała utonąć w wirze słodko-gorzkich wspomnień o swojej siostrze. Nie mogła pozwolić sobie na to, by zanurzyć się w przeszłości. Nie, jeśli jest przed nią jeszcze jakaś przyszłość.

-Oboje kochaliśmy Karen. Ale ona odeszła, Joel - powiedziała szepem, tak jakby mogło to w jakiś sposób złagodzić cios. - Odeszła już dawno temu. Minęło czternaście lat.

Joel zjechał na pobocze i zaparkował terenówkę w cieniu drzew na skraju łąki. Jego dłonie zacisnęły się na kierownicy, a kostki palców pobieleały.

- Mówisz mi, że powinniśmy o niej zapomnieć. - Gorycz i gniew sprawiły, że słowa bardzo ją uderzyły. - Mówisz jak Lori Beth. Ale jak mam o niej zapomnieć, Claire, kiedy za każdym razem, gdy cię widzę, zastanawiam się, jakby się ułożyło moje życie, jak wszystko by się potoczyło, gdyby... gdyby Karen teraz miała raka? Dziś sposoby leczenia są o niebo lepsze. Śledzę ten temat. Szanse przeżycia przy takim nowotworze, jaki miała...

- Przestań! Proszę - błagała go Claire. - To już nikomu nie pomoże.

Spojrzał na nią. Wyglądał, jakby cierpiał tak samo jak wtedy, na pogrzebie jej siostry. Poczwała ogarniającą ją falę współczucia. Czy to się kiedykolwiek zmieni? Czy kiedyś minie ją na ulicy albo spotka ją w sklepie i imię Karen nie przebije się przez jego świadomość niczym ostrze noża?

Uważnie dobierała słowa, tak ostrożnie, jakby kroczyła ścieżką pełną raniących odłamków skał i kolczastych kaktusów.

- Masz rodzinę, Joel. Masz dzieci i żonę. Oni cię potrzebują.

Wzdrygnął się, a w jego wilgotnych oczach odbił się blady błękit czystego nieba.

- Może - odparł cicho. - Może wciąż ich jeszcze mam.

Nie zrozumiała, o co mu chodzi, więc ciągnęła dalej.

- Ja nie zapomniałam o Karen. Prawie codziennie przypomina mi się jakaś śmieszna rzecz, którą robiłyśmy, kiedy byłyśmy małże. Myślę o tym, co chciałam jej powiedzieć i poznać jej zdanie. Ale ja też mam teraz rodzinę. Rodzinę, która mnie potrzebuje, tak bardzo jak twoja rodzina potrzebuje ciebie.

Spojrzał na nią ostro, a jego twarz wyrażała litość.

- Boże, Claire. Jeśli w to wierzysz, to żyjesz w urojonym świecie, chyba tak jak ja.

- Jestem w ciąży, Joel. I zanim cokolwiek na to powiesz, chcę urodzić to dziecko.

Joel patrzył na nią oczami szeroko otwartymi ze zdumienia i z rozdziawionymi ustami. Kiedy w końcu doszedł do siebie, spojrzał przez okno i cicho zaklął.

-I to nie wszystko - dodała. - Zamierzam oczyścić imię mojego męża ze wszystkich zarzutów. Chcę, żeby moje dziecko miało ojca.

- Jesteś po prostu żałosna. Spence Winslow próbował cię...

-To nieprawda! - oburzyła się. - I jeśli dokładniej przyjrzesz się tej sprawie, rzeczywiście się w to wszystko wgrzyziesz, zamiast kupować jakąś wstrętą historyjkę, którą ci ktoś sprzedał, ty też to zobaczysz. Przysięgam ci. Tak właśnie będzie.

Odwrócił wzrok, a jego szyja i twarz poczerwieniały.

- Więc myślisz, że jestem kolejnym dumnym wieśniakiem, którego wodzi za nos para pedziów? O, przepraszam, gejów z miasta... Myślisz, że jestem jakimś pieprzonym, głupkowskim szeryfem i nie znam się na mojej robocie?

- Oczywiście, że nie - odparła, zaniepokojona tym, jak nagle zeszytywniały mu ramiona i jak gwałtownie wrzucił bieg. - W ogóle nie o to mi chodziło.

Wcisnął pedał gazu tak mocno, że spod kół wyleciała lawina kamieni. Choć Claire nic nie powiedziała, serce podeszło jej do gardła, gdy prędkość samochodu wzrosła do sześćdziesięciu, osiemdziesięciu, stu kilometrów na godzinę, przekraczając dozwoloną granicę.

- Zjedź znów na pobocze, Joel. Musisz się uspokoić.

Włączył światła policyjne i syrenę, zmuszając jadącego wolniej pika, by zjechał na pobocze i go przepuścił. Przemknął obok niego jak strzała, z prędkością ponad stu trzydziestu na godzinę, i wyłączył sygnał.

Gdy żółty znak drogowy ostrzegł ich, że wkrótce będzie ostry zakręt, Claire zaczęła błagać:

- Zwolnij, Joel, proszę.

Czy dojadą żywi do domu jej ojca?

Rozdział 29

Czterdzieści minut później odetchnęła z ulgą, gdy jej oczom ukazał się znajomy widok starego domu z kamienia i cedrowego drewna za zasłoną biało kwitnących azalii. Gdy służbowa terenówka szeryfa wreszcie się zatrzymała, Claire odpięła pasy i wyskoczyła z wozu, uradowana, że jej stopy dotknęły podjazdu. Miała ochotę rzucić się na Joela - jak mógł tak bardzo stracić nad sobą kontrolę? Ale przez frontowe drzwi wybiegła już ku niej Pogo, ujadając i skacząc na powitanie. Tuż za owczarkiem pojawił się ojciec; szedł ku niej szybko z otwartymi szeroko ramionami i zmarszczonym czołem.

- Claire. Nic... Nic ci nie jest? - Jego głos się załamał. Brzmiał tak, jakby jej ojciec postarzał się o całe lata. I wyglądał też starzej z głębokimi bruzdami na twarzy, pochylony pod ciężarem trosk.

Gdy spotkali się w połowie ścieżki, uściśnął ją tak mocno, że ledwie mogła złapać oddech.

- Bałem się, że już cię straciłem, kochanie - powiedział. - Nie masz pojęcia, jak... jak się bałem i jak mi było przykro, że tak się wczoraj posprzecaliśmy. Mówiłem różne rzeczy... Nie mogłbym dalej żyć, gdybyś przez to... Gdybyś pojechała i gdyby coś ci się stało albo nawet...

Claire poczuła wyrzuty sumienia, zalała ją fala gwałtownych emocji. Była potworem, sprawiając tym, którzy ją kochali, tyle bólu i cierpienia. Cholernie dobrze wiedziała, jakim brzemieniem są dla ojca jej problemy... I o tym, w jak kiepskim stanie jest jego zdrowie.

- Wybacz mi. - Z oczu popłynęły jej gorące łzy, zamazując obraz otwartych drzwi. - Proszę, tato. Powiedz, że mi wybaczasz, że cię tak okropnie wystraszyłam.

Joel Shepherd stojący za jej plecami rzucił bezbarwnym tonem:

- Niezłe powitanie. Ale na mnie już czas, muszę wracać do biura. Wpadnę tu jutro rano, żeby z tobą porozmawiać. I będę oczekiwał szczerych odpowiedzi, Claire.

I zwracając się do jej ojca, dodał:

- Może uda ci się przemówić trochę do rozsądku twojej córce, żeby znów gdzieś nie znikła. I przy okazji, powiedz jej też, jak zginął Adam Strickland.

- O czym ty mówisz? - spytała Claire.

Czy Joel wciąż uważa, że Spence zamordował tego biologa?

Zamiast odpowiedzieć, szeryf Buck County dotknął runda swojego ciemnobrązowego kapelusza, wsiadł do zakurzonego forda expedition i nie patrząc już na nich, odjechał. Claire zauważyła, że gdy tylko pozbył się swej irytującej pasażerki, jechał z dużo bardziej rozsądną prędkością.

Co za kretyni Mógł zabić ich oboje z powodu... Właściwie, to z jakiego powodu? Zranionej dumy, bo pomyślał, że uważa go za niekompetentnego? A jeśli chodziło o coś więcej? Może nawet o jej wyznanie, że jest w ciąży?

Ojciec Claire zmarszczył brwi, patrząc w ślad za oddalającym się samochodem.

- Chyba twoja obecność nie sprawia mu przyjemności.

Kiwnęła głową.

- Ostatnio przysporzyłam mu sporo kłopotów. Miał przeze mnie mnóstwo dodatkowej pracy.

- Może nie tylko o to chodzi. W mieście mówi się, że Lori Beth zabrała dzieci i pojechała do rodziny do Comfort.

Claire ruszyła za ojcem w stronę frontowych drzwi; nie zamierzała pytać, od kogo to usłyszała.

Pikantne plotki w Little BC rozprzestrzeniały się jak stado czerwonych mrówek pożerających do samych kości pisklą, które wypadło z gniazda.

- A więc to dlatego Joel się tak dziwnie zachowywał - powiedziała.

Jednak wciąż zastanawiało ją, czy można rzucić to na karb uczuć wywołanych jej powrotem do domu, czy winne temu są długie godziny spędzane w pracy. Tak czy inaczej, czuła się za to po części odpowiedzialna.

Ta myśl sprawiła jej przykrość, więc zmieniła temat.

- O co mu chodziło z tym Adamem Stricklandem? Wiem, że znaleźli ciało, ale czy już wiedzą, co mu się przytrafiło?

Weszli do domu. Ojciec zamknął na klucz frontowe drzwi, a Claire modliła się w duchu: Żeby tylko nie okazało się, że zabiła go kula z broni Spence'a. Proszę.

Ojciec odwrócił się ku niej z poważną miną.

- Kiepsko upadł. Joel myśli, że stał na urwisku, twoim urwisku, i że osunął się pod nim grunt. Było bardzo mokro i...

- A więc jego śmierć to był wypadek? - spytała Claire. - Nikt go nie zamordował?

- Tak twierdzi lekarz sądowy z biura koronera z Travis County. Strickland złamał kark. Może zginął na miejscu albo się utopił, bo wpadł do wody. Przynajmniej długo nie cierpiał.

Claire przypomniała sobie zmierzwione rude włosy Adama Stricklanda, jego zachlapanne błotem okulary i nieśmiały uśmiech, gdy zapraszała ją na obiad. Choć rozmawiała z nim tylko raz, poczuła się okropnie na myśl, że zginął w tak tragiczny sposób i samotnie. I to na jej ziemi, w miejscu, które tak kochała.

- Niech Bóg ma w opiece duszę tego biedaka - powiedziała. Odechnęła z ulgą, że nic nie wskazywało na to, by w jego śmierć zamieszany był Spence. - Ale czemu Joel jest taki pewien, że zginął na Monarch Ranch? Przecież nie tu znaleźli ciało.

- Ale to stąd poniósł go nurt. A biorąc pod uwagę jego upadek i fakt, że w tej okolicy znaleziono parę jego próbek... - Ojciec wzruszył ramionami i skrzywił się. - To urwisko jest teraz bardziej niebezpieczne niż kiedykolwiek. Powinnaś rozmieścić tam tablice ostrzegawcze albo odciąć dostęp, zanim jeszcze komuś coś się stanie. I ty sama trzymaj się z daleka od tego miejsca. Wiem, że zawsze lubiłaś tam chodzić i patrzeć na potok. Próbowałem ci tego zabronić, kiedy byłaś małym dzieckiem.

Napłynęło nagłe wspomnienie, przypomniała sobie zdanie z artykułu, który przeczytała, i słowa popłynęły z jej ust jak napełnione gorącym powietrzem balony, które zerwały się z uwięzi.

- Bo tam umarła moja matka...

Ojciec opadł na fotel przy ogromnym kamiennym kominku, duży fotel na biegunach, obity łąciatą cielęcą skórą. Opierając łokcie na kolanach, skrzyżował palce obu rąk. Jego wzrok powędrował ku starej strzelbie wiszącej nad kominkiem.

Claire zastanawiała się, czy w ogóle ją widzi, czy może raczej wyobraża sobie broń, z której zastrzelono jego żonę. Jednak cokolwiek widział, w oczach zabłysły mu łzy, a twarz pobladła.

- Przepraszam. - Powoli pokręciła głową. - Nie chciałam cię zderwo...

- Gdzie byłaś przez ten czas? - przerwał jej. -I czemu nie chciałaś powiedzieć tego Joelowi?

Nie czuła się zaskoczona, że zmienił temat. Tym razem jednak, wciąż mając w pamięci obraz matki, odważyła się nacisnąć mocniej.

- Wiem, że to dla ciebie trudne, tato - powiedziała łagodnie - ale kiedyś chciałabym o niej porozmawiać. Zawsze byłeś wspaniałym ojcem, tylko... chciałabym coś wiedzieć o mojej matce. Kim była i dlaczego ją kochałeś? I czego pragnęłaby dla mnie?

Podniósł wzrok.

- Dlaczego unikasz odpowiedzi na moje pytanie?

Claire usiadła na skraju skórzanej sofie, próbując ignorować Pogo; piesek przewrócił się na grzbiet u jej stóp i zaczął trącać łapą jej nogę, prosząc, by Claire pogłaskała go po brzuchu.

Patrząc w twarz ojca, miała ochotę cisnąć w niego tym samym pytaniem. Lecz z przeszłości niczym drwina znów wypłynęło wspomnienie jego szloch. I znów się poddała, jak robiła to już wielokrotnie, bo nie potrafiła znieść myśli, że go zrani.

- Byłaś ze swoim mężem, prawda? - spytał głosem tak cichym, że słyszała, jak w kuchni zegar z kukułką wybija właśnie pół godziny.

Czy było w pół do piątej, czy już godzinę później? Zupełnie straciła poczucie czasu.

Kiedy nie odpowiedziała, ciągnął dalej:

- Doprowadzisz w ten sposób do tego, że odwołają jego zwolnienie za kaucją Claire. Jeśli Spencer naruszy warunki zwolnienia, będzie siedział w areszcie aż do procesu.

Obraz ojca rozmył jej się przed oczami. Otarła łzy.

- On tego nie zrobił, tato. Nie wiem, jak ani dlaczego, ale ktoś to tak urządził, żeby wyglądało, że to on.

- Claire... - Słyszała rozczarowanie w jego głosie i smutek po utraconych marzeniach. - Zawsze byłaś upartą dziewczyną, na swój cichy sposób takim małym wojownikiem. Kiedy tylko uchwyciłaś się jakiegoś pomysłu, trzymałaś się go jak pies kości. Tak jak wtedy, kiedy wyrzuciłaś wszystkie swoje ładne sukienki do kosza na śmieci.

Odruchowo głąskała owczarka, przypominając sobie o tym dziecięcym buncie, kiedy babcia Barstow przysłała jej na urodziny którąś z kolei sukienkę z falbankami. To Karen uwielbiała falbanki i marszczone sukienki. Ta doskonała Karen, a nie ona. Claire nigdy nie przestała nienawidzić różowego koloru.

Ale jak ojciec mógł porównywać jej zaufanie do męża z urażoną dumą siedmiolatki?

- Mam trzydzieści lat. - Poczwała, jak rumieniec gniewu wypływa jej na twarz. - Już od dawna nie jestem dzie...

Przerwała, bo usłyszała hałas, i odwróciła głowę. Czy zamknęły się drzwi? Kuchenne drzwi prowadzące na dwór?

Ojciec też musiał usłyszeć ten dźwięk, bo poderwał się z fotela, zaciskając dłonie w pięści i wpatrując się w otwarte drzwi do kuchni.

Domyśliła się, że spodziewa się problemów. Czyżby chodziło mu o Spence'a?

- Poczekaj, tato! - Skoczyła na równe nogi i ruszyła szybko do kuchni, a Pogo pobiegła o krok przed nią. Jeśli to był Spence, musiała stanąć między nimi, zanim ojciec sięgnie po telefon w kuchni albo, co gorsza, po broń. Bóg jeden wie, gdzie ją teraz trzyma, a może był wyprowadzony z równowagi do tego stopnia, że nosił przy sobie pistolet.

Jednak w drzwiach ukazała się ładna twarzączka otoczona długimi, złotymi włosami.

- Hej, Will, ty...

Megan Martin, córka Ellen, zamarła, widząc Claire, a jej jasnoniebieskie oczy zrobiły się równie okrągłe, jak idealne „O”, w które ułożyły się jej usta.

- Wróciłaś! - wykrztusiła z siebie, podczas gdy owczarek wściekle machał ogonem, opierając jedyną przednią łapę na kolanie Meg. - Całe szczęście! Mama tak się ucieszy, jak cię zobaczy!

Claire przechyliła głowę, próbując zebrać myśli i wytłumaczyć sobie to wszystko z nowej perspektywy.

- Co ty tu robisz, Meg?

- No... Eee... Mama... mama mnie przysłała. Chciała się dowiedzieć, czy dzwoniłaś do domu i... czy twój tata chce, żeby przyniosła trochę chili i świeżego chleba kukurydzianego. - Słowa sypały się z ust siedemnastolatki jak ryż z rozdartego worka. Jej ręce były w nieustannym ruchu, dotykały włosów, chwytaly brzegi koszulki w paski i drapały swędzące miejsca. Choć uwielbiała Pogo, nie zwróciła na nią w ogóle

uwagi. - Upiekła go o wiele za dużo, wiesz? Bo obaj moi bracia wyszli wieczorem. John poszedł do swojej dziewczyny, znowu. Myślę, że szesnastolatek nie może mieć poważnych zamiarów, a ty? Matthew też wreszcie ruszył tyłek. Poszedł na spotkanie w sprawie pracy w Bliss Falls...

- Skąd to masz?! - Claire podeszła bliżej, wskazując na coś, co błysnęło na ręce Meg. - Możesz się przez chwilę nie ruszać? Chcę to zobaczyć!

Powiedziała to ostrym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. Meg znów zamarła, a jej wystraszone oczy patrzyły na ojca Claire, jakby w nim szukała ratunku.

Co tu się, u diabła, dzieje, pomyślała Claire. Podeszła do Megan tak blisko, by móc dotknąć jej lewego nadgarstka, który otaczała srebrna bransoletka. Bransoletka z małych serduszek.

- Skąd to masz? - powtórzyła i nagle zapragnęła sięgnąć do kieszeni i wyciągnąć zmatowiałą ozdobę z inicjałami G.L.H.

Dziewczyna szarpnęła się, wyraźnie przestraszona. Kręcąc nerwowo głową, zawołała:

-To moje! Nie ukradłam tego! Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła...

- Już dobrze, Meg - odezwał się ojciec Claire, tonem, który zwykle przybierał, gdy chciał uspokoić histerycznych klientów. - Nikt cię nie oskarża, że coś ukradłaś. O co chodzi, Claire? Co cię tak wytrąciło z równowagi? Nie widzisz, że przestraszyłaś tę biedną dziewczynę...

- Dostałam tę bransoletkę w prezencie - palnęła Meg. - To był podarunek. Dla mnie.

Claire znała córkę Ellen od prawie dwóch lat, od czasu, gdy odnowiła znajomość ze swoją dawną instruktorką jazdy konnej i zaczęły wspólnie planować ośrodek hipoterapii. Przez cały ten czas Claire nigdy nie widziała, by zazwyczaj tryskająca radością nastolatka zachowywała się tak nerwowo. Nawet gdy zbliżały się końcowe egzaminy albo wielki turniej kółka dyskusyjnego, w którym uczestniczyła. I wtedy, gdy zastanawiała się, z kim, albo czy w ogóle, pójdzie na swój bal maturalny.

Wzięła głęboki oddech i próbowała uspokoić walące serce i ukryć spocone nagle dłonie. Opanowała się i zapytała:

- Kto ci dał tę bransoletkę? Twoja matka?

Meg pokręciła głową, tak jak spodziewała się Claire. Ellen była praktyczna do bólu. Na urodziny podarowała Claire wycieraczkę pod drzwi,

by miała czysto w nowym biurze. Trójce swoich dzieci Ellen dawała plecaki, talony, a swojemu najstarszemu, dziewiętnastoletniemu synowi - który, od chwili kiedy zdał maturę, zapuszczał korzenie, nie ruszając się z kanapy - sprezentowała zestaw podróży i bilet linii Greyhound w jedną stronę. Rozmowa w sprawie pracy świadczyła wyraźnie o tym, że Matthew zrozumiał aluzję.

- Dostałam ją od chłopaka - wyszeptła Meg, wbijając wzrok w dywanik z cętkowanej skóry jelonka.

Jednak Claire coś nie pasowało w tych wyjaśnieniach.

- Twoja matka o tym wie?

Meg znów pokręciła głową.

- Myśli, że kupiłam tę bransoletkę z moich pieniędzy za opiekę nad dziećmi. I proszę, Claire, proszę jej o tym nie mówić. Mama nie lubi tego chłopaka. Jest trochę starszy ode mnie, ma już dwadzieścia lat i studiuje na drugim roku. To naprawdę bardzo fajny chłopak, ale mama wbiła sobie do głowy, że chodzi mu tylko o jedno.

Claire nie wiedziała już, w co wierzyć. Wyjaśnienia Meg brzmiały wiarygodnie i były takie typowe dla nastolatka z ich codziennymi dramatami. Łatwo by było przyjąć jej słowa, odepchnąć od siebie to okropne przeczucie, że dzieje się coś bardzo złego. Coś tak obrzydliwego, że Claire nie potrafiła głębiej się nad tym zastanowić ani wyjąć z kieszeni starej bransoletki.

Kiedy stała tak, zamyślona, ozdoba na nadgarstku Meg znów zamigotała, gdy dziewczyna odrzuciła na ramiona długie jasne włosy. Długie jasne włosy, z przedziałkiem pośrodku, które Claire tak bardzo przypominały Glorię Hajek.

Einstein miał rację. Naprawdę wszystko jest względne.

Na przykład to, że człowiekowi, już oskarżonemu o planowanie zabójstwa swojej żony, postawienie kolejnego zarzutu: kradzieży samochodu, może wydawać się mało istotne. Choć wie, że przez to może za karę posiedzieć parę lat dłużej w więzieniu.

Spence czuł, że postępuje paskudnie wobec jedyne go przyjaciela, który wciąż stał po jego stronie.

Przeczekał, aż zjedzą posiłek z chińskiej restauracji - przyniósł go Raul - przekonany, że traci czas na słuchanie kolejnych wykładów, jak to nie powinien rzucać się w oczy, kiedy sierzant poświęci swoje ostatnie dni urlopu przed emeryturą na rozwiązywanie tej zagadki.

Milczał jednak, co Raul przyjmował jako zgodę, nawet kiedy doszedł do wniosku, że plan sierżanta jest do kitu. Przede wszystkim nie uwzględniał Claire, a Spence nie widział sensu w oczyszczaniu się z zarzutów, jeśli miałyby ją stracić. Poza tym martwił się, że Raul, pomagając mu, naraża się na zarzuty o współudział w ukrywaniu zbiega i w Bóg wie jakich jeszcze przestępstwach.

Spence nie zostawił nawet żadnej kartki z przeprosinami, bo mogłaby posłużyć za dowód. Odczekał, aż Raul zaśnie, a potem wziął kluczyki z jego szafki i parę minut po jedenastej wsiadł do starego taurusa. Wyjeżdżając z parkingu, zastanawiał się nad tym, co powinien zrobić.

Za parę godzin mógłby być w Meksyku i stamtąd wysłać wiadomość do Claire... I spędzić resztę życia na oglądaniu się przez ramię, bojąc się, czy nie ścigają go łowcy nagród, albo próbując uniknąć ekstradycji. Nie mógł jej tego zrobić. Nie chciał, by ją i dziecko spotkał los uciekiniera. Nie mógł też zabrać Claire gdzieś daleko od przyjaciół, pracy i ojca, którego tak bardzo kochała.

Pozostawało mu tylko jedno dobre rozwiązanie: dotrzymać obietnicy, jaką jej złożył, i spotkać się z nią na ranczu. Jednak najpierw zamierzał złożyć wizytę człowiekowi, którego oboje znali jako Giovanniego Baptistego.

Wobec zarzutu o planowanie morderstwa Claire pomyśl zastraszenia albo nawet pobicia przestępcy, by zmusić go do wyjawienia prawdy, absolutnie nie martwił Spence'a Winslowa.

Rozdział 30

Nawet teraz, po paru godzinach, Joel Shepherd wciąż był wkurzony, że Claire Meador, a raczej Claire Winslow oskarżyła go o to, że uwierzył w jakieś kłamstwa. Gryzło go to do tego stopnia, że Lori Beth wyczuła, że coś jest nie w porządku już po pięciu minutach rozmowy, gdy wreszcie udało mu się do niej dodzwonić parę minut po jedenastej.

- Coś nie tak, Joel? - zapytała, kiedy tylko skończyli rozmawiać o tym, jak Kylie i Tyler reagują na przedłużającą się wizytę u dziadków. Dzieci nie wiedziały jeszcze, że być może zostaną tam na stałe. Na szczęście nie zaczęły zadawać pytań, bo były podekscytowane czymś

zupełnie innym: osieroconymi szczeniakami beagla, które ojciec Lori Beth, emerytowany weterynarz, wychowywał u siebie w domu, karmiąc je butelką.

Zdejmując nogi z zawalonego papierami biurka, Joel oparł łokieć na kolanie i potarł napięte mięśnie karku. W biurze panowały ciemności. Paliła się jedynie mała lampka na jego biurku i jej światło sączyło się przez żaluzje na szybie drzwi.

- Wszystko - odparł. - Wszystko jest nie tak, odkąd odeszłaś.

Zapadło długie, ciężkie milczenie. Kiedy wreszcie się odezwała, jej głos załamał się, niczym tłukące się szkło.

- Wciąż jesteś w pracy, prawda?

Westchnął przeciągle. Znów to samo stare oskarżenie.

- Lepsze to niż wracać do pustego domu.

- Zabawne. Jakoś ci się nigdy do niego za bardzo nie spieszyło, kiedy wszyscy tam mieszkaliśmy - przypomniała mu.

Joel, zamiast się spierać, wyjaśnił:

- Przeglądałem akta, bo wydawało mi się, że może coś mi umknęło. W sprawie Spencera Winslowa.

- Znowu to samo. - Głos Lori Beth brzmiał tak, jakby była tak samo wyczerpana jak on, choć wzięła sobie tydzień wolnego w przedszkolu.

- Na miłość boską, Joel. Przecież mówiłeś mi, że ta sprawa to bułka z masłem. Marzenie dla każdego prokuratora. Czego ty jeszcze chcesz?

- Claire zarzuciła mi, że kupiłem czyjąś historyjkę. Ona myśli, że jestem takim wsiowym szeryfem...

- Dlaczego, Joel? Dlaczego to dla ciebie takie ważne, co myśli ta kobieta? Odkąd wróciła do Little BC... Ona jest siostrą Karen, na miłość boską. To nie Karen. Nie jest tym wspomnieniem, do którego wciąż powracasz i nad którym się tak rozczulasz. Powiedz mi, co z ciebie zostało po tych wszystkich latach? Cień mężczyzny, jakim kiedyś byłeś?

Joel żałował, że nie jest w domu, z drinkiem i butelką pod ręką, idealnym antidotum na jad w jej słowach.

A może to jego wciąż powracający ból jest trucizną?

- Chcę... chcę, żebyś wróciła do mnie, Lori Beth. Proszę cię. Możemy chodzić do poradni, tak jak chciałaś.

- Mówisz poważnie? - Jej głos zabrzmiał ostrożnie, bo nie chciała znów dać się nabrać na tę marchewkę, którą tak często machał jej przed oczami tylko po to, by potem drwić, gdy już przestawała grozić, że od niego odejdzie.

Jego zdaniem psychologowie i poradnie to dobre dla słabeuszy i mięczaków. Prawdziwi mężczyźni sami radzą sobie ze swoimi problemami. A poza tym wielu z jego wyborców nie spodobałoby się, gdyby okazało się, że szeryf, na którego głosowali, nie może poradzić sobie sam ze sobą.

Ale jakie to, u diabła, ma znaczenie, co sobie pomyśla, jeśli z tego powodu musiałyby żyć bez swoich dzieci i żony, kochanej, bystrej i łagodnej kobiety, która znosiła o wiele więcej, niż powinna?

- Przysięgam ci, zrobię to - powiedział. - Nie dbam o to, czy wydrukują to na pierwszej stronie. Nie dbam o to, czy skończę, nosząc worki z pszą w Feed and Seed, żeby zarobić na życie.

Jej gardłowy śmiech sprawił, że zapragnął wziąć ją w ramiona. Jak to się stało, że zapomniał, jaką przyjemność sprawia mu jej śmiech?

- Pleciesz bzdury - odparła, ale teraz jej głos nie był już porytowy, lecz ciepły. - Jesteś stworzony do tej roboty, kotku. Musisz tylko nauczyć się lepiej godzić ją z życiem.

- Chcę cię zobaczyć - błagał, a jego wyobraźnię wypełnił już jej zapach i smak. Myśl o łagodnych krągłościach Lori Beth i jej słodko pachnących czekoladowych włosach sprawiła, że poczuł, jak wszystko się w nim napina. Tutaj, przy tym cholernym biurku, gdzie nic nie mógł z tym zrobić.

- Joel, jest środek nocy. Nie zamierzam budzić mamy i taty, by poinformować ich, że spadam stąd jak piżama z panny młodej tylko dlatego, że raczyłeś pstryknąć palcami.

- Nie o to mi chodziło. To ja przyjadę do ciebie. Jak tylko przebrnę przez te akta, zaraz pojawię się pod twoimi drzwiami...

Pełne napięcia milczenie powiedziało mu, że znów popełnił ten sam błąd.

- Tak. Na pewno. - Jej głos ociekał sarkazmem, gorzkim chłodem zbyt wielu rozczarowań. - Możesz do mnie zadzwonić jutro. A może byłoby lepiej, żebyś poczekał jednak parę dni.

- Ale ja chcę zobaczyć cię dzisiaj - powiedział już do sygnału w słuchawce. - Przysięgam. Jadę do ciebie.

Zamknął teczkę z aktami sprawy. Ależ z niego cholerny głupiec! Był równie mocno zaślepiony jakąś wizją życia, która się nie spełniła, jak Claire jest zaślepiona swoim zaufaniem do Spence'a. Wbrew niepodważalnym dowodom. Najlepszy, najbardziej sumienny zastępca, jakiego miał, wszystko zorganizował, gdy dostał cynk przez telefon. Frank

sprowadził informatora, właściciela baru z May's Crossing, miasteczka leżącego na północ od granicy Buck County, a Joel osobiście go przesłuchał. Mężczyzna, który wyglądał tak, jakby jechał na sterydach, opowiedział im o policjancie z San Antonio, który po pijanemu odgrażał się, że chce się pozbyć swojej żony.

„To przez takie gównie szanowany biznesmen, taki jak ja, niszczy sobie reputację”. Ta dbałość o reputację jakoś nie pasowała do tego człowieka, jeśli wziąć pod uwagę jego ogoloną na łysa głowę i czarną łązkę wytatuowaną pod prawym okiem. Powiedzieli mu to. Zbył to wyjaśnieniem: „Odjechane, nie? Dzieciaki robią takie rzeczy, żeby wyglądać na twardzieli i przypodobać się innym. Chcę to sobie usunąć, jak tylko odłożę te pięć tysiąków”.

Ale z tatuażem czy bez, Cal Smith okazał się czysty, a w jego kartotece nie było nic poza mandatem sprzed czterech lat za przekroczenie prędkości. A kiedy Joel tylko poruszył ten temat, niezwykle chętnie zgodził się na to, by założyli mu podsłuch.

Akcję przeprowadził Ashford, a pomagał mu kuzyn Joela, Earl, który podobno całkiem niezłe sobie poradził. Jeśli wziąć poprawkę na to, że Frank Ashford był z natury bardzo taktowny, oznaczało to, że ten cholerny głupek trzymał mordę na kłódkę i nie płatał się pod nogami.

Nagrania były perfekcyjne - najwyraźniejsze, jakie Joel kiedykolwiek słyszał - a słowa Spence'a równie niezaprzeczalne, jak obciążające.

A więc czego jeszcze mogę chcieć, zastanawiał się Joel. Czemu tak męczą mnie zarzuty kobiety, która w oczywisty sposób odmawia zaakceptowaniu faktów?

Gdy wyłączał lampkę na biurku, twarze Randalla Hajeka i jego przyjaciela pojawiły mu się przed oczami jak dwa duchy. Choć Joel uważał, że to, co łączy tych mężczyzn, jest wbrew naturze, rządziły tym takie same uczucia, jak normalnym związkiem. Pociąg fizyczny, może nawet miłość, przynajmniej ze strony Randalla. No i żądza posiadania, o której Joel z doświadczenia wiedział, że jest źródłem wielu przestępstw, choćby takich właśnie, jak te na ranczu Claire. Wprawdzie go one niepokoiły, ale wiedział, że nigdy nie udałoby mu się przekonać prokuratora, iż mogłyby mieć związek z poważniejszym spiskiem mającym na celu wrobienie Spence'a Winslowa.

Zamknął za sobą drzwi biura i wsunął dłoń do kieszeni, szukając kluczyków. W holu na dole zobaczył światło w biurze Peg, nocnej dyspo-

zytorki, która najprawdopodobniej próbowała nie zasnąć, czytając jakieś ckliwe romansidło, z czego chłopaki zawsze się nabijali. Obaj zastępcy patrolowali swój rewir, a może, ponieważ jednym z nich był Earl, zaparkowali gdzieś przy cmentarzu, „odpoczywając przed kolejnym wezwaniem”. A więc dlaczego w trzecim biurze po prawej stronie, w którym zazwyczaj jego zastępcy wypełniali raporty, paliło się światło?

Prawdopodobnie jakiś półgłówek o ptasim mózdzku - Joel znów pomyślał o Earlu - zapomniał o ostatnim zarządzeniu, by oszczędzać prąd. Krzywiąc się na myśl o boleśnie wysokich rachunkach, które uczyniły już z niego „pożerającego kilowaty gliniarza z Buck County”, Joel sięgnął ręką w stronę uchylonych drzwi.

I zamarł z dłonią blisko wyłącznika, słysząc głos Franka Ashforda. Nie był zaskoczony tym, że go tu zastał po godzinach. Rozwiedziony Ashford interesował się wyłącznie pracą, rywalizując z Joelem o reputację największego pracoholika. Coś dziwnego w głosie Franka sprawiło, że Joel nie wszedł do środka. Cichy, tajemniczy ton, który wydawał się zupełnie nie na miejscu.

Stał i przez kilka minut uważnie słuchał. I te minuty całkowicie odwróciły jego myśli od krągłości jego żony i zapachu jej włosów.

Claire wyszorowała zęby i umyła się jak zwykle przed pójściem do łóżka. Specjalnie poszła do kuchni po szklanek wody, żeby ojciec zobaczył ją w szlafroku, ale nie miała najmniejszego zamiaru iść spać.

Nie położy się, dopóki się nie dowie, czy Spence dotrzymał swojej obietnicy, że się z nią spotka. Wymknie się z domu i zajrzy do domu myśliwskiego. A jeśli tam go nie znajdzie, poszuka w grocie mimo ostrzeżeń ojca i Joela, że urwisko jest bardzo niestabilne. Jeżeli tego nie zrobi, nie będzie mogła zasnąć przez całą noc, zamartwiając się tym, że Spence mógł spaść i skrócić sobie kark, tak samo jak Adam Strickland. Ta obawa zawładnęła teraz jej myślami, spychając na dalszy plan sprawę Megan Martin i jej bransoletki.

W połowie wiadomości o dziesiątej ojciec wreszcie podniósł się sztywno z fotela i przeciągnął się.

- Idę spać - oświadczył. - Chyba że masz mi coś jeszcze do powiedzenia.

Pokręciła głową, wzdragając się przed tym, że on i Joel znów będą ją od rana zamęczać pytaniami o to, gdzie jest Spence. Tak jak przez ostatnie kilka godzin to robił, bo koniecznie chciał się dowiedzieć, gdzie

była i co się stało z jej wozem. Broniła się, wypowiadając na głos obawy o jego zdrowie, gdyż widziała, jak bardzo jest wyczerpany.

To oczywiście, że doprowadził się do tego stanu z powodu jej zniknięcia, a teraz, po uldze, którą przyniósł mu jej powrót, wyglądał, jakby w każdej chwili mógł zasnąć. Kiedy Meg poszła już do domu, Claire uparła się, by zadzwonić do kardiologa z San Antonio. Pielęgniarka poprosiła ją, by chwilę zaczekała, i poszła skonsultować się z doktorem Cohenem; potem znów podniosła słuchawkę i doradziła, by pan Meador dobrze się wyspał i zgłosił na wizytę nazajutrz rano.

Jak zwykle wzbraniał się przed tym, ale Claire nie zamierzała ustąpić.

- Obudzę cię jutro wcześniej rano i zrobię nam porządne śniadanie przed wyjazdem do miasta. - Mimo obaw, które jak sępy krążyły jej w głowie, zmusiła się do uśmiechu. - W końcu przyda się nam obojemu porządny posiłek na początek dnia.

Tego wieczoru wrzuciła na patelnię delikatne mięso z kurczaka, cebulę i trochę czerwonej i zielonej papryki. Podała to z ryżem i surówką ze sklepu. Jednak oboje prawie nie tknęli jedzenia. Za każdym razem, kiedy Claire brała je do ust, ból chwytał ją za gardło, tak jakby próbowała przełknąć srebrne serduszka z bransoletki Meg albo Glorii Hajek.

Nim wszedł do sypialni, ojciec przytulił ją i pogłaskał po policzku.

- Tak się cieszę, że wróciłaś do domu.

Znów musiały się ze sobą zmagać, by wykrzywić usta w uśmiechu; nie była w stanie wydobyć z siebie odpowiednich słów.

- Nie martw się o mnie-uspokajał ją ojciec, tak jakby zauważył jej zdenerwowanie. - Byłem na nogach przez całą ubiegłą noc. To wszystko. Nic mi nie jest, albo raczej nic mi nie będzie, jeśli teraz się porządnie wyspię. Ale jeśli usłyszysz jakieś dziwne hałasy, w ogóle cokolwiek, natychmiast mnie obudź. Postawię strzelbę przy łóżku. Tak na wszelki wypadek.

Wymuszony uśmiech, który kosztował ją już tak wiele wysiłku, zgasł. Spochmurniała. Równie dobrze ojciec mógł powiedzieć: „Na wypadek, gdyby Spence był na tyle bezczelny, by się tu pokazać”.

- Może mieszkamy na wsi, ale to nie Dzik Zachód. Lepiej zostaw tę strzelbę w szafce, żebym nie musiała się martwić, że postrzelisz Pogo, gdy będzie próbowała wśliznąć się do twojego łóżka.

W odpowiedzi wymamrotał coś niewyraźnie. Zrozumiała tylko tyle, że daremnie go prosiła, bo jego opiekuńcze instynkty wzięły górę.

Przez kolejne dwadzieścia minut krążyła nerwowo po holu i kuchni, a Pogo skakała przy niej, co chwilę wpadając jej pod nogi.

- Dasz mi wreszcie spokój? - burknęła rozżłoszczona.

Jednak gdy pies spojrzał na nią swoimi smutnymi brązowymi ślepiami, machając przy tym ogonem, przyklekła i objęła go za szyję.

- Przepraszam, kochana - szepnęła, drapiąc jedwabiste uszy.

Gdy Pogo czuła, że Claire jest zdenerwowana, zawsze robiła wszystko, by nie odstępować jej na krok. Teraz uniosła wąski pyszczek i polizowała swoją panią po podbródku.

Claire westchnęła z ulgą. Jednak powodem nie były wilgotne pocałunki Pogo, lecz chrapanie dobiegające z sypialni ojca. Dzięki Bogu! Liczyła, że kiedy, zmęczony, zapadnie wreszcie w głęboki sen, uda jej się jakoś wymknąć, a potem wrócić do domu i nie zostać przy tym porzeloną.

Szybko ruszyła do swojego pokoju, zdjęła szlafrok i spuściła podwinęte nogawki dżinsów, które miała pod spodem. Włożyła ciemnoniebieską koszulkę z długim rękawem, grube skarpety i trapey. Ponieważ nie chciała ryzykować, że zwabi kogoś na ranczo, „pożyczając” cadillaca ojca, a jazda na rowerze po ciemku była zbyt niebezpieczna, zdecydowała się iść na piechotę. Wiedziała, że to trochę potrwa - pewnie minie ze czterdzieści minut, nim dotrze do domku myśliwskiego.

Miała jedynie nadzieję, że do tego czasu Spence już tam będzie.

Proszę, niech czeka na mnie w domku myśliwskim, modliła się, i niech nie zbliża się do tego cholernego urwiska.

Najciszej jak mogła, zamknęła za sobą kuchenne drzwi. Potem odwróciła się, próbując uciszyć Pogo, która rzucała się na nią i piszczała.

Przeklinając pod nosem, wypuściła owczarka, zanim rozszczeka się tak głośno, że mógłby zbudzić umarłego. Najwyraźniej Pogo stwierdziła, że trapey oznaczają, iż Claire zamierza wybrać się na spacer. Na spacer bez niej?!

- W porządku. Możesz ze mną iść - burknęła Claire, gdy trzynoga suczka tańczyła wokół niej radosny taniec, szczekając i popiskując z podniecenia. - Ale trochę ciszej, mała - potrząsnęła groźnie latarką. - Bo jak nie, to będzie to twój najkrótszy spacer w życiu.

Rozdział 31

Zarząca się końcówka papierosa zwróciła uwagę przyczajonego w ciemnościach Spence'a na mężczyznę podającego się za Giovanniego Baptistego.

Palił na nowej werandzie wybudowanej na tyłach zabytkowego domu Hajeka, wzniesionego z kamieni i drewna cedrowego, jeszcze większego niż dom na ranchu ojca Claire. Giovanni - bo Spence wciąż w myślach tak go nazywał - był sam i stał przy balustradzie pod rozłożystymi konarami orzechowca. Choć poświata księżycza lekko tylko rozjaśniała mrok, Spence miał wrażenie, że Włoch patrzy w stronę potoku.

Za plecami Giovanniego z dwóch okien sączyło się słabe światło. Spence przez chwilę się w nie wpatrywał, by upewnić się, że nikt przez nie nie wygląda. Przy okapie nad kuchenką paliła się lampka, reszta domu tonęła w ciemnościach.

Spence miał szczęście. Łatwiej będzie mu poradzić sobie z jednym mężczyzną niż z dwoma. Jeśli nie spodobają mu się odpowiedzi, jakich udzieli mu Giovanni, będzie mógł go związać, zanim przeszuka dom i zwiąże Randalla. Liczył na to, że ten mocno śpi.

Zbliżył się do swej ofiary na tyle, by poczuć goździkowy zapach zagranicznych papierosów. Choć noc była chłodna, Giovanni miał na sobie tylko jedwabne spodnie od piżamy. Idealny strój w jego profesji, pomyślał Spence z niesmakiem.

Ponieważ Włoch wydawał się nie dostrzegać nieproszonego gościa, Spence podkradł się, usiłując wypatrzeć, czemu Giovanni tak uważnie się przygląda. Jego postawa - to, jak trzymał ramiona i łokcie, wyprostowany kark i wysoko uniesiony podbródek - nie wskazywała na to, że delektuje się muzyką owadów i chłodnym, świeżym powietrzem. Raczej na coś czekał, ale Spence w słabym świetle nie widział wyraźnie jego twarzy.

Zastanawiał się, czy Giovanni wyobraża sobie właśnie liczne rezydencje wokół szmaragdowozielonego pola golfowego i szeroki strumień dolarów płynący do kieszeni jego i Randalla. Jednak biorąc pod uwagę kartotekę Baptistego, pewnie miał on już jakiś plan, jak wykluczyć swego kochanka z tego interesu. Może nawet go zamorduje, jeśli uzna, że to konieczne.

Wciąż patrząc w tym samym kierunku co Baptiste, Spence zauważył daleki błysk - coś, jakby wąskie światło latarki poruszało się wśród drzew na Monarch Ranch. Światło szybko znikło. Spence zastanawiał się, czy to Claire zmierza do domku myśliwskiego z latarką w ręce. I zadawał sobie pytanie, czy Giovanni też to zobaczył.

Musiał tam dotrzeć, zanim się rozminą. Zdenerwowany, podszedł bliżej do werandy. Pusta łupina orzecha pekanowego, pozostawiona prawdopodobnie przez wiewiórkę, trzasnęła mu pod stopą.

Giovanni spojrział w kierunku dźwięku, chyba bardziej z ciekawości niż wystraszony. Pewnie pomyślał, że to pancernik albo opos. A już na pewno nie spodziewał się tego, co za chwilę miało go spotkać.

Gdy Baptiste rozpoznał ludzką sylwetkę wynurzającą się z ciemności, zakrzuszył się dymem, który w zaskoczeniu wciągnął do płuc. Jednak najwyraźniej wyrobił w sobie odpowiednie odruchy, siedząc w więzieniu. Gdy już zareagował, poruszał się znacznie szybciej, niż zakładał wcześniej Spence.

Claire miała przed sobą długą wędrówkę. Wystarczająco dużo czasu, by dotykać palcami bransoletki w kieszeni i zastanawiać się nad tym, o co, u diabła, chodzi z tą Meg. Choć bardzo chciała uwierzyć w jej historię, coś tu nie pasowało.

Przed wszystkim Ellen była przekonana, że panuje nad burzą hormonalną swojej trójki nastolatków. Kiedy nie mogła poradzić sobie z tym, że jej synowie oglądają pornograficzne strony w Internecie, wyrzuciła im komputer i wciąż się wściekała, że najmłodszy z nich, John, robi ze swoją dziewczyną rzeczy, na które jest jeszcze za młody. Claire wiedziała, że gdyby Ellen denerwowała się z powodu jakiegoś studenta, który pojawił się w życiu jej córki, to z pewnością by już mnóstwo na ten temat usłyszała.

Claire martwiło też zachowanie samej Meg. Przypomniała sobie sytuację, kiedy goniła mężczyznę uciekającego przez las, a Meg zdołała jedynie powiedzieć „Chyba znam...”, zanim Claire ułamała gałąź i pobiegła za intruzem, który właśnie ją przewrócił. Nie po raz pierwszy pożałowała, że ma taki temperament. Dlaczego nie poczekała tych kilku chwil, żeby wysłuchać dziewczyny do końca? Jeśli jednak Meg go poznała czy choćby podejrzewała, kim jest, to czy nie powinna wspomnieć o tym Joelowi?

I czy gdyby teraz ją o to zapytać, czy potwierdziłaby to, że człowiekiem, który rozbił terenówkę, był kochanek Randalla Hajeka? A może

powiedziałyby, że to ktoś inny? Może nawet ten, kto dał jej bransoletkę?

Gdy Claire mijała biuro i stajnie na Monarch Ranch, ciemności zmusiły ją do włączenia latarki. Pogo wyżyła się trochę, usiłując złapać promień światła, a potem znów pobiegła radosnym truchtem, wyprzedzając o kilka kroków swoją panią.

Claire szybkim, równym krokiem minęła ogrodzone pastwiska, lecz zamarła w bezruchu, czując nagle ostre ukłucie w prawym boku.

Ogarnęła ją fala paniki. Serce biło jej jak szalone, a całe ciało pokryło się zimnym potem. To nie może się stać! Nie tym razem. Proszę.

Lecz jej błagania nie mogły zatrzeć wspomnień, które uderzyły ją z siłą pędzącego pociągu. Już to kiedyś przeżyła. Ten sam rodzaj bólu - tego dnia, gdy wylądowała na chirurgii, z krwotokiem wewnętrznym i pękniętym jajowodem.

Czemu nie umówiła się na wizytę u ginekologa, kiedy zaczęła podejrzewać, że jest w ciąży? Lekarz znał jej historię i wiedział, jak niewiele brakowało, by się wykrwawiła, gdyby Spence nie przywiózł jej na izbę przyjęć. Jednak mimo stresu związanego z aresztowaniem Spence'a pragnęła tego dziecka, tego jedyne go promyka nadziei na przyszłość. Pragnęła go tak bardzo, że odkładała wizytę u lekarza.

Jesteś śmieszna, pomyślała. To ukłucie to zaledwie cień tego rozdzierającego bólu, który czułaś tamtego straszliwego dnia w ubiegłym roku.

Żyła ostatnio w takim napięciu, a teraz szła tak szybkim krokiem... Nic dziwnego, że złapał ją mały skurcz.

Pozostawało tylko pytanie, czy dopuści do tego, by lęk powstrzymał ją od zrobienia czegoś, co musi zrobić? Czy zawróci, a może nawet poprosi ojca, żeby zawiózł ją do szpitala, tylko po to, by się dowiedzieć, że to jedynie nerwowe skurcze?

Pogo odwróciła się i podbiegła do niej, najwyraźniej podobała jej się ta dziwna nocna przygoda i chciała, żeby trwała dalej. Było widać, że boi się zapuszczać sama w ciemności. Jak miniaturowa Lassie, prowadząca jednego z przewodników, by uratować Timmy'ego, jej owczarek znów pobiegł naprzód.

Claire ostrożnie podążyła za nią, tym razem już wolniej. Gdy nie poczuła bólu, ściskający jej gardło niepokój trochę ustąpił.

Wszystko będzie dobrze, zapewniała samą siebie. Gdy tylko spotka się z mężem, od razu poczuje się znacznie lepiej.

Rozdział 32

Największą zaletą budzików jest to, że można je kupić niemal wszędzie. Prawie w każdym sklepie ze sprzętem elektrycznym, z artykułami gospodarstwa domowego, a nawet w spożywczym. Zazwyczaj są równie tanie, co powszechne, a ponieważ zupełnie nie rzucają się w oczy, nie zwracają niczyjej uwagi, gdy płaci się za nie w kasie.

Mają jednak jedną wielką wadę: niejednokrotnie źle chodzą. Zwłaszcza te najtańsze. Nawet jeśli są zupełnie nowe, te cholerstwa często nie wskazują właściwej godziny...

A więc budzik nastawiony, powiedzmy, dokładnie na dwunastą w nocy może zadzwonić nawet całą godzinę później...

Albo równie dobrze całą godzinę wcześniej.

Giovanni szedł do drzwi prowadzących do kuchni, gdy Spence doskoczył do niego. Obaj się przewrócili, a Spence uderzył łokciem w futrynę. Jego ramię przeszły ostry ból. Jednak sądząc po urywanym, zduszonym okrzyku, Giovanni oberwał jeszcze gorzej.

- Złaź... złaź ze mnie. Cholera! Połamiesz mi żebra, ty pierdolony świrze.

Pod wpływem lęku i bólu włoski akcent Giovanniego ulotnił się bez śladu, ustępując czystemu akcentowi ze Środkowego Zachodu.

Spence podźwignął się i zamknął drzwi. Jeśli Randall usłyszał krzyk swojego kochanka, pewnie zadzwoni do biura szeryfa albo przybiegnie na ratunek. Na wypadek gdyby zdecydował się przybiec, Spence przycisnął Giovanniego plecami do drzwi.

- Zamknij się, do diabła! - syknął. - Chcę ci zadać parę pytań, a mam mało czasu.

Giovanni jak wampir wpił się wzrokiem w jego twarz i wchłaniał każdy jej szczegół.

- To ty jesteś tym niegodziwym przestępcą. Tym okropnym człowiekiem, który próbował zabić swoją żonę. - Po zdumiewająco krótkim czasie pseudoeuropejski akcent powrócił. - Czego ty, na Boga, ode mnie chcesz?

- Chcę wiedzieć, co ty, u diabła, wyprawiasz? Wiem o terenówce. Wiem o ogrodzeniach. I wiem też o twojej małej inwestycji w nieruchomości.

- Co... co ty sugerujesz?!

Spence puścił jego ramię, łapiąc go za gardło.

- Nic nie sugeruję, ty załosna kupo gówna. Wiem, że już ubiłeś interes, ma tu być pole golfowe. I wiem, że aby doprowadzić to do skutku, chcesz zmusić moją żonę, żeby sprzedała ci ziemię.

- Nie wiem, o czym ty mówisz...

Spence'owi przypomniało się imię, które wspominała Claire.

- Marjorie mi wszystko powiedziała, więc daruj sobie te brednie.

A przynajmniej miał nadzieję, że było jej na imię Marjorie. Giovanni szarpnął się, jakby spadł na niego cios. Kręcąc głową, wykrztusił:

- Ta suka cię okłamała. Przysięgam. Ja bym nigdy...

- Znam twoją przeszłość, Vincenti. Wiem, że siedziałeś i za co. A teraz mi powiedz, czy Randall jest twoim współnikiem, czy z niego też zamierzasz zedrzeć skórę? Mówisz mu, że go kochasz? Mówisz wszystkim tym facetom to, co chcą usłyszeć, żeby zdobyć ich zaufanie...

- Nie!

Spence usłyszał okrzyk bólu na lewo od siebie. Błyskawicznie odwrócił się w tym kierunku. I wtedy zobaczył Randalla Hajeka - chudy i drżący, stał w szlafroku, zaciskając bladą dłoń na balustradzie werandy. W drugiej ręce trzymał olbrzymi rewolwer; broń połyskiwała w świetle sącącym się przez kuchenne okno.

W ciszy, która nagle zapadła, rozległ się tylko jeden dźwięk: kliknięcie broni, gdy ten drobny mężczyzna odciągnął kurek.

W domku myśliwskim nie było ani śladu po Spencerze, Claire stwierdziła też, że nikt tu nie był od tej straszliwej nocy, gdy go postrzeliła.

Skorpion zaniepokojony jasnym promieniem latarki przemknął po zakurzonej podłodze. Claire chwyciła Pogo za obrozę, kiedy owczarek szczebkał i szarpnął się w tym kierunku.

- Zapomniałaś już o tym ostatnim uządleniu w nos? - Wyciągnęła psa na zewnątrz i zamknęła za sobą drzwi.

Choć Pogo bała się wszystkiego, co było większe od polnej myszy, to uważała najwyraźniej, że honor nakazuje jej bronić swojej pani na śmierć i życie, jeśli zagraża jej skorpion lub pająk.

Przed domkiem myśliwskim Claire przykucnęła na chwilę, by ją pogłaskać i pochwalić. Ziewnęła. To był długi dzień wielu, wielu trudnych przeżyć. Ogarnęło ją znużenie. Ale wiedziała, że nie zaśnie, dopóki nie sprawdzi, czy Spence jest przy urwisku, w grocie, o której wspominał.

- Niech on tam będzie, proszę - szepnęła.

Wstając, przycisnęła dłoń do brzucha. Czy to kolejny skurcz?

Odczekała chwilę, a potem doszła do wniosku, że jest tak zmęczona, że już sama nie wie, co czuje. Odwróciła się i w ciemnościach powlokła w stronę potoku.

Lufa wielkiego rewolweru przesuwała się jak wahadło. Randall Hajek mierzył to w Spence'a, to w Giovanniego. Jego rzadkie, jasnobrazowe włosy były zmierzwione, tak jakby jeszcze przed chwilą spał, a w pogniecionym niebieskim szlafroku wyglądał na o wiele chudszy, niż Spence go pamiętał.

Czy ten człowiek jest poważnie chory?

Oczywiście, że jest, pomyślał Spence w przebłysku zrozumienia. Człowiek taki jak Giovanni wybierał przecież najsłabszych starszych mężczyzn. Jednak teraz nie to było najważniejsze - teraz Spence najbardziej obawiał się broni w drżącej ręce Randalla.

- Odłóż to, zanim komuś coś się stanie - powiedział stanowczo, z przekonaniem, którego wcale nie miał. Rozpoznał broń: magnum czterdziestkaczkówka, model popularny w czasach, gdy Clint Eastwood przerażał niedobrych facetów jako Brudny Harry. Randall ledwie mógł utrzymać ciężki rewolwer i podobnie jak większość fanów filmu, którzy kupowali takie cholerstwa, pewnie nie miał żadnego doświadczenia z bronią.

Ale to nie przeszkodzi mu zrobić dziury wielkości melona w każdej rzeczy, którą przypadkiem trafi.

Ignorując Spence'a, Randall błagał swojego partnera:

- Powiedz, że on kłamie, Vanni. Powiedz mi, że ten sukinsyn kłamie, a zaraz go dla ciebie zastrzelę. Dla nas.

Giovanni próbował coś wyjąkać, ale Spence go przekrzyczał:

- Nie bądź głupcem, Randall. Ten facet już dwa razy siedział w więzieniu i Bóg jeden wie, ile razy mu się upiekło. Defraudacje, wymuszenia, szantaż, a ofiarami zawsze padali starsi zamożni mężczyźni, bo to z takimi się wiązał.

Randall spojrzął na niego gniewnie.

- Skąd to możesz wiedzieć? Skąd ty w ogóle cokolwiek możesz o nim wiedzieć?

- Nie zapominaj, że jestem gliną. I mam przyjaciół w policji, których naprawdę zainteresowały moje ostatnie problemy. Zaczęli przyglądać się

temu, kto może odnieść korzyści z moich kłopotów i ze zmuszenia mojej żony do sprzedaży ziemi kupionej od twojej ciotki. Ten twój koleś pojawił się tu, bo wszyscy mężczyźni, których...

-Przysięgam, kochanie, oni dla mnie nic nie znaczyli. - Giovanni utkwiał wzrok w twarzy Randalla, składając dłonie jak do modlitwy. - Zupełnie nic. A ty jesteś kimś szczególnym. Jedynym, którego kiedykolwiek...

-Ty... Mówiłeś mi przecież, że mnie kochasz. - Głos Randalla załamał się, w oczach zabłyśły łzy, a dłoń z wielkim magnum jeszcze bardziej zaczęła się trząść. - Mówiłeś, że czekałeś całe... całe życie... żeby... żeby spotkać kogoś takiego... jak ja.

Giovanni, w którego teraz wycelowana była lufa rewolweru, opadł na kolana. Spence pomyślał sucho, że ten facet ma niezłą strategię: błagalna pozycja jest skuteczna.

- Ja naprawdę się w tobie zakochałem, Rand. Przysięgałem, że będę przy tobie aż do samego końca, bez względu na to, co się stanie. I to właśnie robię. Kto ci podaje lekarstwa, spotyka się z pielęgniarką z hospicjum, zmienia te worki z twoim... z twoim gównem, gotuje ci jędze...

Gdy lufa rewolweru przesunęła się w kierunku Spence'a, powiedział:

-Tak naprawdę, Randall, to on poderwał agentkę nieruchomości z San Antonio, grubą rybę. Już zbierają inwestorów do tego projektu, który sobie wymyślili. I żeby doprowadzić to do skutku, potrzebne im jeszcze tylko rancho Claire.

-To kłamstwo, wierutne kłamstwo! - krzyknął Giovanni. - Cała ta inwestycja zmieści się na ziemi, którą już ma...

Przerwał, a jego oczy zrobiły się okrągłe z przerażenia, bo uświadomił sobie, co właśnie powiedział. Niezdarnie podnosząc się z kolan, znów złożył błagalnie dłonie.

- Planujemy to jako rodzaj hołdu dla ciebie, Randall. Coś, co uczci twoją pamięć, kiedy już ojedziesz. Nazwiemy to Aleją Randalla.

-No popatrz, popatrz - zakpił Spence. - Rozległe pole golfowe otoczone wielkimi domami, które można drogo sprzedać albo wynająć. Konserwatywne rodziny i ich konserwatywne prywatne kluby będą odprawiać nabożeństwa żałobne za tego geja, którego „hojność” sprawiła, że ich hipoteki zostały poważnie obciążone. Daj spokój, Randall... Nie jesteś taki głupi. W głębi serca na pewno wiesz, że takiemu facetowi jak

Giovanni chodzi o coś więcej niż tylko zabawianie się w pielęgniarkę przy podstarzałym, chorym mężczyźnie...

- Ale... ale ja go kocham. - Głos Randalla załamał się pod ciężarem bólu i niedowierzania. -I od początku rozumiałem, a przynajmniej jakaś część mnie to wiedziała, że pieniądze też miały znaczenie. Lecz który bogaty biznesmen tego nie wie, żeniąc się ze wspaniałą blondynką młodszą od niego o dwadzieścia lat? Albo znajdując sobie takiego cudownego faceta jak Giovanni, z którym może spędzić swoje ostatnie dni?

- To nie jest nawet Giovanni. - Spence starał się, by jego głos był cichy i spokojny. - Tak naprawdę nazywa się Vincenti, ale używał też innych nazwisk. Zmieniał je za każdym razem, kiedy zmieniał partnera.

Mówiąc to, powoli przysuwał się do Randalla - skoczy na niego z werandy, jeśli będzie do tego zmuszony.

- Nie ruszaj się. Ani kroku dalej - ostrzegł Randall. - Strzelę. Przyśięgam. Ty i ta dziewczyna od Meadorów ukradliście połowę mojej ziemi, a teraz próbujecie jeszcze ukraść mi resztki spokoju w moich ostatnich dniach. Wstrętne wścibskie gnojki. Zawsze papraliście mi życie. Zawsze zadzieraliście z moją rodziną.

Mimo że groził, lufa jego rewolweru zaczęła opadać. Najwyraźniej chory był coraz bardziej zmęczony. Giovanni też zrobił krok do przodu, przewidując, że Spence jakoś na te słowa zareaguje.

- Znalazłem jej listy. Glorii - ciągnął Randall. - Wsunęła je za tapetę. Teraz rozumiem, dlaczego uciekła, i zastanawiam się, czy nie powiedzieć wszystkim o...

Giovanni jeszcze bardziej się do nich zbliżył i całej trójce puściły nerwy: Spence domagał się, żeby obaj się nie ruszali, Giovanni krzychał do Randalla, żeby zastrzelił Spence'a, a Randall po prostu wrzeszczał i znów zaczął unosić w górę magnum. Spence nie miał już wyboru. Musiał na niego skoczyć, zanim uprzedzi go Giovanni. Wszyscy trzej przewrócili się - Spence powalił Randalla dokładnie w chwili, gdy wyższy, ale szczuplejszy od niego Giovanni uderzył go od tyłu. Rewolwer przeleciał w powietrzu i upadł na stertę starych liści orzechowca.

Spence miał największe szanse, by osiągnąć broni. Z nich trzech to on był najsilniejszy. Policyjne doświadczenie dawało mu przewagę, wiedział, jak przechwycić broń podczas bójki.

Jednak w tym momencie jego uwagę odwrócił głośny huk eksplozji, dobiegający od strony strumienia - zupełnie jakby rozbił się tam samolot. W jednej chwili wszystkie jego myśli pomknęły do więzki światła,

którą wcześniej widział między drzewami. Claire! Umówił się tam z nią na wypadek, gdyby ich coś rozdzieliło!

I ten ułamek sekundy wystarczył Giovanniemu. Miał dłuższe ręce, złapał więc leżący na ziemi rewolwer i wycelował w tego wstrętnego gliniarza, który właśnie go wydał.

Rozdział 33

Kaszel sprawił, że Claire się ocknęła. Jej ciało rozpaczliwie walczyło, aby pozbyć się z płuc duszącego dymu i pyłu.

A wraz ze świadomością pojawił się ból. Coś ciężkiego i twardego przygniatało jej prawą nogę. Zrzuc to, krzyczała jej umysł, i nagle jej ręce ożyły, zaczęła macać wokół siebie. Usłyszała grzechoczący deszcz piachu i kamyków, odbijał się echem dookoła niej, tak jakby wszystkie dźwięki zostały uwiecznione w skalnej komorze.

Tak jakby to ona była uwieczniona...

Gdy powróciły strzępy wspomnień, sparaliżował ją lęk. Grota... Znalazła linę i uprząż, przywiązane do mocnego drzewa rosnącego nad urwiskiem. Robota Spence'a, tego była pewna. Pamiętała, że mówił o tym, jak ich używał, gdy zaczął badać jaskinie parę tygodni temu.

Czy odważyła się po niej spuścić? Przypomniała sobie, że paskiem przywiązała Pogo do drzewa w bezpiecznej odległości od skraju urwiska. Ale potem było już tylko echo. Echo czego? Czegoś potężnego, co eksplodowało w jej uszach jak grzmot. Chyba nie wiał wtedy wiatr ani nie padał deszcz. Czy to możliwe, żeby trafił ją piorun?

Noga bardzo ją bolała. Claire spróbowała usiąść i wznieciła kolejną kaskadę pyłu. Znow wstrząsnął nią atak kaszlu, a jej płuca wypełniło coś, co pachniało i smakowało jak spalone powietrze. Wyprostowała się i czubkiem głowy uderzyła w coś twardego - tak mocno, że w oczach stanęły jej łzy.

- Spence? - powiedziała płaczliwym, zachrypniętym głosem. - Proszę, zabierz mnie stąd.

Chciała jak najszybciej pozbyć się bolesnego ciężaru przygniatającego jej kostkę, więc przekręciła się na bok, a potem sięgnęła do swojej prawej nogi. Szukające po omacku palce natrafiły na kamienie. Niektóre

były twarde i wielkości pięści, inne pod dotknięciem rozsypywały się w proch. Odłamek skały większy i o wiele cięższy niż Pogo przygniatał jej podudzie i ani drgnął, mimo że z całych sił próbowała go zepchnąć.

Dobry Boże. Było tak ciemno, jakby przed jej oczami zapadła obydianowa kurtyna. Poczowała, jak ogarnia ją fala paniki na myśl, że inny odłamek musiał trafić ją w głowę. Mocno i boleśnie, skoro straciła przytomność.

Czy to możliwe, że oślepla?

Desperacko wyciągnęła szyję, rozglądając się w górę, w dół i na boki i próbując uwolnić zranioną nogę. Czy to... Chwileczkę. Wpatrywała się w coś, co wyglądało jak jaśniejsza plamka... Potem zobaczyła jeszcze jedną... albo ciemność nie była w tych miejscach tak głęboka. Zmrużyła oczy i stwierdziła, że ta najbliższa jasna plamka jest jakieś pięć metrów przed nią i dwa-trzy metry do góry. A więc widziała. Przynajmniej trochę. Ale jak się przeczłogać albo wspiąć ku temu, co być może jest nocnym niebem, skoro jej noga tkwi w pułapce? Jak uda jej się stąd wydostać bez niczyjej pomocy?

- Spence! - zawołała, zastanawiając się, czy był tu przed nią albo czy mogło go zranić lub nawet zabić to... Wróciła jej pamięć, a wraz z nią pojawiła się myśl: grota się zapadła.

Przed oczami stanął jej przerażający obraz. Ujrzała siebie, jak zagłada za powalone drzewo, które opisał Spence, i jak wchodzi do groty, szukając znaków jego obecności. Kiedy nic nie znalazła, oświetliła latarką inne groty.

A potem... Czy urwisko się zapadło, tak jak ją ostrzegano? I skąd ten hałas? Wybuch, na którego wspomnienie wciąż dzwoniło jej w uszach? I ten dziwny zapach spalenizny w nozdrzach?

I co, u diabła, stało się z latarką?

Zaczęła szukać wokół siebie, próbowała poruszyć odłamki skał. Przerwała tylko na chwilę, by znów spróbować przesunąć kamień, który ją więził. Przygniecioną nogę przeszywał okropny rwący ból, przyćmiewający pulsowanie w głowie i pieczenie wielu małych skaleczeń. Ma chyba złamaną i zmiążdżoną kostkę! Nie czuła palców u nóg. W ogóle nie czuła stopy, tak jakby skała zgmiotła nerw... A może po prostu... nie ma już stopy?!

Przełykając gorzką ślinę, odsunęła od siebie tę przerażającą myśl. Nie czas się nad tym zastanawiać. Teraz musi przede wszystkim znaleźć tę cholerną latarkę. Przy jej świetle będzie mogła ocenić swoją sytuację

i poszukać drogi wyjścia - i może czegoś, co pozwoli jej przesunąć ten kawał skały. A co najważniejsze, poświęci w tę stronę, gdzie, jak miała nadzieję, są otwory. Tak, żeby Spence mógł ją tutaj znaleźć...

O ile jeszcze żyje, wyszeptał słaby głos w jej głowie. I jeśli to nie on celowo spowodował zawalenie się urwiska.

Na tę myśl poczuła ucisk w sercu. Przez chwilę nie mogła zaczerpnąć tchu. I pojawiło się kolejne ledwie uchwytnie dziwne wspomnienie...

Wspomnienie cichego tykania. Błysk czegoś niebieskiego i obraz wiązki lasek dynamitu, na które padło światło latarki, gdy tu zajrzała.

Z jej gardła wyrwał się jęk przerażenia - uświadomiła sobie z całą pewnością, że to nie siły natury sprawiły, że urwisko się zawaliło. Nie było żadnego uderzenia błyskawicy, żadnego zapadnięcia się groty wskutek wieloletniej erozji.

To mogła być tylko jedna rzecz. Nic innego.

Bomba, nastawiona tak, by zabić ją w czasie, gdy się tu pojawi. A o tym mógł wiedzieć tylko jej mąż...

Rozdział 34

Jeśli już tak się zdarzy, że jesteś drapieżnikiem w Teksasie, to północ jest twoją porą działania. Niezależnie od tego, czy jesteś kuguarem szukającym łatwej zdobyczy, powiedzmy małego pieska przywiązanego do drzewa, daleko od ludzkich siedzib, czy człowiekiem nasłuchującym odgłosu wybuchu, który na zawsze pogrzebie dowody twojej hańby. Ciemność jest twoim sprzymierzeńcem,

Albo przynajmniej tak ci się wydaje.

Jednak czasami światło zwycięża. Chmury nieoczekiwanie się rozstępują, a poświata księżyca zdradza twoje ruchy. Jakiś cichy dźwięk budzi czujność w stworzeniach aktywnych normalnie w świetle dnia i pozwala im się przygotować.

Jedno z nich postanawia zapuścić się w mrok, by rzucić ci wyzwanie na twoim własnym terytorium. I wtedy nie pozostawia ci żadnego wyboru: możesz je tylko zabić.

Choć Giovanni Baptiste siedział na niecałą długość ramienia od niego, mierząc z potężnego magnum, Spence sprężył się, skulił ramiona i zaatakował, próbując uderzyć całym ciężarem ciała w jego szczupłą klatkę piersiową.

Giovanni był szybszy: rewolwer wypalił z niesamowicie głośnym hukiem i Spence ogłuchł na lewe ucho. Cykady zamilkły, a w powietrzu unosił się zapach spalonego prochu.

Kula musiała przelecieć o włos od jego skroni, lecz Spence o tym nie myślał. Powalił lżejszego Giovanniego na plecy i walczył, by odebrać mu wielki rewolwer.

Poczuł cios w ramię. Pomyślał, że to Randall bije go kijem, jednak ten chory człowiek był za słaby, by naprawdę móc mu coś zrobić. Tymczasem Giovanni się nie poddawał. Jego paznokcie niczym szpony wbiły się Spence'owi w szyję, kolano mocno uderzyło w jego kość udową - ten mały gnojek próbował trafić go w krocze - a zęby wbiły się w nadgarstek, gdy dłoń Spence'a zacisnęła się na wciąż ciepłym magnum.

Spence czuł się tak, jakby wrzucono go do klatki z żywym tygrysem. Giovanni podłapał to i owo, kiedy musiał przetrwać w więzieniu. Jednak mimo bólu w ręce Spence jeszcze mocniej zacisnął palce na magnum i kopał z całych sił Giovanniego. Włoch wrzasnął i puścił kolbę rewolweru. Wyrwijąc mu broń, Spence przetoczył się na bok i błyskawicznie wstał. Spojrzał na Randalla, który znów podnosił swój kij, i ostrzegł:

- Natychmiast go rzuć. Obaj jesteście aresztowani.

Miał wątpliwości, czy zbieg zwolniony z policji może kogoś aresztować, jednak wyglądało na to, że żaden z mężczyzn nie zamierza dyskutować z wielkim, przerażającym magnum. Brudny Harry chyba dobrze ocenił jego siłę perswazji.

Celując w Giovanniego, Spence rozkazał:

- Mów, co wiesz o tym hałasie nad potokiem. I trzymaj te cholerne łapska w górze, dopóki ci nie powiem, że możesz je opuścić.

Randall próbował wykonać ten rozkaz, ale wyraźnie nie miał na to sił.

- A ty - rzucił Spence - siadaj na tamtym leżaku. Możesz położyć ręce na udach, dłońmi w dół; i się nie ruszaj! Bo przysięgam, że złoto-włosemu się oberwie.

- Ja... Nic nie zrobię.

Wszyscy trzej weszli na werandę. Randall osunął się z pełnym bólu westchnieniem na kwieciste poduszki na leżaku.

-A teraz gadaj - rozkazał Spence Giovanniemu, który schylił się, by rozetrzeć bolące kolano. -I podnieś te cholerne łapska do góry.

- Nie mam pojęcia, co to był za hałas. - Giovanni zrobił znudzoną minę. - Nie mam najmniejszego pojęcia.

Włoski akcent znów stał się wyraźniejszy i Spence zastanawiał się, czy ten facet jako nastolatek nie pracował przypadkiem gdzieś w głębi kraju w jakiejś pizzerii. Albo brał lekcje aktorstwa, by zbić kapitał na ślicznej buzi, z którą się urodził. Szkoda, że wykorzystywał ten dar, by naciągać takich ludzi jak Randall.

- Bzdura - warknął Spence. - Widziałem, że gapiłeś się w tę stronę. Wyglądałeś, jakbyś na coś czekał. Co to, u diabła, było? Brzmiało jak eksplozja.

Giovanni wzruszył ramionami.

- Też tak myślę. Patrzyłem na światło. Wydawało mi się, że ktoś tam jest. Być może ktoś z latarką.

Okropne przecucie ścisnęło Spence'a za gardło, sprawiając, że wypuścił powietrze. Te słowa potwierdziły jego obawy. Claire. Nagle zupełnie przestały go obchodzić sprawy Giovanniego, jego plany, by zmienić tę ziemię w zatłoczony raj dla młodych karierowiczów, i ślepe pragnienie Randalla, by dalej się łudzić, mimo że poznał prawdę.

Nie zależało mu już na niczym prócz tego, by znaleźć Claire i znów mieć ją w ramionach.

Ale nie mógł tak po prostu zostawić tych dwóch, żeby go dopadli albo zadzwonili do Joela Shepherd, który w oka mgnieniu przybyłby tu ze swoją kawalerią. Wycelował więc znów w Randalla, a on osunął się na bok w leżaku i sapał z bólu i wyczerpania.

Spence walczył ze sobą. Lecz w tej chwili nie mógł sobie pozwolić na litość.

- Mów, i to już! - zażądał. - Gdzie trzymasz jakieś liny?

Przychodzi taki moment, kiedy człowiek nie może już płakać, lęk, a nawet ból odpływają, a umysł tłumi uczucia.

Claire przekroczyła tę granicę, odsunęła od siebie wszystkie myśli, oprócz jednej: musi przetrwać. I musi przetrwać to dziecko, które nosi w sobie.

W tej chwili potrzebowała absolutnej koncentracji, tej samej siły i skupienia, na jakie zdobyła się w ciągu całej swojej dwuletniej wal-

ki o to, by zaplanować, zorganizować i zdobyć fundusze na realizację swego marzenia: ośrodka hipoterapii. Z tego marzenia nie zamierzała zrezygnować. Powinna wykorzystać to doświadczenie, cały swój upór i tę szczególną wewnętrzną pewność zrodzoną ze świadomości, że jest kochana. Na pewno przez przyjaciół i ojca. I przez mężczyznę, którego poślubiła - a przynajmniej było tak kiedyś, dawno temu, zanim pochłonęło go to niepojęte szaleństwo i smutek.

Teraz jednak musi przede wszystkim oswobodzić nogę. Jeśli nie znajdzie latarki, to może chociaż wpadnie jej w ręce coś, czego będzie mogła użyć jako dźwigni, by zsunąć z uda tę cholerną skałę. W końcu nie jest aż taka wielka, tylko po prostu płaska i ciężka. Za punkt podparcia posłużą leżące wokół mniejsze kamienie. Claire była wdzięczna losowi, że uważała w college'u podczas zajęć z fizyki, kiedy połowa jej kolegów i koleżanek spała na wykładach o maszynach prostych. Nieźle wtedy zakuwała, musiała to przyznać, i zamartwiała się swoją średnią, by odsunąć myśli o chorobie siostry.

- Dziękuję, Karen - powiedziała cicho.

I wtedy opuszki jej palców dotknęły ostatniej rzeczy, jakiej mogła się tu spodziewać. Najpierw strzępów czegoś, co przypominało plastik, a potem miękkiej suchej kępki, która rozpadła się w jej ręce.

Claire pomacała to coś ostrożnie; najpierw pomyślała, że znalazła puch w legowisku jakiegoś zwierzęcia, a być może skórę nieszczęsnego, od dawna nieżyjącego stworzenia, które wczółgało się do tej groty, by tu umrzeć. Jednak poszczególne pasma były o wiele za długie jak na znane jej zwierzęta.

- Włosy? - zapytała na głos ze strachem. - Ludzkie włosy?

Cokolwiek to jest, na nic się jej nie przyda. Przełknęła pył i na próżno pomyślała o tym, że nie wzięła ze sobą wody. Głupi błąd, fatalny w skutkach, jeśli nikt nie będzie jej tu szukał.

Otrząsnęła się z tych myśli i spróbowała wolną stopą przysunąć do siebie coś długiego i przypominającego maczugę. Gdy chwyciła to lewą ręką, zdała sobie sprawę, że może wykorzystać to jako ramię dźwigni.

Przedmiot był gładki, chłodny i zbyt lekki jak na kawałek skały, jednak na tyle twardy, by posłużyć jako dźwignia. Podnosząc się na łokciu, Claire stęknęła z bólu przeszywającego jej kostkę. Odczekała, aż małe żółte fajerwerki zniknąj przed oczu.

- Po prostu oddychaj - powiedziała sobie, zgrzytając zębami.

Chwilę później doszła do siebie na tyle, że wsunęła zaokrąglony koniec dźwigni pod dużą skałę. Następnie podłożyła mniejszy kamień tak, żeby ramię dźwigni było jak najdłuższe.

Teraz musiała już tylko przycisnąć ją w dół, by podnieść skałę. Przycisnąć, a potem jak najszybciej wyciągnąć ranną nogę.

Claire zadrżała w ciemnościach - nie czuła zimna, ale strach przed przerażającym bólem, który przeszycie ją, kiedy przesunie ten ciężar.

A co, jeśli zemdleje, a ten odłamek skały znów spadnie na jej kostkę? Na tę myśl zrobiło jej się niedobrze i z trudem opanowała mdłości. A jeśli jej stopa, której wciąż nie czuła, nie tylko była zmiażdżona, ale częściowo lub nawet całkowicie oderwana? Może tylko dzięki uciskowi ciężkiej skały nie wykrwawiła się na śmierć?

Lęk rósł, czaił się wokół niej, osaczał ją jak drapieźnik. I tym razem istniał już tylko jeden sposób, by go pokonać.

Zimna wściekłość na człowieka, który zwabił ją tu tak przebiegle, że prawie uwierzyła, że był to jej własny pomysł. Człowieka, który z jakichś powodów pragnął jej śmierci.

Może z powodu ubezpieczenia, a może był tak szalony, jak mówili wszyscy, którzy ją znali. Jedno wiedziała na pewno: w niczym nie przypominał tego z pozoru pełnego miłości, wrażliwego i seksownego mężczyzny z czasu, który spędzili razem już po jego aresztowaniu.

Spence Winslow jest drapieźnikiem. I niech ją szlag trafi, jeśli będzie tu po prostu leżeć i po cichu umierać.

Nieważne, ile bólu ją to będzie kosztować, nigdy nie pozwoli, żeby ten sukinsyn wygrał.

Spence zaklął, potykając się o splecione, suche chwasty. Upadł, uderzając lewą ręką o ziemię, i jego gojące się ramię przeszył rwący ból. Nawet z ogromną latarką, którą zabrał z domu Randalla Hajeka, z trudem pokonywał teren, przedzierając się przez pastwisko i las porastający stok w stronę strumienia.

Ale najgorszy był lęk. Spence'owi udało się go zwalczyć; pokonał ogrodzenie oddzielające rancho Hajeków od jego posiadłości. A może powinien powiedzieć: od posiadłości Claire?

W najczarniejszej chwili zrezygnował ze swoich praw do tej ziemi, tak jak zrezygnował z Claire. Ale ta chwila bezpowrotnie minęła, przysiągł sobie w myślach.

To, że Claire tak bardzo mu ufała, wierzyła w niego wbrew wszystkim „dowodom”, dało mu siłę, by odrzucić te czarne klapki, które za długo nosił już na oczach. Jeśli istniał jakiś sposób, jakikolwiek, by mógł kochać swoją żonę tak, jak na to zasługiwała, i leczyć własne rany miłością, którą mu dawała, to u diabła, zamierzał go znaleźć. Zamierzał zanurzyć się w życiu, w miłości i rodzinie równie chciwie, jak spalona słońcem ziemia chłonie deszcz...

Oby tylko Claire była teraz bezpieczna. Oby smacznie spała w swojej starej sypialni albo czekała na niego w domku myśliwskim.

Oby tylko się nie dowiedział, że eksplozja, którą usłyszał, mu ją odebrała.

Gdy zbliżył się do potoku, unoszący się w powietrzu pył przyćmił blask gwiazd. Zapychał mu gardło, sprawiając, że zakaszał. Co, u diabła, wisi w tym powietrzu?

Światło latarki rozproszyło się w czymś, co wyglądało jak brązowa-wozółta ściana pyłu. Poza tym nic przed sobą nie widział. Żadnej jaśniejszej smugi. A już na pewno niczego, co wskazywałoby na obecność człowieka. Otaczała go tylko ta dziwna, gęsta chmura i nienaturalna martwa cisza.

- Claire? - zawołał.

I usłyszał przed sobą jęk. Czy to ona, poważnie ranna?

Ostrożnie zagłębił się w chmurze pyłu. Kichnął, a potem znów zawołał jej imię.

Tym razem z ciemności dobiegły dwa dźwięki. Przerażone piskliwe szczeknięcie, w którym rozpoznał głos Pogo, i podekscytowany gardłowy pomruk, pomruk wielkiego kota.

Rozdział 35

To nie była wina Claire.

Nie zemdląca z bólu, choć w tych okolicznościach tak byłoby dla niej najlepiej. Krzyknęła, gdy ramię dźwigni trzasnęło i pękło na dwoje, a przechylona masa kamienia z powrotem przetoczyła się na jej ranną kostkę.

Zanim dźwignia pękła, odłamek nieznacznie się przesunął. Może jakieś pięć, sześć centymetrów, ale to wystarczyło, by Claire, szlochając,

wbiła palce w nogę poniżej kolana i usiłowała zablokować potworne rwanie. Jeśli te próby okazały się skuteczne, to i tak tego nie zauważyła. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, nim choć w niewielkim stopniu odzyskała panowanie nad sobą.

W tych ciemnościach czas nic nie znaczył...

Poza tym, że zaczynało go jej brakować.

Uświadomiła sobie, że doznała szoku. A ten szok nie pozwoli jej walczyć ani nawet spróbować się uwolnić.

Bo niby jak? Jak się otrząsnąć?

- Musisz - powiedziała sobie, przywołując wspomnienie Ellen, która nigdy się nie poddawała. I przypomniała sobie tych rodziców, którzy wciąż żyli dla swoich chorych dzieci.

Wciągnęła głęboki oddech, by się trochę uspokoić, i zaczęła szukać po omacku wokół siebie, aż znalazła złamany fragment swojej prowi-zorycznej dźwigni. Nie mogła sobie pozwolić na to, by znów zaufać, że ten przedmiot wytrzyma, więc użyła go jako przedłużenia własnego ramienia i przyciągnęła ku sobie skalne odłamki.

Wzbiło to jeszcze więcej pyłu; Claire zakaszłała, a potem szczęście wreszcie się do niej uśmiechnęło. Jej palce zacisnęły się na metalowej latarce.

- Dzięki ci, Boże. Dzięki ci, Boże - szepnęła.

Gorączkowo wcisnęła przycisk i aż krzyknęła z ulgi, gdy jasny promień przeciął brudną zawieszinę w powietrzu. Choć światło ginęło w wirującym pyłe, zdało jej się niemal cudem. Szybko poświeciła latarką wokół siebie, szukając czegoś, co pomógłoby jej wydostać się z tego więzienia.

Najpierw uświadomiła sobie, że eksplozja nie zwała całej ściany urwiska. Nad nią, jak się już wcześniej boleśnie o tym przekonała, znajdował się występ skalny i poprzecinane szerokimi czarnymi pęknięciami sklepienie. Rumowisko wokół niej - jasnobrazowe kamienie wielkości od ziaren grochu do rozmiarów sporego jelenia - przypominało skruszone ściany, które prawdopodobnie kiedyś oddzielały od siebie kilka grot. Ta jaskinia była z całą pewnością dłuższa i głębsza niż jakakolwiek z grot, które Claire pamiętała. No i nie miała wyjścia. Ponad głową Claire i przed nią piętrzyły się największe skały - tam, gdzie wcześniej dostrzegła coś, co nazwała w myślach jasnymi plamami. Wydawało jej się, że teraz je widzi. Kilka wąskich szczelin, które, jeśli będzie miała - szczęście, mogą okazać się drogą ucieczki.

Ale co jej z drogi ucieczki, jeśli nie będzie mogła tam dotrzeć? Oświetliła latarką niewielki głąz, pod którym uwięzła jej stopa. Okręcając się, zauważyła czubek buta, przechylony i sterczący na bok. Choć nadal nie mogła poruszać stopą, teraz poczuła w niej ból. I podziękowała Bogu, bo ból oznaczał, że jej stopa i palce nie są martwe. Zakładając, że nie ma żadnych obrażeń wewnętrznych, nie powinna wykrwawić się na śmierć.

Tyle że nie będzie to miało żadnego znaczenia, jeśli nie znajdzie sposobu, by się uwolnić.

Promień światła długiej metalowej latarki przybrał bardziej żółty odcień i ogarnęła ją panika na myśl, że prędzej czy później wyczerpią się baterie. Zaczęła szybciej badać przestrzeń wokół siebie, koncentrując się na każdym przedmiocie w jej zasięgu. Zaczęła od przedmiotu, którego użyła jako ramię dźwigni, zanim się złamał. I nagle jej oczy rozszerzyły się, bo uświadomiła sobie, jak bardzo się pomyliła.

To nie było żadne „ramię dźwigni”, tylko kość. A dokładniej kość udowa. Brudna, pożółkła i rozszczepiona w miejscu, w którym pękła. Claire nauczyła się rozpoznawać takie rzeczy na zajęciach z anatomii w czasie studiów i jeśli choć przez chwilę miała wątpliwości, czy kość jest ludzka, to prysły one na widok kępki włosów, leżących przy jej lewej ręce.

Kiedyś długie i proste, teraz były suche, łamliwe i zmatowiałe. Jednak latarka świeciła na tyle silnie, że Claire mogła z całą pewnością stwierdzić, że to włosy blondynki.

Jeszcze bardziej zaniepokoił ją zaokrąglony kształt pod tą złocistą masą włosów; znajdował się obok czegoś, co wyglądało na resztki starego niebieskiego brezentu. Z pomocą latarki przyciągnęła go do siebie. Ale kiedy przedmiot przetoczył się w jej stronę, pożałowała, że nie została tam, gdzie leżał.

Jęknęła, gdy zobaczyła idealnie okrągły otwór wielkości ćwierćdolarówki u góry i powłokę wysuszonego ciała, które, w poszarpanych strzępach, wciąż trzymało się kości.

Znalazła czaszkę! Ludzką czaszkę, która leżała na boku i teraz pa-trzyła na nią.

I kiedy Claire odwzajemniła to spojrzenie, nie wydając z siebie żadnego głosu, dostrzegła oskarżenie w ciemnych pustych oczodołach.

- Chodź tu, mała. Pogo!

Spence umyślnie głośno krzyknął, a potem zagwizdał, w nadziei, że głos dorosłego mężczyzny odstraszy coś, co, jak się obawiał, mogło być kuguairem.

Modlił się, by to, co słyszał, okazało się rysiemi albo kojotem, a może nawet wytworem jego własnej zniekanej wyobraźni. Bo nic mniejszego niż kuguar nie odważyłoby się zaatakować człowieka.

A nawet ataki kugarów nie zdarzały się często, choć czytał już relacje o tym, jak pumy próbowały upolować samotnego wędrowca. Zazwyczaj kogoś drobnej budowy, na przykład kobietę. Taką jak Claire, która zapewne przyszła tu sama, jedynie w towarzystwie psa.

Obawiając się najgorszego, Spence uniósł magnum Randalla i posuwał się naprzód w kierunku, z którego dochodziło podniecone szczekanie Pogo.

Promień latarki oświetlił coś płowego, coś, co odwróciło się w jego stronę i warknęło. Warkot przypominał dźwięk ze starej reklamy ford mercury. Zanim Spence zdążył zareagować, zwierzę dało susa i znikło w ciemności.

Jakieś pięć metrów od miejsca, w którym przed chwilą stał wielki kot, Pogo szarpała się z czymś, czym przywiązano ją do młodego drzewa. Machała przy tym tak zawzięcie ogonem, że Spence'owi wydawało się, że za chwilę jej odleci. Owczarek szczeknął jeszcze kilka razy za kuguairem, a potem zaczął wić się radośnie na widok swego od dawna niewidzianego pana.

- Dobra dziewczynka - powiedział Spence. Odłożył na bok broń i latarkę i odwiązał psa. - Gdzie twoja pani? Gdzie Claire?

Pogo, zbyt pochłonięta lizaniem go po twarzy, nie mogłaby mu odpowiedzieć, nawet gdyby umiała mówić. Spence odepchnął ją od siebie, nie dlatego, że nie cieszył się na jej widok, ale dlatego, że próbował zobaczyć, czym była przywiązana.

Rozpoznał pleciony, brązowy, skórzany pasek - Claire tak często go nosiła, bo podobała jej się srebrna klamra.

Owczarek naderwał go i przegryzł kilka pasemek, co przekonało Spence'a, że pies był tu już jakiś czas. Prawdopodobnie Claire chciała powstrzymać trzynogą suczkę, by nie próbowała pójść za nią, gdy po ciemku opuszczała się po zdradliwej ścianie urwiska.

- Claire! - zawołał głośno. Na tyle głośno, żeby odstraszyć kuguaara, gdyby zachciało mu się tu wrócić. A jeśli miałyby się obawiać o to, że

ktos depce mu po piętach, to i tak narobił już dość hałasu, żeby go tu ściągnąć.

Pogo wreszcie się uciszyła, tak jakby ona też nasłuchiwała odpowiedzi. Lecz do uszu Spence'a dotarł tylko piskliwy odległy krzyk nocnego ptaka.

Chłodny wiatr oczyścił powietrze z pyłu i Spence teraz lepiej widział, gdzie stawia stopy. Mimo to poruszał się ostrożnie, bo wspomnienie huk, który usłyszał, ostrzegało go przed niebezpieczeństwem. Jednak wizja Claire, rannej i leżącej w płytkiej wodzie u stóp urwiska, gnała go naprzód...

Nagle zorientował się, że ziemia pod nogami kończy się o kilka metrów bliżej niż dawna krawędź urwiska. Przypomniało mu się, że już wcześniej zauważył, jak bardzo było niestabilne, i zastanawiał się, czy osuwające się skały mogły wywołać hałas, który usłyszał z werandy na tyłach domu Hajeka. I czy Claire stała wtedy na skraju urwiska?

Ta myśl była jak cios w brzuch, przeszył go lęk tak pierwotny, że kolana się pod nim ugięły. Nie dostrzegł światła za swoimi plecami, dopóki nie usłyszał głosu.

- Gdzie ona jest? Gdzie Claire, ty draniu?

Spence błyskawicznie się odwrócił, zaciskając prawą dłoń na magnum, ale coś mu powiedziało, żeby nie strzelał. Ogon Pogo uderzał o niskie zarośla, tak jakby chciała powitać człowieka, który wyłonił z ciemności, ciężko dysząc.

Ojciec Claire trzymał w jednej ręce latarkę, a w drugiej strzelbę. Spence, patrząc na podwójną lufę, ostrożnie dobierał słowa:

- Myślę, że jest w pobliżu. Szukam jej. Ja... rozmawiałem z Randallem Hajekiem i tym jego koleśkiem, kiedy usłyszałem huk. I przybiegłem jej tu szukać, bo powiedziała mi, że tu się ze mną spotka. - Zaniepokojony coraz groźniejszym spojrzeniem Meadora, dodał szybko: - Nigdy bym jej nie skrzywdził, Will. Kocham ją. Kocham ją bardziej, niż potrafię to wyrazić. A teraz się boję, cholernie się boję, że coś jej się mogło stać.

Lufa dubeltówki opadła i starszy mężczyzna powiedział:

- Musimy ją znaleźć. Kiepsko się czułem, więc wstałem wziąć leki. Wtedy usłyszałem ten wybuch i coś... coś mnie ostrzegło... pobiegłem zobaczyć, co z Claire... nie było już jej w domu.

W jego głosie Spence słyszał przerażenie i widział lęk na poblądłej twarzy.

- Ja... pojechałem moim wozem prosto do biura Claire. - Meador mówił drżącym, słabym głosem. - Nie było jej ani tam, ani w stajni. I wtedy domyśliłem się... zrozumiałem, że wróci tutaj, gdzie ktoś rozbił moją terenówkę.

Spence kiwnął głową.

- Znalazłem tu Pogo, przywiązana, więc według mnie Claire zeszła w dół zbocza.

- Podjechałem samochodem tak blisko, jak się dało. Zostawiłem go przy ujeżdżalni. A potem przybiegłem... Cóż, właściwie to głównie przeszedłem resztę drogi. Muszę ją znaleźć, Winslow! Ona jest wszystkim. .. Claire jest wszystkim, co mi zostało.

Spence słyszał rozpacz w głosie ojca Claire i widział, jak bardzo jest zmęczony. Jeśli się nie uspokoi, sam będzie potrzebował pomocy.

Bardzo powoli Spence przykucnął, a serce waliło mu w piersiach, bo wiedział, jakie podejmuje ryzyko.

Kładąc magnum wśród liści przy stopach, spojrzął w oczy Willa Meadora.

- Zostawiam tu broń. Gdybym próbował zejść z nią na dół, skończyłoby się na tym, że sam bym się postrzelił. I tak będzie już dostatecznie trudno opuścić się po tym urwisku bez liny.

Wstał, obserwując twarz ojca Claire. Pomyślał, że jeśli ten człowiek zamierza go zastrzelić, to zdradzi to właśnie jego twarz. I to ona ostrzeże Spence'a przed kulą, która ma go zabić.

Rozdział 36

Gloria - wyszeptwała przerażona Claire. Jej wargi same wypowiadały to imię, powtarzały je, jakby klasyczny rock w wykonaniu Vana Morrisona zamienił się w koszmar.

A Gloria leżała cicha, choć muzyka już dawno przebrzmiała. I nawet gdyby pragnęła zaśpiewać, nie miała już dolnej szczęki.

G-L-O-R-I-A. Ból w kostce pulsował w rytm tego słowa, a jego znaczenie rozbrzmiewało Claire w głowie. Znaczenie, które stało się jasne za sprawą jednego spojrzenia i dwóch srebrnych bransoletek. Mimo że nie chciała go zrozumieć i bardzo się przed tym wzbraniała.

Jej uwagę przykuł słaby hałas, stłumione odgłosy czyichś krzyków. Mrugając oczami, żeby powstrzymać łzy, wyczężyła słuch i z ulgą usłyszała najwspanialszą rzecz w swoim życiu: własne imię, powtarzane przez męski głos, głos Spence'a.

Była zarazem przerażona tym, co sobie właśnie uświadomiła, i przekonana, że myliła się, wątpiac w swojego męża. Myliła się, wierząc choćby przez chwilę, że desperacja, jaką słyszała w jego głosie, była desperacją mordercy, który powrócił, by upewnić się, że zabił ofiarę. I nagle pojawiły się odpowiedzi na różne pytania, elementy układanki znalazły się na właściwych miejscach. Stało się dla niej jasne, kto miał dostęp do jego e-maili, kto mógł nagrać jego głos i dlaczego dla tej osoby było tak ważne, by Spence znikł z jej życia.

A więc zaczęła wołać imię męża, by znalazł ją w tym niepoświęconym grobie, który niemal stał się również jej własnym.

- Słyszę kogoś! - zawołał Spence do Willa Meadora stojącego nad nim. - To chyba Claire. Jest tam, w grobie za tą stertą skał.

- Opuszczę się tam i pomogę ci - krzyknął jej ojciec, świecąc latarką ze skraju urwiska.

Obluzowany kamień przeleciał tuż obok głowy Spence'a i uderzył o skałę poniżej.

- Cofnij się! - wrzasnęła Spence.

Martwił się nie tylko o to, że zasypią go odłamki, gdy runie na niego reszta urwiska, lecz także o to - co było bardzo możliwe - że Will Meador sam spadnie i się zabije.

- Zostań tam na górze! Może będziesz musiał sprowadzić pomoc.

Ale czy temu człowiekowi naprawdę udałoby się ściągnąć pomoc, gdyby zaszła taka potrzeba? Wyglądał na wstrząśniętego i wyczerpanego. Jednak z lęku o Claire nie odstrzelił głowy swojemu zięciowi. Przy najmniej jak dotąd.

- Uda mi się! - odkrzyknął Meador, najwyraźniej zbyt zrozpaczony, by słuchać Spence'a. - Już tam schodzę... Muszę... muszę ocalić moją Claire.

To wszystko byłoby, do cholery, znacznie łatwiejsze, gdyby teść wykonał polecenie: „Siad i zostań”, tak jak Pogo.

- Nie, Will. - Spence powiedział to głośno swoim gliniarskim tonem i trudno było potraktować to inaczej niż jak rozkaz. - Poczekaj i pozwól mi najpierw sprawdzić, co z Claire. Jeśli jest ciężko ranna, może szybko potrzebować pomocy. Chcesz ryzykować, że to się opóźni?

- Dobrze, już dobrze - odparł Meador i światło jego latarki znikło z krawędzi urwiska. - Tylko wyciągnij ją stamtąd szybko. Proszę.

Spence zaczął przedzierać się przez stertę skał; poruszał się ostrożnie w tym kierunku, z którego wcześniej usłyszał głos Claire.

Próbując się zorientować, gdzie ona jest, jeszcze raz zawołał jej imię i usłyszał stłumione uderzenie skał o skały, a po nim mrozący krew w żyłach krzyk żony.

Spływająca kropla potu poślaskotała Claire po skroni. Jednak kolejne doznania nie były już tak niewinne.

Musiałam zemdleć, kiedy użyłam latarki jako dźwigni, pomyślała, gdy jej oczy otworzyły się w ciemności. Wbiła palce w nogę, znów próbując stłumić okropny ból promieniujący od kostki. I tym razem też się nie udało. Kostki wreszcie nie przygniatał miazdzący ciężar. Dzięki Bogu, gład się ruszył.

A potem przypomniała sobie. Spence! Słyszała jego głos, dobiegał z zewnątrz. Czy po tym, jak straciła przytomność, jej mąż zrezygnował z dalszych poszukiwań i odszedł? A może był tylko jej pragnieniem, halucynacją wywołaną przez emocje, kiedy odkryła, że kości, które znalazła, to na pewno kości Glorii Hajek.

- Spence! - zawołała; krzyczała, dopóki nie poczuła, że zdarła sobie gardło.

Macając wokół siebie, odnalazła latarkę. Jednak tym razem, gdy wcisnęła przycisk, mrok się nie rozproszył. Serce Claire ścisnęło lęk, gdy uświadomiła sobie, że zostawiła ją włączoną. Bateria musiała się wyczerpać.

Czy ją też spotka tak okropny los? Tutaj, w tej pustej ciemności? Łzy zapiekły ją w oczach, spłynęły po twarzy i zapchały nos. A potem usłyszała rumor osuwających się kamieni i zobaczyła silne światło innej latarki.

- W porządku, Claire. Już prawie się przebiłem - zawołał Spence. Prawdziwy Spence, z krwi i kości. Tego była pewna.

- Pospiesz się! - krzyknęła.

Łoskot i znów lawina kamieni. Podniosła w górę ramię, by się osłonić, na szczęście spadały na nią tylko najmniejsze kamyki.

- Nic ci nie jest?! - usłyszała Spence'a.

Widziała, jak przeciska się przez otwór i zaczyna czołgać w jej stronę po rumowisku.

- Nic mi nie będzie, teraz, kiedy mam cię przy sobie.

Gdy zbliżał się do niej, musiał dwa razy się zatrzymać i przesunąć kamienie zawalające drogę. Robił to ostrożnie, by znów nie posypała się na nią lawina.

- Możesz się poruszać w moją stronę? Jesteś ranna? - spytał.

- Spróbuję, ale chyba mam złamaną kostkę. Już parę razy zemdlalam, kiedy próbowałam zrzucić z niej tę cholerną skałę.

Poświecił latarką w jej kierunku

- Jesteś uwięziona?

- Już nie. Ale... Spence, tu coś jest... Ciało. W każdym razie jego część.

Latarka Spence'a przesunęła się na czaszkę.

- Indianie długo tu mieszkali. Może to jeden z...

- To Gloria. Gloria Hajek. Widzisz ten niebieski kawałek? To stary brezent, a tam sajej długie złote włosy.

Usłyszeli hałas, tak jakby coś, może skała albo drzewo, spadło z urwiska i się roztrzaskało.

- Później. Powiesz mi później. Musimy cię stąd wydostać, zanim reszta tego urwiska zawali nam się na głowy.

Był już tak blisko, że niemal mogła dosięgnąć go ręką. Przygotowując się na ból, podciągnęła ciało ostatnie kilka centymetrów i złapała jego dłoń ze wszystkich sił, które jej jeszcze pozostały.

W otaczającej ich ciemności przepłynęła między nimi niewypowiedziana obietnica. Nigdy cię nie opuszczę. Już nigdy nie zwątpię w to, co mamy.

- Kocham cię, Spence - powiedziała.

Choć rana musiała go strasznie boleć, oparł się na łokciu i podciągnął do przodu, przyciskając swoje usta do jej ust w dzikim, gwałtownym, gorącym pocałunku. Głaskał jej włosy, dotykając szczytu głowy w o wiele za krótkiej pieszczocie.

- Ja ciebie mocniej. I przekonasz się o tym, gdy tylko zabierzemy cię tam, gdzie będziesz bezpieczna.

- Na pewno - powiedziała. - Bo wiem, kto to zrobił. Jej. Tobie. Nam. Nie mógł dopuścić, żebyś ją znalazł. Nie mógł pozwolić na to, żebyś się tu kręcił.

Zagłuszyły ją przesuwane kamienie, gdy pociągnął ją ku sobie w stronę wąskiego otworu, który wykopał. Reagując na kolejną falę bólu, z sykiem wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Niestety nie mamy czasu, żeby usztywnić ci nogę - powiedział.
- Strasznie mi przykro, Claire, ale to będzie bolało jak cholera.

Już bolało. Nie tylko kostka, ale głębsza zdrada, równie szokująca jak ta, której musiała stawić czoło przed paroma tygodniami.

Na szczęście, gdy Spence zaczął ją ciągnąć, Claire znów zemdlała. Nie miała już poczucia czasu, gdy na zmianę odzyskiwała i traciła przytomność. W pewnym momencie usłyszała, że Spence krzyczy do kogoś na górze, na szczycie urwiska, do kogoś, kto rzucił koniec liny. Potem wydało jej się, że ten ktoś ją podciąga, a Spence, wspinający się obok niej, usiłuje ją podpierać i prowadzić.

Gdy doszła do siebie, leżała na plecach, patrząc na gwiazdy między gałęziami drzew. Coś kudłatego tuliło się do niej, dając jej ciepło; od czasu do czasu liżało jej bezwładne ramię i cicho skomlało. To mogła być tylko Pogo.

- Musimy zawieźć ją do szpitala - mówił Spence gdzieś na lewo od niej. - Możemy zrobić prowizoryczną szynę i spróbować sami ją stąd wynieść, ale możesz też pójść do samochodu, podjechać do biura i zadzwonić po pomoc.

-Niech... niech mnie szlag trafi, jeśli zostawię tutaj Claire samą z tobą chociaż przez chwilę.

Zszokowana, słysząc głos ojca, odwróciła głowę w kierunku światła. Spence stał przed Meadorem z wyciągniętymi rękami, a w dłoniach trzymał tylko latarkę.

- Odłóż broń - mówił. - Nie będziesz jej potrzebował. To Claire jest teraz ważna. Cała reszta może poczekać.

- Czyżby? - wtrąciła się Claire, podpierając się na łokciu.

Obaj jak jeden mąż obrócili się ku niej. Ale Claire patrzyła tylko na swojego ojca.

- To byłeś ty - powiedziała. - To cały czas byłeś ty. Powinam była się domyślić wcześniej, kiedy dziś wieczorem Megan weszła do domu i wołała cię po imieniu. Ty... ty się do niej zalecałeś... A może... Może to już nawet zaszło dalej.

Opuścił strzelbę. Jego twarz wykrzywiła się, przybierając wyraz, jakiego Claire nigdy u niego nie widziała. A może po prostu widziała teraz to, czego przez zbyt długi czas nie chciała dostrzec.

Podchodząc bliżej, wysapał:

- Co ty na Boga, pleciesz? Wciąż jesteś zamroczona. Mówisz bzdury. Skała uderzyła cię w głowę?

-Wiem - ciągnęła uparcie, a jej usta wykrzywiły się na myśl o tym, co musiała teraz powiedzieć. - Wiem, że to ty zamordowałeś Glorię Hajek dawno temu, mniej więcej wtedy, gdy umarła moja matka. I wiem, dlaczego to zrobiłeś. Twój pociąg do nastolatek to nic nowego, prawda?

Poczuła, że robi jej się niedobrze, bo przypomniała sobie fotografie w ramach w jego domowej kancelarii. Zdjęcia absolwentów liceum z kółka dyskusyjnego, którym pomagał po lekcjach. Dlaczego nigdy nie zauważyła, że na niemal wszystkich fotografiach były same dziewczyny? A zwłaszcza blondynki. Takie jak Gloria... i Meg.

Opadł na kolana przy niej, a Pogo drżała między nimi.

- Czemu mówisz takie rzeczy, Claire? Jak możesz? Co ten zakłama-ny sukisyn - rzucił ponure spojrzenie w kierunku Spence'a - nakładł ci do głowy?

- Byłeś pewien, że on się o tym dowie, prawda? - Czuła, że jej serce krwawi coraz bardziej, a ból w nim przyćmiewa ból w kostce, teraz niemal banalny. Ale nie mogła się zatrzymać. Nie mogła pozwolić, by jej ojciec, adwokat, znów ją przekonał, by przestała w to wierzyć, - Kiedy Spence nam powiedział, że chce badać groty, i gdy przyniósł ci bransoletkę, tę, którą dałeś Glorii, wtedy już wiedziałeś, że musisz sprawić, by zniknął z naszego życia. I wiedziałeś, że to musi być coś tak okropnego, żebym już nigdy nie chciała o nim więcej słyszeć.

Ojciec próbował jej przerwać, ale mu nie pozwoliła.

-To ty miałeś dostęp do naszego laptopa, kiedy przyjeżdżaliśmy do ciebie w odwiedziny. To ty byłeś tym, kto miał okazję i odpowiedni sprzęt, by nagrać wystarczająco dużo rozmów Spence'a i by poskładać je w obciążające go słowa. Chcę wiedzieć, jak ci się udało go oskarżyć? Kogo przekupiłeś w biurze szeryfa? A może pomógł ci jakiś dawny klient, którego broniłeś w San Antonio?

- El Tiburón. - Głos Spence'a drżał, gdy wypowiedział imię, jakim przywódca gangu posługiwał się na ulicach. - Wykorzystałeś jego i jego ludzi, prawda? I to ty wyłożyłeś pieniądze na moje długi, kiedy usłyszałeś o tym, ile przepuściłem, żeby Claire nie straciła Monarch Ranch.

Ale Claire jeszcze nie skończyła. Wciąż przeszywając spojrzeniem ojca, ciągnęła:

-I chcę wiedzieć, co, u diabła, zamierzasz powiedzieć Ellen, gdy dowie się ode mnie, że wykorzystywałeś ją, by położyć swoje cholerne łapska na jej córce.

-Nigdy nie dotknąłem Meg! - wybuchł. - Nigdy żadnej nie dotykałem po tym...

- Po czym? - naciskał Spence. - Po tym wypadku z Gloria?

Meador z zapałem kiwał głową niczym skazaniec, któremu zaproponowano ułaskawienie.

- Tak - odparł szybko. - To był wypadek. Straszliwy błąd.

- Rozumiem, że takie rzeczy się zdarzają - powiedział Spence zaskakująco łagodnie. - Możesz to nam wyjaśnić? Możesz to wyjaśnić Claire?

- Ta dziewczyna, ta cholerna dziewczyna mnie do tego zmusiła.

Drżał, jakby wciąż był w szoku i zupełnie nad sobą nie panował. Kołysał się na kolanach jak wysoka trawa na wietrze.

Mrugając, by powstrzymać łzy, Claire zbudowała w sobie mur obronny. W tej chwili nie mogłaby pocieszyć ojca. Nie była nawet zdolna wyobrazić sobie, że wyciąga rękę do człowieka, który ją wychował.

Nieoczekiwanie to jej mąż znalazł w sobie tyle współczucia, aby to zrobić. Podchodząc do teścia od tyłu, położył swoją dużą dłoń na jego drżącym ramieniu.

- Czasami tak już jest - mruknął. - Widziałem mnóstwo i wiem, że niekiedy sprawy nie będą tak, jak człowiek by sobie życzył.

Claire przypuszczała, że Spence próbuje wyciągnąć od jej ojca jakieś wyjaśnienia. Nie wiedziała, czy uda jej się to znieść. Czy uda jej się ich wysłuchać.

Meador kiwnął głową; patrzył przed siebie nieprzytomnie. Przyciągnęła do siebie jeszcze bliżej owczarka i odwróciła wzrok.

- To nigdy nie była miłość, Claire. Nigdy. Kochałem tylko twoją matkę... Twoją matkę i was, dziewczynki. Ale mężczyzna... Cóż, byłem słaby i głupi, nie można tego inaczej nazwać. Ona... była taka młoda i ładna. I cały czas łąziła za mną do lasu... kręciła przede mną swoją dupą za każdym razem, kiedy widziała, że wychodzę na polowanie. Za każdym razem, kiedy widziała, że idę gdzieś sam...

- Oszczędź mi tego - zbuntowała się Claire. Wolałaby raczej, żeby kolejna skała spadła jej na kostkę, niż miałyby usłyszeć choćby jeszcze jedno słowo o tym, jak jakaś piętnastoletnia dziewczyna go „uwiodła”.

Ale on ciągnął dalej, tak jakby jej nie słyszał, a jego głos był płaski i bezbarwny.

-I potem, pewnego dnia, tego właśnie dnia, powiedziała, że musi się ze mną spotkać. Tutaj, nad urwiskiem. Oświadczyła mi, że jest... O Boże, oświadczyła, że jest w ciąży i że teraz będę musiał zostawić moją żonę i ożenić się z nią.

Claire wtuliła twarz w miękkie futro Pogo, łzy popłynęły jej z oczu.

- Proszę, już dość. Nie zniosę tego...

- Oczywiście, nie mogłem tego zrobić - ciągnął ojciec, jakby w ogóle jej nie słyszał. - Nie mogłem zostawić Lindy, odrzucić rodziny i domu, na który tak ciężko pracowałem, tylko po to, żeby ożenić się z jakimś dzieckiem.

Ale mogłeś z nią sypiać, krzyczało coś w głowie Claire, ale nie potrafiła wypowiedzieć tego na głos.

-Wpadła w szal. Obrzucała mnie wyzwiskami... Mówiła okropne rzeczy. Przysięgała, że powie Lindzie, że powie wszystkim, nawet tobie i Karen, chociaż byłyście takie malutkie. Odwróciła się, chciała odejść, i wtedy to się stało. Byłem taki zdenerwowany... taki zdenerwowany, że nacisnąłem spust. Nigdy tego nie chciałem, ale tak wyszło. Zobaczyłem, jak upada. I było tyle krwi...

- Ty... zabiłeś ją, żeby ją uciszyć. - Claire zmusiła się, by spojrzeć mu w twarz. Nie mogła nie dopuszczać do siebie prawdy. Nie, jeśli chciała dalej żyć i spojrzeć samej sobie w twarz. - Zabrałeś z sobą broń i zabiłeś ją, żeby nie spieprzyła ci życia.

- Życia nas wszystkich. - Patrzył na nią błagalnie. - Nie rozumiesz tego, maleńka? Zrobiłem to dla moich dzieci. Dla ciebie i dla Karen.

Unosząc dłoń, powiedziała:

-A więc dlaczego nie zabiłeś też Spence'a, tato? Czemu zadałeś sobie tyle trudu, żeby go zrobić, zamiast go po prostu zabić? Wciąż było mnóstwo pustych grot w tym urwisku, które tak chciałeś zasypać.

Gwałtownie pokręcił głową, upuszczając strzelbę, by położyć dłoń na sercu.

-Nie jestem mordercą, Claire. Naprawdę, nie jestem. Gloria... to był wypadek... tak dawno temu. Od tego czasu budowałem swoje życie wokół was, dbałem o ciebie i o Karen, kiedy jeszcze żyła. Jak mogłaś myśleć, że skrzywdziłbym cię w taki sposób, zabijając człowieka, którego kochasz? Jak mógłbym to zrobić, jeśli...

- Jeśli zrujnowanie mojego pierdolonego życia w zupełności wystarczy!

Spence pochylił się i chwycił broń. W jego głosie nie było już ani śladu współczucia.

- Wyświadczyłybyś mi większą przysługę, zabijając mnie, niż robiąc to, co zrobięś.

- Proszę, zostaw go, Spence - błagała przerażona Claire. Próbowwała wstać. - Sama go wydam policji. Przysięgam. Uporządkujemy cały ten bałagan.

W krzakach zaszeleściło i ktoś ostro krzyknął:

- Rzuć to, Winslow! Rzuć albo będę strzelał!

Szeryf Joel Shepherd przedzierał się przez gałęzie, odsuwając je łufą broni, którą trzymał w rękach.

- Stój, Joel. To nie jest tak, jak myślisz - zaczęła Claire. Jednak ogarnięta paniką, bezmyślnie przeniosła ciężar ciała na złamaną kostkę...

I straciła przytomność, więc nie wiedziała, czy strzelił.

Rozdział 37

Spence omal nie wyskoczył ze skóry, kiedy usłyszał nagły, ostry dźwięk tuż przy uchu. Mrugając w mroku, stoczył się z wąskiej więziennej pryczy na twardą podłogę.

Ale hałas, pomyślał; przy kratkach celi zobaczył zastępcę szeryfa. To ten idiota. Spence słyszał, że jest krewnym Joela Shepherd. Wielka pięść Earla Bransona wciąż ścisnęła pałkę, którą z całej siły przejechał po kratkach nad głową Spence'a. Po drugiej stronie korytarza brzuchaty mężczyzna przewrócił się na bok, wykrzykując wiązanek obelg i kończąc słowami:

- Próbuje tutaj spać, do diabła! Jeśli już ktoś mnie budzi, niech robi to przynajmniej po to, by postawić mi następną kolejkę.

Ale małe świńskie oczka Bransona cały czas były utkwione w Spencerze. Na szerokiej twarzy zastępcy szeryfa pojawił się uśmiech, lecz instynkt ostrzegł Spence'a, że może to oznaczać jedynie złe nowiny.

Powoli wstał. Zaszło mu w ustach, a serce waliło w piersiach jak młotem. Tak się denerwował, że dziwiło go to, że zasnął. Widocznie znu-

żenie w połączeniu z oczekiwaniem na wiadomości musiało w końcu zwalić go z nóg.

Gdy uważniej przyjrzał się zastępcy szeryfa, ogarnął go lęk. Czy Earl przyszedł po to, by mu powiedzieć, że Claire jest w gorszym stanie, niż myślał? A może obwiniają go o to, że jej ojciec zasłał parę minut po tym, jak Joel Shepherd przybył nad urwisko? A może... Nie ma sensu torturować się pytaniami, na które i tak nie znam odpowiedzi, pomyślał.

Przeczesał włosy palcami i udał, że się przeciąga, by ukryć, że cały drży z napięcia. Gdyby ten żalosny sukinsyn Earl Branson wyczuł, jak bardzo zdesperowany jest Spence, pewnie męczyłby go przez całą noc.

Walcząc z ogarniającą go paniką, Spence zapytał:

- Co mam robić?

- Daj tu ręce, żebym ci mógł założyć kajdanki. Kuzyn Joel, to znaczy szeryf Shepherd, chce, żebym cię przyprowadził do pokoju przesłuchań.

- Jest tu mój adwokat? - spytał Spence, gdy Earl sięgał przez kraty, by zatrzasać kajdanki.

Sądził, że jego adwokat przyjedzie dopiero rano, ale może było już rano. Biorąc pod uwagę, jak niewiele docierało tu naturalnego światła, trudno było to stwierdzić.

- Żadnych adwokatów na tym spotkaniu - odparł Earl. - Wydaje mi się, że Joel chce ci coś powiedzieć o twojej żonie.

Spence szarpnął się w jego stronę.

- Claire? Mów ty, dupku, albo przysięgam, znajdę sposób, żeby...

Pałka znów uderzyła w kraty, wywołując kolejną falę wrzasków pijaka po drugiej stronie korytarza.

- Hola, hola. Będiesz milutki, czy mam cię tu jeszcze zostawić na parę godzin? - Earl zignorował te wrzaski.

Spence zacisnął szczęki i przypomniał sobie, że grożąc zastępcy szeryfa, przysporzy sobie tylko jeszcze więcej kłopotów. Z trudem więc wydusił z siebie przeprosiny.

- Tylko bądź grzeczny - powiedział Earl i otworzył drzwi celi, a potem poprowadził Spence'a korytarzem. Wcisnął kod na zamku szyfowym, żeby otworzyć kolejne przejście, i podszedł ze Spence'em do drzwi pomalowanych obskurną, wstrętną zieloną farbą. Wisiała na nich zniszczona metalowa tabliczka z mało czytelnym napisem: „Pok j prz słuc ań”.

Po drugiej stronie korytarza przez wąskie okno przy suficie sączyło się różowawe światło.

Już rano, pomyślał Spence. Nareszcie świta.

Earl położył rękę na klamce, zawahał się i odwrócił, by spojrzeć Spence'owi prosto w oczy. Jego okrągła twarz poczerwieniała z zakłopotania:

- Przepraszam, jeśli byłem trochę ostry i tak cię obudziłem, ale myślałem sobie... chciałbym, żebyś coś wiedział... nie miałem pojęcia, że zastępca szeryfa, Ashford, był kupiony. Zielonego pojęcia... Gdybym tylko coś zaczął podejrzewać...

- Co takiego? - Spence osłupiał.

Pokaz wyrzutów sumienia w wykonaniu Earla był dla niego równie szokujący jak uwaga na temat Ashforda. To znaczy, że Meador przekupił właśnie jego.

- Szeryf postawił mu już zarzuty. Frank twierdzi, że pan Meador namówił go, żeby mu pomagał. Staruszek powiedział mu, że jesteś hazardzistą i że przegrasz swoje ranczo, tak jak jego tata dawno temu. Ale ja i inni zastępcy myślimy, że to takie pieprzenie. Frank tak naprawdę się sprzedał, żeby samemu móc startować na szeryfa i wykopać kuzyna Joela z roboty. Ten pan Meador zna każdego, kto jest kimś tu w Buck County, i mógł namówić innych, żeby wybrali Franka...

Spence nie mógł już słuchać gadania tego człowieka.

- Obchodzi mnie tylko to, co dzieje się z moją żoną. Co z nią? Proszę. Earl zniżył głos.

- Mój drugi kuzyn, Ray Lee, jest ochotnikiem i jeździ karetką. Powiedział mi, że twoja żona zaczęła krwawić i że może stracić tego malucha, którego ma w sobie.

Spence zacisnęła oczy. Och, Claire. Nie teraz. Nie znowu.

Ale to, że straci dziecko, nie było jego jedynym zmartwieniem. Czy zemdląca nie z bólu, lecz dlatego, że zaczął się już krwotok wewnętrzny, bo znów miała ciążę pozamaciczną? Czy ją też straci?

- Co... co jeszcze wiesz? - wykrztusił, choć bał się pytać.

- Ci goście z innej karetki musieli dwa razy użyć tego... no, defibrylatora, żeby pobudzić serce jej taty. I musieli mu założyć maskę, żeby oddychał, kiedy go wynosili z karetki.

Czyli Meador znalazł inny sposób, by nie musieć zapłacić za swoje grzechy. I za tę obrzydliwą zbrodnię, do której się przyznał po tym, jak Claire zemdląca.

Zielone drzwi otworzyły się od środka.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz, Earl? - huknął zniecierpliwiony Joel. Wyglądał tak kiepsko, jak Spence się czuł. Miał zmierzwiłone włosy i nieogoloną twarz.

Earl cały się skulił.

- Nic, szeryfie. Mówiłem mu tylko o jego żonie i jej tacie.

Joel spojrzął na Spence'a ze współczuciem. Kiwając głową, powiedział do kuzyna:

- Zdejmij mu kajdanki, Earl. Nie będą nam potrzebne.

Niecałą minutę później Spence siedział naprzeciwko szeryfa przy stole, z kubkiem czarnej kawy, której tak bardzo potrzebował, i bez kajdanek na rękach. Na polecenie szefa Earl zostawił ich samych.

Gdy Joel pociągnął długi łyk ze swojego kubka, Spence powiedział.

- Twój zastępca mówił mi, że Claire krwawiła. Słyszałeś coś jeszcze o niej? Proszę, szeryfie. Muszę się dowiedzieć, co się z nią dzieje.

Patrzyli na siebie sponad plastikowych kubków z kawą. Oczy Joela były smutne, ale ułamek sekundy później jego twarz wyrażała złość.

- Cały czas przez ostatnich kilka godzin wydzwaniam do tego cholernego szpitala i zbywają mnie tylko jakimś gównem o ochronie prywatności. Musiałem im zagrozić, że przyjadę do nich osobiście i zacznę tym wszystkim trząść, żeby w ogóle raczyli mi powiedzieć, że jej stan jest stabilny. W każdym razie przeżyje.

-A dziecko?

Shepherd pokręcił głową.

- Wiem tyle, co ty. Ale wreszcie udało mi się z kogoś wydusić, że Claire będzie musiała mieć operację, żeby nastawić tę kostkę.

Spence przełknął pół kubka kawy, nie dbając o to, że parzy mu język i gardło. Miała gorzki smak, tak jak gorzki był smutek na wspomnienie morderstwa popełnionego prawie trzydzieści lat temu.

A właściwie dwóch.

- Co z ojcem Claire?

Shepherd skrzywił się i znów pokręcił głową.

- Już po nim. Dobrze dla ciebie, że się przyznał, zanim wykitował.

Spence potarł czoło, daremnie próbując uspokoić myśli.

- Jeśli chodzi o to jego wyznanie, Joel... I tak będzie wystarczająco trudne dla Claire, że straciła ojca i dowiedziała się, że to on zamordował tę biedną dziewczynę. A potem zadał sobie jeszcze tyle trudu, żebym się

o tym nie dowiedział. Ona przeżyje piekło, jeśli się okaże, że straci dziecko. Ale jeśli do tego wszystkiego teraz się dowie, co tak naprawdę stało się z jej matką... Boże. Boję się, że to ją zabije. Jeśli się dowie...

Zapadło długie milczenie. Spence pił kawę, ale i w głowie, i w żołądku przewracało mu się na myśl o tym, co powiedział Meador. O tym, jak jego żona nabrała podejrzeń i zdecydowała się zostawić córki u sąsiadki, by pójść do lasu za mężczyzną, którego kochała. I zastała go w chwili, gdy umierała Gloria Hajek.

Gdy Linda Meador zaczęła krzyczeć, Will, ogarnięty paniką, odwrócił się i ją też zastrzelił. Wiedział jednak, że w przeciwieństwie do Glorii, która już dwa razy uciekała z domu, zniknięcie jego żony wzbudzi niepokój i podejrzenia. Przerażony, zadzwonił do jednego ze swoich klientów, drobnego włamywacza Feliksa Navarro, i zapłacił mu sześć tysięcy dolarów, by oświadczył, że przypadkowo zabił jego żonę.

A potem Will Meador, szanowany adwokat, niedawno owdowiały, żył sobie dalej spokojnie w rodzinnym domu, który zaczął remontować. Wychowywał sam dwie córki i zmagał się z pragnieniami, które ciągnęły go jak kaleką ćmę do jasnego płomienia nastolatka z Little BC. Aż do chwili, gdy stracił przytomność, wciąż zaklinał się, że nie dotknął żadnej z nich od czasu Glorii.

Spence miał cholerną nadzieję, że taka była prawda. Podobnie jak miał nadzieję, że Joel zrozumiał to, co sugeruje, i że zależy mu do tego stopnia na Claire, by poważnie wziął to pod uwagę.

W końcu szeryf wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem, dlaczego Claire albo w ogóle ktokolwiek miałyby się dowiedzieć o tym, co Meador wyznał przed śmiercią. Nie żyje nikt, kto mógłby to potwierdzić. Sprawdziłem tego faceta. Navarro. Zmarł parę lat temu w więzieniu. Siedział za zupełnie niezwiązany z tą sprawą rabunek. I nie żyje też nikt, kogo można by ukarać. Zostali tylko niewinni ludzie.

Spence odetchnął głęboko.

- Kiedy Claire będzie gotowa, kiedy zacznie zadawać pytania, wtedy jej powiem. Będę musiał. Ale na razie... Jestem ci coś winien.

Wyciągnął rękę i poczekał, aż Shepherd ją uściśnie.

- Mylisz się - odparł szeryf. - To ja jestem ci coś winien. Powiniennem był wcześniej posłuchać Claire. I powiniennem był wiedzieć, jak wkurzył się mój zastępca, kiedy republikanie z hrabstwa go pominęli

i postanowili poprzeć mnie, gdy startowałem na stanowisko szeryfa. Pracował tu dłużej niż ja, a ten gość, który przeszedł na emeryturę, najwyraźniej mówił mu różne rzeczy i właściwie obiecał mu, że to on będzie następnym w kolejce. Ta praca stała się całym jego życiem, a to błąd, który dobrze rozumiem.

Spence kiwnął głową - wiedział, co Joel miał na myśli. Choć żaden z nich nie wspomniał o tym ani słowem, czuł, że wydarzenia ostatniej nocy i ta poranna rozmowa zmieniły ich relacje w coś w rodzaju przyjaźni. W coś, na co chętnie się godził.

- Wiem, jak wiele wskazywało na to, że jestem winny. I byłem winny. Zachowywałem się jak cholerny idiota po tej strzelaninie w październiku ubiegłego roku. To mnie naprawdę powaliło.

- Kiedy jeszcze byłem zastępcą szeryfa, żółtodziobem, musiałem zabić człowieka na służbie. Ten pijany sukinsyn szedł na mnie z nożem i wypatroszyłby mnie jak dorsza. A jednak śniło mi się to co noc przez wiele tygodni. A ty musiałeś zastrzelić dzieciaka i patrzyłeś na to, jak umiera twój najlepszy przyjaciel...

By ukryć swój ból, Spence już miał wzruszyć ramionami albo rzucić zdawkową uwagę. Nie zrobił tego - wciągnął głęboko powietrze i pomyślał, czym do tej pory kończyło się zamykanie się w sobie.

- Nie to było złe, że tak ciężko to przeżyłem, ale to, że zamknąłem się w sobie i nie chciałem przyjąć pomocy. Najgorsze, że zamknąłem się na Claire, chowałem się po kątach i uprawiałem hazard. Przysięgam, że już nigdy nie popełnię tego błędu.

Zamiast go wykić, jak się tego spodziewał Spence, Shepherd milczał przez chwilę, a potem powiedział:

-Prawdopodobnie twojemu adwokatowi i prokuratorowi okręgowemu kilka dni zajmie uporządkowanie wszystkich kwestii prawnych. Pogadam z prokuratorem. Zobaczę, co może zrobić, by to przyspieszyć. I może uda się wygładzić niektóre sprawy...

- Eee... Był jeszcze ten incydent na wschód od San Antonio. - Choć jego prawnik pewnie by się wściekł, gdyby wiedział, co wygaduje jego klient, Spence miał przecucie, że Joel Shepherd jest skłonny pociągnąć za parę sznurków drogą nieoficjalną. - Całkowity przypadek. Był w to zamieszany zastępca szeryfa, doszło do pościgu i...

- Chodzi ci o to, co się stało po tym, jak wóz Claire został skradziony przy bibliotece głównej? - odpowiedział Shepherd.

Spence zawahał się, a potem westchnął, myśląc o niewidzialnych drzwiach, które szeryf z Buck County właśnie otworzył. Dzięki Bogu za stare więzy rodzinne i małe społeczności.

- Tak - odparł. - To nie do pomyślenia, co wyprawiają złodzieje samochodów.

Przyszło mu do głowy coś jeszcze, więc dodał:

-A co z Randallem Hajekiem i Giovannim? Zamierzają mnie pozwać?

- Nie. Oni chcą, żeby to wszystko załatwić po cichu i żeby ostatnie dni Randalla były tak spokojne, jak to tylko możliwe. I nie wydaje mi się, żeby ten jego koleś miał wielką ochotę znów narazić się wymiarowi sprawiedliwości. - Shepherd wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Zwłaszcza po tym, kiedy mu wspomniałem, że znaleźliśmy jego odciski palców na tej rozbitej terenówce.

- A znaleźliście? - spytał Spence.

Joel wzruszył ramionami.

-Dobry błąd przydaje się czasem nie tylko przy pokerze. I obeszło się bez tego całego marudzenia, kiedy się pokazałem i ich rozwiązałem. Miałeś szczęście, że Randall zadzwonił do mnie, zanim wyszedł wyrwać Giovanniego z twoich szponów. Dokładnie tak się wyraził. „Szponów”. - Parsknął śmiechem, kręcąc głową z rozbawienia. Ale zaraz spoważniał. - Wiesz, gdybym nie przyjechał cię szukać, nigdy nie usłyszałbym wyznania Meadora. A wtedy tkwiłbyś w gównie po uszy.

- Kiedy tylko stąd wyjdę, osobiście podziękuję Hajekowi za pomoc - powiedział Spence.

Shepherd skrzywił się.

- Ja na twoim miejscu nie posuwałbym się tak daleko. Zwłaszcza jeśli ma więcej takiej broni jak to magnum, które u niego znalazłem.

Spence nie mógł się powstrzymać. Musiał jeszcze raz spróbować szczęścia w o wiele ważniejszej sprawie.

- Możesz mnie zabrać do szpitala? Skuj mnie, nałóż mi łańcuchy, mam to gdzieś. Tylko pozwól mi się spotkać z Claire. Muszę iść do mojej żony. Muszę jej powiedzieć... Parę rzeczy wyprostować...

Joel Shepherd pokiwał głową.

-Naprawdę mi przykro, chłopie. Chciałbym, ale nie mogę tego zrobić, dopóki nie zostaniesz oczyszczony z zarzutu, że zamierzałeś ją zabić. Poza tym to byłoby pogwałceniem decyzji sędziego o twoich warunkach zwolnienia za kaucją.

Spence widział, że wszelkie próby dyskusji na nic się nie zdadzą.

Jole dopił kawę, wstał i dorzucił:

-A do tego najwyższy czas, żeby wreszcie sam poszedł się spotkać z moją żoną. Wygląda na to, że tego poranka ja też będę musiał się trochę popłaszyczyć.

Epilog

Siedem miesięcy później

Spence biegł szpitalnym korytarzem, nie zwracając uwagi na pielęgniarki, techników laboratoryjnych i tych, którzy przyszli w odwiedziny. Odwracali za nim głowy, gdy mijał ich w pędzie. Gdyby wiedział, że Claire będzie go potrzebować, nie pojechałby w tę podróż. Jego współpracownicy, Raul Contreras i Mark Lyons, zapewniali go, że chętnie przejmą jego obowiązki w ich wspólnej firmie ochroniarsko-konsultingowej, a on może sobie wziąć tyle wolnego, ile tylko będzie potrzebował.

Ale to sama Claire, znużona już jego nadopiekuńczością, wystawiła go za drzwi domu, w którym się wychowała.

- No dalej, Spence. Jedź do tego Lufkin - nalegała. - Czuję się lepiej. Naprawdę. Rozmowy o różnych sprawach z tobą i z psychologiem i zapewnienia Ellen, że Meg czuje się świetnie, to wszystko bardzo mi pomogło. Stracisz tylko tyle, że przez parę dni nie będziesz się tutaj kręcił i patrzył, jak robię się coraz grubsza.

Spence byłby absolutnie szczęśliwy, robiąc właśnie to i siedząc przy jej gnieździe uwitym z poduszek. Nie miało znaczenia, czy oboje śmiali się z tego, jak to Randall Hajek, który zmarł przed sześcioma tygodniami, wykiwał wszystkich, zapisując swoją posiadłość organizacji ekologicznej i zostawiając swojego kochanka na lodzie, czy też oglądali próbki posadzek i blatów do nowego domu budowanego na Monarch Ranch. Spence'owi wystarczyło, że mógł być po prostu świadkiem tego, jak w jego żonie to чудо staje się coraz większe, a ona musi leżeć w łóżku przez ostatnich parę miesięcy.

Po tym wszystkim, przez co przeszli, już samo to, że był z Claire, miało w sobie coś z cudu.

Ale jeśli, zanim do niej dotrze, ona już urodzi? Ellen zadzwoniła do niego parę godzin temu, gdy jechał do domu. Ta zazwyczaj rozsądna i opanowana kobieta była zdenerwowana i powiedziała mu niewiele więcej oprócz: „Przykro mi, Spence. To nie może czekać. Lenore i ja musimy natychmiast zawieźć ją do szpitala, jeśli nie chcemy się tym zajmować gdzieś na poboczu drogi”.

Dwa tygodnie, myślał Spence. Mieliliśmy mieć jeszcze dwa tygodnie. A jeśli coś jest nie tak?

Skreślił w prawo, kiedy zobaczył tabliczkę wskazującą sale porodowe. I wpadł na mężczyznę, wytrącając mu z ręki karty pacjentów, które pofrunęły i opadły na podłogę korytarza. Spence zatrzymał się, bo rozpoznał ginekologa Claire. Jej lekarz miał rude włosy przyprószone siwizną i dobre oczy - gdy się uśmiechał, pojawiały się przy nich zmarszczki.

- Przepraszam, doktorze Baker. A dostrzegając niebieski strój pod białym fartuchem, zapytał: - Ale dlaczego nie jest pan z moją żoną?

Gdy Spence pomógł mu już pozbierać karty, doktor Baker powiedział:

- Bo ja już wykonałem moją robotę, panie Winslow. To wszystko poszło tak szybko, że ledwie miałem czas włożyć moją rękawicę.

Spence mrugnął. To nie mogło być prawdą! Od wielu tygodni ćwiczyli oddechy techniką Lamaze. Miał przy tym być, trzymać Claire za rękę i prowadzić ją przez każdy skurcz.

W niebieskich oczach lekarza pojawiły się wesołe iskierki.

-A może sam pan tam wejdzie i zobaczy, jak sobie poradziliśmy, tatusiu?

Później Spence nie pamiętał, jak doktor Baker poprowadził go te kilka ostatnich kroków, nie pamiętał też Ellen ani Lenore, które wyszły z pokoju, objęły go i pogratulowały, nim pozwoliły, by wszedł do środka.

Widział tylko Claire, która uśmiechała się sennie, trzymając w ramiionach różowe zawiniątko. Choć jej falujące włosy były związane, a twarz pod piegami była blada jak mleko, brązowe oczy płonęły jak jesienny księżyc za oknem.

- Claire... - Westchnął, a potem po raz pierwszy spojrzał na doskonałą niczym pączek róży twarzyczkę, która wyglądała z becika. Oczy noworodka były zamknięte - spał, ssąc pierś mamy.

-To jest Sophie Hannah - wyszeptała szczęśliwa Claire. Potem spojrzała na łóżeczko stojące obok, gdzie z identycznego różowego

zawiniątka unosiła się maleńka piąstka. - A to Olivia Marie. Zobacz, Spence, co zrobiliśmy! Och, po prostu na nie popatrz!

Głos się jej załamał, a Spence poczuł, że jego gardło ścisnęło wzruszenie. Był bliski płaczu, ale nie dbał o to, gdy łza spłynęła mu po twarzy. Objął ramieniem Claire i rozczulony pochylił się, by ją pocałować. Kiedy się pozbierał, kolejno wziął w ramiona każdą z nich: swoje piękne córeczki bliźniaczki, a potem ich matkę, kobietę, której wiara i miłość wyciągnęły go z piekła i przeniosły do nieba. Na nie przez całe życie będzie starał się zasłużyć.